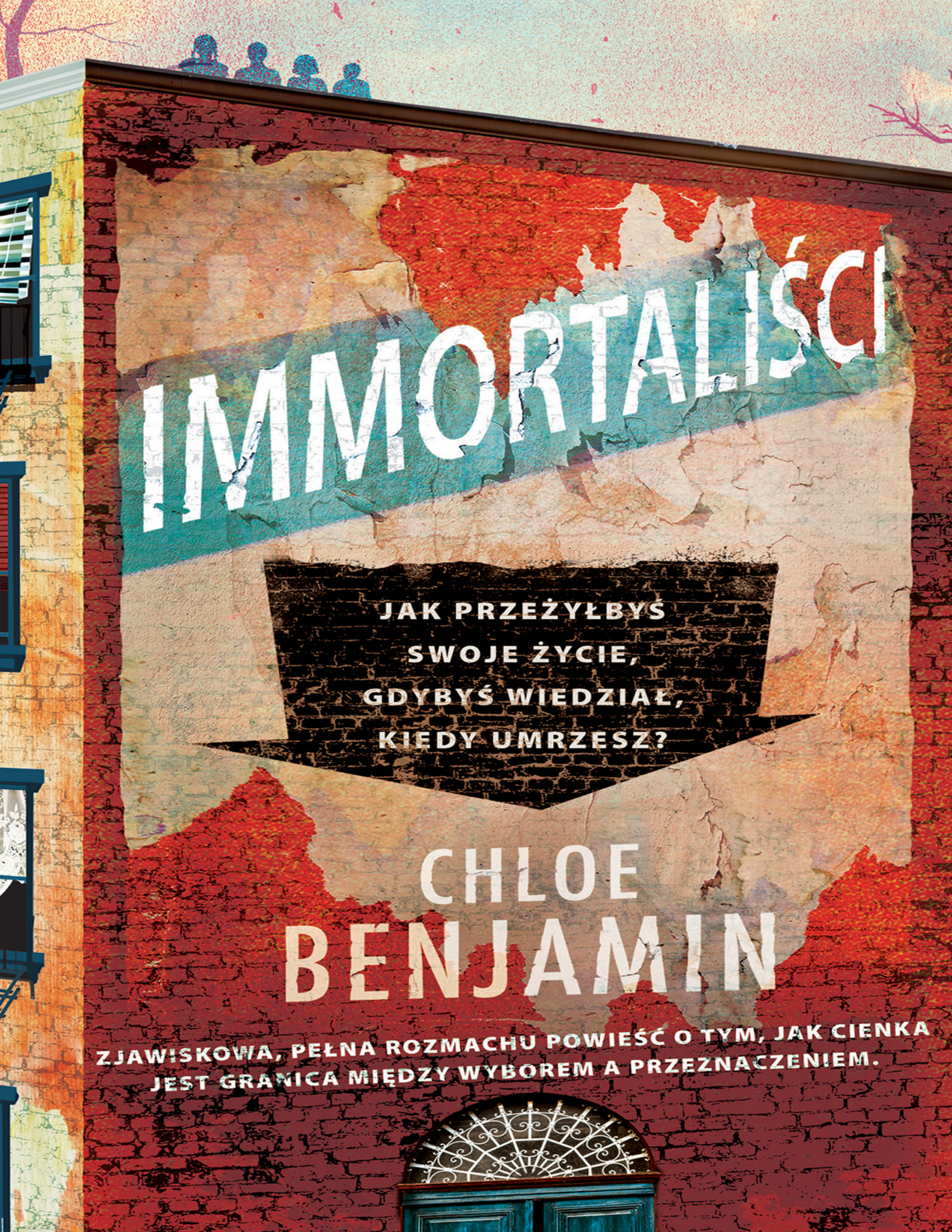
IMMORTALIŚCI
JAK PRZEŻYŁBYŚ SWOJE ŻYCIE, GDYBYŚ WIEDZIAŁ, KIEDY UMRZESZ?
CHLOE BENJAMIN
ZJAWISKOWA, PEŁNA ROZMACHU POWIEŚĆ O TYM, JAK CIENKA JEST GRANICA MIĘDZY WYBOREM A PRZEZNACZENIEM.

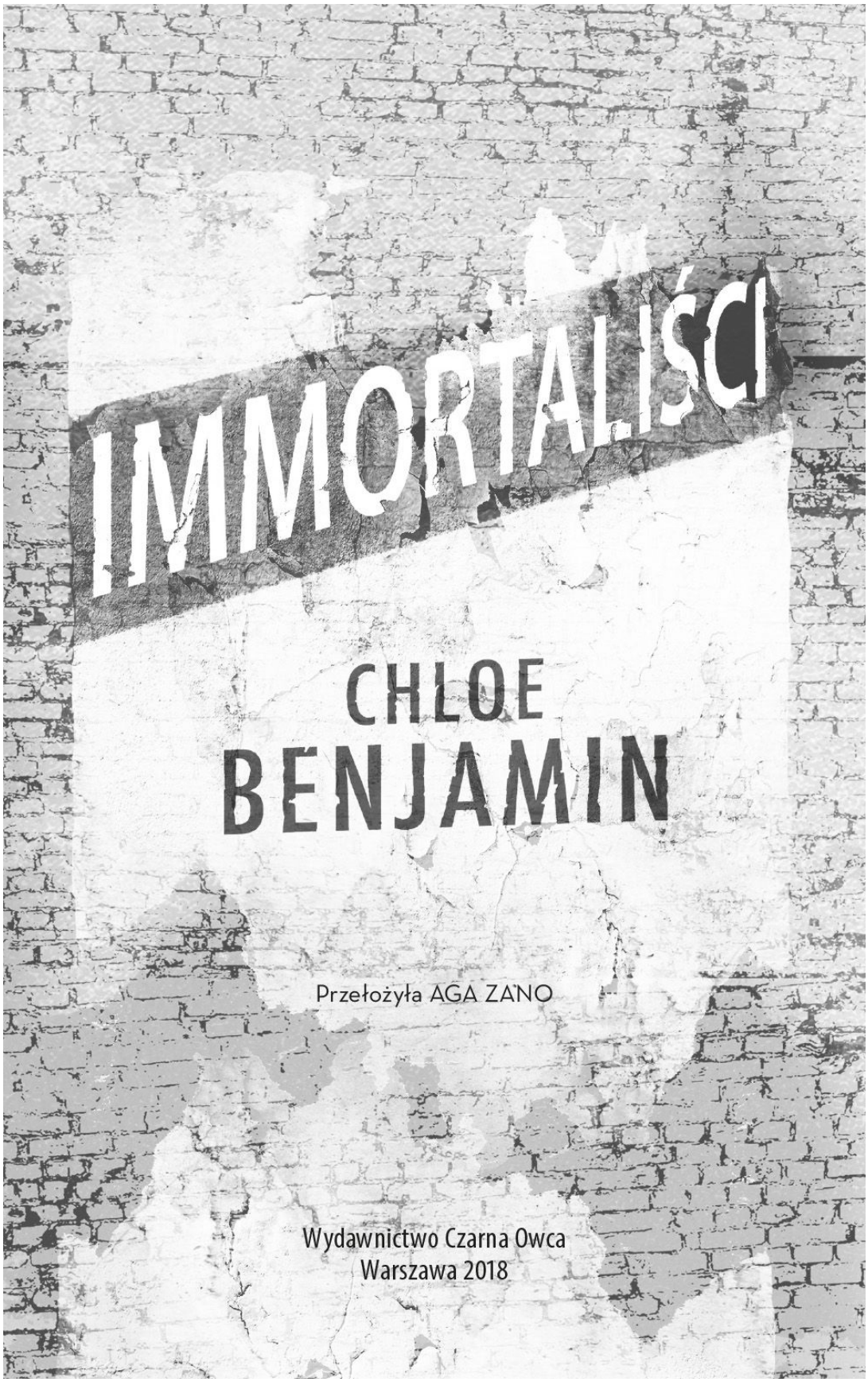
IMMORTALIŚCI
CHLOE
BENJAMIN
Przełożyła AGA ZANO
Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2018

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Kobieta z Hester Street

Będziesz tańczyć, synek

1

2

3

4

5

6

7

8

9

Proteusz

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

Inkwizycja

20

21

22

23

24

25

26

27

Miejsce życia

28

29

30

31

32

33

34

35

36

Podziękowania

Tytuł oryginału: *THE IMMORTALISTS*

Redakcja językowa: Ewa Kaniowska
Projekt okładki © Yeti Lambregts
Zdjęcie autorki © Nathan Jandl
Zdjęcie na okładce © Shutterstock
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka
Korekta: Beata Wójcik
Redaktor prowadzący: Małgorzata Hlal

Copyright © 2018 by Chloe Benjamin All rights reserved.
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-609-8

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
www.czarnaowca.pl
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Mojej babci, Lee Krug

PROLOG

Kobieta z Hester Street

1969

Varya

Varya ma trzynaście lat.

Dopiero się przyzwyczaja do ośmiu dodatkowych centymetrów wzrostu i kępki ciemnego futerka między nogami. Piersi ma wielkości dłoni, sutki jak dwa różowe pieniążki. Włosy sięgają jej do pasa i mają kolor średniego brązu – nie przypominają ani czarnej czupryny jej brata Daniela ani cytrynowych loków Simona, brak im też miedzianego połysku warkocza Klary. Rano zaplata je w dwa dobierańce. Lubi, jak smagają jej biodra niczym niespokojny koński ogon. Maleńkiego noska po nikim nie odziedziczyła, a przynajmniej tak jej się wydaje. Do dwudziestych urodzin nos rozwinie się jednak w całej orlej okazałości, zupełnie jak u jej matki. Ale na to jeszcze nie czas.

Pokonują kręte uliczki swojej dzielnicy całą czwórką. Varya jest najstarsza, Daniel ma jedenaście lat, Klara – dziewięć, a Simon dopiero siedem. Daniel prowadzi rodzeństwo przez Clinton do Delancey, potem skręcają w lewo na Forsyth Street. Przechodzą przez park Sary D. Roosevelt, kryjąc się w cieniu drzew. Nocami w parku roi się od chuligaństwa, ale jest wtorek rano, więc tylko tu i ówdzie widać garstki

młodych ludzi, którzy z policzkami wciśniętymi w trawę odsypiają weekendowe protesty.

Na Hester Street dzieci cichną. Muszą minąć Zakład Modniarski Golda, należący do ich ojca. Wprawdzie mało prawdopodobne, że ojciec ich dostrzeże – Saul pracuje z absolutnym zaangażowaniem, jakby miał pod igłą nie nogawkę męskich spodni, lecz materię wszechświata. Mimo to nadal stanowi zagrożenie dla rozedrganej magii tego parnego lipcowego dnia i niepewnego, ulotnego celu ich wyprawy.

Simon jest najmłodszy, ale szybki. Ma na sobie dżinsowe szorty po Danielu, które pasowały na starszego brata w tym wieku, ale młodszemu zsuwają się z wąskich bioder. Chłopiec ściska w dłoni sakiewkę z chińskiego atłasu. W środku szeleszczą banknoty jednodolarowe, monety pobrzękują jak zepsuta pozytywka.

– Gdzie to jest? – chce wiedzieć Simon.

– Chyba tutaj – ocenia Daniel.

Podnoszą głowy i patrzą na stary budynek – na pnący się ku górze zygzak metalowych schodów ewakuacyjnych i ciemne prostokątne okna na czwartym piętrze, gdzie ponoć mieszka osoba, z którą przyszli się zobaczyć.

– Jak mamy wejść do środka? – pyta Varya.

Budynek przypomina ich własną kamienicę – z tą różnicą, że ściany są kremowobiałe, a nie brązowe, i ma cztery piętra zamiast sześciu.

– Chyba trzeba zadzwonić domofonem – stwierdza Daniel. – Na czwarte piętro.

– Tak – zgadza się Klara. – Ale pod który numer?

Daniel wyciąga z tylnej kieszeni spodni pognieciony świstek. Kiedy podnosi głowę, policzki mu różowieją.

– Nie jestem pewien.

– Daniel! – Varya opiera się o ścianę budynku i wachluje się dłonią. Jest ponad trzydzieści stopni – przy takim upale głowa swędzi ją od potu u nasady włosów, a spódniczka lepi się do ud.

– Czekaj – uspokaja ją Daniel. – Daj mi się chwilę zastanowić.

Simon siada na asfalcie; sakiewka osiada miękko na ziemi między jego nogami jak meduza. Klara wyciąga z kieszeni karmelka. Zanim zdąży odwinąć papierek, drzwi do budynku się otwierają, a ze środka wychodzi młody mężczyzna. Ma na sobie rozpiętą koszulę w turecki wzór, a na nosie okulary z fioletowymi szkłami.

Kiwa głową w stronę rodzeństwa Goldów.

– Wchodzicie?

– Tak – potwierdza Daniel. – Wchodzimy.

Prędko zrywa się na nogi, pociągając za sobą resztę, i wbiega do środka, dziękując mężczyźnie w fioletowych okularach, zanim drzwi znowu się zamkną. Daniel: ich nieustraszony, na wpół niewydarzony przywódca, pomysłodawca całej eskapady.

* * *

W zeszłym tygodniu Daniel podsłuchał rozmowę dwóch chłopców, kiedy stał w kolejce po koszerną chińszczyznę u Szmulka Bernsteina. Zamierzał kupić sobie ciepłą tarteletkę z kremem jajecznym – ulubiony przysmak, którym zajadał się nawet podczas letnich upałów. Kolejka była długa, a wiatraki pod sufitem wirowały na pełnej prędkości, więc Daniel musiał wychylić się do przodu, żeby usłyszeć, co chłopcy mówią o kobiecie, która wprowadziła się na jakiś czas na ostatnie piętro kamienicy przy Hester Street.

Kiedy Daniel wracał na Clinton Street, serce dygotało mu w piersi. Klara i Simon grali na podłodze w drabiny i węże, a Varya leżała na górze

piętrowego łóżka i czytała książkę. Czarno-biała kotka Zoya wylegiwała się na kaloryferze w złotym kwadracie słonecznego światła.

Daniel wyłożył im cały plan.

– Nie rozumiem. – Varya wyciągnęła nogę i oparła brudną stopę o sufit. – Co dokładnie robi ta kobieta?

– Przecież już mówiłem. – Daniel był zaaferowany, niecierpliwy. – Ona ma moc.

– Jaką moc? – zapytała Klara, przesuwając pionek. Pierwszą połowę lata spędziła na nauce sztuczki Houdiniego z talią kart i gumką, z umiarkowanym sukcesem.

– Z tego, co słyszałem, potrafi przepowiadać przyszłość. Jakie będziesz mieć życie, dobre czy złe. I jeszcze coś. – Daniel rozłożył ręce, oparł dłonie o framugę i wychylił się do przodu. – Ona potrafi przewidzieć, kiedy umrzesz.

Klara podniosła głowę.

– Bzdura – oceniła Varya. – Nikt nie może tego wiedzieć.

– A co, jeśli ona jednak wie?

– To ja bym wolała nie pytać.

– Dlaczego?

– Bo tak. – Varya odłożyła książkę i usiadła, przerzucając nogi przez krawędź łóżka. – A jeśli usłyszysz coś okropnego? Na przykład okaże się, że umrzesz, zanim zdążysz dorosnąć?

– To lepiej wiedzieć – upierał się Daniel. – Żeby ze wszystkim zdążyć.

Na chwilę zapadła cisza. A potem Simon wybuchnął perlistym śmiechem, trzepocząc całym swoim ptasim ciałkiem. Twarz Daniela poczerwieniała.

– Mówię poważnie – oznajmił. – Ja idę. Nie wytrzymam kolejnego dnia w tym mieszkaniu. Odmawiam. Więc kto pójdzie ze mną, do cholery?

Możliwe, że nic by się nie wydarzyło, gdyby nie to, że lato było u szczytu, a rodzeństwo miało przed sobą jeszcze półtora miesiąca dusznej, wilgotnej nudy. W mieszkaniu nie ma klimatyzacji, a poza tym jest 1969 rok i dzieciom wydaje się, że każdy poza nimi robi coś ciekawego. Ludzie nawalają się na Woodstock, śpiewają *Pinball Wizard* i chodzą do kina na *Nocnego kowboja*, którego żadnemu z rodzeństwa Goldów nie wolno oglądać. Wszyscy chodzą na zamieszki przed Stonewall, wybijają drzwi parkometrami wyrwanymi z chodników, rozwalają okna i maszyny grające. Są mordowani na najpotworniejsze sposoby: giną od granatów chemicznych i nabojów z karabinów, które strzelają seriami po pięćset pięćdziesiąt pocisków, a ich twarze są wstrząsająco bezzwłocznie wyświetlane na ekranie telewizora w kuchni Goldów.

– Ludzie zapierdalają na Księżyc – zachwyca się Daniel, który od niedawna używa takiego słownictwa, choć wyłącznie w bezpiecznej odległości od uszu matki.

James Earl Ray zostaje skazany za zabójstwo, podobnie jak Sirhan Sirhan, podczas gdy Goldowie grają w strulki i w rzutki, albo ratują Zoyę z otwartej rury za piekarnikiem, gdzie kotka regularnie włazi w świętym przekonaniu, że właśnie tam znajduje się jej prawowite mieszkanie.

Ale warunki potrzebne do zainicjowania ich dzisiejszej pielgrzymki stworzyło coś jeszcze: rodzeństwo Goldów już nigdy nie będzie ze sobą tak scalone jak tego lata. W przyszłym roku Varya wyjedzie z przyjaciółką Avivą na wakacje w góry Catskill. Daniela pochłoną sekretne rytuały chłopców z sąsiedztwa, a Klara i Simon zostaną tylko we dwójkę. Ale w sześćdziesiątym dziewiątym cała czwórka stanowi zwartą całość, jakby żadna inna konfiguracja w ogóle nie była możliwa.

– Ja pójdę – zdecydowała Klara.

– Ja też – dodał Simon.

– A jak mamy umówić się na wizytę? – zapytała Varya, która w wieku trzynastu lat już rozumiała, że w życiu nie ma nic za darmo. – Ile bierze od osoby?

Daniel zmarszczył czoło.

– Dowiem się – oznajmił.

* * *

Od tego wszystko się zaczęło: to był ich sekret, wyzwanie, wyjście ewakuacyjne, którym mogli wymknąć się przed złowrogim cieniem matki – żądającej, by wywiesili pranie albo wyciągnęli tego przeklętego kota z rury od pieca, kiedy tylko zauważała, że dzieci przesiadują bezczynnie w sypialni.

Rozpytywali po okolicy. Właściciel sklepu z magicznymi przedmiotami w Chinatown słyszał o kobiecie z Hester Street. Zdradził Klarze, że to nomadka, która podróżuje po całym kraju i zabiera swoją pracę z miejsca na miejsce. Zanim Klara wyszła ze sklepu, sprzedawca uniósł palec, zniknął między regałami na tyłach, a po chwili wrócił z wielkim kwadratowym tomiszczem zatytułowanym *Księga wróżb*. Na okładce było dwanaścioro otwartych oczu w otoczeniu różnych symboli. Klara zapłaciła sześćdziesiąt pięć centów i ruszyła do domu, całą drogę mocno przyciskając książkę do piersi.

Niektórzy mieszkańcy spod numeru 72 przy Clinton Street też słyszeli o kobiecie. Pani Blumenstein opowiedziała Simonowi, jak w latach pięćdziesiątych spotkała ją na bardzo eleganckim przyjęciu. Simon siedział na schodkach przed wejściem na klatkę. Pani Blumenstein na czas rozmowy wypuściła z mieszkania swojego sznaucerka, który natychmiast zrobił na schodkach kupę przypominającą mysie bobki, ale sąsiadka jej nie sprzątnęła.

– Wróżyła mi z dłoni. Przepowiedziała mi bardzo długie życie – zdradziła pani Blumenstein, nachylając się nad chłopcem dla podkreślenia wagi swoich słów.

Simon wstrzymał oddech; z ust starszej pani wionęło stęchlizną, jakby tchnęła tym samym dziewięćdziesięcioletnim powietrzem, które wciągnęła w płuca jako niemowlę.

– I widzisz, skarbeńku, miała rację.

Rodzina Hindusów z piątego piętra mówiła na kobietę *rishika*, czyli wieszczka. Varya zapakowała w folię kawałek kugla, który zrobiła na obiad Gertie, i zaniosła jedzenie do Ruby Singh – koleżanki z klasy z podstawówki numer 42 – w zamian za talerz curry z kurczaka w maśle. Jadły na dworze, siedząc na półpiętrze schodów pożarowych. Słońce opadało powoli za horyzont, a dziewczynki machały gołymi nogami zwisającymi za krawędź metalowej kraty.

Ruby wiedziała o kobiecie wszystko.

– Dwa lata temu, kiedy miałam jedenaście lat, moja babcia była chora. Pierwszy lekarz powiedział, że to serce i że babcia umrze za trzy miesiące. Ale drugi uważał, że babcia ma dość siły, żeby wrócić do zdrowia, i że pożyje jeszcze dwa lata.

Pod nimi przez Rivington przejechała z piskiem opon taksówka. Ruby odwróciła głowę, zmrużyła oczy i popatrzyła naEast River, zielono-brązową od błota i ścieków.

– Hindusi powinni umierać w domu – wyjaśniła Ruby. – W otoczeniu rodziny. Nawet krewni papy chcieli przyjechać z Indii, ale co mielibyśmy im powiedzieć? Zostańcie u nas dwa lata? Ale potem papa usłyszał, że tu niedaleko mieszka *rishika*. Poszedł się z nią spotkać, a ona podała mu datę – kiedy umrze nasza *dadi*. Więc położyliśmy łóżko *dadi* w salonie, tak żeby leżała głową na wschód. Zapaliliśmy lampę i czuwaliśmy: modliliśmy się,

śpiewaliśmy pieśni. Bracia papy przylecieli z Czandigarh. Ja siedziałam na podłodze z kuzynami. Było nas dwadzieścia osób, może więcej. A kiedy *dadi* umarła, szesnastego maja, tak jak przepowiedziała *rishika*, to wszyscy aż się rozpłakaliśmy z ulgi.

– Nie byliście źli?

– A dlaczego mielibyśmy się złościć?

– Że ta kobieta nie pomogła twojej babci. Nie wyleczyła jej.

– *Rishika* dała nam szansę, żeby się pożegnać. Nigdy jej się za to nie odwdzięczymy. – Ruby przełknęła ostatni kęs kugla i złożyła folię aluminiową na pół. – Poza tym *rishika* i tak nie mogłaby pomóc *dadi*. Ona wie różne rzeczy, ale nie może ich powstrzymać. Nie jest Bogiem.

– A gdzie teraz mieszka? – zapytała Varya. – Daniel słyszał, że gdzieś na Hester Street, ale nie wiadomo, pod którym numerem.

– Nie mam pojęcia. Za każdym razem zatrzymuje się gdzie indziej. Dla własnego bezpieczeństwa.

Z mieszkania Singhów dobiegł wysoki brzęk i czyjś krzyk w hindi.

Ruby wstała, strzepując ze spódniczki okruchy jedzenia.

– Jak to: dla własnego bezpieczeństwa? – drążyła Varya, też podnosząc się na nogi.

– Kimś takim jak ona ludzie zawsze się zainteresują – odparła Ruby. – Nie wiadomo, czego się można po niej spodziewać.

– Rubina! – rozległ się głos jej matki.

– Muszę lecieć. – Ruby przeskoczyła przez parapet i opuściła za sobą szybę. Varya musiała zejść z trzeciego piętra po schodach pożarowych. Zaskoczyło ją, że wieści o kobiecie rozniosły się tak daleko. Ale nie wszyscy o niej słyszeli: kiedy napomknęła o wróżce sprzedawcom u Katza – mężczyznom z cyframi wytatuowanymi na przedramionach – tylko popatrzyli na nią z przerażeniem.

– Dzieciaki – uciął jeden. – Po co wam się mieszać w takie rzeczy?

Powiedział to tak ostro, jakby uznał pytanie Varyi za osobistą obelgę.

Wyszła ze sklepu zaczerwieniona, ściskając w dłoniach kanapkę, i nie poruszała więcej tego tematu.

* * *

Ostatecznie Daniel zdobył adres kobiety od tych samych chłopców, których podsłuchał w kolejce. Zobaczył ich w weekend na moście Williamsburg. Stali oparci o barierkę i palili trawkę. Byli od niego starsi – mieli może czternaście lat – a w dodatku, żeby poprosić o szczegóły, Daniel musiał najpierw przyznać się do podsłuchiwania.

Chłopcy się nie obrazili. Chętnie podali mu numer, pod którym miała mieszkać kobieta, choć nie wiedzieli, jak można umówić się na wizytę. Plotki głosiły, że trzeba przynieść opłatę. Niektórzy twierdzili, że należność należy uiścić w gotówce; inni mówili, że wróżka ma dość pieniędzy, więc trzeba jej zaproponować coś bardziej oryginalnego. Jakiś chłopiec przyniósł jej ponoć zakrwawioną wiewiórkę znalezioną na poboczu – podniósł truchełko szczypcami i zapakował do foliowej torebki, którą następnie mocno zawiązał. Ale Varya oznajmiła stanowczo, że nikt nie chciałby dostać czegoś takiego, nawet wróżka, więc ostatecznie zrobili składkę z kieszonkowego. Mieli nadzieję, że to wystarczy.

Kiedy Klary nie było w domu, Varya wyciągnęła spod łóżka siostry *Księgę wróżb* i wdrapała się na swój materac. Położyła się na brzuchu i zaczęła odczytywać na głos różne słowa: *haruspicja* (wróżenie z wątroby zwierząt ofiarnych), *ceromancja* (z lanego wosku), *rabdomancja* (za pomocą drewnianych różdżek). W chłodniejsze dni przez okno wpadał wiatr. Szeleścił starymi zdjęciami i drzewami genealogicznymi, które Varya przykleiła na ścianie nad swoim posłaniem. Za pomocą tych dokumentów

Varya śledzi tajemnicze ścieżki procesów dziedziczenia: układy genów migoczą tu i ówdzie, w różnych konfiguracjach. Daniel odziedziczył smukłe nogi dziadka Lwa, ale Saul nie miał tyle szczęścia.

Lew przyjechał do Nowego Jorku na parostatku razem z ojcem – handlarzem tkaninami – po tym jak jego matka została zamordowana w pogromach w 1905 roku. Na Ellis Island obaj zostali przebadani na obecność chorób zakaźnych i przesłuchani po angielsku. Wpatrywali się w pięść żelaznej kobiety, obserwującej ich niewzruszenie z brzegu morza, które właśnie przemierzyli. Ojciec zajął się naprawą maszyn do szycia. Lew znalazł pracę w fabryce odzieży, prowadzonej przez niemieckiego Żyda, który pozwalał chłopcu obchodzić szabat. Lew został z czasem zastępcą kierownika, a następnie kierownikiem. W trzydziestym roku otworzył własny interes: Zakład Modniarski Golda w suterenie przy Hester Street.

Varya otrzymała imię po matce Saula, która pracowała jako księgowa Lwa aż do emerytury. O dziadkach od strony matki wie mniej – tylko tyle, że babcia miała na imię Klara, tak jak młodsza z sióstr, i że przyjechała tu z Węgier w 1913. Ale babcia umarła, kiedy Gertie, matka Varyi, miała zaledwie sześć lat. Gertie rzadko ją wspomina. Pewnego razu Klara i Varya wślizgnęły się do sypialni Gertie i przeczesały cały pokój w poszukiwaniu pamiątek po dziadkach. Dziewczynki niczym myśliwskie psy wywęszyły obłok tajemnicy otaczający tę parę, wyczuły zwietrzałą woń intrygi i wstydu – i szukały tak długo, aż w końcu dotarły do komody, w której Gertie trzyma bieliznę. W górnej szufladzie znalazły małe drewniane puzderko z lakierowanym wieczkiem i złotymi zawiasami. W środku leżał stosik pożółkłych fotografii, przedstawiających drobną kobietę o filuternym uśmiechu, krótkich czarnych włosach i ciężkich powiekach. Na pierwszym zdjęciu stała w obcisłym kostiumie ze spódniczką, z wysuniętym na bok biodrem, a nad głową trzymała laseczkę do żonglerki. Na innym jechała na

koniu, tak wygięta do tyłu, że aż było jej widać brzuch. Na fotografii, która Varyi i Klarze spodobała się najbardziej, kobieta zwisała z liny trzymanej w zębach.

Znalazły dwie wskazówki na dowód, że ta kobieta to ich babcia. Pierwsza: na pogniecionym starym zdjęciu, zatłuszczonym od odcisków palców, ta sama kobieta stała obok wysokiego mężczyzny i małego dziecka. Varya i Klara wiedziały, że dziewczynka na fotografii to ich matka, rozpoznały ją nawet w tej miniaturowej wersji. Ściskała dłonie rodziców w małych, pulchnych piąstkach, a buzię miała ściśniętą w wyrazie konsternacji, która nadal często gości na twarzy Gertie.

Klara oznajmiła, że to jej się należy szkatułka wraz z zawartością.

– To moje – powiedziała. – Mam po niej imię. Mama i tak nigdy ich nie ogląda.

Prędko okazało się jednak, że to nieprawda. Już następnego ranka po tym, jak Klara zabrała lakierowane puzderko do swojego pokoju i wetknęła pod materac, z sypialni rodziców dobiegł głośny skrzek, po którym posypała się seria wściekłych pytań Gertie i stłumione protesty Saula. Chwilę później Gertie wpadła jak burza do pokoju dzieci.

– Które wzięło?! – wrzasnęła. – Które?

Nozdrza miała rozdęte, szerokimi biodrami zupełnie odcięła światło wpadające zwykle z korytarza. Klara zapłonęła z przerażenia, łzy napłynęły jej do oczu. Kiedy Saul wyszedł do pracy, a Gertie zniknęła w kuchni, Klara przemknęła się do sypialni rodziców i odłożyła pudełko dokładnie tam, gdzie je znalazła. Ale Varya wie, że kiedy w mieszkaniu nikogo nie ma, Klara wraca do fotografii i do drobnej kobiety w puzderku. Z fascynacją chłonie świeżość i szyk kobiety, przysięgając w duchu, że dorówna swojej imienniczce.

* * *

– Nie rozglądajcie się tak – syczy Daniel. – Zachowujcie się, jakbyście byli u siebie.

Rodzeństwo Goldów pędzi po schodach. Ze ścian łuszczą się płaty beżowej farby, na korytarzach panuje mrok. Kiedy docierają na czwarte piętro, Daniel się zatrzymuje.

– I co teraz? – szepcze Varya. Lubi, kiedy Daniel jest zbity z tropu.

– Teraz czekamy – mówi Daniel – aż ktoś wyjdzie.

Ale Varya nie chce czekać. Jest roztrzęsiona, niespodziewanie wypełnia ją przerażenie. Rusza wzdłuż korytarza.

Sądziła, że magia będzie jakoś wyczuwalna, ale wszystkie drzwi na piętrze wyglądają identycznie, mają takie same odrapane mosiężne klamki i tabliczki z oznaczeniem mieszkań. Czwórka pod numerem 54 obsunęła się na bok. Kiedy Varya podchodzi do drzwi, słyszy dobiegający ze środka dźwięk telewizora albo radia: mecz bejsbola. Odsuwa się, bo nie sądzi, żeby *rishika* interesowała się bejsbolem.

Jej rodzeństwo zdążyło w tym czasie rozpierzchnąć się po korytarzu. Daniel wkłada ręce do kieszeni, opiera się o poręcz schodów i obserwuje drzwi. Simon staje obok Varyi przed numerem 54, wyciąga się do góry najwyżej, jak może, i palcem wskazującym popycha czwórkę na drzwiach z powrotem do pionu. Klara przez chwilę wędrowała w przeciwną stronę, ale teraz wraca do reszty. Roznosi wokół siebie zapach Breck Gold Formula, kupionego za odkładane tygodniami kieszonkowe; reszta rodziny myje włosy szamponem Prell w plastikowej tubce, która przypomina opakowanie pasty do zębów. Kiedy ją nacisnąć, ze środka wydobywa się galaretowata substancja o barwie wodorostów. Wprawdzie Varya prycha pogardliwie na tę ekstrawagancję – ona nigdy nie wydałaby tyle pieniędzy na szampon – ale po cichu zazdrości pachnącej pomarańczami i rozmarynem Klarze, która teraz unosi dłoń, żeby zapukać do drzwi.

– Co ty wyprawiasz? – syczy Daniel. – Tam może być ktokolwiek. Może…

– Co? – Zza drzwi dobiega niski, burkliwy głos.

– Przyszliśmy spotkać się z tą kobietą – próbuje Klara.

Cisza. Varya wstrzymuje oddech. W drzwiach jest wizjer – węższy niż gumka na ołówku.

Po drugiej stronie ktoś odkasłuje.

– Pojedynczo – mówi.

Varya zerka na Daniela. Nie sądzili, że będą musieli się rozdzielić. Ale nie ma czasu na negocjacje, bo już rozlega się szczęk odsuwanej zasuwki, a Klara – czy ona oszalała? – wchodzi do środka.

* * *

Żadne z rodzeństwa nie potrafi ocenić, ile czasu minęło, odkąd Klara zniknęła w mieszkaniu. Varya ma wrażenie, że upłynęły godziny. Siedzi oparta o ścianę, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Przypominają jej się różne bajki o czarownicach, które porywają dzieci i je pożerają. Przerażenie rozgałęzia się jej w żołądku niczym drzewo, zapuszcza korzenie coraz głębiej, aż wreszcie drzwi znów się otwierają.

Varya podrywa się na nogi, ale Daniel jest szybszy. Nie da się zajrzeć do środka, choć Varyi wydaje się, że słyszy muzykę – orkiestra mariachi? – i brzęk garnka na palniku.

Przed wejściem Daniel patrzy na Varyę i Simona.

– Nie martwcie się – mówi.

Ale oni i tak się martwią.

– Gdzie jest Klara? – pyta Simon, kiedy Daniel znika w środku. – Dlaczego nie wyszła?

– Jest dalej w środku – zapewnia Varya, chociaż ona sama też się nad tym zastanawia. – Zobaczysz ich, kiedy wejdziemy, Klarę i Daniela. Pewnie po prostu… czekają na nas.

– To był zły pomysł – ocenia Simon. Jego blond loki są ciemne od potu.

Ponieważ Varya jest najstarsza, a Simon najmłodszy, dziewczynka uważa, że powinna umieć się nim zaopiekować po macierzyńsku, ale brat jest dla niej enigmą. Tylko Klara wydaje się go rozumieć. Simon mówi mniej od pozostałych. Przy obiedzie zwykle siedzi ze zmarszczonym czołem i szklistymi oczami. Ale jest też prędki i ruchliwy jak królik. Czasami, kiedy Varya idzie z Simonem do synagogi, nagle zauważa, że jest sama. Wie, że Simon tylko odbiegł kawałek do przodu albo został kilka kroków w tyle, ale za każdym razem ma wrażenie, że jej brat zniknął na dobre.

Kiedy drzwi się otwierają, znów zaledwie na centymetr, Varya kładzie dłoń na ramieniu Simona.

– Wszystko w porządku, Si. Ty idź, a ja tu zostanę i popilnuję korytarza. Dobrze?

Nie jest pewna, po co ani przed kim miałaby pilnować wejścia – w budynku jest tak samo pusto jak wtedy, kiedy tu przyszli. Tak naprawdę Varya trochę się obawia; wprawdzie jest najstarsza, ale woli puścić resztę przodem. Simon jednak wygląda, jakby jej słowa dodały mu otuchy. Odgarnia kosmyk włosów z oczu i zostawia siostrę na klatce schodowej.

* * *

Kiedy Varya zostaje na korytarzu sama, znów wzbiera w niej popłoch. Czuje się odcięta od rodzeństwa, jakby stała na brzegu i patrzyła, jak ich statki odpływają w dal. Trzeba było powstrzymać całą tę wyprawę. Kiedy drzwi znów się otwierają, pot już perli się na jej górnej wardze i oblepia

skórę pod gumką spódniczki. Za późno, żeby odejść tą samą drogą, którą tu przyszła – a poza tym rodzeństwo na nią czeka. Varya otwiera drzwi.

Wchodzi do maleńkiej kawalerki, zawalonej tyloma przedmiotami, że w pierwszej chwili w ogóle nie widać kobiety. Książki piętrzą się na podłodze niczym modele wieżowców. Na kuchennych półkach zamiast jedzenia zalegają stosy gazet, a na blacie tłoczą się produkty z długą przydatnością do spożycia: krakersy, płatki, zupy w puszkach, z dziesięć rodzajów herbaty w jaskrawych opakowaniach. Varya dostrzega też talie kart do gry i do tarota, astrologiczne wykresy i kalendarze – rozpoznaje chiński, jeden z rzymskimi cyfra4mi i taki z fazami księżyca. Na ścianie wisi pożółkły plakat I Ching z heksagramami, które Varya widziała w *Księdze wróżb* Klary. Wazon wypełniony piaskiem; gongi i miedziane misy; wieniec laurowy; stosik gałązek z poziomymi nacięciami; misa z kamieniami – niektóre zostały obwiązane długimi kawałkami sznurka.

Tylko jeden kąt przy drzwiach nie jest zagracony. Stoi tam składany stół i dwa krzesełka, też składane. Obok Varya widzi mniejszy stolik, na którym leżą czerwone róże z materiału i otwarta Biblia. Wokół Pisma Świętego stoją dwa białe gipsowe słonie, gromnica, drewniany krzyż i trzy figurki: jedna przedstawia Buddę, druga Matkę Boską, a trzecia Nefretete – Varya wie to tylko dlatego, że u stóp posążku znajduje się malutka tabliczka z ręcznie wykaligrafowanym napisem NEFRETETE.

Varyę gryzie sumienie. W szkółce żydowskiej ostrzegali ją przed fałszywymi bożkami. W skupieniu słuchała, jak rabin Chaim czyta traktat Awoda Zara. Rodzice nie byliby zadowoleni, że tu przyszła. Ale przecież to Bóg stworzył wróżkę, tak samo jak ich, prawda? W synagodze Varya próbuje się modlić, ale Bóg nigdy jej nie odpowiada. Z *rishiką* przynajmniej można porozmawiać.

Kobieta stoi przy zlewie i ostrożnie strząsa suche liście herbaty do delikatnej metalowej kulki. Ma na sobie luźną bawełnianą sukienkę, skórzane sandały, a na głowie granatowy szal. Dwa długie brązowe warkocze spływają jej na plecy. Wprawdzie kobieta jest potężna, ale porusza się z precyzyjną elegancją.

– Gdzie moi bracia i siostra? – pyta Varya ochryple. Wstydzi się desperacji, którą słyszy we własnym głosie.

Rolety są zaciągnięte. Kobieta zdejmuje z górnej półki kubek i wkłada do niego metalową kulkę.

– Chcę wiedzieć – powtarza Varya, tym razem głośniej – gdzie są moi bracia i siostra.

Na kuchence gwiżdże czajnik. Kobieta gasi palnik i unosi czajnik nad kubkiem. Wrzątek leje się szerokim, czystym strumieniem, a pomieszczenie wypełnia trawiasty zapach.

– Na zewnątrz – mówi.

– Nieprawda. Czekałam na korytarzu, ale oni nie wyszli.

Kobieta podchodzi do Varyi. Policzki ma pulchne, nos bulwiasty, wargi ściągnięte. Jej skóra jest złotobrązowa jak u Ruby Singh.

– Nic nie mogę zrobić, jeśli mi nie zaufasz. Zdejmij buty. Potem możesz usiąść.

Varya pokornie zsuwa półbuciki i stawia je przy drzwiach. Może kobieta ma rację. Jeśli Varya odmówi współpracy, cała wyprawa będzie na darmo, i na nic całe ryzyko: badawcze spojrzenie ojca, rozjątrzenie matki, kieszonkowe całej czwórki. Dziewczynka siada przy składanym stole. Kobieta stawia przed nią kubek z herbatą. Varya myśli o tynkturach i truciznach, o Ripie Van Winkle uśpionym przez duchy na dwadzieścia lat. A potem o Ruby. Ta kobieta wie różne rzeczy, powiedziała Ruby. Nigdy nie zdołamy jej się odwdzięczyć.

Varya unosi kubek do ust i bierze łyk naparu.

Rishika siada na krześle naprzeciwko. Przygląda się sztywnym ramionom Varyi, wilgotnym dłoniom i twarzy.

– Nie czujesz się zbyt dobrze, co, złotko?

Zaskoczona Varya przełyka ślinę. Potrząsa głową.

– Czekasz, aż zrobi ci się lepiej?

Varya siedzi nieruchomo, choć serce bije jej coraz szybciej.

– Zamartwiasz się. – Kobieta kiwa głową. – Masz problemy. Na zewnątrz się uśmiechasz, śmiejesz się, ale w sercu masz smutek. Jesteś sama. Mam rację?

Wargi dziewczynki drżą w niemym potwierdzeniu. Serce tak nabrzmiewa jej uczuciem, jakby zaraz miało pęknąć.

– Szkoda – mówi kobieta. – No, ale do rzeczy.

Pstryka palcami i wskazuje na lewą dłoń Varyi.

– Ręka.

Varya posłusznie zsuwa się na krawędź krzesła i wyciąga rękę w stronę wróżki. Dłonie kobiety są zręczne i chłodne. Varya oddycha płytko. Nie pamięta, kiedy ostatni raz dotknęła kogoś nieznajomego; woli kryć się pod powłoką dystansu, jakby przed ludźmi chronił ją płaszcz przeciwdeszczowy. Po powrocie ze szkoły, gdzie ławki są tłuste od dotyku dziesiątek rąk, a plac zabaw pełen zarazków naniesionych przez przedszkolaki, Varya szoruje dłonie do czerwoności.

– Naprawdę pani to potrafi? – pyta. – Wie pani, kiedy umrę?

Varyę przeraża kapryśność losu; niepozorne tabletki, które mogą otworzyć umysł albo wywrócić go na lewą stronę; losowo wybrani ludzie, których wysłano do zatoki Cam Ranh i na górę Dong Ap Bia, gdzie w bambusowych zaroślach i krzakach rozplenicy znaleziono tysiąc martwych żołnierzy. Varya miała w klasie kolegę, który nazywał się Eugene

Bogopolski. Jego trzech braci wysłano do Wietnamu, kiedy Varya i Eugene mieli zaledwie dziewięć lat. Wszyscy trzej wrócili cali i zdrowi, a Bogopolscy wyprawili z tej okazji przyjęcie w swoim mieszkaniu przy Broome Street. Rok później Eugene skoczył na główkę do basenu, uderzył głową o betonowe dno i umarł. Data śmierci to rzecz ważna, uznaje Varya – może nawet najważniejsza rzecz, o której warto byłoby wiedzieć na pewno.

Kobieta patrzy na Varyę. Jej oczy są jak dwie świetliste czarne kulki.

– Mogę ci pomóc – mówi. – Mogę zrobić dla ciebie coś dobrego.

Przenosi wzrok na dłoń Varyi. Najpierw przygląda się jej ogólnym kształtom, potem kwadratowym, tępo zakończonym palcom. Łagodnie odciąga kciuk dziewczynki w tył; staw nie wygina się zbyt daleko, opiera się presji. Następnie kobieta analizuje przestrzeń między czwartym a piątym palcem. Ściska koniuszek małego palca Varyi.

– Czego pani tam szuka?

– Twojego charakteru. Słyszałaś kiedyś o Heraklicie?

Varya potrząsa głową.

– To taki grecki filozof – wyjaśnia wróżka. – Charakter człowieka jest jego przeznaczeniem, tak mówił. Jedno idzie z drugim ręka w rękę, jak brat i siostra. Chcesz znać swoją przyszłość? – Kobieta wskazuje na Varyę wolną dłonią. – To popatrz w lustro.

– A jeśli się zmienię? – Varyi wydaje się niemożliwe, że przyszłość już gdzieś tam siedzi i czeka, schowana w jej wnętrzu jak aktorka za kulisami, czekająca całe dekady, aż będzie mogła wejść na scenę.

– To będziesz wyjątkiem. Bo większość ludzi się nie zmienia.

Rishika odwraca dłoń Varyi wierzchem do góry i odkłada ją na stół.

– Dwudziesty pierwszy stycznia dwa tysiące czterdziestego czwartego roku. – Głos ma obojętny, jakby mówiła o temperaturze na zewnątrz albo

o wyniku meczu. – Masz mnóstwo czasu.

Na chwilę serce Varyi wyrywa się i unosi do góry. W 2044 roku będzie miała osiemdziesiąt osiem lat. Całkiem dobry wiek, żeby umrzeć. Ale niemal natychmiast dziewczynka spogląda na wróżkę.

– Skąd pani wie?

– Co ja ci mówiłam o zaufaniu? – *Rishika* unosi gąsienicowatą brew i marszczy czoło. – No, a teraz idź do domu i pomyśl nad tym, o czym rozmawiałyśmy. Jeśli to zrobisz, poczujesz się lepiej. Ale nie mów nikomu, dobrze? To, co widać w dłoni, co ci powiedziałam, powinno zostać między nami.

Kobieta wpatruje się w Varyę, a dziewczynka odwzajemnia jej spojrzenie. Teraz, kiedy Varya ocenia, zamiast być ocenianą, dzieje się coś dziwnego. Blask w oczach wróżki gaśnie, jej ruchy tracą gracje. Ta przepowiednia jest zbyt dobra i staje się przez to dowodem na oszustwo kobiety; pewnie każdemu mówi to samo. Varya myśli o czarnoksiężniku z Krainy Oz. Podobnie jak on, kobieta nie jest żadną wróżką, żadną wieszczką. Zwykła kanciara, hochsztaplerka. Varya wstaje.

– Mój brat miał pani zapłacić – mówi, wkładając znów buty.

Kobieta też podnosi się z miejsca. Podchodzi do innych drzwi – Varya sądziła, że prowadzą do szafy, z klamki zwisa stanik z miskami tak głębokimi jak siatka, w którą Varya latem łapie motyle. Kobieta uchyla drzwi, a Varya dostrzega pas czerwonej cegły, fragment wyjścia ewakuacyjnego. Kiedy słyszy głosy rodzeństwa dobiegające z dołu, serce pęcznieje jej od ulgi.

Ale wróżka blokuje jej drogę. Chwyta Varyę za ramię w mocny uścisk.

– Wszystko ci się ułoży, skarbie. – W jej głosie pobrzmiewa złowrogi ton, jakby to było bardzo ważne, żeby Varya jej wysłuchała, żeby uwierzyła. – Wszystko będzie dobrze.

Skóra Varyi bieleje między palcami kobiety.

– Proszę mnie puścić.

Sama jest zaskoczona chłodem w swoim głosie. Twarz kobiety zmienia wyraz, jakby ktoś zaciągnął gwałtownie zasłony. Wypuszcza rękę Varyi i odsuwa się na bok.

* * *

Varya zbiega ze schodów, szczękających pod podeszwami jej butów. Łagodny wiatr gładzi jej ramiona i miękkie, jasnobrązowe włoski, które zaczynają już rosnąć jej na nogach. Kiedy dociera na ulicę, widzi, że policzki Klary są poznaczone ścieżkami łez, a nos zaczerwieniony.

– Co się stało?

Klara odwraca się nerwowo.

– A jak myślisz?

– Och, chyba nie wierzycie naprawdę… – Varya patrzy na Daniela, szukając wsparcia, ale on ma twarz jak z marmuru. – Nieważne, co ci powiedziała, to nic nie znaczy. Wszystko sobie zmyśliła. Prawda, Daniel?

– Prawda. – Daniel się odwraca i rusza w stronę ulicy. – Idziemy.

Klara ciągnie Simona za ramię. Chłopiec nadal ściska w dłoni sakiewkę, tak samo pełną jak wtedy, kiedy tu przyszli.

– Miałeś jej zapłacić – mówi Varya.

– Zapomniałem.

– Nie zasłużyła na nasze pieniądze. – Daniel stoi na chodniku z dłońmi na biodrach. – Chodźcie!

Droga do domu upływa im w milczeniu. Varya jeszcze nigdy nie czuła się tak odcięta od innych. Przy kolacji dłubie w zapiekance. Simon w ogóle nie rusza jedzenia.

– Coś nie tak, kochanie? – pyta Gertie.

– Nie jestem głodny.

– Dlaczego?

Simon wzrusza ramionami. W świetle kuchennej żarówki jego blond loki wydają się zupełnie białe.

– Matka zrobiła kolację, jedz – nakazuje Saul.

Ale Simon odmawia. Siada sobie na dłoniach.

– O co chodzi? – gdacze Gertie, unosząc brew. – Nie dość dobre dla panicza?

– Dajcie mu spokój. – Klara wyciąga rękę, żeby zmierzwić bratu włosy, ale Simon szarpie się do tyłu i odsuwa krzesło ze zgrzytem.

– Nienawidzę was! – krzyczy, zrywając się z miejsca. – Nienawidzę! Was! Wszystkich!

– Simon. – Saul też wstaje. Nadal ma na sobie garnitur, w którym chodzi do pracy. Włosy ma jaśniejsze niż Gertie, połyskujące niezwykłym odcieniem miedzianego blondu; zaczynają mu już rzednąć. – Nie wolno tak mówić do rodziny.

Jest drewniany w tej roli, niezgrabny. To żona zwykle wymusza dyscyplinę. Teraz jednak Gertie siedzi oniemiała, z rozchylonymi ustami.

– Ale ja tak mówię – odpowiada Simon. Na jego twarzy maluje się zdziwienie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Będziesz tańczyć, synek

1978–1982

Simon

1

Kiedy Saul umiera, Simon siedzi na lekcji fizyki i rysuje koncentryczne kółka, które mają przedstawiać powłoki atomu, ale dla Simona kompletnie nic nie znaczą. Przez dysleksję i skłonność do bujania w obłokach nigdy nie został dobrym uczniem. Przeznaczenie powłoki elektronowej – orbity elektronów wokół jądra atomu – kompletnie mu umyka. W tej samej chwili jego ojciec zgina się wpół na przejściu dla pieszych na Brome Street w drodze powrotnej z lunchu. Taksówka trąbi, hamuje gwałtownie; Saul opada na kolana; krew odpływa mu z serca. Jego śmierć nie jest dla Simona ani trochę bardziej zrozumiała niż transfer elektronów między atomami: jedno i drugie było i zniknęło.

Varya przyjeżdża z Vassar College, Daniel z Uniwersytetu Binghamton. Żadne nie rozumie, co się stało. Owszem, Saul był zestresowany, ale przecież najgorsze dla miasta chwile – kryzys finansowy, awaria zasilania – wreszcie minęły. Związki zawodowe ocaliły miasto od bankructwa, Nowy Jork znów staje na nogi. W szpitalu Varya pyta o ostatnie chwile ojca. Czy cierpiał? Tylko przez chwilę, zapewnia pielęgniarka. Mówił coś? Nikt nie słyszał, żeby się odzywał. To nie powinno zaskoczyć żony i dzieci Saula, przyzwyczajonych do małomówności ojca – a mimo to Simon czuje się oszukany, ograbiony z ostatecznego wspomnienia ojca, który w śmierci pozostał tak samo milczący jak za życia.

Ponieważ następnego dnia wypada szabat, pogrzeb odbywa się dopiero w niedzielę. Żałobnicy zbierają się w konserwatywnej synagodze Tiferet Israel, do której należał Saul i którą wspierał datkami. Przy wejściu rabin Chaim podaje każdemu z Goldów nożyczki na *krię*.

– Nie. Nie zrobię tego – protestuje Gertie, którą trzeba prowadzić po kolei przez każdy etap ceremonii, jak przez kontrolę celną na granicy kraju, którego nigdy nie zamierzała odwiedzać. Ma na sobie dopasowaną sukienkę, którą Saul uszył dla niej w 1962 roku: sztywna czarna bawełna, zebrana w talii, zapinana z przodu na guziki, z odczepianym paskiem. – Nie zmusicie mnie – dodaje, spoglądając na przemian na rabina i dzieci. Cała czwórka posłusznie rozcięła ubrania na sercu. Rabin tłumaczy, że on do niczego nie może jej zmusić, tylko Bóg, ale wygląda na to, że Bóg też tu nic nie wskóra. Ostatecznie rabin wręcza Gertie czarną wstążkę do rozcięcia zamiast sukienki, a ona w aurze bolesnego zwycięstwa zajmuje swoje miejsce w ławce.

Simon nigdy nie lubił przychodzić do synagogi. Z powodu szorstkich ścian z ciemnego kamienia i zatęchłego powietrza w dzieciństwie był pewien, że to miejsce jest nawiedzone. Nabożeństwa były jeszcze gorsze: ciągnące się w nieskończoność milczące modlitwy, gorące prośby o odnowę Syjonu. Teraz Simon stoi nad zamkniętą trumną, powietrze wkrada mu się pod koszulę przez rozcięcie na piersi, a on uświadamia sobie, że już nigdy nie zobaczy ojca. Przypomina sobie nieobecne spojrzenie Saula i powściągliwy, niemal kobiecy uśmiech. Rabin Chaim nazywa Saula dobroczyńcą znanym z siły ducha i niezłomnego serca, ale w oczach Simona ojciec był człowiekiem porządnym i statecznym, który za wszelką cenę unikał kłopotów i konfliktów. Saul był tak pozbawiony pasji, że jego małżeństwo z Gertie należałoby uznać za prawdziwy cud, bo

związku z tą ambitną i humorzastą kobietą nikt o zdrowych zmysłach nie uznałby za decyzję pragmatyczną.

Po nabożeństwie wychodzą za niosącymi trumnę na cmentarz Mount Hebron, gdzie leżą rodzice Saula. Obie dziewczynki płaczą – Varya po cichu, Klara głośnym szlochem wtóruje matce – a otumaniony Daniel trzyma fason wyłącznie z poczucia obowiązku.

Simon jednak nie jest w stanie płakać, nawet kiedy trumna zostaje spuszczona w głąb ziemi. Ma tylko poczucie, że coś stracił – nie ojca, którym Saul był, tylko człowieka, którym możliwe, że był. Przy obiedzie ojciec i najmłodszy syn siedzieli na przeciwnych krańcach stołu, każdy pogrążony we własnych myślach. Dopiero kiedy jeden z nich podnosił oczy i napotykał wzrok drugiego, przeskakiwała między nimi iskra – działo się to przypadkiem, ale jednak ich oddzielne światy łączyły się na chwilę niczym na zawiasie, dopóki któryś nie odwracał spojrzenia.

Teraz zawias zniknął. Owszem, Saul zawsze był nieobecny, ale pozwolił każdemu z rodziny Goldów objąć własną rolę: on sam był karmicielem rodziny, Gertie – generałową, Varya posłuszną najstarszą córką, a Simon tym najmłodszym, nieobciążonym żadnymi oczekiwaniami. Jeśli ciało ich ojca – ze zdrowym sercem i cholesterolem niższym niż u Gertie – tak po prostu się zatrzymało, to co jeszcze może pójść nie tak? Jakie jeszcze prawa wszechświata mogą ulec zakrzywieniu? Varya chowa się na swoim łóżku pod sufitem. Daniel ma dwadzieścia lat, ledwo zdążył stać się mężczyzną, ale teraz wita gości i przynosi jedzenie na stół, prowadzi modlitwy po hebrajsku. Klara, której kąt w sypialni jest zawsze w największym nieładzie, szoruje kuchnię aż do bólu ramion. A Simon zajmuje się Gertie.

To sprzeczne z ich zwykłym podziałem obowiązków, bo Gertie zawsze skakała wokół Simona bardziej niż przy pozostałych dzieciach. Kiedyś chciała być intelektualistką; leżała w Washington Square Park przy

fontannie, zaczytując się Kafką, Nietzschem, Proustem. Ale kiedy skończyła dziewiętnaście lat, poznała Saula, który po ukończeniu liceum zaczął pracować w firmie ojca, i już rok później była w ciąży. Wkrótce zrezygnowała ze studiów na Uniwersytecie Nowojorskim, choć miała stypendium, i wprowadziła się do mieszkania zaledwie kilka przecznic od Zakładu Modniarskiego Golda, który Saul miał odziedziczyć po ojcu, kiedy jego rodzice przejdą na emeryturę i zamieszkają na Kew Gardens Hills.

Niedługo później urodziła się Varya – wcześniej, niż Saul uważał za właściwe – a w dodatku, ku jego upokorzeniu, Gertie została recepcjonistką w kancelarii prawniczej. Wieczorami nadal była ich niezłomną głównodowodzącą. Ale rano wkładała sukienkę i malowała policzki różem z małego okrągłego pudełeczka, po czym zostawiała dzieci u pani Almendinger i wychodziła z kamienicy krokiem tak lekkim, jak to tylko było możliwe w jej sytuacji.

Ale po narodzinach Simona Gertie została w domu dziewięć miesięcy zamiast pięciu jak przy starszych dzieciach, a potem dziewięć zmieniło się w osiemnaście. Wszędzie go nosiła. Kiedy płakał, nie reagowała wzbierającą lawinowo frustracją, tylko tuliła go i śpiewała, jakby ogarniała ją nostalgia wobec tego zadania, którego dotąd nie znosiła – bo tym razem wiedziała, że już więcej się nie powtórzy. Wkrótce po przyjściu na świat Simona, kiedy Saul był w pracy, Gertie wybrała się do lekarza. Wróciła z małą szklaną fiolką wypełnioną pigułkami – na etykiecie było napisane *Enovid* – i ukryła ją w głębi szuflady z bielizną.

– Si-mon! – zawodzi teraz z łóżka, głęboko i przeciągle, jak syrena przeciwmgielna. – Podaj mi to – prosi na przykład i wskazuje na poduszkę leżącą tuż przed jej nogami. Albo oznajmia niskim, złowrogim tonem: – Mam odleżyny. Za dużo czasu już spędziłam w tym łóżku.

Wprawdzie Simona aż odrzuca w środku, ale posłusznie ogląda twardą krawędź matczynej pięty.

– Mama, to nie odleżyny, tylko odcisk.

Ale ona już nie słucha i prosi, żeby przyniósł jej Kadysz, albo rybę i czekoladę z półmiska z jedzeniem, który rabin Chaim przysłał im na sziwę.

Simon mógłby pomyśleć, że Gertie takie komenderowanie sprawia przyjemność, gdyby nie nocny szloch matki – tłumiony poduszką, żeby nie dotarł do pokoju dzieci, choć Simon i tak wszystko słyszy – albo gdyby nie widział jej skulonej w kłębek na łóżku, które przez dwie dekady dzieliła z Saulem. Gertie przypomina wtedy nastolatkę, którą była, kiedy go poznała. Sziwy przestrzega z pieczołowitością, jakiej Simon nigdy by się po niej nie spodziewał – Gertie zawsze bardziej wierzyła w przesądy niż w jakiegokolwiek Boga. Spluwa trzy razy, kiedy widzi przechodzący pogrzeb, rzuca przez ramię solą z upuszczonej solniczki i pod żadnym pozorem nie minęłaby w czasie ciąży cmentarza, więc między 1956 a 1962 rokiem cała rodzina musiała wszędzie chodzić okrężną drogą. Zazwyczaj w każdy piątek Gertie przestrzega szabatu z umęczoną cierpliwością, jakby znosiła obecność gościa, którego bardzo chce się już pozbyć. Ale teraz przez cały tydzień sziwy Gertie się nie maluje. Rezygnuje z noszenia biżuterii i skórzanych butów. Nie zdejmuje obcisłej czarnej sukienki w dzień ani w nocy, ignorując skorupkę z tłuszczu wołowego na udzie, jakby chciała w ten sposób odpokutować nieudaną *krię*. Ponieważ Goldowie nie mają w domu drewnianych stołków, do recytacji Kadiszu siada na podłodze. Próbuje nawet czytać księgę Hioba, mrużąc oczy z nosem w Tanachu. Kiedy odkłada księgę, w jej szeroko otwartych oczach maluje się zagubienie, jak u dziecka rozglądającego się za rodzicami. A potem znów wzbiera w niej wołanie:

– Si-mon!

Gertie potrzebuje czegoś dotykalnego: świeżych owoców, babki maślanej; albo żeby otworzyć jej okno lub zamknąć je przed przeciągiem; koca, szmatki do mycia, świeczki.

Kiedy zbiera się dość gości na *minjan*, Simon pomaga matce przebrać się w świeżą sukienkę i w kapcie. Następnie Gertie wynurza się z sypialni, by wziąć udział w modlitwach. Dołączają do nich wieloletni pracownicy Saula: księgowi, szwaczki, projektanci, sprzedawcy i wreszcie młodszy partner Saula, Arthur Milavetz, trzydziestodwuletni mężczyzna o piskliwym głosie i z nosem przypominającym ptasi dziób.

W dzieciństwie Simon uwielbiał odwiedzać sklep ojca. Księgowi dawali mu spinacze do papieru albo skrawki tkanin do zabawy, a Simon był dumny, że jest synem Saula. Szacunek, z jakim odnosili się do Saula pracownicy i przestronny gabinet z jasnymi oknami mówiły chłopcu, że ojciec jest kimś ważnym. Saul podrzucał Simona na kolanie i pokazywał, jak wykrajać kawałki materiału i zszywać próbki. Później Simon towarzyszył ojcu w wyprawach do magazynów tkanin, gdzie Saul wybierał tweedy i jedwabie, które miały być modne w przyszłym sezonie, i na Saks Fifth Avenue, gdzie kupował ubrania w najmodniejszych fasonach, by później kopiować ich kroje we własnym zakładzie. Po pracy ojciec pozwalał Simonowi zostać w sklepie, a mężczyźni grali w kierki albo przesiadywali w gabinecie Saula z pudełkiem cygar i debatowali nad strajkami nauczycieli i śmieciarzy albo nad Kanałem Sueskim i wojną Jom Kippur.

Przez cały ten czas coś wisiało w powietrzu, powoli pęczniało, zbliżało się, aż w końcu Simon był zmuszony spojrzeć na problem w całej potwornej okazałości: na swoją przyszłość. Daniel od zawsze planował karierę lekarza, więc Saulowi został tylko jeden syn – Simon, niecierpliwy

i ledwie wytrzymujący we własnej skórze, a co dopiero w dwurzędowym garniturze. Zanim wszedł w wiek nastoletni, zdążył się już znudzić modą kobiecą, a od wełny wszystko go swędziało. Miał żal do Saula o wątłe nitki jego zainteresowania, które, jak podejrzewał Simon, nie przetrwałyby rozstania z pracą, o ile coś takiego w ogóle było możliwe. Chłopiec jeżył się w obecności wiecznie trwającego u boku Saula Arthura, który traktował Simona jak pomocnego małego pieska. Ale jedno odkrycie okazało się dla Simona zupełnie niepojęte: to sklep był prawdziwym domem Saula, a pracownicy znali pana Golda o wiele lepiej niż jego własne dzieci.

Dziś Arthur przynosi trzy półmiski z delikatesów i tackę wędzonej ryby. Wygina długą, łabędziowatą szyję i całuje Gertie w policzek.

– Co my teraz zrobimy, Arthurze? – pyta kobieta, wtulając twarz w poły jego płaszcza.

– Tak, to straszne – zgadza się on. – Koszmarne.

Maleńkie kropelki wiosennego deszczu przycupnęły Arthurowi na ramionach i na soczewkach okularów w rogowej oprawie, ale jego wzrok nadal jest ostry i przenikliwy.

– Dzięki Bogu, że mam ciebie. I Simona – wzdycha Gertie.

* * *

W ostatnią noc sziwy, kiedy Gertie już śpi, rodzeństwo zbiera się na strychu. Wszyscy są znużeni, wybiedzeni, mają zapuchnięte, podkrążone oczy i poskręcane żołądki. Szok nie zdążył jeszcze osłabnąć; Simon nie wyobraża sobie, że kiedykolwiek ich opuści. Daniel i Varya siedzą na pomarańczowej welwetowej kanapie; wyściółka wyłazi z podłokietników. Klara zajmuje patchworkowy puf, który kiedyś należał do świętej pamięci pani Blumenstein. Nalewa bourbona do czterech wyszczerbionych

filiżanek. Zgarbiony Simon siada po turecku na podłodze i miesza bursztynowy płyn palcem.

– No, to co planujecie? – pyta, zerkając na Daniela i Varyę. – Wyjeżdżacie jutro?

Daniel kiwa głową. On i Varya muszą złapać poranny pociąg na uniwersytet. Już pożegnali się z Gertie i obiecali, że wrócą za miesiąc, po egzaminach.

– Nie mogę zostać dłużej, bo zawalę semestr – mówi Daniel. – Niektórzy z nas nie muszą się martwić o takie rzeczy – dodaje, trącając Klarę stopą.

Klarze zostały jeszcze dwa tygodnie liceum, ale już powiedziała rodzinie, że nie zamierza brać udziału w ceremonii zakończenia roku szkolnego. („Dreptać do rytmu z tą bandą pingwinów? Niech sami sobie odstawiają te swoje szopki"). Varya studiuje biologię, Daniel ma nadzieję zostać lekarzem wojskowym, ale Klara nie ma ochoty iść na studia. Chce zajmować się magią.

Ostatnie dziewięć lat spędziła na pobieraniu nauk u Ilyi Hlavacka, podstarzałego artysty rewiowego i iluzjonisty, który jest też jej szefem w sklepie ezoterycznym Artykuły Magiczne Hlavacek i Wspólnicy. Klara odkryła to miejsce w wieku dziewięciu lat, kiedy kupiła od Ilyi *Księgę wróżb*; teraz sprzedawca jest dla niej ojcem w równym stopniu co Saul. Ilya, siedemdziesięciodziewięcioletni czeski imigrant, który dorastał między jedną wojną a drugą, artretyczny i przygarbiony, z kępką siwych włosów jak u trolla – opowiada jej wspaniałe historie z dawnych czasów, kiedy występował na scenie. O tym, jak zjeździł całe środkowe Stany w tournée po najbardziej obskurnych muzeach osobliwości, a jego stolik z kartami nierzadko znajdował się zaledwie metr czy dwa od słojów z zamarynowanymi ludzkimi głowami; o namiocie cyrkowym

w Pensylwanii, gdzie wykonał sztuczkę ze zniknięciem burego sycylijskiego osła o imieniu Antonio, a tysiącosobowa publiczność nagrodziła go eksplozją oklasków.

Ale minęło już ponad sto lat, odkąd bracia Davenport wywoływali duchy zmarłych na salonach zamożnych pań i panów, a John Nevil Maskelyne sprawił, że kobieta lewitowała w londyńskim Egyptian Hall. Dziś amerykańscy magicy – ci, którym najbardziej się poszczęściło – zajmują się efektami specjalnymi w teatrach albo występują w skomplikowanych przedstawieniach w Las Vegas. Prawie wszyscy to mężczyźni. Kiedy Klara odwiedziła Marinka's, najstarszy sklep magiczny w kraju, młody człowiek za ladą obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem, po czym zaprowadził do półki z tabliczką *Czarownice*. („Palant", wymamrotała pod nosem Klara, choć i tak kupiła *Demonologię: Przywołania krwią* – tylko po to, żeby zetrzeć mu ten ważniacki uśmieszek z twarzy).

Poza tym Klarę niespecjalnie interesują magicy estradowi, z ich jaskrawymi reflektorami, wieczorowym strojem, lewitacją na rusztowaniach. Woli artystów dających pokazy w skromniejszych miejscach, gdzie magia przekazywana jest z ręki do ręki niczym wymięty banknot. W niedziele ogląda ulicznego magika Jeffa Sheridana, występującego w swoim stałym punkcie przy pomniku Sir Waltera Scotta w Central Parku. Ale czy naprawdę dałaby radę z tego wyżyć? Nowy Jork się zmienia. Hipisi już zniknęli z jej dzielnicy, a ich miejsce zajęli punkrockowcy, zamiast miękkich narkotyków teraz bierze się twarde. Portorykańskie gangi trzęsą Dwunastą Ulicą i Aleją A. Raz Klarę przytrzymało kilku mężczyzn. Mogłoby się źle skończyć, gdyby Daniel akurat nie przechodził obok.

Varya strząsa popiół z papierosa do pustej filiżanki.

– Nie mogę uwierzyć, że nadal zamierzasz wyjechać. I co, zostawisz mamę w takim stanie?

– Varya, taki był plan. Od zawsze. Wyjeżdżam.

– Czasami plany się zmieniają. Bywa, że nie ma innego wyjścia.

– Więc dlaczego ty nie zmienisz swoich? – pyta Klara, unosząc brew.

– Nie mogę. Mam egzaminy.

Dłonie Varyi są sztywne, plecy wyprostowane. Nigdy nie była skłonna do kompromisów: taka świętoszkowata, trzymająca się zasad, jakby całe życie chodziła po linie. W swoje czternaste urodziny zdmuchnęła wszystkie świeczki z wyjątkiem trzech, a Simon, wtedy zaledwie ośmioletni, wspiął się na palce, żeby pomóc jej z resztą. Varya nakrzyczała na niego i rozpłakała się tak histerycznie, że nawet Saul i Gertie byli zbici z tropu. Varyi brak urody Klary, nie interesują jej ubrania ani makijaż. Jej jedyną słabostką są włosy. Sięgają jej do pasa, nigdy nie były farbowane ani rozjaśniane – i to nie dlatego, że ich naturalny kolor, przypominający spierzchnięte letnie błoto, czymkolwiek się wyróżnia. Varya po prostu tak woli. Klara farbuje swoje na jaskrawą, chemiczną czerwień. Kiedy poprawia odrosty, umywalka jeszcze przez kilka dni wygląda jak scena zbrodni.

– Egzaminy. – Klara macha dłonią, jakby studia były hobby, z którego Varya powinna wreszcie wyrosnąć.

– A dokąd ty właściwie zamierzasz jechać? – wtrąca Daniel.

– Jeszcze nie zdecydowałam. – Klara mówi to ze spokojem, ale na jej twarzy widać napięcie.

– Dobry Boże. – Varya odrzuca głowę. – Nie masz nawet pomysłu, co ze sobą zrobić?

– Czekam, aż mi się objawi.

Simon patrzy na siostrę. Wie, że Klara dobrze się z tym kryje, ale myśl o przyszłości ją przeraża.

– A kiedy już ci się objawi to miejsce, do którego się wybierasz, to jak tam dotrzesz? – Daniel nie odpuszcza. – Czekasz, aż to też ci się ukaże we śnie? Nie masz pieniędzy na samochód. Nie stać cię na bilet na samolot.

– Widzisz, Danny, jest taki nowy sposób, nazywa się autostop. Wszyscy to robią.

Klara jako jedyna zwraca się do Daniela zdrobnieniem z dzieciństwa, wiedząc, że to przypomina bratu o moczeniu łóżka, krzywych zębach, a przede wszystkim o rodzinnej wyprawie do Lavallette w New Jersey, podczas której Daniel nie wytrzymał i zrobił kupę w sztruksowe spodnie, psując pierwszy dzień wakacji i powietrze w wynajętym chevrolecie.

– Klaro, proszę cię. – Varya natychmiast podnosi głowę. – Obiecaj mi, że nie będziesz nigdzie jeździć autostopem. Tak po całym kraju? Jeszcze cię zabiją.

– Nikt mnie nie zabije. – Klara zaciąga się i wypuszcza dym na lewo, z daleka od Varyi. – Ale jeśli to tyle dla ciebie znaczy, pojadę autokarem.

– Wiesz, ile to będzie trwało? – wtrąca Daniel.

– Taniej niż samochodem. A poza tym naprawdę uważacie, że mama mnie potrzebuje? Jest szczęśliwsza, kiedy nie musi mnie oglądać.

Informacja, że Klara nie zamierza składać podania na studia, wywołała serię awantur między nią a Gertie, które ostatecznie ustąpiły miejsca gorzkiej ciszy.

– No i przecież nie będzie sama. Jest jeszcze Si. – Klara wyciąga rękę w stronę brata, ściska go za kolano.

– Nie przeszkadza ci to, Simon? – pyta Daniel.

Przeszkadza. Simon już widzi, jak to będzie wyglądało, kiedy wszyscy wyjadą. Zostanie sam na sam z matką, uwięzioną w swojej wiecznej sziwie

– „Si-mon!” – i z ojcem, nieobecnym i wszechobecnym zarazem. Nocami będzie wymykał się z domu pobiegać, żeby choć na chwilę się wyrwać. No i jeszcze interes – oczywiście, interes po ojcu – który teraz należy się Simonowi. Myśl o stracie Klary jest równie okropna, ale ze względu na siostrę Simon tylko wzrusza ramionami.

– E tam. Klara powinna robić, co chce. Raz się żyje, nie?

– O ile nam wiadomo. – Klara zgniata niedopałek. – Myślicie o tym czasami?

– O życiu pozagrobowym? – Daniel unosi brwi.

– Nie. Jak długo będziecie żyć.

Teraz, kiedy Klara otworzyła pudełko ze wspomnieniami, na strychu zapada cisza.

– A ty znowu o tej starej klępie? – Daniel nie wytrzymuje.

Klara wzdryga się, jakby to ją obraził. Od lat nie rozmawiali o kobiecie z Hester Street. Ale teraz Klara jest pijana. Simon widzi to po jej zaszklonych oczach i tym, jak przeciąga „s”, kiedy mówi.

– Tchórze z was – odcina się Klara. – Nie potraficie się nawet przyznać.

– Do czego? – pyta Daniel.

– Co wam powiedziała. – Klara wskazuje na niego palcem. Paznokcie ma pomalowane na czerwono, tu i ówdzie lakier zdążył już odprysnąć i się złuszczyć. – Proszę bardzo, Daniel. Ty zaczynasz.

– Nie.

– Tchórz. – Klara uśmiecha się krzywo, zamykając oczy.

– Nawet gdybym chciał, to nie mógłbym ci powiedzieć. To było dawno, dziesięć lat temu. Naprawdę myślisz, że to pamiętam?

– Ja zapamiętałam – wtrąca Varya. – Dwudziesty pierwszy stycznia dwa tysiące czterdziestego czwartego roku. I proszę, po tajemnicy.

Bierze łyk bourbona, potem kolejny, i odstawia opróżnioną filiżankę na podłogę. Klara patrzy na siostrę z zaskoczeniem. Potem chwyta butelkę za szyjkę i znów napełnia filiżanki – najpierw Varyi, potem własną.

– Ile to lat? – zastanawia się Simon. – Osiemdziesiąt osiem?

Varya przytakuje.

– Gratulacje. Mnie powiedziała, że dożyję trzydziestu jeden – oznajmia Klara.

Daniel odkasłuje.

– No, to jakieś farmazony.

– Można mieć nadzieję. – Klara unosi filiżankę.

– Dobra. – Daniel wychyla swojego drinka. – Dwudziesty czwarty listopada dwa tysiące szóstego. Przebiłaś mnie, Vi.

– Czterdzieści osiem – liczy Klara. – Nie martwi cię to?

– Coś ty. Raszpla rzuciła pierwszą datę, jaka jej przyszła do głowy. Musiałbym zgłupieć, żeby się przejmować czymś takim – prycha, odstawiając filiżankę z brzękiem na deski. – A tobie co powiedziała, Si?

Simon pali już siódmego papierosa. Zaciąga się i wypuszcza dym, nie odrywając wzroku od ściany.

– Młodo.

– Jak młodo? – dopytuje Klara.

– Moja sprawa.

– Och, przestań – fuka Varya. – To idiotyczne. Ona ma nad nami władzę tylko, jeśli ją od nas dostanie. To oczywiste, że była oszustką. Osiemdziesiąt osiem? Błagam. Z taką przepowiednią pewnie wpadnę pod ciężarówkę przed czterdziestką.

– Więc jak to się stało, że reszta dostała takie złe? – pyta Simon.

– Nie wiem. Dla odmiany? Nie może wszystkim mówić tego samego. – Na twarz Varyi występuje rumieniec. – Żałuję, że w ogóle do niej

poszliśmy. Tylko namieszała nam w głowach.

– To przez Daniela – przerywa jej Klara. – To on nas tam zabrał.

– Myślisz, że nie wiem? – syczy Daniel. – A ty pierwsza się zgodziłaś.

Wściekłość kipi Simonowi w piersi. Przez chwilę czuje nienawiść do nich wszystkich: do Varyi, racjonalnej i zdystansowanej, z dekadami życia przed sobą; Daniela, który lata temu zaklepał sobie karierę medyczną, zmuszając Simona do przejęcia interesu po ojcu; do Klary, która teraz go opuszcza. Ma żal, że oni mogą uciec.

– Cisza! – przerywa ostro. – Koniec! Zamknijcie się, dobra? Tata nie żyje. Więc moglibyście się, kurwa, przymknąć?

Sam jest zaskoczony swoim rozkazującym tonem. Nawet Daniel się skurczył.

– Simon mówi – mamrocze starszy z braci.

* * *

Varya i Daniel wracają na dół i kładą się do łóżek, ale Klara i Simon wychodzą na dach. Zabierają ze sobą poduszki i koce i zasypiają na betonowej posadzce pod zasnutym smogiem księżycem.

Budzą się przed świtem, ktoś nimi potrząsa. Z początku myślą, że to Gertie, ale po chwili dostrzegają przez sklejone snem powieki wąską, szarą twarz Varyi.

– Jedziemy – szepcze. – Taksówka czeka na dole.

Zza Varyi wyłania się Daniel, patrzy zza szkieł okularów nieobecnym wzrokiem. Skórę pod oczami ma srebrnoniebieską, o rybim połysku, a przeżycia ostatniego tygodnia wyryły mu głębokie bruzdy wokół ust – a może one zawsze tam były?

Klara zasłania twarz ramieniem.

– Nie.

Varya podnosi rękę siostry, gładzi Klarę po włosach.

– Pożegnaj się.

Głos Varyi jest łagodny, Klara siada. Zarzuca siostrze ramiona na szyję, ściska tak mocno, że mogłaby złapać się za łokcie.

– Do zobaczenia – szepcze.

Kiedy Varya i Daniel odjeżdżają, niebo żarzy się czerwienią, potem przechodzi w kolor bursztynu. Simon chowa twarz we włosach Klary. Pachną dymem.

– Nie jedź – szepcze.

– Muszę, Si.

– Co tam niby na ciebie czeka?

– Kto wie? – Oczy Klary są szkliste ze zmęczenia, jej źrenice wydają się lśnić własnym blaskiem. – Właśnie o to chodzi.

Wstają i składają koce.

– Powinieneś jechać ze mną – dodaje Klara, spoglądając na niego z ukosa.

– Jasne – śmieje się Simon. – Opuścić dwa lata szkoły? Mama by mnie zabiła.

– Nic ci nie zrobi, jeśli będziesz dość daleko.

– Nie mogę.

Klara podchodzi do krawędzi dachu i opiera się o balustradę. Nadal ma na sobie puszysty niebieski sweter i dżinsowe szorty z poszarpanymi brzegami. Nie patrzy na niego, ale Simon czuje na sobie ciężar jej uwagi, Klara aż drży, jakby wiedziała, że tylko udając nonszalancję, będzie mogła powiedzieć to, co właśnie zamierza.

– Moglibyśmy jechać do San Francisco.

Simon traci na chwilę oddech.

– Nie mów tak.

Kuca, żeby podnieść poduszki, bierze po jednej pod każde ramię. Ma metr siedemdziesiąt dwa, tyle samo co Saul, zwinne, umięśnione nogi i smukłą pierś. Jego pełne, różowe wargi i ciemnoblond loki – spadek po jakimś dawno pogrzebanym aryjskim przodku – zaskarbiają mu sympatię dziewcząt z klasy, ale jego interesuje zupełnie inna publiczność.

Waginy nigdy go nie interesowały: ich kapuściane fałdy, długi korytarz ukryty w głębi ciała. Simon pragnie pchnięć fiuta, silnego naporu, wyzwania rzuconego przez ciało podobne do jego własnego. Tylko Klara o tym wie. Kiedy rodzice spali, ona i Simon często wymykali się przez okno, Klara chowała do torebki ze sztucznej skóry gaz pieprzowy i złazili po schodach pożarowych na ulicę. Chodzili do Le Jardin posłuchać Bobby'ego Guttadaro albo jechali metrem na 12 West, do starej hurtowni kwiatów przerobionej na dyskotekę. Właśnie tam Simon poznał tancerza go-go, który opowiedział mu o San Francisco. Siedzieli w ogrodzie na dachu, a tancerz opowiadał, że San Francisco ma radnego geja, jest tam wydawana gejowska gazeta, geje mogą wszędzie pracować i uprawiać seks, kiedy chcą, bo nie ma tam żadnego prawa zakazującego sodomii.

– Nawet sobie nie wyobrażasz – powiedział, a Simon od tamtej pory nie był w stanie myśleć o niczym innym.

– Dlaczego nie? – Klara się odwraca. – Okej, mama byłaby zła. Ale przecież widzę, jakie życie cię tu czeka, Si, i nie chcę, żeby cię to spotkało. Ty też nie. Jasne, mama chce, żebym poszła na studia, ale już to ma z Dannym i Vi. Musi zrozumieć, że nie jestem taka jak ona. A ty nie jesteś tatą. Jezu, ty przecież nie możesz zostać krawcem. Krawcem! – Przerywa, jakby zależało jej, by te słowa wybrzmiały. – To wszystko nie tak. To niesprawiedliwe. Więc daj mi jeden powód. Jeden dobry powód, dla którego nie miałbyś zacząć żyć.

Kiedy tylko Simon pozwala sobie na tę myśl, prawie robi mu się słabo. Manhattan powinien być jego oazą – są tu gejowskie kluby, nawet sauny – ale on boi się stworzyć sobie nową tożsamość w miejscu, które zawsze było jego domem. *Faygelehs*, mruknął kiedyś Saul, spoglądając z niechęcią na trzech smukłych mężczyzn, wnoszących bizantyjską wręcz kolekcję instrumentów do mieszkania, na które Singhów nie było już stać. Obelżywe określenie w jidysz przejęła od Saula Gertie i choć Simon udawał, że nie słyszy, za każdym razem miał wrażenie, że rodzice mówią o nim.

W Nowym Jorku Simon żył dla nich, ale w San Francisco mógłby żyć dla siebie. I wprawdzie niechętnie do tego wraca – a tak naprawdę wręcz obsesyjnie unika tematu – teraz pozwala sobie na tę myśl: co, jeśli kobieta z Hester Street miała rację? Samo wspomnienie sprawia, że Simon widzi swoje życie w innym świetle; wszystko wydaje mu się pilne, rozmigotane, drogocenne.

– Jezu, Klara. – Simon dołącza do siostry, kładzie dłonie na barierce. – Ale co ty będziesz z tego miała?

Słońce wznosi się nad horyzont w głębokiej czerwonej łunie, Klara spogląda na nie, mrużąc oczy.

– Ty możesz jechać tylko w jedno miejsce – mówi. – Ja mogłabym zamieszkać gdziekolwiek.

Twarz wciąż ma jeszcze po dziecięcemu pyzatą, okrągłą. Kiedy się uśmiecha, widać, że jej zęby są nieco krzywe: jej twarz staje się wtedy na wpół dzika, na wpół urocza. Jego siostra.

– Czy ja kiedykolwiek pokocham kogoś tak bardzo jak ciebie? – pyta Simon.

– Proszę cię – śmieje się Klara. – Znajdziesz kogoś, kogo pokochasz o wiele bardziej.

Pięć pięter niżej wzdłuż Clinton Street biegnie młody mężczyzna. Ma na sobie cienką białą koszulkę i niebieskie nylonowe szorty. Simon przygląda się, jak mięśnie na piersi biegacza falują pod ubraniem, obserwuje jego nogi, mocne jak pnie drzew. Klara podąża wzrokiem za spojrzeniem brata.

– Simon, uciekajmy stąd.

2

Maj przychodzi w feerii barw, złoty od słońca. Krokusy wychylają się z trawy w parku Roosevelta. Po zakończeniu ostatniego dnia lekcji Klara wpada do mieszkania, ściskając w dłoni pustą ramkę na dyplom. Dokument otrzyma pocztą, kiedy wykaligrafują na nim jej imię i nazwisko, ale do tego czasu Klary już tu nie będzie. Gertie wie, że córka wyjeżdża, więc walizka czeka na Klarę w korytarzu. Jest jednak coś, czego Gertie nie wie. Simon, którego bagaż czeka wciśnięty pod łóżko, wyjeżdża razem z siostrą.

Zostawia prawie cały swój dobytek, zabierając wyłącznie rzeczy najpotrzebniejsze i najcenniejsze. Dwie welurowe koszule w paski z kołnierzykiem. Czerwony plecak na sznurkach. Brązowe sztruksowe dzwony, które miał na sobie, kiedy młody Portorykańczyk puścił do niego oko w pociągu; to jak dotąd najromantyczniejsze przeżycie Simona. Złoty zegarek na skórzanym pasku, prezent od Saula. I jeszcze new balance'y 320 z niebieskiego zamszu: najlżejsze buty do biegania, jakie miał w życiu na nogach.

Walizka Klary jest większa, bo kryje w sobie coś, co Ilya Hlavacek podarował jej w ostatnim dniu pracy. Na noc przed wyjazdem Klara opowiada Simonowi historię prezentu.

– Przynieś mi tamto pudełko – nakazał Ilya, wskazując palcem.

Drewniana, pomalowana na czarno skrzyneczka towarzyszyła Ilyi w przydrożnych pokazach i cyrkowych występach aż do 1931 roku, kiedy zaraził się chorobą Heinego-Medina.

– W samą porę – żartował często. – Potem kino i tak zabiło sztukę wodewilu.

Zawsze mówił o skrzynce po prostu „to pudełko”, choć Klara wiedziała, że to jego najcenniejszy skarb. Zrobiła, jak nakazał, i postawiła skrzynkę na stole, żeby Ilya nie musiał podnosić się z krzesła.

– Słuchaj mnie uważnie. Chcę ci to dać – oznajmił. – Rozumiesz? Teraz to twoje. Chcę, żebyś z niego korzystała i się nim nacieszyła. To pudełko powinno podróżować, moja droga, a nie tkwić w czterech ścianach ze starym inwalidą. Wiesz, jak je rozłożyć? Chodź, pokażę ci. – Klara przyglądała się, jak Ilya wstaje o lasce i zmienia pudełko w stolik, jak już to robił wiele razy wcześniej. – Tutaj rozkładasz karty. I stajesz za nim, o tak.

Klara spróbowała rozłożyć skrzynkę samodzielnie.

– No i proszę – ocenił Ilya z uśmiechem starego chochlika. – Zachwycająco przy tobie wygląda.

– Ilya. – Klara z zawstydzeniem odkryła, że płacze. – Nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Po prostu z niego korzystaj. – Staruszek machnął ręką i pokuśtykał o lasce na zaplecze, niby po to, żeby dołożyć towar na półki, ale Klara podejrzewała, że Ilya chce pogrążyć się w żałobie na osobności.

Zabrała pudełko do domu, ściskając je mocno w ramionach, i wypełniła własnymi rekwizytami. Włożyła do środka trzy jedwabne szaliki; zestaw kółek ze srebra; portmonetkę pełną ćwiartek; trzy miedziane kubeczki i tyle samo czerwonych piłeczek wielkości truskawki; i wreszcie talię kart tak wyświechtaną, że papier stał się giętki niczym bawełna.

Simon wie, że Klara jest utalentowana, ale jej fascynację magią uważa za niepokojącą. Kiedy byli dziećmi, myślał, że to urocze. Ale teraz to po prostu dziwne. Simon ma nadzieję, że po przyjeździe do San Francisco siostra odkryje, że prawdziwy świat jest o wiele bardziej ekscytujący niż zawartość jej czarnego pudełka.

W nocy Simon nie może zasnąć. Z odejściem Saula zniknęły dawne zakazy: teraz Arthur może prowadzić interes, a Saul nie dowie się prawdy o Simonie. Ale co zrobić z matką? Simon przygotowuje swoją linię obrony. Mówi sobie, że tak już jest ten świat urządzony, dziecko opuszcza rodzica, by wejść w dorosłość – jeśli już, to człowiek jest w tym procesie żałośnie powolny. Kijanki wykluwają się w pysku ojca, ale kiedy tylko odpadną im ogonki, wyskakują na wolność. (Tak się przynajmniej wydaje Simonowi; na biologii zawsze błądził myślami gdzieś daleko). Łosoś atlantycki rodzi się w słodkiej wodzie, po czym migruje do oceanu. Kiedy nadchodzi czas na rozmnażanie i śmierć, przemierza setki kilometrów, aby powrócić do tej samej wody, w której się urodził. Simon też może zawsze wrócić do domu, tak samo jak łosoś.

Kiedy wreszcie zasypia, śni mu się, że jest jednym z nich. Unosi się na wodzie wśród ikry, błyszczące koralowe jajeczko, aż w końcu opada do gniazda matki na dnie strumienia. Potem wyrywa się z jajeczka i kryje w ciemnych zakamarkach, zjadając wszystko, co podpłynie w jego stronę. Łuski mu ciemnieją; wędruje tysiące kilometrów przed siebie. Z początku otacza go nieprzebrana masa innych ryb, są tak blisko, że płyną razem, niczym jeden smukły organizm, ale im dalej się zapuszcza, tym rzadsza jego ławica. Gdy wreszcie zauważa, że wszystkie ryby ruszyły już do domu, on nie pamięta drogi do starego, zapomnianego strumienia, w którym się urodził. Wypłynął zbyt daleko, żeby zawrócić.

* * *

Budzą się wcześnie rano. Klara potrząsa Gertie, żeby się z nią pożegnać, po czym odprowadza matkę z powrotem do łóżka. Schodzi na palcach po schodach, niosąc obie walizki. Simon w tym czasie zawiązuje buty i wychodzi na korytarz, omijając skrzypiącą deskę w podłodze, po czym ostrożnie rusza do drzwi.

– Wybierasz się gdzieś?

Simon odwraca się gwałtownie, puls mu skacze. Matka stoi w drzwiach sypialni. Jest owinięta wielkim różowym szlafrokiem, który dostała po narodzinach Varyi, a włosy – zwykle o tej porze zawinięte w papiloty – opadają jej luźno na ramiona.

– Chciałem tylko… – Simon przestępuje z nogi na nogę. – Chciałem tylko iść po kanapkę.

– Jest szósta rano. Ciekawa pora na kanapkę.

Policzki Gertie są zaróżowione, oczy szeroko otwarte. Odblask światła pada na jej źrenice: małe węzełki przerażenia, błyszczące jak czarne perły.

Simonowi napływa do oczu fontanna łez. Stopy Gertie – dwa różowe plastry, grube jak kotlety wieprzowe – stoją w równej linii z ramionami, całe jej ciało jest napięte jak u boksera. Kiedy Simon był mały, a starsze rodzeństwo chodziło już do szkoły, Gertie bawiła się z nim w grę, na którą mówili Tańczący Balonik. Gertie nastawiała stację Motown w radiu – choć nigdy nie słuchała czegoś takiego w obecności Saula – i nadmuchiwała czerwony balonik, ale tylko do połowy. Rozbijali się po całym mieszkaniu, podrzucając balonik od łazienki do kuchni, poświęceni jednemu zadaniu: nie pozwolić, żeby upadł na podłogę. Simon był zręczny, Gertie potężna: razem byli w stanie utrzymać balonik w powietrzu przez całą audycję. Teraz Simon przypomina sobie, jak Gertie rzuciła się naprzód przez cały salon, a gdzieś z boku rozległ się brzęk upadającego świecznika – „Nic się nie potłukło!”, huknęła matka.

Chłopiec tłumi czkawkę nieprzystającego do sytuacji śmiechu, który wypuszczony na wolność z pewnością zmieniłby się w szloch.

– Mama – mówi. – Ja muszę zacząć żyć.

Nie podoba mu się, jak to zabrzmiało – jakby błagał. Nagle w całym ciele czuje tęsknotę za ciepłym ciałem matki, ale Gertie wygląda przez okno na Clinton Street. Kiedy znów patrzy na Simona, w jej oczach majaczy rezygnacja, jakiej nigdy wcześniej nie widział.

– W porządku. Leć po tę swoją kanapkę. – Gertie bierze głęboki wdech. – Ale po szkole pójdziesz do sklepu. Arthur pokaże ci, co i jak. Teraz będziesz chodził tam codziennie, skoro twój ojciec…

Nie kończy zdania.

– Dobrze, mama – mówi Simon. Pali go w gardle.

Gertie kiwa głową z wdzięcznością. Simon zbiega po schodach, żeby nie zdążyć zmienić zdania.

* * *

Simon wyobrażał sobie podróż autokarem jakoś bardziej romantycznie, ale większość pierwszego odcinka drogi przesypia. Nie jest już w stanie dłużej myśleć o tym, co wydarzyło się między nim a matką, więc opiera głowę na ramieniu Klary, która bawi się talią kart i parą miniaturowych stalowych kółek. Raz na jakiś czas Simona budzi delikatny szczęk metalu albo trzepotanie tasowanych kart. O 6.10 następnego poranka dojeżdżają do stacji przesiadkowej w Missouri i czekają na autokar, który zabierze ich do Arizony, a w Arizonie łapią autobus do Los Angeles. Ostatni etap wyprawy trwa dziewięć godzin. Kiedy wreszcie dojeżdżają do San Francisco, Simon czuje się jak najobrzydliwsze stworzenie na świecie. Jego blond włosy są tak przetłuszczone, że aż zbrązowiały. Od trzech dni ma na sobie to samo ubranie. Ale kiedy widzi rozchełstane błękitne niebo i mężczyzn z Folsom

Street w obcisłych skórach, coś w nim rzuca się naprzód niczym pies do wody, i Simon nie może powstrzymać śmiechu, jednego krótkiego dźwięku: brzmi niemal jak szczeknięcie radości.

Na trzy dni zatrzymują się u Teddy'ego Winklemana, chłopca z ich liceum, który przeprowadził się do San Francisco po maturze. Teraz Teddy trzyma się z paczką sikhów i każe mówić na siebie Bakszisz Khalsa. Ma dwoje współlokatorów: Susie, sprzedającą kwiaty przed stadionem Candlestick Park, i Raja – o brązowej skórze i czarnych włosach do ramion – który spędza weekendy na kanapie w salonie, pogrążony w lekturze Garcíi Márqueza. Mieszkanie nie ma nic wspólnego z zasnutymi pajęczynami wiktoriańskimi wnętrzami, jakie wyobrażał sobie Simon: zatęchły labirynt wąskich pokoi bardziej przypomina mieszkanie przy Clinton 72. Wystrój jest jednak zupełnie inny: na ścianach wiszą płachty tęczowego batikowego materiału rozpięte niczym zwierzęce skóry, a wszystkie framugi są oplecione światełkami w kształcie papryczek chilli. Podłogę zawalają winyle i butelki po piwie, a w powietrzu jest tak gęsto od dymu kadzideł, że Simon kaszle za każdym razem, kiedy wchodzi do mieszkania.

W sobotę Klara zakreśla czerwonym długopisem ogłoszenie: *2 SYP/1 ŁAZ. $389/mc. Jasne/przestr/podł. drew. Historyczny budynek!! KONIECZ. TOLER. HAŁAS.* Jadą linią J na skrzyżowanie Siedemnastej i Market, i oto jest: Castro, rozciągający się na dwie przecznice raj, o którym Simon marzył od lat. Chłopiec chłonie ten widok, wpatruje się w Castro Theatre, w brązową markizę Toad Hall, w mężczyzn siedzących na schodach pożarowych, palących papierosy na gankach, ubranych w obcisłe dżinsy i flanelowe koszule, a czasem tylko w dżinsy. Tak długo o tym marzył – a teraz to dostał, nareszcie, tak wcześnie – że teraz niemal dostrzega przebłysk swojego przyszłego życia. To jest teraz, mówi sobie

w oszołomieniu. To się dzieje. Idzie za Klarą na Collingwood, cichą przecznicę wysadzaną bańkowatymi drzewami, z pastelowymi domkami w stylu edwardiańskim po obu stronach ulicy. Zatrzymują się przed szerokim prostokątnym budynkiem. Na parterze znajduje się klub, o tej porze dnia zamknięty, z oknami aż pod sufit. Przez szybę Simon dostrzega fioletowe kanapy, kule dyskotekowe i wysokie platformy, przypominające piedestały. Na szkle namalowano nazwę: PURP.

Mieszkanie znajduje się nad klubem. Nie jest przestronne, nie ma też dwóch sypialni: jedna to tak naprawdę salon, a druga bardziej przypomina garderobę. Ale jest słoneczne, ma podłogi z miodowego drewna i wykuszowe okna, a Simon i Klara mają akurat dość pieniędzy na czynsz za pierwszy miesiąc. Klara rozpościera ramiona. Pofałdowana bluzka podjeżdża jej do góry, odsłaniając miękki, różowy brzuch. Obraca się wokół własnej osi, raz, drugi – jego siostra, wirująca filiżanka, derwiszka tańcząca w salonie w ich nowym mieszkaniu.

* * *

W sklepie z rupieciami przy Church Street kupują sztućce i zastawę, nie przeszkadza im, że nic do siebie nie pasuje. Meble zdobywają na wyprzedaży garażowej przy Diamond. Na Douglass Klara znajduje dwa materace, jeszcze zafoliowane. Wspólnymi siłami wciągają je na górę.

Świętują wyjściem na tańce. Bakszisz Khalsa organizuje haszysz i dropsy. Raj brzdąka na ukulele, Susie siedzi mu na kolanie. Klara opiera się o ścianę i wpatruje w przepowiadającą przyszłość rybkę, którą znalazła w sklepie Ilyi w dziale z nowościami. Bakszisz Khalsa nachyla się ku Simonowi i próbuje wciągnąć go w rozmowę o Anwarze as-Sadacie, ale okna mrugają wesoło do Simona, a on myśli sobie, że wolałby pocałować Bakszisza, zamiast go słuchać. Nie ma czasu; już są w klubie, tańczą

w zbitym tłumie, reflektory malują im twarze na czerwono i niebiesko. Bakszisz Khalsa zrywa z głowy turban, jego włosy przecinają powietrze jak świszczący sznur. Simon dostrzega wysokiego, barczystego mężczyznę pokrytego ślicznym zielonym brokatem; ciągnie za sobą smugi światła, jest niczym kula ognia. Simon rzuca się w plątaninę ciał, sięga ku lśniącemu mężczyźnie, ich twarze zderzają się z zaskakującą gorliwością: pierwszy pocałunek w życiu Simona.

Niedługo potem pędzą przez spowite nocą miasto w taksówce, ich ciała prężą się na tylnym siedzeniu. Mężczyzna płaci. Księżyc dynda między chmurami jak poluzowany numer na drzwiach mieszkania; chodnik rozwija się pod ich stopami jak dywan. Wchodzą do wysokiego srebrnego apartamentowca i jadą wysoko windą.

– Gdzie jesteśmy? – pyta Simon, idąc za mężczyzną do mieszkania na końcu korytarza.

Facet wchodzi do kuchni, ale nie zapala światła, więc mrok rozpraszają tylko latarnie za oknem. Kiedy oczy Simona przyzwyczajają się do ciemności, widzi, że jest w czystym, nowoczesnym salonie z białą kanapą i szklanym stolikiem z chromowanymi nogami. Na ścianie naprzeciwko wisi obraz z rozbryzgów neonowej farby.

– Dzielnica finansowa. Nowy w mieście?

Simon kiwa głową. Podchodzi do okna i patrzy na lśniące biurowce. Ulice daleko w dole są prawie puste, widać tylko dwóch bezdomnych i parę taksówek.

– Masz na coś ochotę? – pyta mężczyzna, otwierając lodówkę. Działanie dropsów gwałtownie słabnie, ale on nie wygląda ani odrobinę mniej atrakcyjnie: umięśniony, choć szczupły, o harmonijnych rysach modela z katalogu.

– Jak masz na imię? – chce wiedzieć Simon.

– Może być? – Mężczyzna wyjmuje butelkę białego wina.

– Pewnie. – Simon chwilę się waha. – Nie chcesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

Mężczyzna siada obok na kanapie, w dłoniach trzyma dwa kieliszki.

– Staram się tego nie robić w takich sytuacjach. Ale możesz mi mówić Ian.

– Okej. – Simon uśmiecha się wymuszenie, choć robi mu się trochę niedobrze – mdli go na samą myśl, że został wrzucony do worka z innymi (ilu ich było?) w „takich sytuacjach”, nie podoba mu się rezerwa mężczyzny. Przecież geje właśnie po to przyjeżdżają do San Francisco, żeby nie musieć się ukrywać, prawda? Ale może Simon powinien zdobyć się na cierpliwość. Wyobraża sobie randki z Ianem: jak leżą na kocu w Golden Gate Park albo jedzą kanapki na Ocean Beach, niebo przecinają pomarańczowoszare smugi chmur, słychać krzyki mew.

Ian się uśmiecha. Jest co najmniej dziesięć lat starszy od Simona, może piętnaście.

– Ale mam twardą pałę – mówi.

Simon aż podskakuje; wzbiera w nim fala pożądania. Ian już zdejmuje spodnie, bieliznę, oto i on: wyzywająco czerwony, z główką dumnie uniesioną ku górze – król kutasów. Simon czuje, że jego własna erekcja napiera na dżinsy. Zaczyna się rozbierać, szarpie, nogawka plącze mu się na kostce. Ian klęka na podłodze, twarzą do niego, zajmując wąską przestrzeń między kanapą a stolikiem. Ciągnie Simona do przodu za tyłek, i nagle – dla chłopca to szok – bierze jego penisa w usta.

Simon krzyczy, wygina ciało w przód. Ian kładzie mu jedną dłoń na piersi i ssie, a on dyszy z zachwytu i bajecznej przyjemności, o której tak długo marzył. Jest lepiej, niż sobie wyobrażał – to obezwładniająca, oszałamiająca rozkosz, znaleźć się w tych ustach – skoncentrowana,

oślepiająca jak słońce. Simon czuje, jak nabrzmiewa. Kiedy jest już na krawędzi orgazmu, Ian się odsuwa i uśmiecha szeroko śliskimi ustami.

– Chcesz zobaczyć całą tę czyściutką podłogę uwalaną spermą? Chcesz mi się spuścić na ten śliczny parkiet?

Simon dyszy zdezorientowany. Nie spodziewał się, że sprawy zajdą aż tak daleko.

– A ty?

– Tak – mówi Ian. – Bardzo chcę.

Jego penis – tak czerwony, że przechodzący niemal w fiolet – wyciąga się w stronę Simona niczym berło. Wzdłuż trzonu wije się duża, wypukła żyła.

– Słuchaj – jąka się Simon. – Może zwolnijmy na chwilę, co? Na sekundę?

– Jasne. Żaden problem. – Ian ściąga Simona na podłogę, odwraca go twarzą do okien i bierze jego penisa w dłoń, zaczyna przesuwać mocno w górę i w dół. Simon jęczy, aż tępy ból w kolanach przywraca go do rzeczywistości – i do Iana, którego penis naglącym ruchem rozchyla Simonowi pośladki.

– Czy moglibyśmy… – stęka Simon, tak bliski szczytu, że ledwo jest w stanie mówić. – Czy możemy… Wiesz…

Ian przysiada na piętach.

– Co? Chcesz poślizg?

– Poślizg. – Simon przełyka ślinę. – Tak.

Nie o to mu chodziło, ale przynajmniej kupił sobie tym jeszcze chwilę. Ian wstaje i znika w głębi korytarza, a Simon w tym czasie chwyta oddech. Zapamiętaj to, mówi sobie, ten moment tuż przed. Słyszy ciche klaskanie stóp i twarde stuknięcie, kiedy Ian znów klęka za Simonem, stawiając na podłodze jaskrawopomarańczową butelkę. Rozlega się cmoknięcie

dozownika, a zaraz potem mlaskający odgłos rozprowadzania żelu w dłoniach.

– Gotowy? – pyta Ian.

Simon stara się rozluźnić, przyciska dłonie mocno do podłogi.

– Gotowy.

* * *

Żaluzje kroją światło dnia na wąskie paski. Słychać odgłos prysznica, nieznajoma pościel pachnie cudzym ciałem. Simon leży nagi w ogromnym łóżku pod ciężką, białą kołdrą. Kiedy siada, bolą go nogi. Obawia się, że zwymiotuje. Mruży oczy i rozgląda się po pokoju. Z boku dostrzega zamknięte drzwi, zapewne prowadzące do łazienki. Katalogowe fotografie miejskiej architektury w smukłych czarnych ramkach; niewielka garderoba, w której Simon dostrzega rzędy marynarek i koszul, uporządkowanych według kolorów.

Simon wstaje z łóżka i rozgląda się po podłodze za własnym ubraniem, ale szybko uświadamia sobie, że chyba zostawił je w salonie – pamięta to mgliście z poprzedniej nocy, choć wspomnienia bardziej przypominają najintensywniejszy sen niż rzeczywistość. Znajduje dżinsy i koszulkę polo skłębione pod stolikiem kawowym, ukochane new balance'y leżą przy drzwiach. Ubiera się niezdarnie i wygląda przez okno. Strumienie ludzi płyną po chodniku. Wszyscy trzymają w dłoniach teczki i kawę na wynos. W jakiejś alternatywnej rzeczywistości jest właśnie poniedziałek rano.

Prysznic milknie. Simon wraca do sypialni w tej samej chwili, kiedy Ian wychodzi z łazienki, biodra ma przepasane ręcznikiem.

– Hej. – Uśmiecha się do Simona, zdejmuje ręcznik i wyciera nim energicznie włosy. – Masz na coś ochotę? Chcesz kawy?

– Eee… – jąka się Simon. – Nie trzeba. – Gapi się na Iana, który podchodzi do szafy i wyciąga czarne slipy, a po nich parę cienkich czarnych skarpet. – Gdzie pracujesz?

– Martel and McRae. – Ian zapina drogo wyglądającą białą koszulę i sięga po krawat.

– Co to takiego?

– Doradztwo finansowe. – Ian marszczy brwi do lustra. – Naprawdę niewiele ogarniasz, co?

– Ej. Mówiłem, że jestem tu nowy.

– Wyluzuj. – Ian ma podejrzanie atrakcyjny uśmiech, który mógłby należeć do prawnika specjalizującego się w uszczerbkach na zdrowiu.

– A w pracy wiedzą, że wolisz facetów?

– No coś ty. – Ian wydaje z siebie krótki śmiech. – I wolałbym, żeby tak zostało.

Wychodzi z garderoby, Simon odsuwa się z przejścia.

– Słuchaj, muszę lecieć. Rozgość się, okej? Tylko upewnij się, że zamknąłeś za sobą drzwi, kiedy będziesz wychodził. Są na zatrzask. – Ian chwyta kurtkę z szafy w korytarzu, zatrzymuje się na chwilę przy drzwiach. – No, fajnie było – rzuca na pożegnanie i zostawia go samego.

Simon stoi przez chwilę w zupełnym bezruchu. Klara nie wie, dokąd poszedł. Co gorsza, Gertie pewnie odchodzi od zmysłów. Jest ósma rano, czyli w Nowym Jorku dochodzi jedenasta – sześć dni od jego wyjazdu. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zrobić coś takiego własnej matce? Znajduje na kuchennym blacie telefon. Kiedy rozlega się sygnał połączenia, Simon ma przed oczami kremowy guzikowy aparat we własnym domu. Wyobraża sobie, jak Gertie podchodzi do odbiornika – jego matka, ukochana; musi jej wszystko wytłumaczyć – i chwyta słuchawkę silną prawą ręką.

– Halo?

Tego Simon się nie spodziewał. Głos Daniela.

– Halo? – powtarza jego brat. – Jest tam kto?

Simon odkasłuje.

– Hej.

– Simon. – Daniel bierze długi, spazmatyczny oddech. – Jezu Chryste. Jezu Chryste, kurwa mać, Simon. Gdzie ty się podziewasz?

– Jestem w San Francisco.

– Razem z Klarą?

– Tak.

– Okej. – Daniel mówi powoli, kontroluje się, jakby rozmawiał z nieprzewidywalnym trzylatkiem. – A co wy robicie w San Francisco?

– Czekaj. – Simon pociera czoło, ból rozsadza mu głowę. – A ty nie powinieneś być w szkole?

– Tak – odpowiada Daniel z tym samym upiornym spokojem. – Tak, Simon, powinienem być w szkole. Chciałbyś wiedzieć, dlaczego mnie tam nie ma? Nie ma mnie w szkole, bo mama zadzwoniła do mnie w piątek wieczorem w histerii, że nie wróciłeś do domu, a ponieważ jestem dobrym synem i jedyną rozsądną osobą w tej pierdolonej rodzinie, to zostawiłem studia, żeby się nią zająć. Będę musiał wziąć dziekankę.

Simonowi wiruje w głowie. Nie jest w stanie odpowiedzieć na to wszystko na raz, więc mówi tylko:

– Varya jest rozsądna.

Daniel go ignoruje.

– Zapytam jeszcze raz. Co wy, do jasnej cholery, robicie w San Francisco?

– Postanowiliśmy wyjechać.

– No, tego już zdążyłem się domyślić. Na pewno jest klawo. A skoro już zdążyliście się wyszaleć, może porozmawiajmy o tym, co zamierzacie teraz zrobić.

Co Simon zamierza zrobić? Niebo za oknem rozlewa się w nieskończony ocean czystego błękitu.

– Sprawdzam właśnie rozkład autokarów na jutro – ciągnie Daniel. – O trzynastej z Folsom odjeżdża pociąg. Będziecie musieli przesiąść się w Salt Lake City, a potem znowu w Omaha. Bilet kosztuje sto dwadzieścia dolców i mam wielką nadzieję, że nie przejechaliście przez cały kraj bez pieniędzy. Ale jeśli jesteście głupsi, niż zakładam, to zrobię przelew na konto Klary. Wtedy będziecie musieli poczekać z wyjazdem do czwartku. W porządku? Simon? Słuchasz mnie?

– Ja nie wracam.

Simon płacze, bo właśnie do niego dotarło, że to prawda: między nim a jego dawnym domem pojawiła się ściana ze szkła. Może przez nią popatrzeć, ale nie jest w stanie przejść na drugą stronę.

Daniel łagodnieje.

– No weź, chłopie. Rozumiem, że ci ciężko. Jak nam wszystkim. Tata nie żyje – wiem, że mogłeś się szarpnąć na coś głupiego. Ale musisz zrobić to, co należy. Mama cię potrzebuje. No i sklep. Klary też potrzebujemy, ale ona jest takim… trochę beznadziejnym przypadkiem, wiesz, co mam na myśli? Słuchaj, ja wiem, jak z nią jest. Nie lubi, kiedy coś idzie nie po jej myśli, więc domyślam się, że cię do tego namówiła. Ale ona nie ma prawa wciągać cię w te swoje kretyńskie zagrywki. Jezu, przecież ty nawet nie skończyłeś liceum. Jesteś jeszcze dzieckiem.

Simon milczy. Słyszy w tle głos Gertie.

– Daniel? Z kim rozmawiasz?

– Czekaj, mamo! – krzyczy Daniel.

– Dan, zostaję tutaj. Nie wracam.

– Simon. – Głos Daniela znów twardnieje. – Wyobrażasz sobie, co tu się dzieje? Matka prawie straciła rozum. Chce dzwonić na policję. Robię, co mogę, mówię jej, że się opamiętasz, ale nie dam rady dłużej. Masz szesnaście lat, jesteś nieletni. Więc zgodnie z prawem powinniśmy to zgłosić na policję.

Simon nadal płacze. Opiera się o blat.

– Si?

Nie odpowiada. Wyciera dłońmi policzki. Delikatnie odkłada słuchawkę.

3

Do końca maja Klara zdążyła wypełnić dziesiątki aplikacji o pracę, ale nikt nie zaprasza jej na rozmowy kwalifikacyjne. Miasto się zmienia, a ona przegapiła wszystko, co najlepsze: hipisów, diggersów, psychodeliczne spotkania w parku Golden Gate. Klara chce grać na tamburynie i słuchać, jak Gary Snyder czyta poezję w Golden Gate, ale teraz roi się tam od dilerów narkotyków i gejów szukających okazji, a hipisi zmienili się w zwykłych bezdomnych. Korporacyjna część San Francisco nie jest zainteresowana Klarą, nie żeby ona była zainteresowana pracą w korporacji. Szuka szczęścia w feministycznych księgarniach w dzielnicy Mission, ale sprzedawczynie z dezaprobatą patrzą na jej zwiewne sukienki. Kawiarnie prowadzą lesbijki, które same wylewały betonowe posadzki i teraz już na pewno nie potrzebują niczyjej pomocy. W końcu Klara niechętnie składa podanie do agencji pracy tymczasowej.

– Musimy coś znaleźć, żeby utrzymać się jakiś czas na powierzchni – mówi. – Coś łatwego, żeby szybko zarobić parę groszy. To nie musi nas w żaden sposób określać.

Simon myśli o klubie na parterze. Kilka razy mijał go nocą, kiedy w środku kłębili się młodzi mężczyźni zalani oślepiającym fioletowym światłem. Następnego dnia pali papierosa przed wejściem i czeka, aż wreszcie do drzwi podchodzi mężczyzna w średnim wieku z pękiem kluczy

w dłoni – ma wściekle pomarańczowe włosy i zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu.

– Hej! – Simon zgniata niedopałek podeszwą. – Jestem Simon. Mieszkam na górze.

Wyciąga rękę. Facet przygląda mu się spod zmrużonych powiek, podaje mu dłoń.

– Benny. W czym mogę pomóc?

Simon jest ciekawy, kim był Benny przed przybyciem do San Francisco. Ma na sobie czarne dżinsy, czarne adidasy i czarny T-shirt wpuszczony w spodnie; wygląda jak techniczny z teatru.

– Szukam pracy.

Benny popycha szklane drzwi ramieniem, a potem przytrzymuje stopą, wpuszczając Simona do środka.

– Pracę, co? A ile ty masz lat?

Przechodzi przez puste pomieszczenie, włącza światła, sprawdza wytwornice dymu.

– Dwadzieścia dwa. Mógłbym robić za barem.

Simon sądził, że to zabrzmi dojrzalej niż po prostu „być barmanem”, ale teraz widzi, że się pomylił. Benny uśmiecha się krzywo i podchodzi do baru, zdejmując po kolei ustawione jeden na drugim wysokie stołki.

– Po pierwsze, to proszę mi tu nie ściemniać. Masz siedemnaście, może osiemnaście. Po drugie, nie wiem, skąd się tu wziąłeś, ale w Kalifornii trzeba mieć dwadzieścia jeden lat, żeby „robić za barem”, a ja nie zamierzam stracić koncesji przez jakieś ładne nowe mięsko. Po trzecie…

– Proszę. – Simon jest zdesperowany. Jeśli nie znajdzie pracy, a Gertie nie odpuści, będzie zmuszony wrócić do domu. – Jestem tu nowy, potrzebuję pieniędzy. Mogę robić cokolwiek – myć podłogi, przybijać pieczątki. Mogę…

Benny unosi dłoń.

– Po trzecie. Gdybym już miał cię zatrudnić, to nie stawiałbym cię na barze.

– A gdzie byś mnie postawił?

Benny zatrzymuje się na chwilę, opiera stopę o szczebel u podstawy stołka. Wskazuje na jeden z wysokich fioletowych podestów, rozstawionych w równych odległościach po całej sali.

– Tam.

– Tam? – Simon spogląda na podesty. Mają przynajmniej metr dwadzieścia wysokości i są szerokie na jakieś siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt centymetrów. – I co ja tam będę robić?

– Będziesz tańczyć, synek. Myślisz, że byś sobie poradził?

– Jasne, potrafię tańczyć – uśmiecha się szeroko Simon. – To wszystko?

– To wszystko. Masz fuksa, że Mikey w zeszłym tygodniu zrezygnował. Inaczej nic bym dla ciebie nie miał. Ale masz ładną buzię, a z makijażem… – Benny przekrzywia głowę. – Z makijażem, no, będziesz wyglądał na starszego.

– Z jakim makijażem?

– A jak ci się wydaje? Fioletowa farba. Od góry na dół. – Benny wyciąga z kąta miotłę i zaczyna zamiatać pozostałości ostatniej nocy: powyginane słomki, paragony, fioletowe opakowanie po kondomie. – Zameldujesz się dziś o siódmej. Chłopcy pokażą ci, co dalej.

* * *

Jest ich pięciu, każdy ma własny podest. Richie – czterdziestopięcioletni weteran z nabitymi mięśniami i ogoloną po wojskowemu głową – wypracował sobie miejsce numer jeden, tuż przy oknach. Podest numer dwa naprzeciwko niego zajmuje Lance, świeży przeszczep z Wisconsin –

reszta podśmiewa się życzliwie z jego szerokich uśmiechów i okrągłych kanadyjskich „o”. Trójka należy do Lady, blisko dwumetrowego tancerza drag. Na czwórce tańczy Colin, smutnooki i chudy jak poeta. Lady mówi na niego Jezusek. Adrian – diabelsko przystojny, o zupełnie bezwłosym złotobrązowym ciele – rezyduje na podeście numer pięć.

– Szóstka! – woła Lady, kiedy Simon wchodzi do garderoby. – Jak leci?

Lady jest czarna, ma wysokie kości policzkowe i ciepłe oczy w oprawie długich rzęs. Reszta mężczyzn ma na sobie tylko skąpe fioletowe stringi, ale Benny pozwala Lady występować w obcisłej mini ze sztucznej skóry – oczywiście fioletowej – i masywnych obcasach na platformie.

Potrząsa energicznie puszką fioletowego sprayu do ciała.

– Odwróć się, kotku. Ja cię zrobię.

Adrian gwiżdże przeciągle, a uśmiechnięty Simon posłusznie się odwraca. Jest już pijany. Nachyla się do podłogi, wypina tyłek wysoko do góry i potrząsa nim w stronę Lady, która aż piszczy z uciechy. Lance podkręca radio – Chic gra *Le Freak* – a Adrian wyciąga z kuferka na kosmetyki tubkę fioletowej farby. Maluje Simonowi twarz, rozprowadza mu kolorowy podkład wokół nozdrzy i wzdłuż linii włosów, potem maluje mu uszy. Kończą chwilę przed dziewiątą, kiedy już czas ustawić się jeden za drugim i wparadować na salę.

Mimo wczesnej godziny w Purp jest już gęsto od gości, a Simonowi na chwilę robi się ciemno przed oczami. Nawet w najdzikszych fantazjach o San Francisco nie wyobrażał sobie, że będzie robić coś takiego. Gdyby nie butelka Smirnoffa Klary, już odwróciłby się na pięcie, wybiegł z klubu i popędził prosto do swojego mieszkania niczym statysta-dezerter z gejowskiego porno science fiction. Ale tancerze już się rozdzielają i zajmują swoje miejsca, więc Simon ustawia się za podestem numer sześć. Ponieważ Lady jest najwyższa, podsadza każdego tancerza po kolei,

pomagając im wejść na platformy. Richie jest atletyczny i pełen energii: podskakuje w miejscu z pięścią wysoko w górze, czasami kręci nad głową niewidzialnym lasso. Lance jest uroczy, bez przerwy się wygłupia; pod jego platformą stoi już tłumek wielbicieli, pokrzykujących radośnie, kiedy wykonuje taniec kurczaka albo kierowcy autobusu. Colin kołysze się niemrawo, naćpany cytrynkami. Co jakiś czas podnosi ręce i przesuwa dłońmi w powietrzu jak mim. Adrian porusza sugestywnie biodrami, przesuwa dłońmi po kroczu. Simon musi uważać, żeby mu nie stanął od patrzenia.

Nagle pojawia się za nim Lady.

– Gotowy? – szepcze mu do ucha.

– Gotowy – przytakuje Simon i nagle wznosi się ponad tłum. Lady ustawia go na platformie, mocno trzymając go w pasie. Kiedy Lady puszcza, Simon nieruchomieje. Publiczność przygląda mu się z zaciekawieniem.

– Przywitajcie nasz nowy nabytek! – woła Richie z drugiego końca sali.

Tu i tam rozlegają się oklaski, ktoś wyje zachęcająco. Muzyka wzbiera na sile: ABBA śpiewa *Dancing Queen.* Simon przełyka ślinę. Porusza biodrami w lewo i w prawo, ale jego ruchy nie są tak płynne jak u Adriana; czuje się sztywny i niezdarny, jak pensjonarka na szkolnej potańcówce. Próbuje podskakiwać jak Richie; to przychodzi mu naturalniej, ale chyba wygląda zbyt podobnie. W końcu jedną ręką wskazuje na publiczność, a drugą opiera na biodrze.

– Dawaj, kotku! – woła czarny facet w dżinsowych szortach i białym podkoszulku. – Wysil się!

Simonowi robi się sucho w ustach.

– Spokojnie – odzywa się za jego plecami Lady. Nie odeszła jeszcze na własną platformę. – Opuść ramiona.

Nie zdawał sobie sprawy, że barki ma podniesione aż do uszu. Kiedy je rozluźnia, od razu uwalnia szyję. Nogi ma swobodniejsze. Łagodnie kołysze biodrami. Odrzuca głowę. Wsłuchuje się w muzykę, zamiast naśladować innych tancerzy, i nagle jego ciało odnajduje własny rytm, tak samo jak podczas biegania. Serce bije mu żywo, ale miarowo. Cały jest jak naelektryzowany, od czubka głowy aż po palce u stóp, poddaje się muzyce.

* * *

Kiedy następnego dnia przychodzi przed zmianą, Benny jest zajęty wycieraniem baru.

– I jak mi wczoraj poszło?

Benny unosi brwi, ale nie podnosi wzroku.

– Poszło.

– To znaczy?

Simon nadal czuje mrowienie adrenaliny na myśl, że tańczył z pięknymi, wyrzeźbionymi mężczyznami. Na samo wspomnienie bycia adorowanym. Przez jedną krótką chwilę w garderobie miał przyjaciół. Nie myślał o domu, o matce, ani co ojciec sądziłby o tej klienteli.

Benny wyciąga spod baru gąbkę i zaczyna szorować zaschniętą plamę z syropu cukrowego.

– Tańczyłeś już kiedyś?

– Jasne, że tańczyłem.

– A gdzie?

– W klubach.

– Aha, w klubach. Jak nikt ci się nie przyglądał, co? Zupełnie anonimowo w tłumie ludzi? No cóż, teraz na ciebie patrzą. A moi chłopcy? Oni potrafią tańczyć. Są dobrzy. Więc ty – Benny wskazuje na Simona gąbką – musisz za nimi nadążać.

Ta uwaga kłuje dumę Simona. Dobra, może z początku był trochę sztywny, ale pod koniec wieczoru przecież już bujał się tak samo jak reszta, nie?

– A Colin? – pyta zuchwale, naśladując mimozowate ruchy kolegi. – On nadąża?

– Colin ma manierę – wyjaśnia Benny. – Artystowskie cioty na niego lecą. Ty też musisz mieć jakiś pomysł na siebie. Nie wiem, co ty próbowałeś wczoraj zrobić. Wierciłeś się, jakbyś miał mrówki w gaciach. To się nie sprawdzi.

– Ale przecież mam formę. Dużo biegam.

– No i? Biegać może każdy. Barysznikow, Nuriejew – wystarczy tylko spojrzeć, oni nie biegają. Oni szybują w powietrzu. I dlatego są artystami. Dobrze wyglądasz, bez dwóch zdań, ale goście spodziewają się po nas pewnego poziomu. Będziesz potrzebował czegoś więcej, niż tylko ładnej buzi, żeby się tu utrzymać.

– Czyli czego jeszcze?

Benny wypuszcza powietrze.

– Osobowości. Charyzmy.

Simon przygląda się, jak Benny otwiera kasę i liczy wczorajszy utarg.

– Więc mnie zwalniasz?

– Nie, nie zwalniam. Ale chciałbym, żebyś poszedł na zajęcia. Nauczył się ruszać. Na rogu Church i Market jest szkoła, uczą baletu. Przychodzi tam sporo chłopaków, więc nie będziesz siedział z panienkami.

– Balet? – śmieje się Simon. – Weź, chłopie. To nie moja bajka.

– A myślisz, że tutaj jest twoja bajka? – Benny wyciąga z kasy dwa grube pliki banknotów i owija je recepturkami. – Nie czujesz się swobodnie, synek. To fakt. Co ci szkodzi zrobić jeszcze jeden krok?

4

Zewnątrz Akademia Baletowa San Francisco prezentuje się niepozornie: widać tylko wąskie białe drzwi. Simon wspina się po wysokich schodach, skręca w prawo na piętrze i zatrzymuje się w małej recepcji: trzeszczący biały parkiet, żyrandol nastroszony od kurzu. Nie spodziewał się, że na balecie może być tak głośno, ale tancerki trajkoczą z ożywieniem, rozciągając się pod ścianą, a mężczyźni w czarnych getrach pokrzykują do siebie i rozmasowują uda. Recepcjonistka zapisuje go na 12.30, poziom mieszany – „Pierwsze zajęcia są bezpłatne” – i wręcza mu parę czarnych baletek z kosza na rzeczy znalezione. Simon przysiada, żeby wciągnąć je na stopy. Kilka chwil później przeszklone drzwi otwierają się gwałtownie. Z sali wylewa się strumień nastolatek w granatowych kostiumach, z włosami ściągniętymi w tak ciasne koczki, że aż unoszą im brwi. Za nimi Simon widzi studio, większe niż stołówka w jego dawnej szkole. Przyciska się do ściany, żeby przepuścić dziewczęta. Musi zaprząc całą siłę woli, żeby nie rzucić się do wyjścia.

Tancerze chwytają swoje torby i butelki z wodą, po czym spokojnym krokiem ruszają na salę. To stare, dostojne pomieszczenie z wysokim sufitem i wyślizganym parkietem. Na podwyższeniu stoi fortepian. Uczniowie chwytają metalowe stojaki z drążkami do ćwiczeń i niosą je spod ścian na środek sali, podczas gdy do studia wchodzi starszy

mężczyzna. Później Simon dowie się, że to dyrektor Akademii, Gali – izraelski emigrant, który tańczył w San Francisco Ballet, zanim kontuzja pleców pogrzebała jego karierę. Wygląda na niecałą pięćdziesiątkę, ma zamaszysty krok i zbite ciało gimnastyka. Ma ogoloną głowę i nogi i jest ubrany w kasztanowy jednoczęściowy kostium z krótkimi nogawkami, odsłaniający gładkie uda oplecione węzłami mięśni.

Kiedy kładzie dłoń na drążku, na sali zapada cisza.

– Pierwsza pozycja – mówi Gali, rozsuwając stopy tak, że dotykają się piętami. – Przygotowujemy obie ręce, i proszę: raz, *plié*, wyprost, dwa. Ramię – góra, trzy, dół do *grand plié*, cztery, ręce *en bas* – pięć, góra na siedem. *Tendu* do drugiej pozycji na osiem.

Równie dobrze mógłby mówić po holendersku. Zanim kończą z przysiadami, Simona palą już kolana, czuje skurcze w stopach. Z upływem czasu ćwiczenia robią się coraz mniej zrozumiałe: *dégagés* i *ronds de jambe*, palce u nóg zataczają szerokie kręgi na podłodze, potem w powietrzu; *pirouettes* i *frappés*; *développés* – noga odchodzi od ciała, po czym składa się z powrotem – i *grand battements*, przygotowujące biodra i ścięgna do dalekich skoków. Po czterdziestu pięciu minutach morderczej rozgrzewki Simon nie wyobraża sobie ćwiczyć jeszcze drugie tyle, ale tancerze odnoszą drążki z powrotem pod ścianę i ustawiają się w centrum, jak mówi na to Gali, po czym zaczynają wykonywać ćwiczenia w rzędach. Gali przechadza się tam i z powrotem, wykrzykując rytmiczne nonsensy: „Pa-raa-pi-RUM! Pam-paa-ri-RUM!”, ale podczas piruetów pojawia się przy Simonie.

– Matko kochana. – Oczy ma ciemne i zapadnięte, ale rozżarzone jak węgle. – W pralni był strajk?

Simon ma na sobie tę samą pasiastą koszulkę z kołnierzykiem, w której przyjechał do San Francisco, a do tego szorty do biegania. Po skończonych

zajęciach pędzi do męskiej toalety, ściąga czarne baletki – podeszwy stóp już ma spuchnięte – i wymiotuje prosto do muszli.

Wyciera usta papierem toaletowym i opiera się o ścianę, dysząc ciężko. Nie zdążył zamknąć za sobą drzwi do kabiny; jakiś tancerz wchodzi do środka i zatrzymuje się w pół kroku. To bez dwóch zdań najpiękniejszy mężczyzna, jakiego Simon widział na żywo: wygląda jak wyrzeźbiony z onyksu, ma skórę w kolorze głębokiej czerni. Jego twarz jest okrągła, o kościach policzkowych zakrzywionych niczym skrzydła. Z jednego ucha zwisa mu maleńkie srebrne kółeczko.

– Hej – dyszy mężczyzna, ocierając pot z czoła. – Wszystko okej?

Simon przytakuje i niezdarnie przeciska się obok niego w drzwiach. Schodzi ostrożnie po ciągnących się w nieskończoność schodach i wypada oszołomiony na Market Street. Na dworze jest osiemnaście stopni, wieje wiatr. Pod wpływem impulsu Simon ściąga koszulkę i wyciąga ręce nad głowę. Czuje na piersi chłodny wiatr. Niespodziewanie rozsadza go euforia.

Właśnie dokonał aktu pięknego masochizmu, czegoś trudniejszego nawet od półmaratonu, który pokonał, kiedy miał piętnaście lat: wzgórza, łomot stóp i Simon pośrodku tego wszystkiego, chwytający łapczywie powietrze w biegu wzdłuż rzeki Hudson. Przesuwa palcami po czarnych baletkach, które wetknął do tylnej kieszeni spodenek. Wydaje mu się, że buty z niego szydzą. Musi stać się jak inni tancerze: sprężysty, dostojny, niezłomnie silny.

* * *

W czerwcu Castro kwitnie. Ulotki o Propozycji 6 szeleszczą na chodnikach jak liście; kwiaty w skrzynkach przelewają się i kipią w takiej obfitości, że prawie blokują drogę przechodniom. Dwudziestego piątego czerwca Simon idzie na Paradę Wolności razem z innymi tancerzami z Purp. Nie miał

pojęcia, że w całym kraju istnieje tylu homoseksualistów, a co dopiero w jednym mieście. Jest ich tu dwieście pięćdziesiąt tysięcy, wszyscy oklaskują otwierającą pochód formację lesbijek na motorach Dykes on Bikes, ludzie krzyczą z radości, kiedy pierwsza tęczowa flaga wystrzela do góry z gęstego tłumu. Harvey Milk wychyla się przez szyberdach jadącego volvo.

– Jimmy Carter! – ryczy Milk do czerwonego megafonu, wysoko nad kipiącym oceanem mężczyzn. – Mówisz o prawach człowieka! W tym kraju mieszka od piętnastu do dwudziestu milionów homoseksualistów. Kiedy przypomnisz sobie o ich prawach?

Simon całuje Lance'a, potem Richiego i wskakuje na niego, oplatając kolegę nogami w szerokiej, muskularnej talii. Po raz pierwszy w życiu chodzi na randki – tak na to mówi, choć zwykle kończy się tylko na seksie. Z tancerzem go-go z I-Beam i z baristą z Café Flore – mrukliwym Tajwańczykiem, który tak mocno leje Simona po tyłku, że chłopak jeszcze po kilku godzinach ma czerwone pośladki. Pewnego razu spędza cztery rozkoszne dni w Dolores Park z meksykańskim uchodźcą, który bez reszty zawraca mu w głowie; czwartego ranka Simon budzi się sam obok miękkiej zielono-różowej czapki Sebastiana i już nigdy więcej go nie widzi. Ale jest tylu innych: ćpun na odwyku z Alapahy w stanie Georgia; czterdziestoparoletni reporter z „Chronicle", zawsze na spidzie; steward z Australii, posiadacz największego fiuta, jakiego Simon w życiu oglądał.

W tygodniu Klara wstaje przed siódmą i wkłada jedną z dwóch nijakich beżowych garsonek z lumpeksu. Rano agencja pracy wysyła ją do firmy ubezpieczeniowej, a popołudniami na recepcję w gabinecie dentystycznym. Klara wraca w tak złym humorze, że Simon unika jej, dopóki siostra nie wypije pierwszego drinka. Klara mówi, że nienawidzi pracy u dentysty, ale to nie tłumaczy rozdrażnienia, z jakim patrzy na Simona, kiedy on

wdzięczy się przed lustrem albo wraca ze zmiany w Purp – oszołomiony, w ekstazie, ze strużkami fioletowej farby spływającymi po nogach. Simon zastanawia się, czy chodzi o wiadomości na automatycznej sekretarce. Codziennie dochodzą nowe: rozpaczliwe monologi Gertie, Daniel perorujący tonem prawnika i coraz bardziej zdesperowane prośby Varyi, która przeprowadziła się z powrotem do domu po ostatnich egzaminach.

– Simon, jeśli nie wrócisz, będę musiała odłożyć magisterkę – mówi Varya drżącym głosem. – Ktoś musi zostać z mamą. Tylko nie rozumiem, dlaczego to zawsze mam być ja.

Czasami Simon podchodzi do Klary, kiedy siostra ćwiczy jakąś nową sztuczkę ze sznurkiem albo kartą, błagając, żeby chociaż ona okazała mu zrozumienie.

– To twoja rodzina – mówi Klara, kiedy Simon kończy swój wywód. – W końcu będziesz musiał z nimi porozmawiać.

Nie teraz, myśli Simon. Jeszcze nie teraz. Jeśli odbierze telefon, ich głosy wedrą się do ciepłego, miękkiego oceanu, w którym Simon się unosi, i wyszarpną go – przemoczonego, zdyszanego – na suchy ląd.

Kiedy w lipcowe poniedziałkowe popołudnie wraca z Akademii do domu, zastaje Klarę siedzącą na materacu, z jedwabnymi szalami w dłoniach. Na ramie okna za jej plecami wisi zdjęcie matki Gertie, tej dziwnej kobiety, której drobna postać i płomienne spojrzenie zawsze wytrącały Simona z równowagi. Przypomina mu czarownicę z baśni – nie żeby było w niej coś złowieszczego. Po prostu nie wygląda ani jak dziecko, ani jak dorosła, kobieta czy mężczyzna. Jest zawieszona gdzieś pomiędzy.

– Co ty tu robisz? – pyta. – Nie powinnaś być w pracy?

– Rzucam ją.

– Rzucasz – powtarza powoli Simon. – A dlaczego?

– Bo nienawidzę tego robić. – Klara wciska jedwabną chustkę w lewą pięść. Kiedy wyciąga materiał z drugiej strony, materiał zmienia kolor z czarnego na żółty. – To chyba oczywiste.

– No, to musisz znaleźć inną pracę. Sam nie zarobię na czynsz.

– Mam tego świadomość. I znajdę. Jak myślisz, dlaczego ćwiczę? – mówi, machając szalem w stronę Simona.

– Nie bądź śmieszna.

– Spieprzaj. – Klara chwyta oba szale i chowa je do czarnego pudełka. – Uważasz, że tylko ty masz prawo robić to, co chcesz? Dajesz dupy połowie miasta. Występujesz w klubie ze striptizem i tańczysz balet, a ja nie mówię ci ani słowa. Jesteś ostatnią osobą, która ma prawo mnie powstrzymywać.

– Ale zarabiam pieniądze, nie zauważyłaś? Wywiązuję się ze swoich obowiązków.

– Wy, geje z Castro. – Klara pokazuje mu środkowy palec. – Nie myślicie o nikim, tylko o sobie.

– Co? – Słowa siostry zapiekły; Klara nigdy nie zwraca się do niego w taki sposób.

– Pomyśl, Simon. Nie widzisz, jakie seksistowskie jest Castro? Gdzie tu są kobiety? Widziałeś gdzieś jakieś lesbijki?

– A co ci to przeszkadza? Jesteś teraz lesbijką?

– Nie. – Klara potrząsa głową, nagle smutniejąc. – Nie jestem lesbijką. Ale nie jestem też gejem. Ani nawet facetem hetero. Więc gdzie jest moje miejsce?

Kiedy ich oczy się spotykają, Simon odwraca wzrok.

– Skąd niby mam wiedzieć?

– A ja? Jeśli zacznę własny show, będę mogła przynajmniej powiedzieć, że spróbowałam.

– Własny show?

– Tak – ucina ostro Klara. – Nie liczę, że zrozumiesz, Simon. Nie spodziewam się, że zainteresuje cię cokolwiek poza tobą samym.

– To ty mnie namówiłaś, żebyśmy tu przyjechali! Naprawdę sądziłaś, że tak po prostu nas puszczą? Że pozwolą nam sobie tutaj zostać, bez dyskusji?

Klara zaciska mocno zęby.

– Nie o tym myślałam.

– A o czym?

Policzki Klary przybrały barwę spalonego koralu, jaką zwykle prowokuje tylko Daniel. Klara się nie odzywa, jakby pozwalała Simonowi napawać się zwycięstwem. To do niej niepodobne – zwykle się nie hamuje. A już na pewno nie unika kontaktu wzrokowego, tak jak teraz, kiedy zapina czarne pudełko z większą uwagą, niż to konieczne. Simon myśli o ich rozmowie na dachu w tamtą majową noc. Moglibyśmy jechać do San Francisco, powiedziała, jakby dopiero co zaświtała jej ta myśl, jakby sama niezupełnie wiedziała, co robi.

– Właśnie na tym polega problem – mówi Simon. – Ty nigdy nie myślisz. Dobrze wiesz, jak się w coś wpakować i jak zawlec mnie ze sobą, ale ani przez chwilę nie zastanawiasz się nad konsekwencjami – a może zdajesz sobie z nich sprawę, ale olewasz to, dopóki nie jest za późno. A teraz chcesz jeszcze mnie o to obwiniać? Skoro jesteś taka nieszczęśliwa, to dlaczego nie wrócisz do domu?

Klara wstaje i rusza do kuchni. W zlewie piętrzy się tyle brudnych naczyń, że musieli zacząć zostawiać kolejne na blacie. Odkręca wodę, chwyta gąbkę i zaczyna szorować talerze.

– Ja wiem dlaczego – oznajmia Simon, idąc za nią. – Bo to by oznaczało, że Daniel miał rację. Że nie miałaś żadnego planu, nie potrafisz poradzić sobie sama, bez nich. Że przegrałaś.

Próbuje ją sprowokować – opanowanie siostry jest dla niego trudniejsze do zniesienia niż najgorszy wybuch złości – ale Klara nie otwiera ust, tylko ściska gąbkę tak mocno, że aż bieleją jej kostki.

* * *

Simon wie, że zachowuje się samolubnie. Ale myśli o rodzinie codziennie szumią mu z tyłu głowy. W pewnym sensie to dla nich nadal chodzi na zajęcia w Akademii: chce udowodnić, że jego życie to nie tylko rozpusta, że jest też zdolny do dyscypliny i pracy nad sobą. Każdy jego wyskok, wyrzut nogi, idealny obrót jest napędzany poczuciem winy.

Oczywiście ironia polega na tym, że Saul byłby zbulwersowany, gdyby usłyszał, że jego syn uczy się baletu. Ale Simon wierzy, że gdyby ojciec żył i przyszedł zobaczyć go na treningu, przekonałby się, jakie to trudne. Sześć tygodni zajęła mu nauka wspinania się na czubki palców, jeszcze dłużej opanowywał sztukę stawiania stóp w pierwszej pozycji tak, by tworzyły jedną poziomą linię. Pod koniec lata ból w całym ciele zaczął ustępować. Simon zdołał sobie zapracować na większą porcję uwagi Galego. Podoba mu się rytm studia i to, że ma dokąd pójść. Zdarzają się ulotne chwile, kiedy studio przypomina mu dom, i nie jest jedynym wychowankiem Akademii, który szuka tu swojego miejsca. Jest też Tommy, zachwycający siedemnastolatek, dawniej uczeń londyńskiej Royal Ballet; jest Beau z Missouri, który potrafi zrobić osiem obrotów w jednym piruecie; Eduardo i Fauzi, bliźniacy z Wenezueli, którzy przyjechali na północ na stopa w ciężarówce z transportem soi.

Wszyscy czterej należą do grupy tanecznej Akademii – Corps. W większości grup baletowych tancerze dostają role nijakich blond książąt albo robią za meble do podtrzymywania tancerek – ale Gali tworzy współczesną, akrobatyczną choreografię, więc na dwanaścioro członków

Corps aż siedmiu to mężczyźni. Wśród nich jest Robert, na którego Simon wpadł pierwszego dnia, gdy wymiotował w toalecie. Od tamtej pory unika kontaktu wzrokowego, ale Robert chyba nawet tego nie zauważył: przed treningiem inni tancerze rozciągają się wspólnie, ale on rozgrzewa się sam pod oknem.

– Snob – prycha Beau.

Kończy się sierpień; zimne wiatry przyniosły do Castro mgłę znad Sunset, Simon nadal nosi czarne getry, ale na białą koszulkę wkłada bluzę. Kręci prawą stopą, krzywiąc się, gdy strzela mu w kostce.

– Ktoś wie, co to za jeden?

– W sensie chcesz wiedzieć, czy jest pedałem? – upewnia się Tommy, tłukąc się pięściami w górę i w dół po udach.

– Pytanie za milion dolarów – mruczy Beau. – Gdybym tylko wiedział.

Roberta wyróżnia nie tylko jego samotnicza natura. Wyskakuje o kilometr wyżej niż reszta, w obrotach dorównuje mu tylko Beau („Kutas”, mruczy pod nosem Beau, kiedy Robert wykonuje ośmiokrotny piruet, przebijając go o dwa obroty) – no i oczywiście jest czarny. Ale Robert jest nie tylko czarnym facetem w białym Castro. Jest też czarnym baletmistrzem, a to jeszcze rzadsze zjawisko.

Simon zostaje po zajęciach, żeby popatrzeć, jak Robert ćwiczy *Narodziny Człowieka* – to najnowsze dzieło Galego. Pięciu mężczyzn układa ciała w tunel: dotykają się zgiętymi kolanami, wykręcają plecy, splatają ramiona nad głowami. Robert jest Człowiekiem. Przeciska się wzdłuż tunelu, prowadzony przez Beau, położnego. Pod koniec Robert wynurza się z ludzkiej tuby i tańczy rozdygotane solo, zupełnie nagi z wyjątkiem ciemnobrązowych stringów.

Corps wystawia spektakle w teatrze eksperymentalnym na Fort Mason, który znajduje się w jednym z odremontowanych baraków wojskowych

w zatoce San Francisco. Kiedy przenoszą tam próby do przedstawienia, Simon przychodzi pomagać: robi notatki dla Galego albo przykleja taśmą oznaczenia dla tancerzy na scenie. Pewnego popołudnia Simon wychodzi na zewnątrz i widzi Roberta, palącego papierosa na doku. Tancerz słyszy kroki Simona, odwraca się i kiwa mu głową, dość przyjaźnie. To nie do końca wygląda jak zaproszenie, ale nogi same niosą Simona w jego stronę. Wchodzi na dok i przysiada na krawędzi.

– Palisz? – Robert podsuwa mu paczkę.

– Jasne. – Simon jest zaskoczony; Robert jest znany ze świra na punkcie zdrowia. – Dzięki.

Mewy krążą im nad głowami, nawołują; słonawy zapach wody wypełnia Simonowi nozdrza. Odkasłuje.

– Świetnie wypadłeś.

Robert potrząsa głową.

– Męczę się z tymi *tours*.

– *Tours jetés*? – upewnia się Simon; czuje ulgę, że zdołał zapamiętać tę nazwę. – Jak dla mnie wyglądały fantastycznie.

– Łagodnie mnie oceniasz.

– Wcale nie. Taka jest prawda. – Natychmiast żałuje, że to powiedział. Zabrzmiał jak jakiś rozmaślony wielbiciel.

– Okej. – Oczy Roberta lśnią. – W takim razie co mógłbym poprawić?

Simon desperacko szuka odpowiedzi – mógłby się z tego wykluć nawet flirt – ale w jego oczach technika Roberta jest bezbłędna.

– Mógłbyś być milszy – mówi zamiast tego.

Robert marszczy brwi.

– Uważasz, że nie jestem miły.

– Niespecjalnie. Sam się rozgrzewasz. Nigdy się do mnie nie odezwałeś. Chociaż z drugiej strony – dodaje po chwili – ja też nigdy do ciebie nie

zagadałem.

– Rozumiem – mówi Robert. Siedzą chwilę w przyjaznej ciszy. Drewniane mola leżą na wodzie jak pnie drzew. Co jakiś czas na którymś z nich przysiada ptak, skrzeczy władczo, a po chwili odlatuje z ciężkim trzepotem skrzydeł. Simon przygląda się temu, kiedy nagle Robert się odwraca, opuszcza głowę i całuje go w usta.

Simon jest oszołomiony. Siedzi nieruchomo, jakby najmniejsze drgnięcie miało sprawić, że Robert zerwie się do lotu tak jak mewa. Jego wargi są rozkosznie pełne; smakuje potem, papierosami i odrobinę solą. Simon zamyka oczy. Gdyby nie siedział, zmiękłyby mu kolana i osunąłby się prosto do wody. Kiedy Robert się odsuwa, Simon wychyla się do przodu, jakby chciał znów pochwycić jego usta, i prawie traci przy tym równowagę. Robert ze śmiechem kładzie mu dłoń na ramieniu, chroniąc przed upadkiem.

– Nie wiedziałem… – Simon potrząsa głową. – Nie wiedziałem… że ci się podobam.

Już miał powiedzieć: że lubisz facetów. Robert wzrusza ramionami, ale to nie jest lekceważący gest. Widać, że się nad czymś zastanawia, wzrok ma nieobecny, ale skupiony na jakimś punkcie pośrodku zatoki. Potem znów spogląda na Simona.

– Ja też nie wiedziałem.

5

Wieczorem Simon wraca pociągiem do mieszkania. Na samo wspomnienie warg Roberta jest tak podniecony, że nie jest w stanie o niczym myśleć – nie może doczekać się chwili, kiedy wejdzie do mieszkania i natychmiast zacznie się dotykać, szarpać, przywołując wspomnienie niewysłowionej intensywności tego pocałunku. Dopiero w połowie ulicy zauważa radiowóz zaparkowany przed jego domem.

O maskę opiera się policjant. Szczupły, rudowłosy, niewiele starszy od niego.

– Simon Gold?

– Aha – przytakuje Simon, zwalniając kroku.

Gliniarz otwiera tylne drzwi auta i kłania się teatralnie.

– Zapraszam.

– Co? Jak to?

– Porozmawiamy na komendzie.

Simon chce zadać więcej pytań, ale obawia się, że tym samym dostarczy policjantowi nowych wiadomości – jeśli nie wie, że Simon jest nieletni, lecz mimo to pracuje w Purp, to od niego się nie dowie. Ledwie jest w stanie przełknąć ślinę; coś twardego wielkości pięści utkwiło mu w gardle, coś jak figa. Tylne siedzenie jest z twardego czarnego plastiku. Rudy siada w fotelu na przedzie, odwraca się, patrzy podejrzliwie na

Simona i zasuwa dźwiękoszczelną ściankę. Kiedy parkują przed komisariatem przy Mission Street, policjant prowadzi go do środka przez labirynt pomieszczeń pełnych umundurowanych mężczyzn. W końcu wchodzą do małego pokoju przesłuchań z plastikowym stolikiem i dwoma krzesłami.

– Siadaj – nakazuje glina.

Na blacie stoi odrapany czarny telefon. Facet jedną ręką wyjmuje z kieszeni koszuli pognieciony świstek, a drugą wciska guziki telefonu. Podaje Simonowi słuchawkę, ale on tylko patrzy niechętnie na odbiornik.

– A ty co, ciemny? – pyta policjant.

– Spieprzaj – mamrocze Simon.

– Coś ty powiedział?

Facet chwyta go za barki i popycha. Krzesło odsuwa się ze zgrzytem, Simon ledwo utrzymuje równowagę. Kiedy wraca do stołu i sięga po słuchawkę, czuje pulsowanie w lewym ramieniu.

– Halo?

– Simon.

Kogo innego się spodziewał? Simon ma ochotę walnąć się w głowę za własną głupotę.

Gliniarz i ból w barku natychmiast rozpływają się w nicość.

– Mama – mówi.

To okropne: Gertie płacze tak samo jak na pogrzebie Saula, zanosi się ciężkim szlochem prosto z trzewi, jakby próbowała pozbyć się jakiegoś uczucia, które utkwiło jej głęboko w żołądku.

– Jak mogłeś? Jak mogłeś mi to zrobić?

Simon krzywi się boleśnie.

– Przykro mi.

– Przykro. W takim razie rozumiem, że zaraz się spakujesz i wrócisz do domu.

W jej głosie brzmi gorycz, którą słyszał już wcześniej, ale nigdy w stosunku do siebie. Jego pierwsze wspomnienie: miał dwa lata i leżał na kolanach matki, a ona przeczesywała mu loki palcami. Jak aniołek, gruchała. Cherubinek. Tak, zostawił ich – wszystkich – ale ją najbardziej.

A jednak.

– Naprawdę mi przykro. Że to zrobiłem, że cię zostawiłem. Ale nie mogę… Ja nie… – urywa, próbuje jeszcze raz. – Ty wybrałaś własną drogę w życiu, mamo. Ja też chcę żyć po swojemu.

– Nikt nie wybiera sobie życia. A już na pewno nie ja. – Gertie śmieje się zgrzytliwie. – Wiesz, jak to tak naprawdę wygląda? Podejmujesz decyzje. A potem one podejmują następne. Twoje decyzje zaczynają decydować. Idziesz na studia – Boże kochany, kończysz szkołę – i już przechylasz szalę na swoją korzyść. A to, co ty teraz wyprawiasz… Pojęcia nie mam, co z tobą będzie. Ty też tego nie wiesz.

– Ale właśnie o to chodzi. Nie przeszkadza mi to. Wolę nie wiedzieć.

– Dałam ci czas – oznajmia Gertie. – Powiedziałam sobie, tylko poczekaj. Jeśli poczekasz, to wróci mu rozum. Ale nic z tego.

– Mamo, ja mam rozum. Właśnie dlatego tu jestem.

– A czy chociaż raz pomyślałeś o sklepie?

Simonowi robi się gorąco.

– Na tym ci zależy?

– Nazwa – mówi Gertie, głos jej się załamuje. – Zmieniła się nazwa. Już nie Zakład Modniarski Golda, tylko Milavetza. Arthur go przejął.

Simona zalewa fala wstydu. Ale przecież to Arthur zawsze zachęcał Saula do bardziej postępowego podejścia. Fasony, w których specjalizował się Saul – gabardynowe spodnie, garnitury o szerokich klapach

i nogawkach – były już na wylocie, kiedy Simon się urodził. Czuje pewną ulgę na myśl, że w rękach Arthura zakład nie przestanie istnieć.

– Arthur będzie dobrym szefem. Firma utrzyma się na rynku, będzie na czasie.

– Nie obchodzą mnie sukcesy. To na rodzinie mi zależy. Pewne rzeczy po prostu należy zrobić dla ludzi, którzy zrobili to samo dla ciebie.

– Ale czasami trzeba coś zrobić tylko dla siebie.

Nigdy wcześniej nie odezwał się tak do matki, ale teraz aż go skręca, żeby ją przekonać. Wyobraża sobie Gertie oglądającą go w Akademii. Myśli, jak oklaskiwałaby go z opuszczanego pluszowego krzesełka, widząc jego skoki i piruety.

– O, tak. Mnóstwo rzeczy robisz dla siebie. Klara powiedziała mi, że jesteś teraz tancerzem.

Ze słuchawki wylewa się tak dosadne obrzydzenie, że gliniarz zanosi się śmiechem.

– Owszem – mówi Simon, patrząc na niego niechętnie. – No i?

– Nie rozumiem. W całym życiu ani dnia nie przetańczyłeś.

Co Simon miałby jej powiedzieć? Dla niego to stanowi taką samą zagadkę: jak coś, co dawniej nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, przez co czuje ból, wyczerpanie, a nierzadko wstyd, stało się dla niego ścieżką do czegoś zupełnie nowego. Kiedy obciąga stopę, cała jego noga wydłuża się o parędziesiąt centymetrów. Podczas wyskoków zawisa w powietrzu długie minuty, jakby wyrosły mu skrzydła.

– No cóż, teraz tańczę.

Po drugiej stronie słychać długi, spazmatyczny wydech. Gertie milknie. A w tej ciszy – którą w innych okolicznościach matka wypełniłaby kolejnymi argumentami albo nawet groźbami – Simon słyszy swoją

wolność. Gdyby w Kalifornii ucieczka z domu była nielegalna, już siedziałby w kajdankach.

– Skoro podjąłeś decyzję – oznajmia w końcu matka – to nie chcę, żebyś wracał.

– Nie chcesz… co?

– Nie chcę – mówi Gertie powoli i wyraźnie – żebyś tu wracał. Podjąłeś decyzję. Zostawiłeś nas. Więc teraz z tym żyj. Zostań sobie tam.

– Jezu, mama – mamrocze Simon, przyciskając telefon do ucha. – Nie dramatyzuj.

– Podchodzę do tego bardzo realistycznie, Simon. – Następuje krótka przerwa, gdy Gertie wciąga powietrze. A potem Simon słyszy ciche kliknięcie i w słuchawce zapada martwa cisza.

Oszołomiony ściska telefon w dłoni. Czy nie tego właśnie chciał? Matka się go zrzekła, dała mu świat, o którym tak gorąco marzył. A mimo to kłuje go nagły strach: filtr spadł z soczewki, zniknęła siatka bezpieczeństwa. Kręci mu się w głowie od przerażającej niezależności.

Gliniarz odprowadza Simona do wyjścia. Kiedy wychodzą przed komendę, rudy chwyta go za koszulkę na karku i szarpie do góry z taką siłą, że Simon aż staje na palcach.

– Uciekinierzy. Wiesz co, rzygać mi się przez was chce.

Simon zachłystuje się powietrzem. Szuka na betonie oparcia dla stóp. Oczy policjanta mają kolor whisky, okalają je rzadkie rzęsy. Policzki ma usiane piegami. Na czole, tuż przy linii włosów, widać zbitkę małych okrągłych blizn po trądziku.

– Kiedy byłem mały – mówi glina – codziennie zwalały się tu tabuny ludzi. Sądziłem, że w końcu się połapiecie, że nikt was tu nie chce, ale wy dalej przyjeżdżacie i zatykacie cały system jak smalec w odpływie. Nie robicie ze swoim życiem nic pożytecznego, tylko pasożytujecie na tym

mieście. Ja urodziłem się na Sunset, tak samo jak moi rodzice i ich rodzice, i tak dalej, aż do pierwszych krewnych, którzy przyjechali tu z Irlandii, i nawet nie liczę tych, którzy po drodze padli z głodu. Wiesz, co sobie myślę? – Gliniarz nachyla się bliżej, wargi ma ściśnięte w różowy supeł. – Zasługujecie na to, co się z wami dzieje.

Simon wyrywa się z uchwytu, zanosi się kaszlem. Kątem oka widzi rudą smugę, która po chwili wyostrza się i przeistacza w jego siostrę. Klara stoi u stóp schodów, ma na sobie czarną sukienkę mini z poduszkami na ramionach i bordowe martensy. Włosy powiewają za nią niczym peleryna. Wygląda jak superbohaterka, jak posągowa bogini zemsty. Jak ich matka.

– Co ty tu robisz? – dyszy Simon.

– Benny powiedział mi, że widział radiowóz. Tu jest najbliższa komenda. – Klara wbiega po granitowych stopniach i zatrzymuje się tuż przed policjantem. – Co ty, kurwa, robisz z moim bratem?

Gliniarz mruga, widać, że go zatkało. Coś przeskakuje między nim a Klarą, Simon nie może tego zobaczyć, ale czuje: iskry, żar, wściekłość rozgrzana jak kawałek metalu. Kiedy Klara obejmuje Simona ramieniem, młody policjant aż kurczy się w sobie. Wygląda tak heterycko, tak bardzo nie pasuje do tego nowego świata San Francisco, że Simonowi prawie robi się go szkoda.

– Jak się nazywasz? – pyta Klara. Mrużąc oczy, przygląda się malutkiej przypince na niebieskiej koszuli gliniarza.

– Eddie – mówi policjant, unosząc brodę. – Eddie O’Donoghue.

Ręka Klary na ramionach Simona nawet nie drgnie, niedawne urazy odeszły w zapomnienie. Pod jej skrzydłami Simon czuje się bezpiecznie i myśli o Gertie, aż coś wzbiera mu w gardle. Ale Eddie nadal wpatruje się w Klarę, policzki ma zaróżowione i nieco sflaczałe, jakby siostra Simona była jakimś mirażem, a nie prawdziwą osobą.

– Zapamiętam – oznajmia Klara.

A potem prowadzi Simona po schodach, zabierając go z komendy w samo serce dzielnicy Mission. Jest prawie trzydzieści stopni. Mijają stragany porozstawiane wzdłuż chodnika, na których obfitość owoców przelewa się jak w Edenie, i nikt nie próbuje ich zatrzymać.

6

Czego się napijesz? – pyta Simon. Przetrząsa maleńką spiżarkę, która tak naprawdę jest tylko szafką z kilkoma rozchybotanymi półkami do przechowywania zapasów trwałych produktów: pudełek z płatkami, puszek zupy, alkoholu. – Mogę ci zrobić wódkę z tonikiem, Danielsa z colą…

Październik: rześkie srebrnoszare dni, dynie ustawione na schodkach przed wejściem do Akademii. Ktoś ubrał sztucznego kościotrupa w szpongi i posadził na recepcji. Simon i Robert regularnie wymieniają czułości w Akademii – całują się przed treningiem w męskiej toalecie albo w pustej szatni – ale Robert nigdy wcześniej nie odwiedził Simona w mieszkaniu.

– Nie piję – informuje, zapadając się w turkusowy fotel.

– Nie? – Simon wyciąga głowę z szafki i uśmiecha się szeroko, kładzie dłoń na drzwiczkach. – Na pewno mam tu gdzieś trochę zioła, jeśli wolisz.

– Nie palę takich rzeczy.

– Nic nie masz na sumieniu?

– Nic.

– Z wyjątkiem mężczyzn – podpowiada Simon.

Za oknem w salonie kołysze się gałąź, na chwilę zasłania słońce. Uśmiech znika z twarzy Roberta jak zdmuchnięty.

– To nie jest żaden grzech.

Wstaje i podchodzi do umywalki, mijając Simona bez słowa. Nalewa sobie szklankę wody z kranu.

– Ej, stary. To ty masz ciśnienie, żeby trzymać te sprawy w tajemnicy.

W Akademii Robert nadal rozgrzewa się samotnie na uboczu. Raz zdarzyło się, że Beau zobaczył ich, jak wychodzili razem z toalety, włożył oba małe palce do ust i gwizdnął przeciągle, ale kiedy potem próbował podpytywać Simona, ten zamarkował niewinne zaskoczenie. Wyczuwa, że Robert nie byłby zadowolony, gdyby zaczął o tym rozpowiadać. A te chwile z Robertem – jego niski, szemrzący śmiech, jego dłonie na twarzy Simona – są zbyt wspaniałe, by tak lekkomyślnie je zaprzepaścić.

Robert opiera się o umywalkę.

– To, że o tym nie mówię, nie znaczy, że robię z tego tajemnicę.

– Co za różnica? – Simon zahacza palcami wskazującymi o szlufki w spodniach Roberta. Nigdy nie sądził, że będzie miał dość odwagi na taki gest, ale San Francisco to narkotyk. Mieszka tu dopiero pięć miesięcy, ale ma wrażenie, że jest o dziesięć lat starszy.

– Kiedy przychodzę do studia, jestem w pracy – wyjaśnia Robert. – Nie dzielę się życiem prywatnym z szacunku – do miejsca pracy i do ciebie.

Simon przyciąga go bliżej, aż naciskają na siebie biodrami. Przysuwa wargi do jego ucha.

– Nie musisz mnie szanować. Zeszmać mnie.

– Nie chcesz tego – śmieje się Robert.

– Chcę. – Simon rozpina mu spodnie i wpycha dłoń do środka. Chwyta penisa Roberta i ściska, poruszając dłonią w górę i w dół. Jeszcze ani razu nie uprawiali seksu.

Robert robi krok w tył.

– Daj spokój. Nie bądź taki.

– Jaki?

– Łatwy.

– Fajny – poprawia go Simon. – Stanął ci.

– No więc?

– Więc? – powtarza Simon. Więc o to chodzi, chce powiedzieć, więc proszę, daj. Ale z jego ust wypada coś zupełnie innego. – Więc zerżnij mnie jak zwierzę.

Ten reporter z „Chronicle” mu tak kiedyś powiedział. Robert wygląda, jakby znowu miał się roześmiać, ale zamiast tego krzywi wargi w grymasie.

– Wiesz, że to, co tu robimy, ty i ja, to nic złego, prawda? Nie ma w tym nic złego.

Gorąco rozlewa się Simonowi po szyi.

– No pewnie, że wiem.

Robert zgarnia kurtkę z oparcia turkusowego fotela i wkłada jednym ruchem.

– Na pewno? Bo czasami poważnie się zastanawiam.

– Ej – woła za nim Simon w panice. – Nie wstydzę się, jeśli o to ci chodzi.

Robert przystaje w progu.

– To dobrze – mówi.

Zamyka za sobą drzwi i znika na klatce schodowej.

* * *

Podczas zamachu na Harveya Milka Simon siedzi w garderobie Purp i czeka, aż zacznie się zebranie zespołu. Jest 11.30 rano, poniedziałek – tancerze są niezadowoleni, że musieli tu przyjść w wolnym czasie, i mają pretensje do Benny’ego, który się spóźnia. Dla zabicia czasu włączają telewizor. Lady leży na ławce z zimnymi torebkami herbaty na oczach; Simonowi przepadły poranne zajęcia w Akademii. Wszystkich przytłacza

ponura bezsilność: zaledwie tydzień temu Jim Jones zaprowadził tysiące członków swojej sekty w Gujanie na śmierć.

Cały ekran wypełnia twarz Diane Feinstein, która oznajmia drżącym głosem:

– Mam w obowiązku poinformować, że burmistrz George Moscone oraz radny Harvey Milk zostali postrzeleni ze skutkiem śmiertelnym.

Na te słowa Richie krzyczy tak głośno, że Simon zrywa się z krzesła. Colin i Lance są sztywni i oniemiali, ale Adrian i Lady zanoszą się łzami. Kiedy Benny wreszcie się pojawia, jest blady i udręczony; wszystkie ulice wokół kompleksu Civic Center zostały zablokowane, więc utknął w korku. Oczy ma różowe i zapuchnięte. Purp będzie dziś zamknięty. Wieszają na drzwiach czarny szal Lady, a wieczorem razem z całym Castro idą na marsz.

Jest późny listopad, ale ulice rozgrzewa ciepło tysięcy ciał. Tłum jest tak potężny, że Simon musi iść okrężną drogą, żeby kupić świeczki.

Sprzedawca daje mu dwanaście w cenie dwóch, a do tego papierowe kubeczki, żeby płomień nie zgasł na wietrze. W kilka godzin dołącza do nich pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Marsz do ratusza prowadzi dźwięk jednego bębna, a ci, którzy płaczą, robią to w milczeniu. Twarz Simona jest śliska od łez. Chodzi o Harveya, ale też o coś więcej. Ten tłum, niczym dzieci opłakujące ojca, przypomina Simonowi o jego własnych rodzicach – stracił już oboje. Kiedy Chór Gejów San Francisco śpiewa hymn Mendelssohna – *Panie, Ty jesteś naszą ostoją* – Simon zwiesza nisko głowę.

Kto jest jego Bogiem, jego ostoją? Simon raczej nie wierzy w Boga, ale z drugiej strony nigdy nie odniósł wrażenia, że Bóg wierzy w niego. Według Księgi Kapłańskiej Simon jest obrzydliwością. Jaki Bóg stworzyłby osobę, której aż tak nie akceptuje? Przychodzą mu do głowy tylko dwie odpowiedzi: albo Boga nie ma w ogóle, albo Simon był

pomyłką, spieprzonym eksperymentem. Nigdy nie potrafił ocenić, która możliwość bardziej go przeraża.

Kiedy ociera policzki, orientuje się, że masa żałobników zdążyła pochłonąć pozostałych tancerzy z Purp. Simon rozgląda się w tłumie, aż dostrzega znajomą twarz. Ciepłe, ciemne oczy; srebrny błysk w płatku ucha kołyszący się nad jasną białą świecą. Robert.

Prawie nie rozmawiali od tamtego październikowego wieczoru w mieszkaniu Simona, ale teraz przepychają się przez gęstwinę ciał, wyciągają ku sobie ręce i spotykają się gdzieś pośrodku tego oceanu.

* * *

Kawalerka Roberta kryje się przy jednej ze stromych, krętych uliczek koło Randall Park. Kiedy tylko klucz zgrzyta w zamku, wpadają do przedpokoju, ściągają sobie koszule i grzebią przy sprzączkach pasków. Opadają na podwójne łóżko przy oknie, Simon pieprzy Roberta, a Robert jego. Wkrótce jednak to przestaje przypominać pieprzenie; gdy opada pierwsza fala gorączkowego oszołomienia, Robert jest ciepły i uważny, wchodzi w Simona z takim uczuciem – uczuciem do kogo? Simona? Harveya? – że Simona ogarnia niezwykłe onieśmielenie. Robert bierze penisa Simona w usta i zaczyna ssać. Kiedy podniecenie już niemal go rozsadza, Robert spogląda na niego z dołu. Patrzą sobie w oczy z taką intensywnością, że Simon nachyla się do przodu i bierze głowę Roberta w dłonie, gdy dochodzi.

Już po wszystkim Robert zapala lampkę przy łóżku. Jego mieszkanie nie jest urządzone po spartańsku, jak spodziewał się Simon. Wypełniają je przedmioty znalezione przez Roberta podczas pierwszego międzynarodowego tournée Corps: malowane rosyjskie miski, dwa sznury japońskich żurawi. Nawet prezerwatywy trzyma w maleńkim

lakierowanym pudełeczku. Drewniana półka naprzeciwko łóżka jest zapełniona książkami – *Sula* Toni Morrison, *The Football Man* Arthura Hopcrafta – a na ścianie wąskiej kuchni wiszą patelnie i garnki. Wejścia do sypialni strzeże kartonowa postać: futbolista naturalnych rozmiarów, w locie chwytający piłkę.

Opierają się o poduszki, żeby zapalić.

– Spotkałem go kiedyś – odzywa się nagle Robert.

– Kogo? Milka?

Robert kiwa głową.

– To było zaraz po tym, jak przegrał swoją drugą kampanię – w siedemdziesiątym piątym? Zobaczyłem go w barze na tej ulicy, gdzie jest sklep z aparatami fotograficznymi. Grupa facetów podniosła go do góry, a on tak się śmiał, że pomyślałem: takiego człowieka potrzebujemy. Kogoś, kto się nie podda. Nie takiego zgorzkniałego dziada jak ja.

– Harvey był od ciebie starszy – Simon się uśmiecha, ale uświadamia sobie, że użył czasu przeszłego, i poważnieje.

– No. Ale się tak nie zachowywał. – Robert wzrusza ramionami. – Widzisz, ja nie chodzę na parady. Ani do klubów. A już na pewno nie do sauny.

– Dlaczego nie?

Robert przygląda mu się uważnie.

– A ilu widziałeś tam takich facetów jak ja?

– Na Castro są też czarni – Simon się rumieni. – Chociaż chyba niewielu.

– No, niewielu. A spróbuj mi jeszcze znaleźć takiego, co tańczy w balecie. – Robert gasi papierosa. – Pamiętasz tego glinę, który cię zgarnął? Pomyśl, co by zrobił, gdybyś wyglądał tak jak ja.

– Coś gorszego – mówi Simon. – Wiem.

Tak bardzo zależy mu na Robercie, że nie ma ochoty mierzyć się z oczywistą różnicą między nimi. Chciałby, żeby homoseksualność ich zrównała. Ale Simon może ukryć swoją orientację. Robert nie ukryje tego, że jest czarny, a w Castro mieszkają prawie sami biali.

Robert zapala kolejnego papierosa.

– A ty dlaczego nie bywasz w saunach?

– Kto powiedział, że nie bywam? – protestuje, ale Robert tylko prycha, więc Simon się śmieje. – Poważnie? Trochę mnie przerażają. Nie wiem, czy bym to udźwignął.

Czy można przedawkować przyjemność? Kiedy Simon wyobraża sobie sauny, ma przed oczami karnawał rozpusty, podziemny świat tak nieskończenie głęboki, że byłby w stanie pochłonąć go na zawsze. Nie okłamuje Roberta – naprawdę boi się, że mógłby tego nie udźwignąć – ale boi się też, że wręcz przeciwnie, jego łakomstwo okaże się nie mieć brzegów ani dna.

– Ta, wiem. – Robert marszczy nos. – Ohyda.

Simon podpiera się na ramieniu.

– To dlaczego przyjechałeś do San Francisco?

Robert unosi brew.

– Przyjechałem do San Francisco, bo nie miałem wyboru. Jestem z Los Angeles. Południowocentralna dzielnica Watts. Słyszałeś o niej kiedyś?

– Tam były zamieszki. – Simon kiwa głową.

W 1965 roku, kiedy Simon miał cztery lata, Gertie zabrała go raz z Klarą do kina, kiedy starsze rodzeństwo było w szkole. Wprawdzie nie przypomina sobie filmu, ale zapamiętał kronikę wyświetlaną zaraz przed nim. Najpierw rozległy się radosne trąbki Universal City Studios, a potem znajomy, rytmiczny głos Eda Herlihy’ego, zupełnie niepasujące do czarno-białego nagrania, które nastąpiło po zapowiedzi. Ciemne ulice pełne dymu,

budynki stojące w płomieniach. Muzyka przybrała złowróżbny ton, a Ed Herlihy opisywał czarnych zakapiorów rzucających cegłami, snajperów strzelających z dachów do strażaków, szabrowników wynoszących alkohol i kojce dla dzieci – ale Simon widział tylko policjantów w kamizelkach kuloodpornych, z bronią w ręku, maszerujących przez puste ulice. W końcu pojawiło się dwóch czarnych, ale to nie mogli być ci gangsterzy, o których mówił Ed Herlihy: zakuci w kajdanki szli ze stoickim spokojem w otoczeniu białych funkcjonariuszy, nie stawiając żadnego oporu.

– No. – Robert gasi niedopałek w małym niebieskim naczynku. – W szkole nieźle sobie radziłem – moja mama była nauczycielką – ale moim prawdziwym atutem była siła fizyczna. Futbol, to była moja gra. W liceum zwerbowali mnie do szkolnej reprezentacji, byłem tylnym obrońcą. Mama spodziewała się, że dostanę stypendium sportowe na studia. A kiedy z Missisipi przyjechał rekruter na zwiady, też zacząłem tak myśleć.

Inni faceci nie rozmawiają tak z Simonem. Szczerze mówiąc, z innymi facetami Simon w ogóle niewiele rozmawia, a już na pewno nie o rodzinie. Ale tak to już jest z większością mężczyzn w Castro – unoszą się w czasie jak owady w bursztynie, nie chcą spoglądać za siebie.

– I dostałeś to stypendium? – pyta.

Robert milknie. Przygląda się Simonowi, jakby ważył jakąś myśl.

– Byłem bardzo blisko z takim jednym chłopakiem z drużyny – mówi. – Nazywał się Dante. Ja grałem w obronie, Dante był skrzydłowym. Miałem wrażenie, że jest inny od reszty. A on zauważył, że ja też jakoś się od nich różnię. Przez długi czas do niczego między nami nie doszło, aż do trzeciej klasy liceum, do ostatniego treningu poza sezonem. Dante był o rok starszy i tego lata wyjeżdżał na stypendium do Alabamy. Domyślałem się, że już więcej się nie zobaczymy. Odczekaliśmy, aż wszyscy wyjdą z szatni,

zupełnie nie spieszyliśmy się z przebieraniem w normalne ciuchy. A potem znowu je zdjęliśmy.

Robert zaciąga się papierosem i wypuszcza powietrze z płuc. Simon nadal widzi za oknem maszerujący tłum. Każda świeczka oznacza jedną osobę. Migoczą białym światłem jak zakotwiczone gwiazdy.

– Mógłbym przysiąc, że nikogo tam nie było. Ale chyba jednak ktoś wszedł i nas zobaczył. Następnego dnia wykopali mnie z drużyny, a Dante stracił stypendium. Nawet nie pozwolili nam zabrać naszych rzeczy z szatni. Ostatni raz widziałem go na przystanku autobusowym. Miał czapkę naciągniętą mocno na oczy. Szczęka aż mu drżała. I patrzył, jakby chciał mnie zabić.

– Jezu. – Simon poprawia się na łóżku. – Co się z nim potem stało?

– Grupa chłopaków z drużyny go dopadła. Mnie też, ale nie załatwili mnie tak jak jego. Byłem wyższy, silniejszy. W końcu byłem obrońcą, nie? Ale nie Dante. Rozwalili mu twarz, złamali kręgosłup kijem bejsbolowym. A potem zaciągnęli na boisko i przywiązali do ogrodzenia. Powiedzieli, że jeszcze oddychał, kiedy go zostawili, ale jakim trzeba być posranym kretynem, żeby w to uwierzyć?

Simon potrząsa głową. Mdli go z przerażenia.

– Otóż trzeba być sędzią, bo on uwierzył – wyjaśnia Robert. – Uznałem, że oszaleję, jeśli tam zostanę. Dlatego przyjechałem do San Francisco. Zacząłem brać lekcje tańca, bo wiedziałem, że to jedyne miejsce, z którego nie wykopią mnie za pedalstwo. Chłopie, nie ma nic bardziej gejowskiego niż balet. Ale Lynn Swann nie bez powodu ćwiczy taniec. To cholernie ciężka robota. Człowiek robi się od tego silny.

Robert zsuwa się niżej, żeby położyć Simonowi głowę na piersi. Simon go obejmuje. Zastanawia się, co mógłby zrobić, żeby uspokoić Roberta, dać mu poczucie bezpieczeństwa – czy ścisnąć go za rękę, może coś

powiedzieć, pogładzić po świeżo ogolonej głowie. Ta nowo podarowana odpowiedzialność w niczym nie przypomina bzykania: jest bardziej onieśmielająca, dorosła, otoczona o wiele większym polem ryzyka.

* * *

W kwietniu Gali dzwoni do Simona i nakazuje przyjechać do teatru, jak najszybciej. Simon łapie taksówkę, nie zwracając uwagi na koszt, wsiada z torbą sportową w ramionach. Gali czeka na niego przed drzwiami na scenę.

– Eduardo zaliczył kontuzję na próbie – oznajmia. – Rozwalił sobie kostkę przy *saut de basque*. Paskudny wypadek, coś okropnego. Mamy nadzieję, że tylko ją skręcił. Ale nawet jeśli, wypadnie nam na miesiąc. – Wskazuje głową na Simona. – Ty znasz choreografię.

To nie jest pytanie, to oferta pracy w *Narodzinach Człowieka*. Simonowi serce podchodzi do gardła.

– No… tak, znam. Ale nie…

Chce powiedzieć: Nie jestem dostatecznie dobry.

– Będziesz na końcu szeregu – przerywa mu Gali. – Nie mamy wyboru.

Simon idzie za nim przez długi korytarz do garderoby.

Eduardo siedzi na podłodze z nogą opartą o drewnianą skrzynkę, na kostce trzyma torebkę z lodem. Oczy ma zaróżowione, ale na widok Simona się uśmiecha.

– Przynajmniej nie będziesz potrzebował przymiarek do kostiumu – mówi.

W *Narodzinach Człowieka* mężczyźni tańczą w samych szpongach. Nawet pośladki mają odkryte. Purp okazuje się dobrym przygotowaniem: Simon nie czuje się zbyt onieśmielony nagością na scenie i może się skoncentrować wyłącznie na tańcu. Światło reflektorów jest tak jasne, że

Simon nie widzi publiczności, więc udaje, że na widowni nikogo nie ma: tylko on, Fauzi, Tommy i Beau złączeni wokół Roberta, który przeciska się przez tunel z ich ciał. Przy ukłonach Simon trzyma kolegów za ręce tak mocno, że bolą go dłonie. Nie zmywając scenicznego makijażu łapią taksówkę do QT przy Polk Street. W przypływie euforii Simon chwyta Roberta i całuje go na oczach wszystkich. Tancerze gwiżdżą i klaszczą, a Robert uśmiecha się z taką onieśmieloną satysfakcją, że Simon robi to jeszcze raz.

Jesienią dostaje własną rolę w *Dziadku do orzechów* Corps, zatytułowanym *Niegrzeczne orzeszki*. Entuzjastyczna recenzja w „Chronicle" podwaja sprzedaż biletów, a Gali urządza przyjęcie w swoim domu na Upper Haight, żeby uczcić sukces przedstawienia. Pokoje są zastawione meblami z brązowej skóry. Wszędzie unosi się zapach pomarańczy ponabijanych goździkami, które leżą w złotej misie na kominku. Pianista z Akademii gra Czajkowskiego na Steinwayu Galego. Nad każdymi drzwiami wisi jemioła, a szum przyjęcia co jakiś czas punktują radosne piski, kiedy przypadkowe pary są zmuszane do pocałunku. Simon przychodzi razem z Robertem, ubranym w bordową koszulę i eleganckie czarne spodnie; srebrne kółeczko w uchu zastąpił diamentem wielkości ziarenka pieprzu. Przez jakiś czas rozmawiają ze sponsorami przy *hors d'oeuvres*, aż w końcu Robert wyciąga Simona na korytarz i prowadzi przez oszklone drzwi do ogrodu.

Siadają na ganku. Nawet w grudniu ogród oszałamia bogactwem barw. Otaczają ich drzewka szczęścia, nasturcje i kalifornijskie maki, dość krzepkie, by rosnąć w zimowej mgle. Simon nagle uświadamia sobie, że chciałby mieć takie życie: karierę, dom, partnera. Zawsze zakładał, że to nie dla niego: że jemu jest przeznaczone coś mniej szczęśliwego, coś mniej… hetero. Ale prawda jest taka, że Simon myśli tak nie tylko ze względu na to,

że jest gejem. Chodzi też o przepowiednię. Bardzo chciałby wyrzucić ją z pamięci, ale słowa kobiety ciągną się za nim od dzieciństwa. Nienawidzi wróżki za to, że mu to powiedziała, i nienawidzi też siebie za to, że jej uwierzył. Jeśli przepowiednia to kula, jego wiara jest łańcuchem; głosem w jego głowie, powtarzającym: Pospiesz się, szybko, biegnij.

– Dostałem mieszkanie – oznajmia Robert.

W zeszłym tygodniu złożył podanie o mieszkanie przy Eureka Street. Kuchnia, podwórko, kontrolowany czynsz. Simon oglądał je razem z Robertem i zachwycał się zmywarką, pralką, wykuszami.

– Będziesz szukał współlokatora? – pyta.

Nasturcje kołyszą złotymi i czerwonymi główkami. Robert odchyla się na łokciach i uśmiecha szeroko.

– A chcesz być moim współlokatorem?

Sama myśl jest odurzająca: dreszcz przebiega Simonowi po karku.

– Mielibyśmy blisko do studia. Moglibyśmy kupić używany samochód i jeździć razem do teatru na przedstawienia. Zaoszczędzilibyśmy na gazie.

Robert patrzy na Simona, jakby ten właśnie mu powiedział, że ma dziewczynę.

– Chciałbyś ze mną mieszkać, żeby zaoszczędzić na dojazdach.

– Nie! Nie. Nie chodzi o dojazdy. Oczywiście, że nie o to mi chodziło.

Robert potrząsa głową. Nadal się uśmiecha, kiedy patrzy na Simona.

– Nie potrafisz tego przyznać.

– Czego?

– Co do mnie czujesz.

– Pewnie, że potrafię.

– Dobra. To co do mnie czujesz?

– Lubię cię – odpowiada Simon. Odrobinę za szybko.

Robert odrzuca głowę w tył i zanosi się śmiechem.

– Jak ty chujowo kłamiesz – mówi tylko.

7

Rozpakowują się w nowym mieszkaniu. Pomaga im Klara, której nie przeszkadza, że brat postanowił się wyprowadzić, chyba nawet ulżyło jej, że będzie mieć mieszkanie przy Collingwood tylko dla siebie. Po łagodnym grudniu temperatura spadła poniżej ośmiu stopni. W Nowym Jorku nie zrobiłoby to na Simonie wrażenia, ale w Kalifornii stracił odporność na chłód. Biega od mieszkania do ciężarówki ekipy przeprowadzkowej i z powrotem w dresie, pod który włożył jeszcze getry. Kiedy Klara wychodzi, Simon i Robert całują się oparci o zmywarkę: Robert mocno obejmuje Simona w talii, dłonie Simona na oślep szukają jego pośladków, fiuta, twarzy.

Jest 1980 rok, początek nowego roku i nowej dekady. W miękkiej bańce San Francisco Simona nie dotykają takie problemy jak światowy kryzys finansowy czy inwazja Związku Radzieckiego na Afganistan. Zrzucają się z Robertem na telewizor, i choć oglądając wieczorne wiadomości, czują się nieswojo, Castro jest ich schronem przeciwatomowym: Simon czuje się tu niepokonany, bezpieczny. Wspina się po szczeblach kariery w Corps i do wiosny z dublera awansuje na pełnoprawnego członka zespołu.

Klara wróciła do gabinetu dentystycznego: za dnia pracuje na recepcji, a wieczorami dorabia w restauracji przy Union Square. Weekendy spędza na planowaniu swojego własnego show i co miesiąc odkłada wszystko, co

udało jej się zaoszczędzić ze skromnej wypłaty. W każdą niedzielę Simon spotyka się z nią na obiad w hinduskiej restauracji przy Osiemnastej Ulicy. Któregoś razu Klara przynosi kartonową teczkę, dwukrotnie owiniętą gumką recepturką, wypchaną fotokopiami ziarnistych czarno-białych zdjęć, artykułów ze starych gazet, programów teatralnych i reklam sprzed kilku dekad. Rozkłada to wszystko przed Simonem na całej długości stołu.

– To babcia – oznajmia.

Simon nachyla się nad blatem. Rozpoznaje matkę Gertie, widział ją na fotografii przyklejonej nad łóżkiem Klary. Na jednym ze zdjęć kobieta stoi razem z wysokim ciemnowłosym mężczyzną na grzbiecie galopującego konia. Szorty i zawiązana na brzuchu kowbojska koszula podkreślają jej atletyczną sylwetkę. Na innej fotografii – z okładki programu – ma wąską talię i maleńkie stopy. Jedną dłonią unosi brzeg spódniczki; w drugiej trzyma smycze, na których prowadzi sześciu mężczyzn. Poniżej widnieje napis: KRÓLOWA BURLESKI! Przychodźcie zobaczyć, jak mięśnie KLARY KLINE drżą niczym GALARETKA na WIETRZE – to przez ten TANIEC Jan Chrzciciel STRACIŁ GŁOWĘ!

Simon prycha.

– To mama mamy?

– No. A to – Klara stuka palcem w mężczyznę na koniu – jej tata.

– Pieprzysz. – Mężczyzna nie jest zbyt przystojny, ma grube wąsate brwi i duży nos Gertie, ale bije od niego jakaś pochmurna charyzma. Wygląda jak Daniel. – Skąd wiesz?

– Szukałam informacji na ich temat. Nie udało mi się znaleźć jej aktu urodzenia, ale wiem, że w trzynastym roku przypłynęła na Ellis Island na statku Ultonia. Była Węgierką i prawie na pewno sierotą. Ciocia Helga przyjechała później. Więc babcia dotarła tu z trupą taneczną i mieszkała w domu dla pracujących dziewcząt Clary de Hirsch.

Klara podnosi kawałek papieru, na którym jest odbite kilka zdjęć: duży budynek z kamienia, stołówka pełna siedzących przy stołach dziewcząt o brązowych włosach i portret kobiety o surowym spojrzeniu – podpisany Baronessa de Hirsch. Kobieta ma na sobie bluzkę z wysokim kołnierzem, rękawiczki i kwadratowy kapelusz, wszystko to czarne.

– Bóg jeden wie, co by się z nią stało, gdyby nie trafiła do tego domu – babcia była Żydówką, nie miała rodziny. Pewnie wylądowałaby na ulicy. Ale to była bardzo porządna stancja. Uczyli wszystkie dziewczęta szyć, wydawali je młodo za mąż, a babci to nie interesowało. W końcu się wyprowadziła i zaczęła robić to. – Klara bawi się programem spektaklu. – Zaczynała w wodewilach. Występowała w tancbudach, galeriach osobliwości, parkach rozrywki – i w groszowniach, jak to się wtedy mówiło na tanie kino. A potem poznała jego.

Ostrożnie wyjmuje kartkę schowaną pod programem i podaje ją Simonowi. Akt małżeństwa.

– Klara Kline i Otto Gorski – oznajmia Klara. – Był jeźdźcem z Dzikiego Zachodu w cyrku Barnum & Bailey, mistrzem światowej klasy. A ja mam taką teorię: babcia poznała dziadka w drodze na przedstawienie, zakochała się w nim i dołączyła do cyrku.

Wyjmuje z portfela kawałek papieru. Kolejna fotografia – tym razem przedstawia Klarę seniorkę zjeżdżającą spod kopuły cyrkowego namiotu w dół na linie, którą trzyma w zębach. Pod zdjęciem widnieje podpis: Klara Kline i jej Szczęki Życia!

– Po co mi to wszystko pokazujesz? – pyta Simon.

Na policzki Klary występuje rumieniec.

– Zrobię mieszany show: głównie magia, a do tego jeden śmiertelnie niebezpieczny numer. Uczę się robić Szczęki Życia.

Simon przestaje przeżuwać warzywną kormę.

– Oszalałaś. Nie wiesz, jak ona to robiła. Tam musiał być jakiś ukryty trik.

– Tam nie było żadnego oszustwa – Klara potrząsa głową. – Ona naprawdę to robiła. Otto, mąż babci, miał wypadek na koniu w trzydziestym szóstym roku i się zabił. Potem babcia przeprowadziła się z mamą z powrotem do Nowego Jorku. W czterdziestym pierwszym zrobiła Szczęki Życia na środku Times Square, od hotelu Edison po dach Palace Theater. W połowie drogi spadła i się zabiła.

– Jezu Chryste. Dlaczego nic o tym nie wiedzieliśmy?

– Bo mama nigdy o tym nie mówiła. Wtedy to była głośna historia, ale wydaje mi się, że mama zawsze wstydziła się babci. Bo babcia nie była normalna – stwierdza Klara, wskazując brodą na fotografię matki Gertie na koniu, w dżinsowej koszuli podwiązanej tak, by odsłaniała jej umięśniony brzuch. – A poza tym to było dawno – mama miała sześć lat, kiedy babcia zginęła. Potem zamieszkała z ciocią Helgą.

Simon wie, że Gertie została wychowana przez siostrę swojej matki, starszą kobietę o ptasiej urodzie, która mówiła głównie po węgiersku i nigdy nie wyszła za mąż. Bywała pod numerem 72 przy Clinton Avenue w każde żydowskie święto i zawsze przynosiła landrynki zawinięte w kolorowy celofan. Ale miała długie, ostre paznokcie i pachniała jak nieotwierane od dekad pudełko, więc Simon nigdy nie przestał się jej bać.

Teraz przygląda się, jak Klara wkłada fotokopie z powrotem do teczki.

– Klaro, nie możesz tego robić. To jakiś obłęd.

– Nie martw się, Simon, nie umrę.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Bo wiem. – Klara otwiera torbę, wkłada do środka teczkę i zaciąga zamek. – Nie ma we mnie na to zgody.

– Dobra – wzdycha Simon. – Tak jak w każdym człowieku, który kiedykolwiek chodził po świecie.

Klara nie odpowiada. Simon wie, że siostra tak się zachowuje, kiedy ma jakiś pomysł. Ta to się zawsze na coś zaweźmie jak diabeł na dobrą duszę, mawiała Gertie, ale to nie do końca prawda; chodzi raczej o to, że Klara staje się nieprzenikniona, niedosięgła. Funkcjonuje na innej płaszczyźnie.

– Ej. – Simon pstryka ją w ramię. – Jak to nazwiesz? Ten twój numer?

Klara uśmiecha się po kociemu; drobne ostre kiełki, migotliwy blask w oczach.

– Zaklinaczka śmierci – oznajmia.

* * *

Robert trzyma twarz Simona w dłoniach. Simon właśnie wyrwał się z kolejnego koszmaru.

– Czego tak się boisz? – szepcze.

Simon tylko potrząsa głową. Jest czwarta nad ranem, niedziela, a oni całą sobotę spędzili w łóżku – z wyjątkiem pół godziny, kiedy wstali, żeby zjeść jajka w koszulkach z chlebem grubo posmarowanym dżemem wiśniowym.

To uczucie jest zbyt dobre, chce powiedzieć Simon. To nie ma prawa przetrwać. Kiedy nadejdzie lato, Simon będzie mieć za sobą równo dwie dekady życia – długo dla kota czy ptaka, ale nie dla człowieka. Nikomu nie powiedział o wizycie u kobiety przy Hester Street ani o wyroku, jaki na niego wydała, który teraz ściga go ze zdwojoną prędkością. W sierpniu wsiada w autobus numer 38 i jedzie na skraj Golden Gate Park. Wspina się po stromej, krętej ścieżce na Land’s End. Tam widzi cyprysy, polne kwiaty i to, co zostało z basenów Sutro Baths. Sto lat temu Sutro były niezwykłym

ludzkim akwarium, ale teraz to tylko sterta gruzu. Ale czy to przekreśla ich dawny splendor? Nawet Eden – zwłaszcza Eden – nie trwał wiecznie.

Z początkiem zimy Simon zaczyna ćwiczyć do wiosennego programu Corps, zatytułowanego *Mit*. Tommy i Eduardo otworzą przedstawienie jako Narcyz i jego cień, wykonując lustrzaną choreografię. Następnie w *Micie Syzyfa* kobiety wykonają serię aktów tanecznych w określonych interwałach niczym rondo. Finał ma stanowić *Mit Ikara*, w którym Simon odegra swoją pierwszą główną rolę: on będzie Ikarem, a Robert Słońcem.

Na premierze wzbija się ku Robertowi. Orbituje wokół niego, z każdym okrążeniem coraz bliżej. Ma na plecach parę ogromnych skrzydeł z wosku i piór, takich jak wynalazek stworzony przez Dedala dla Ikara. Fizyka tańca z dziesięciokilogramowym ciężarem na ramionach przyprawia go o zawroty głowy, więc Simon jest wdzięczny, kiedy Robert je zdejmuje, choć to oznacza, że się stopiły, a Simon – Ikar – za chwilę umrze.

Kiedy muzyka – *Koncert warszawski* Addinsella – wspina się na finałowe szczyty, dusza Simona jest jak ciało uniesione ponad ziemię, rozcinające stopami powietrze. Tęskni za rodziną. Gdybyście tylko mogli mnie teraz zobaczyć, myśli. Zamiast tego wtula się w Roberta, który niesie go na środek sceny. Światło otaczające Roberta jest tak mocne, że Simon nie widzi nic innego: ani publiczności, ani innych tancerzy, stłoczonych za kulisami, żeby popatrzeć na ich występ.

– Kocham cię – szepcze Simon.

– Wiem – mówi Robert.

Muzyka gra głośno; nikt ich nie słyszy. Robert kładzie Simona na ziemi. Simon układa ciało tak, jak pokazał mu Gali, podwija nogi i wyciąga dłonie ku Robertowi. Robert przykrywa go skrzydłami i odchodzi.

* * *

Mijają im tak dwa lata. Simon parzy kawę; Robert ścieli łóżko. Wszystko jest nowe, aż staje się stare: znoszone dresowe spodnie Roberta, jego jęk rozkoszy. To, jak co tydzień obcina paznokcie – doskonałe przezroczyste półksiężyce w umywalce. Poczucie własności, obce i odurzające. Mój mężczyzna. Mój. Kiedy Simon ogląda się za siebie, ten okres w jego życiu wydaje mu się niemożliwie krótki. Chwile prześlizgują mu się przed oczami jak slajdy na kliszy: Robert robi guacamole przy kuchennym blacie. Robert przeciąga się przy oknie. Robert wychodzi na zewnątrz, żeby ściąć kilka gałązek rozmarynu albo tymianku z glinianych doniczek w ogrodzie. Nocą lampy uliczne świecą tak jasno, że w ciemności widać ogród.

8

Ruchy. Muszą. Z siebie. Wynikać – punktuje Gali.

Jest grudzień 1981 roku. Tancerze na zajęciach dla mężczyzn ćwiczą piruet *fouetté*: ciało obraca się wokół własnej osi na palcach jednej stopy, podczas gdy druga noga jest wyciągnięta na bok. Simon już dwa razy się przewrócił, więc teraz Gali stoi za nim – jedną dłoń kładzie Simonowi na brzuchu, drugą na plecach – a reszta tancerzy się przygląda.

– Podnieś prawą nogę. Mocny korpus. Trzymaj wszystko w jednej linii.

Łatwo utrzymać ciało w jednej linii, kiedy stoi się obiema stopami na ziemi, ale kiedy Simon unosi jedną nogę, kręgosłup wygina mu się w dole pleców, a pierś opada w tył. Gali klaszcze z niezadowoleniem.

– Widzisz? W tym kłopot. Podnosisz nogę, twoje ego przejmuje kontrolę. Musisz zacząć od podstaw.

Rusza zamaszyście na środek sali, żeby zademonstrować. Simon zaplata ręce na piersi.

– Wszystko – zaczyna Gali, rozglądając się po uczniach. – Wszystko się ze sobą łączy. Proszę patrzeć. – Ustawia stopy w czwartej pozycji i robi *plié*. – Tak to wygląda, kiedy jestem przygotowany. Kiedy mi zależy. Czuję, że moja klatka piersiowa i biodra są połączone. Kolana komunikują się ze stopami. Cała struktura ciała ma swój układ i konsekwencję, widzicie?

Więc kiedy się odbijam – Gali unosi tylną nogę i się obraca – w ciele jest jedność. Bez wysiłku.

Tommy, ich brytyjski złoty chłopiec, nawiązuje kontakt wzrokowy z Simonem. „Bez wysiłku?”, mówi bezgłośnie, a Simon uśmiecha się szeroko. Tommy jest skoczkiem, a nie pirueciarzem, i często łączy się w cierpieniu z Simonem.

Gali nadal się obraca.

– Kontrola – ciągnie – daje wolność. Opanowanie prowadzi do swobody. Z trzonu – kładzie sobie jedną dłoń na brzuchu, a wolną ręką wskazuje na uniesioną nogę – mogą wyrosnąć gałęzie.

Opada na ziemię w głębokim *plié*, po czym unosi dłoń, jakby chciał powiedzieć: Widzicie?

Simon widzi, ale zobaczyć to nie to samo co zrobić. Po zajęciach Tommy zarzuca Simonowi rękę na ramiona i pojękuje całą drogę do szatni. Robert zerka na nich z boku. Deszcz tłucze o szyby, ale w pomieszczeniu jest parno od spoconych ciał, większość mężczyzn tańczyło z nagą piersią. Kiedy Simon idzie na lunch z Beau i Tommym, Robert się do nich nie przyłącza.

Idą do Orphan Andy’s przy Siedemnastej Ulicy. Simon mówi sobie, że przecież nie robi nic złego: większość mężczyzn z Akademii lubi poflirtować. To nie jego wina, że Robert nie poszedł z nimi. Kocha Roberta – naprawdę. Robert jest inteligentny, dojrzały i zaskakujący. Lubi muzykę klasyczną tak samo jak futbol, i choć nie ma jeszcze trzydziestki, woli wieczór w łóżku z książką niż wyjście do Purp z Simonem. „Ma klasę”, oceniła Klara, kiedy go poznała, a Simon aż pękał z dumy. Ale właśnie na tym polega problem: Simon lubi rozpasanie, podoba mu się, kiedy mężczyźni mu obciągają, leją po dupie, obmacują wzrokiem. Ma apetyt na

wszystko, co zepsute – w każdym razie jego rodzice tak by to ocenili – i wreszcie zaczyna się do tego przyznawać.

Po lunchu wybierają się do Star Pharmacy po bletki. Simon kupuje, a Tommy i Beau czekają na zewnątrz. Kiedy Simon wraca, obaj gapią się na witrynę apteki.

– Boże. Chłopaki, widzieliście to? – odzywa się Tommy.

Wskazuje na domowej roboty ulotkę przyklejoną do szyby. Na kartce jest napisane *RAK GEJÓW.* Pod spodem znajdują się trzy polaroidowe zdjęcia młodego mężczyzny. Na pierwszym podciąga koszulę, ukazując ciemnofioletowe plamy, wypukłe i pomarszczone jak oparzenia. Na drugim ma otwarte szeroko usta. W środku też ma plamę.

– Uspokój się, Tommy.

Tommy jest patologicznym hipochondrykiem – zawsze narzeka na bóle w grupach mięśni, o których reszta w życiu nie słyszała – ale tym razem ton Beau jest ostrzejszy niż zazwyczaj.

Tłoczą się pod markizą Toad Hall, żeby zapalić. Simon wdycha dym o słodkawym, zbutwiałym zapachu. Powinno go to uspokoić, ale nic z tego; ma wrażenie, że za chwilę wyskoczy ze skóry. Do końca dnia nie jest w stanie wyrzucić z myśli tych obrazów: potwornych wrzodów, ciemnych jak śliwki – i słów, które ktoś inny nabazgrał czerwonym długopisem na dole ulotki: *Uważajcie, chłopcy. Coś się dzieje.*

* * *

Któregoś dnia Richie budzi się z czerwoną kropką na białku lewego oka. Simon przychodzi na zastępstwo, żeby kolega mógł iść do lekarza – Richie chce się upewnić, że kropka zniknie do Wigilii, kiedy w Purp odbywa się coroczna impreza *Choinka z jajami*. Niewielu gości Purp spędza święta z rodziną, więc tancerze malują się na czerwono i zielono i przyczepiają

sobie dzwoneczki do stringów. Lekarz przepisuje Richiemu antybiotyk i każe siedzieć w domu.

– I wtedy on do mnie, że może mam zapalenie spojówek – opowiada Richie następnego dnia, spryskując pośladki Adriana fioletową farbą. – A potem podchodzi taka milunia laborantka, miała może z dziewiętnaście lat, i pyta: „Nie miał pan kontaktu z fekaliami?", a ja jej na to – Richie kładzie rękę na sercu – gdzie tam, kochana, w życiu. Nie tykam takich rzeczy.

Mężczyźni rechoczą z rozbawieniem, i właśnie tak Simon zapamięta Richiego – jego donośny śmiech, przystrzyżone po wojskowemu włosy z ledwie widocznymi nitkami siwizny – bo już 20 grudnia Richie nie żyje.

Jak opisać ten szok? Plamy pojawiają się na ciele sprzedawcy kwiatów w Dolores Park i na pięknych stopach Beau, który dawniej wirował w piruetach na osiem obrotów bez zatrzymywania, a teraz miota się w konwulsjach na tylnym siedzeniu samochodu Eduarda w drodze do szpitala San Francisco General. To najwcześniejsze wspomnienia Simona z oddziału 86, choć ta nazwa pojawi się dopiero za rok: pisk metalowych wózków; pielęgniarki na recepcji, ich zaskakujący spokój (Nie, nie wiemy, jak to się przenosi. Czy jest z panem partner? Czy wie, że jest pan w szpitalu?); i mężczyźni, mężczyźni po dwudziestce i trzydziestce, siedzący z otwartymi szeroko oczyma na leżankach i wózkach, jakby halucynowali. *Rzadka odmiana raka wykryta u 41 homoseksualistów*, pisze „Chronicle", ale nikt nie wie, skąd to się bierze. Kiedy Lance zauważa, że puchną mu węzły chłonne pod pachami, czeka do końca zmiany w Purp i łapie taksówkę do szpitala. W plecaku ma egzemplarz „Chronicle". Dziesięć dni później opuchlizna jest już rozmiarów pomarańczy.

Robert krąży po mieszkaniu.

– Nie możemy wychodzić z domu – mówi.

Mają dość jedzenia na dwa tygodnie. Prawie od miesiąca nie śpią po nocach.

Ale Simona przeraża myśl o kwarantannie. I bez tego czuje się odcięty od świata – odmawia siedzenia w ukryciu, nie chce wierzyć, że to już koniec. Jeszcze nie umarł. Ale wie, oczywiście wie, a w każdym razie obawia się – ta cienka granica między strachem a intuicją; z jaką łatwością jedno przybiera postać drugiego – że kobieta miała rację i że do 21 czerwca, pierwszego dnia lata, jego też to dopadnie.

Robert nie chce, żeby Simon pracował dalej w Purp.

– To nie jest bezpieczne – powtarza.

– Nic nie jest bezpieczne. – Simon bierze kosmetyczkę i rusza do drzwi. – Potrzebuję pieniędzy.

– Gówno prawda. Zarabiasz w Corps. – Robert idzie za nim i chwyta go za ramię, mocno. – Przyznaj się, Simon. Podoba ci się to, co tam masz. Potrzebujesz tego.

– Daj spokój, Rob. – Simon śmieje się wymuszenie. – Nie bądź taki drętwy.

– Słucham? Uważasz, że jestem drętwy?

W oczach Roberta płonie ogień, który jednocześnie przeraża i podnieca Simona. Sięga po jego penisa, ale Robert odsuwa się z szarpnięciem.

– Nie próbuj tak ze mną pogrywać. Nie dotykaj mnie.

– Chodź ze mną – bełkocze Simon. Pił, choć Robert nie lubi tego prawie tak samo jak jego pracy w Purp. – Dlaczego ty nigdy nigdzie nie chodzisz?

– Bo ja nigdzie nie pasuję, Simon. Ani do was, białych. Ani do czarnych. Ani do baletu, ani do futbolu. Ani tutaj, ani w domu, w LA. – Robert mówi powoli, jakby tłumaczył coś małemu dziecku. – Więc siedzę w domu. Nie rzucam się w oczy. Chyba że tańczę. Ale nawet wtedy – zawsze, kiedy wychodzę na scenę, wiem, że na widowni będą ludzie, którzy nigdy nie

widzieli kogoś takiego jak ja tańczącego tak jak ja. Wiem, że niektórym to się nie spodoba. Boję się, Simon. Nie ma w moim życiu dnia bez strachu. A teraz już wiesz, jak to jest. Bo ty też się boisz.

– Nie wiem, o czym ty mówisz – protestuje ochryple Simon.

– Wiesz, doskonale wiesz, o czym mówię. Pierwszy raz w życiu czujesz to, co ja – nigdzie nie jest bezpiecznie. I wcale ci się to nie podoba.

Simon czuje pulsowanie pod czaszką. Prawda w słowach Roberta przebija go na wskroś, czuje się jak insekt przyszpilony do kawałka kartonu, trzepoczący bezradnie skrzydłami.

– Jesteś zazdrosny – syczy. – To wszystko. Mógłbyś się bardziej wysilić, Rob, ale tego nie robisz. I jesteś zazdrosny, zazdrosny, że ja się staram.

Robert się nie cofa, ale gwałtownie odwraca głowę w bok. Kiedy znów patrzy na Simona, białka oczu ma różowe.

– Jesteś taki sam jak cała reszta – mówi. – Jak te wszystkie twinki, artystowskie cioty i pierdolone miśki. Non stop jazgoczecie o swoich prawach i wolności, biegacie na te wszystkie parady, ale tak naprawdę zależy wam tylko na prawie do wyruchania jakiegoś skórzaka w klubie sado-maso na Folsom i do spuszczania się po saunach gdzie popadnie. Chcecie żyć tak beztrosko jak każdy inny biały facet – jak każdy heteryk. Ale wy nie jesteście jak inni biali faceci. I właśnie dlatego to miasto jest takie niebezpieczne: bo pozwala wam o tym zapomnieć.

Simon aż płonie z upokorzenia. Spierdalaj, myśli. Spierdalaj, spierdalaj, spierdalaj. Ale przemowa Roberta odjęła mu mowę, aż go zatkało z wściekłości i ze wstydu – dlaczego te uczucia są tak nierozłączne? Odwraca się na pięcie i wypada za drzwi, ku ciemnej kotłowaninie Castro Street, gdzie zawsze czekają na niego światła i mężczyźni.

* * *

Nowi tancerze w Purp są okropni – wypłoszone szesnastolatki, nawet nie umieją tańczyć. Publiczność jest przerzedzona, paru facetów czai się po kątach, kilku ociera się o siebie gorączkowo pod filarami tancerzy. Po zmianie Adrian jest podenerwowany.

– Spierdalam stąd – mamrocze, wycierając się pośpiesznie.

Simon do niego dołącza. Wsiada do samochodu Adriana, żeby pokrążyć trochę po Castro, ale właściciel Alfie’s jest chory, a atmosfera w QT jest równie dołująca co w Purp, więc Adrian skręca gwałtownie i rusza w stronę centrum.

Najpierw próbują w Cornholes i Liberty Baths, ale sauny są pozamykane. Zatrzymują się w Folsom Gulch Books – *Oddani przyjemności*, głosi szyld – ale budki kinowe są pozajmowane, a na sali z automatami do gry nikogo nie ma. Sauna Boot Camp przy Bryant świeci pustkami. Lądują w Animals, barze dla skórzaków – żaden z nich nie ma skórzanego stroju, ale dzięki Bogu przynajmniej są tu ludzie, więc obaj zostawiają ubranie w szafkach, po czym Adrian prowadzi Simona przez mroczny labirynt pokojów. Mężczyźni w psich obrożach i skórzanych spodniach bez krocza ujeżdżają się wśród cieni. Adrian znika w jakimś kącie z chłopcem w uprzęży, ale Simon nie może się zmusić, żeby kogokolwiek dotknąć. Czeka przy wejściu, a Adrian wraca po godzinie, ma rozszerzone źrenice i śliskie, czerwone wargi.

Adrian odwozi go do domu. Simon oddycha. Nie zawalił sprawy, nie tak ostatecznie, jeszcze nie. Parkują przecznicę od mieszkania Simona i Roberta i wpatrują się w siebie kilka sekund, aż Simon sięga ku Adrianowi – i tak się to zaczyna.

* * *

Klara stoi w kałuży niebieskiego światła. Cała jej scena to tylko niewielka platforma dla muzyków. Przerzedzona publiczność zajmuje kilka okrągłych stolików, niektórzy siedzą na stołkach przy barze, choć Simon nie potrafi stwierdzić, ilu przyszło tu dla Klary, a ilu to po prostu stali klienci. Klara ma na sobie męski smoking, prążkowane spodnie i martensy. Jej triki są zręczne, ale to żadna wielka magia, tylko sprytne, cieszące oko sztuczki. W scenariuszu czuć aurę perfekcjonizmu, jak u studentki na obronie pracy magisterskiej. Simon miesza martini słomką i zastanawia się, co jej powie po przedstawieniu. Ponad rok planowania i to cały efekt: sztuczki z chustkami w klubie jazzowym przy Filmore, jedynej knajpie, która zgodziła się ją przyjąć. Klienci już odpływają jeden za drugim w zimną wiosenną noc.

Zostaje już tylko garstka widzów, kiedy Klara odczepia końcówkę sznura z pobliskiego pulpitu i wkłada między zęby niewielki brązowy gryzak. Sznur jest przyczepiony do kabla, który zwisa z rury na suficie. Lina jest kontrolowana przez wyciąg krążkowy, który Klara sama odpowiednio ustawiła. Kierownik baru kontroluje mechanizm.

– Masz do niego zaufanie? – zapytał Simon w zeszłym tygodniu, kiedy Klara wytłumaczyła mu całą procedurę. – Może chcesz, żebym ja to zrobił?

– Nie łączę pracy z przyjemnością.

– Ja jestem przyjemnością?

– No, nie – zmieszała się. – Jesteś rodziną.

Teraz patrzy, jak Klara wznosi się na wysokość okien na pierwszym piętrze. Podczas krótkiej przerwy przebrała się w cielistą sukienkę bez rękawów, pokrytą złotymi cekinami; wykończona frędzlami spódniczka sięga jej do połowy uda. Klara zatacza kilka kręgów pod sufitem niczym duch, po czym przyciska ręce i nogi mocno do ciała. Nagle znika w smudze czerwieni i złota, włosy, brokat, wir błysków. Kiedy zwalnia, zmienia się

z powrotem w jego siostrę – pot lśni jej na czole, szczęka zaczyna drżeć. Klara wyciąga stopy ku scenie, a kiedy wreszcie opada na twardy grunt, uginają się pod nią kolana. Wypluwa gryzak na dłoń i zgina się w ukłonie.

W ciszy słychać szczękanie kostek lodu i zgrzyt poprawianych krzeseł, aż w końcu zaczynają się oklaski. Sztuczka Klary to nie magia. Nie ma tu żadnego sekretu – tylko zadziwiające połączenie siły i dziwnej, nieludzkiej lekkości. Simon nie potrafi ocenić, czy bardziej przypomina mu to lewitację czy egzekucję.

Kiedy na scenie rozstawia się kolejny wykonawca, Simon znajduje Klarę w pomieszczeniu dla artystów. Czeka na zewnątrz, a siostra w tym czasie rozmawia z menedżerem – barczystym mężczyzną w dresie, może po pięćdziesiątce. Facet podaje Klarze jedną dłoń, podczas gdy druga wędruje wzdłuż jej pleców, aż ku wypukłości pośladków; Klara sztywnieje. Kiedy menedżer odchodzi, ona zerka na drzwi i podchodzi do krzesła, na którym zostawił swoją skórzaną kurtkę. Z kieszeni wystaje gruby portfel. Klara wyciąga zwitek banknotów i wciska sobie pod sukienkę.

– Poważnie? – pyta Simon, wchodząc do środka.

Klara odwraca się gwałtownie. Wstyd na jej twarzy natychmiast przechodzi w wyraz urażonej niewinności.

– Zachował się jak knur. I gówno mi zapłacił.

– No i?

– No i co? – Klara wkłada marynarkę. – Miał tam setki dolarów. Wzięłam tylko pięć dych.

– Bardzo uczciwie.

– Serio, Simon? – Klara pakuje rekwizyty do czarnego pudełka Ilyi. Plecy ma sztywne. – Od lat na to pracowałam, wreszcie wystawiam swój pierwszy show, i to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Tak bardzo chcesz ze mną porozmawiać o uczciwości?

– A to co niby ma znaczyć?

– Że plotki szybko się roznoszą. – Klara zamyka pudełko i trzyma przed sobą jak tarczę. – Moja koleżanka z pracy jest kuzynką Adriana. W zeszłym tygodniu powiedziała mi, że jej kuzyn chyba spotyka się z moim bratem.

Simon blednie.

– Co za bzdura.

– Nie okłamuj mnie. – Klara podchodzi bliżej, aż jej loki opadają Simonowi na pierś. – Robert to najlepsze, co ci się przytrafiło w całym tym twoim obesranym życiu. Jeśli chcesz to tak po prostu wyrzucić, twoja sprawa, ale mógłbyś mieć chociaż dość przyzwoitości, żeby najpierw z nim zerwać.

– Przestań mi mówić, co mam robić – odcina się Simon.

Ale najgorsze, że Klara nie ma pojęcia, jak daleko to już zaszło. Nie wie, jak wygląda życie Simona: wystawanie na pikiecie w Golden Gate wczesnym świtem, obciąganie nieznajomym na Speedway Meadows albo w publicznych toaletach przy Czterdziestej Pierwszej i JFK. Walenie obcym facetom w ostatnich rzędach kina Castro Theatre, podczas gdy na ekranie leci *Mała sierotka Annie*. Hordy mężczyzn na ziemi niczyjej na plaży Ocean Beach, szukający ciepła w plątaninie ciał.

I najgorsza noc: maj, klub Tenderloin. Drag queen na szerokich obcasach i w sukience ze srebrnych płytek prowadzi go do hotelu przy Hyde. Jakiś alfons łapie Simona za kołnierz i obmacuje go w poszukiwaniu portfela, ale Simon dosuwa mu z kolana w krocze i chwiejnym krokiem idzie na górę. Wybierają pokój i włączają lampkę przy łóżku. Dopiero wtedy Simon widzi, że jego partnerka to Lady. Od tygodni nie widział jej w Purp; wszyscy zakładali najgorsze, że dopadł ją rak gejów. Na kilka sekund Simona ogarnia nieopisana ulga. Ale Lady go nie poznaje. Wyjmuje

z kieszeni sukienki miniaturową butelkę wódki. Jest pusta, z aluminiową przykrywką. Lady wkłada do środka grudkę, podpala i zaciąga się głęboko.

* * *

Pierwszego czerwca Simon stoi pod prysznicem. Wczoraj wystawiali *Mit* – Simon po raz pierwszy od wielu dni dotykał Roberta, pierwszy raz od tygodni przebywali w jednym pomieszczeniu bez awantury. Teraz Simon próbuje się masturbować z myślą o Robercie, ale nie może dojść, dopóki nie przywoła w pamięci obrazu Lady przykucniętej nad domowej roboty fajką.

Chwyta butelkę z szamponem i rzuca nią z całej siły w koszyk prysznicowy. Pojemnik podskakuje w górę i uderza w słuchawkę prysznica, która wyrywa się z uchwytu i zaczyna miotać wodą na wszystkie strony, mocząc sufit, aż Simonowi wreszcie udaje się wyłączyć to cholerstwo. Osuwa się powoli, siada w chłodnym porcelanowym brodziku i zanosi się szlochem. Nadal ma na podbrzuszu ciemne znamię, choć kiedy się schyla, plamka bardziej niż wczoraj przypomina pieprzyk. Tak: to na pewno może być pieprzyk. Wstaje i poprawia koszyczek, po czym wychodzi spod prysznica i staje na dywaniku. Cała łazienka jest zalana słońcem. Simon nie zauważa Roberta w drzwiach, dopóki nie rozlega się jego głos.

– Co to jest? – Robert wpatruje się w jego brzuch. Simon pospiesznie sięga po ręcznik.

– Nic.

– Już widzę, jakie nic. – Robert kładzie Simonowi dłoń na ramieniu i ściąga z niego ręcznik. – O Boże.

Przez kilka sekund obaj wpatrują się w znamię. Potem Simon zwiesza głowę.

– Rob – szepcze. – Przepraszam, tak cię przepraszam, że nam to zrobiłem. – Nagle zrywa się gwałtownie. – Mamy wieczorem spektakl. Musimy jechać do teatru.

– Nie, skarbie – mówi Robert. – Musimy jechać gdzie indziej.

Minutę później dzwoni po taksówkę.

9

Na oddziale Simona w San Francisco General jest dwanaście łóżek. Na wahadłowych drzwiach prowadzących na oddział wisi zalaminowana kartka: *MASKA STRÓJ RĘKAWICZKI ZABEZPIECZONE IGŁY ZAKAZ WSTĘPU CIĘŻARNYM* – i druga, mniejsza, z napisem: *Nie wnosić kwiatów.*

Klara i Robert zostają w pokoju Simona na noc, śpią na krzesłach. Jego łóżko jest oddzielone od sąsiedniego cienką białą zasłonką. Simon nie lubi patrzeć na towarzysza z łóżka obok, byłego kucharza, któremu teraz kości niemal przebijają skórę; nie jest w stanie utrzymać niczego w żołądku. Po kilku dniach łóżko znów jest puste, zasłonka faluje na lekkim wietrze.

– Musisz dać znać rodzinie – nalega Robert.

– Nie mogą wiedzieć, że tak odszedłem.

– Ale przecież nie odszedłeś – protestuje Klara. Na jej kolanach leży stos ulotek – *Kiedy przyjaciel ma raka; Kochaj, nie odrzucaj* – a w oczach szklą się łzy. – Jesteś tu z nami.

– Mhm. – Simon czuje ucisk w gardle; ma spuchnięte węzły chłonne. Któregoś wieczoru, kiedy Robert i Klara wychodzą po jedzenie na wynos, Simon podciąga się na krawędź łóżka i sięga po telefon. Ze wstydem uświadamia sobie, że nawet nie zna numeru Daniela, ale Klara zostawiła na

krześle stertę swoich rzeczy, w tym cienki czerwony notes z adresami. Daniel odbiera po piątym sygnale.

– Dan – odzywa się. Głos ma ochrypły, lewa stopa mu podryguje, ale mimo to Simon czuje, że ogarnia go wdzięczność.

Po długiej ciszy Daniel się odzywa.

– Kto mówi?

– Daniel, to ja. – Próbuje odkaszlnąć. – Simon.

– Simon.

Znów pauza. Milczenie się przeciąga – Simon wie, że będzie trwać, dopóki on go nie wypełni.

– Jestem chory.

– Jesteś chory. – Chwila ciszy. – Przykro mi.

Daniel mówi sztywno, jak do nieznajomego. Kiedy ostatni raz rozmawiali? Simon próbuje wyobrazić sobie, jak może teraz wyglądać jego twarz. Dan ma dwadzieścia cztery lata.

– Co u ciebie? – pyta Simon. Cokolwiek, byle tylko brat jeszcze się nie rozłączył.

– Studiuję medycynę. Właśnie wróciłem do domu z wykładów.

Simon to sobie wyobraża. Drzwi otwierają się i zamykają, młodzi ludzie chodzą tam i z powrotem z plecakami. Ta myśl głęboko go uspokaja, na tyle, że prawie mógłby zasnąć. Ból nerwów i tiki są tak silne, że nocami zwykle nie udaje mu się zmrużyć oka.

– Simon? – Daniel łagodnieje. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie – mówi Simon. – Nic.

Odkładając słuchawkę, zastanawia się, czy brat poczuł ulgę, że rozmowa już dobiegła końca.

* * *

Trzynasty czerwca. Dwóch sąsiadów Simona umarło w nocy. Jego nowy współlokator – Wietnamczyk w okularach, bez przerwy wypytujący o matkę – nie może mieć więcej niż siedemnaście lat.

– Była taka kobieta – mówi Simon Robertowi, który jak zawsze siedzi tuż przy nim. – Powiedziała mi, kiedy umrę.

– Kobieta? – Robert przysuwa się bliżej. – Jaka kobieta, skarbie? Pielęgniarka?

Głowa Simona jest lżejsza niż powietrze. Podają mu morfinę na bóle nerwów.

– Nie, nie pielęgniarka – kobieta. Przyjechała do Nowego Jorku. Jak byłem mały.

– Si. – Klara patrzy ze swojego krzesła, mieszając dla niego jogurt. – Proszę, daj spokój.

Robert nie odrywa oczu od Simona.

– I co ona ci powiedziała? Co zapamiętałeś?

Co Simon zapamiętał? Wąskie drzwi. Cyfrę z mosiądzu, kołyszącą się na jednym gwoździu. Pamięta, że w mieszkaniu było niechlujnie i że go to zaskoczyło; spodziewał się uduchowionej atmosfery spokoju, jak wokół Buddy. Pamięta talię kart do gry, z której kobieta kazała mu wybrać cztery. Pamięta swoją kartę – czarna czwórka pik – i obrzydliwy dreszcz, jaki przeszedł Simona, kiedy z ust kobiety padła jego data. Pamięta, jak niezdarnie schodził po schodach pożarowych, spocona dłoń ślizgała mu się po poręczy. Pamięta, że kobieta nie poprosiła o pieniądze.

– Zawsze wiedziałem – mówi. – Zawsze wiedziałem, że umrę młodo. Dlatego to wszystko zrobiłem.

– Dlaczego co zrobiłeś? – pyta Robert.

Simon unosi jeden palec.

– Dlaczego zostawiłem mamę. To po pierwsze.

Odgina drugi palec, ale traci wątek. Kiedy mówi, czuje się, jakby próbował dosięgnąć powierzchni oceanu. Coraz częściej ma wrażenie, że opada na dno, że wie, co jest tam na dole, choć nie potrafi tego wytłumaczyć tym z suchego lądu.

– Cicho, cicho – mówi Robert, odgarniając mu włosy z czoła. – To już nieważne. Wszystko nieważne.

– Nie. Nie rozumiesz. – Simon wychyla głowę nad wodę; zachłystuje się. Koniecznie musi to powiedzieć. – Każda rzecz jest ważna.

Kiedy Robert wychodzi do toalety, Klara podchodzi do łóżka Simona. Skórę pod oczami ma spuchniętą.

– Czy kiedykolwiek pokocham kogoś tak bardzo jak ciebie? – pyta Klara.

Kładzie się przy nim na szpitalnym materacu. Tak schudł, że oboje bez trudu mieszczą się na wąskiej leżance.

– Proszę cię – szepcze Simon. Jej własne słowa, które usłyszał od niej o wschodzie słońca na dachu, na samym początku. – Znajdziesz kogoś, kogo pokochasz o wiele bardziej.

– Nie. – Klara wciąga spazmatycznie powietrze. – Nie znajdę. – Opiera głowę na poduszce Simona. Kiedy odwraca się, żeby na niego popatrzeć, jej włosy opadają bratu na obojczyk. – Co ona ci powiedziała?

Jakie to ma teraz znaczenie?

– Niedziela – mówi Simon.

– Och, Si. – Rozlega się zdławiony skowyt, jaki mógłby wydać z siebie pies na łańcuchu. Klara przyciska dłoń do ust, kiedy uświadamia sobie, że to ona. – Żału…ję…

– Nie żałuj. Zobacz, co od niej dostałem.

– To! – Klara patrzy na wrzody pokrywające jego ramiona, na ostre łuki żeber. Nawet jego blond czupryna się przerzedziła. Kiedy opiekun wyciąga

go z kąpieli, odpływ wanny jest zapchany włosami.

– Nie – protestuje Simon. – To. – Wskazuje za okno. – Gdyby nie ona, nigdy nie przyjechałbym do San Francisco. Nie poznałbym Roberta. Nie nauczyłbym się tańczyć. Pewnie dalej siedziałbym w domu i czekał. Na ten moment, kiedy wreszcie zacznę żyć.

Jest zły na chorobę. Wściekły. Bardzo długo nienawidził kobiety z Hester Street. Jak ona mogła, zastanawiał się, wywróżyć dziecku coś tak strasznego? Ale teraz myśli o niej inaczej: jak o drugiej matce albo bogini, która pokazała mu drzwi i powiedziała: Idź.

Klara siedzi sparaliżowana. Simon pamięta jej wyraz twarzy po przeprowadzce do San Francisco, niepokojącą mieszankę irytacji i satysfakcji, i już wie, dlaczego tak mu to przeszkadzało. Klara przypominała mu tamtą kobietę: odliczającą dni, obserwującą każdy jego krok. Miłość do siostry, dotąd zamknięta jak kwiat w pąku, teraz rozwija się z pełnym bogactwem. Simon przypomina sobie ich rozmowę na dachu – Klarę stojącą przy barierce, odwróconą do niego plecami. Nie patrzyła na niego, kiedy mówiła. Daj mi jeden dobry powód, dla którego nie miałbyś zacząć żyć.

– Nie jesteś zaskoczona, że to w niedzielę – stwierdza Simon. – Od początku wiedziałaś.

– Twoja data – szepcze Klara. – Powiedziałeś, że to będzie młodo. Chciałam, żebyś miał wszystko, czego w życiu zapragniesz.

Simon ściska Klarę za rękę. Jej dłoń jest miękka, ma zdrowy, różowy kolor.

– Ale przecież mam – mówi.

* * *

Czasami Klara zostawia Simona sam na sam z Robertem. Kiedy są zbyt zmęczeni na cokolwiek innego, oglądają kasety wypożyczone z biblioteki miejskiej, z nagraniami występów wielkich tancerzy: Nuriejewa, Barysznikowa, Niżyńskiego. Wolontariusz Shanti Project przywozi telewizor ze świetlicy, a Robert kładzie się przy Simonie na szpitalnym łóżku.

Simon wpatruje się w niego. Jakie miałem szczęście, że cię poznałem, myśli. Martwi się o przyszłość Roberta.

– Jeśli on się zarazi – mówi Klarze – to musi trafić do grupy testowej. Obiecaj mi. Obiecaj, że tego dopilnujesz.

Na korytarzu roznoszą się już wieści o eksperymentalnych lekach, które przyniosły obiecujące efekty w Afryce.

– Dobrze, Si – szepcze Klara. – Obiecuję. Postaram się.

Dlaczego w ciągu tych lat spędzonych z Robertem tak trudno było mu wyrażać miłość? Z biegiem coraz dłuższych dni Simon powtarza to w nieskończoność: kocham cię, kocham cię, nawoływanie potrzebne ciału tak samo jak jedzenie czy powietrze. Dopiero kiedy słyszy odpowiedź Roberta, jego puls zwalnia, powieki opadają i Simon wreszcie jest w stanie zasnąć.

CZĘŚĆ DRUGA

Proteusz

1982–1991

Klara

10

Klara potrafi zmienić czarną apaszkę w czerwoną różę i asa w królową. Wyciąga dziesiątki z jednocentówek, ćwiartki z dziesiątek i banknoty jednodolarowe prosto z powietrza. Zna przetasowanie Hermanna, rzut Thurstona, iluzję wychodzącej karty i ukrywanie kart na grzbiecie dłoni. Do perfekcji opanowała klasyczny numer z kubkiem i piłeczką, przekazany jej przez Ilyę Hlavacka, który nauczył się go od kanadyjskiego mistrza Dai Vernona: to oszałamiająca, zachwycająca iluzja optyczna, w której pusty srebrny kubek najpierw wypełnia się piłeczkami i kośćmi do gry, a następnie w środku pojawia się dorodna cytryna.

Jedyne, czego nie potrafi zrobić – choć nigdy nie przestanie próbować – to przywrócić Simona do świata żywych.

* * *

Kiedy Klara przychodzi na spektakl, pierwsze, co musi zrobić, to przygotować przestrzeń na Szczęki Życia. Niełatwo jest znaleźć klub z odpowiednio wysokim sufitem, więc występuje też w restauracjach z teatrem i w salach koncertowych, a czasami współpracuje jako niezależna artystka z małym cyrkiem w Berkeley. Ale najbardziej lubi kluby: za gęste od dymu powietrze i mroczny nastrój, za to, że może pracować w nich sama, i za to, że na widowni siedzą sami dorośli – jej ulubiona publiczność.

Większość dorosłych twierdzi, że nie wierzy w magię, ale Klara wie lepiej. Bo dlaczego w takim razie bawią się w wieczność – zakochują, rodzą dzieci, kupują domy – mimo wszystkich dowodów, że coś takiego jak wieczność nie istnieje? Sztuczka nie polega na tym, żeby ich przekonać do wiary. Chodzi o to, żeby się do niej przyznali.

Przynosi swoje przybory w wypchanym płóciennym worku: lina do spadku, sznur do podnoszenia, klucz płaski, zaciski, gryzak na zawiasach, sznurek. Ilya nauczył ją, że w każdym miejscu konieczne jest inne rozstawienie sprzętu, więc Klara ocenia wysokość pomieszczenia, szerokość sceny, styl i wytrzymałość belek pod sufitem. Między sukcesem a porażką nie ma miejsca na margines błędu – albo wymierzy wszystko idealnie, albo cały numer skończy się katastrofą. Klara czuje trzepotanie pulsu, kiedy staje na drabinie, przerzuca sznur do podnoszenia przez belkę, owija ją trzykrotnie i nakłada zabezpieczenie na linę do spadku. Na scenie odmierza sto osiemdziesiąt dziewięć centymetrów od podłogi: jej własne metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, siedemnaście centymetrów na obciągnięte stopy i jeszcze pięć na odstęp od ziemi.

Dwa lata temu zaczęła wystawiać Upadek. Asystent ciągnie za linę, aż Klara wisi pod sufitem, trzymając zębami za gryzak. Ale zamiast opadać płynnie w dół, jak robiła to w pierwszych przedstawieniach, spada z pełną prędkością, gdy asystent puszcza linę. Publiczność zawsze wierzy, że to był wypadek, ludzie wciągają gwałtownie powietrze, czasami krzyczą, aż nagle Klara się zatrzymuje. Zdążyła się już prawie przyzwyczaić do szarpnięcia, z jakim jej szczęka absorbuje ciężar ciała, do chrupiących kręgów w szyi i pieczenia w oczach, nosie i uszach. Widzi tylko gorącą biel świateł, aż asystent opuszcza linę jeszcze trochę i jej stopy dotykają podłogi. Kiedy podnosi głowę i wypluwa gryzak na dłoń, wreszcie widzi publiczność, usta rozchylone w zdziwionym zachwycie.

– Kocham was wszystkich – szepcze w ukłonie; inspiruje się Howardem Thurstonem, który powtarzał to przed każdym występem, stojąc za kurtyną i nasłuchując pęczniejących tonów uwertury. – Kocham was wszystkich, kocham was wszystkich, kocham was wszystkich.

11

Pewnej wyjątkowo zimnej nocy w lutym 1988 roku Klara stoi na scenie teatru kabaretowego The Committee przy ulicy Broadway, w którym zwykle występuje trupa komediowa pod tą samą nazwą. W ten poniedziałek wynajęli miejsce Klarze, która zapłaciła więcej, niż ma szansę tu zarobić. Na każdym stoliku położyła wizytówkę z napisem „Zaklinaczka śmierci” – ale publiczność jest przerzedzona, składa się głównie z facetów, którzy zajrzeli tu z pobliskich klubów dla dorosłych, Condor i Lusty Lady, albo wybierają się tam po przedstawieniu. Klara błyszczy dowcipem podczas sztuczek z kubkiem i piłeczką, ale nikogo nie interesuje nic poza Upadkiem – a nawet ten numer zdążył już stracić na świeżości.

– Starczy tej magii, słonko – pokrzykuje ktoś z widowni. – Lepiej pokaż cycki!

Kiedy jej występ dobiega końca i na scenie zaczyna się ustawiać grupa tancerek burleski, Klara wkłada długi czarny prochowiec, w którym zawsze przychodzi na występy, i podchodzi do baru. W drodze do toalety wyciąga z kieszeni krzykacza skórzany portfel, a wracając, wsuwa go z powrotem na miejsce, już bez pieniędzy.

– Hej.

Zimno rozlewa jej się w brzuchu. Odwraca się na pięcie, spodziewając się, że ujrzy piegowatą twarz, oczy o barwie whisky, mundur i odznakę, ale

zamiast tego widzi wysokiego faceta w T-shircie, luźnych dżinsach i traperach, faceta podnoszącego ręce w pojednawczym geście.

– Nie chciałem cię przestraszyć – mówi, ale Klara wpatruje się tylko w jego jasnobrązową skórę i lśniące czarne włosy do ramion, pewna, że już je kiedyś widziała.

– Wyglądasz znajomo.

– Jestem Raj.

– Raj. – Nagle zapala jej się lampka. – Raj! Boże, mieszkałeś z Teddym. To znaczy z Baksziszem Khalsą – poprawia się Klara, przypominając sobie długie włosy i stalową bransoletkę Bakszisza.

Raj śmieje się w odpowiedzi.

– Nigdy nie lubiłem tego gościa. Jaki normalny biały koleś zaczyna ni z tego, ni z owego nosić turban?

– Pewnie taki, który spędza dużo czasu na Haight.

– Oni wszyscy już dawno stamtąd poznikali. Teraz pracują w Dolinie Krzemowej albo w kancelariach. I uwierz mi, wszyscy mają bardzo krótkie włosy.

Klara wybucha śmiechem. Podoba jej się polot Raja i jego oczy, szukające jej spojrzenia. Ludzie wylewają się z teatru; kiedy otwierają się frontowe drzwi, widzi czarną noc, upstrzoną gwiazdami i pociętą neonowymi markizami klubów ze striptizem. Zazwyczaj po występach wsiada w trzydziestkę i jedzie do swojego mieszkania w Chinatown, które wynajmuje w pojedynkę.

– Co dziś robisz? – pyta.

– Co dzisiaj robię? – Raj ma wąskie usta, ale wyraziste, wygięte cwanie w kąciku. – W tej chwili nic nie robię. Nie mam absolutnie żadnych planów.

* * *

– Dziesięć lat. Wyobrażasz sobie? Dziesięć! A ty byłeś jednym z moich pierwszych znajomych w San Francisco.

Siedzą w Vesuvio’s, włoskiej kawiarni w tej samej bocznej uliczce co księgarnia City Lights. Klara lubi to miejsce, bo kiedyś przychodzili tu Ferlinghetti i Ginsberg, choć teraz sporą część pomieszczenia zajmuje grupka rozhasanych turystów z Australii.

– I nadal tu jesteśmy – mówi Raj.

– Nadal jesteśmy – przytakuje Klara.

Mgliście przypomina sobie Raja w mieszkaniu, w którym zatrzymali się przez kilka pierwszych dni po przyjeździe do San Francisco: jak czyta *Sto lat samotności* na kanapie albo robi naleśniki w kuchni razem z blondwłosą Susie o długich kończynach, która sprzedawała kwiaty koło boiska do bejsbolu.

– Co się stało z Susie?

– Uciekła z jakimś chrześcijańskim spirytystą. Ostatni raz widziałem ją w siedemdziesiątym dziewiątym. A ty przyjechałaś z bratem, prawda? Co u niego?

Klara bawiła się szklanką z martini, przetaczając wąską nóżkę w palcach, ale teraz podnosi głowę.

– Nie żyje.

Raj krztusi się drinkiem.

– Nie żyje? Kurwa. Klaro, przykro mi. Co mu się stało?

– AIDS – mówi Klara. Jest wdzięczna, że teraz zna przynajmniej przyczynę, ma do dyspozycji nazwę, która nie istniała jeszcze przez trzy miesiące po śmierci Simona. – Miał dwadzieścia lat.

– Ja pierdolę. – Raj znów potrząsa głową. – AIDS to sukinsyn. W zeszłym roku to zabiło mojego kolegę.

– A ty czym się zajmujesz? – pyta Klara. Cokolwiek, byle tylko zmienić temat.

– Jestem mechanikiem. Głównie naprawiam samochody, chociaż pracowałem też na budowie. Tata chciał, żebym został chirurgiem. Mówiłem, że się tego nie doczeka, ale on i tak mnie tu wysłał. Sam został w Dharavi – slumsach w Bombaju – pół miliona ludzi na niecałych dwóch kilometrach, gówno pływa w rzece, ale dom to dom.

– Musiało ci być ciężko, przyjechać tu bez taty – mówi Klara, przyglądając mu się uważnie. Raj ma gęste brwi, ale rysy delikatne: wysokie kości policzkowe, zwężające się w smukłą szczękę i ostry podbródek. – Ile miałeś lat?

– Dziesięć. Przeprowadziłem się z kuzynem taty, Amitem. Był najmądrzejszy w całej rodzinie – dostał stypendium na uczelni i przyjechał w latach sześćdziesiątych do Kalifornii na wizie studenckiej, żeby zacząć medycynę. Tata chciał, żebym był taki jak on. Ale ja nigdy nie radziłem sobie z nauką, nie lubię naprawiać ludzi. Ale lubię naprawiać rzeczy, więc tata przynajmniej w połowie miał rację. Z drugiej strony… Połowa to chyba za mało. – Raj śmieje się nerwowo, w jego słowach pobrzmiewa echo akcentu, choć Klara musi się dobrze wsłuchać, żeby to wychwycić. – A ty? Od dawna się tym zajmujesz?

– Hmm. – Klara się zamyśla. – Od sześciu lat?

Z początku elektryzowała ją ta robota, ale teraz Klara jest wyczerpana. Samodzielne mocowanie sprzętu, jeżdżenie szybką koleją BART do Berkeley w prochowcu przy akompaniamencie hip-hopu ryczącego z czyjegoś boomboksa. Powroty do domu o pierwszej nad ranem – albo trzeciej, jeśli wraca z East Bay, kąpiele przed świtem, kiedy chińska piekarnia na parterze budzi się do życia. Noce spędzone na przyszywaniu tych cholernych cekinów z powrotem do sukienki na tandetnej maszynie,

bo nie stać jej na nową – cekiny w kanapie, cekiny na schodach, cekiny w odpływie prysznica.

Rok temu nabawiła się poważnej kontuzji podczas Upadku. Dziewczyna, którą znalazła przez ogłoszenie w „Chronicle”, puściła linę bez sprawdzenia mechanizmu bezpieczeństwa i sznur ześlizgnął się metr po belkach. Klara poleciała na ziemię. Kiedy się ocknęła, leżała na czworakach, w czaszce czuła takie łupanie, jakby ktoś zdzielił ją pięścią, a stopy miała spuchnięte jak dwa ciemne balony. Nie była ubezpieczona, a opłaty w szpitalu pochłonęły prawie wszystkie pieniądze ze spadku po Saulu. Spędziła sześć tygodni w gipsie, kipiąc ze złości. Przez ostatni rok pracowała tylko z jednym asystentem – dziewiętnastoletnim chłopcem z cyrku, ale niedawno powiedział jej, że w marcu wyjeżdża, żeby przyłączyć się do trupy Barnum.

– Widzę, że to ci daje dużo radości – zauważa Raj.

– Och. – Klara się uśmiecha. – Dawało. Nadal daje. Ale jestem zmęczona. Ciężko zajmować się tym w pojedynkę. Szukać miejsc na występy. Nie wszędzie mnie zatrudnią, i nie będą mnie trzymać bez końca – kilka lat występujesz w tym samym miejscu, wieści się roznoszą, zainteresowanie wzrasta, potem opada, a ty dalej tam jesteś, wiesz, i dalej dyndasz pod sufitem ze sznurkiem w zębach.

– Podobał mi się ten numer, sztuczka z liną. Na czym polega sekret?

– Nie ma żadnego sekretu. – Klara wzrusza ramionami. – Po prostu się trzymam.

– Niesamowite. – Raj unosi brwi. – Stresujesz się?

– Mniej niż kiedyś, i tylko przed występem. Ten moment oczekiwania; stoję za kulisami i czuję… chyba tremę, ale chodzi o coś więcej, takie podniecenie – wiem, że pokażę ludziom coś, czego nigdy wcześniej nie widzieli. Że mogę zmienić ich sposób widzenia świata, choćby tylko na

godzinę. – Klara marszczy czoło. – Nie denerwuję się przed sztuczkami z chustkami ani przed kubkami z piłeczką. Na tym się wychowałam, ale nikomu to się tak nie podoba jak Upadek.

– Więc dlaczego nie zmienisz scenariusza? Mogłabyś wyciąć drobiazgi i zająć się dużymi numerami?

– To byłoby zbyt skomplikowane. Potrzebowałabym wyposażenia i prawdziwego asystenta na pełen etat. Musiałabym znaleźć sposób na przewożenie większych rekwizytów. Poza tym moje ulubione numery to te, o których tylko czytałam w książkach. Musiałabym najpierw je rozgryźć. Iluzjoniści to gatunek, który szczególnie sobie ceni dyskrecję.

– To wyobraź sobie, że możesz zrobić cokolwiek. Co miałabyś w programie?

– Cokolwiek? Rany… – uśmiecha się Klara. – Na pewno Znikającą Klatkę DeKolty. Unosił wysoko klatkę z papugą, aż nagle – bum! – znikała. Wiem, że musiał ją sobie chować w rękawie, ale nie udało mi się wymyślić, jak był w stanie to zrobić.

– Pewnie składana. A pręty – może były przegubowe? Grubsze pośrodku niż na końcach?

– Nie wiem – mówi Klara, ale już ma wypieki na twarzy, mówi coraz szybciej. – Co jeszcze, o, skrzynka Proteusza. Taka niewielka szafa na nóżkach. Jest na kółkach, żeby publiczność widziała, że nie możesz przejść przez zapadnię w podłodze. Asystent kręci skrzynką dookoła, otwiera i zamyka drzwiczki, aż nagle ze środka dobiega pukanie. Otwiera skrzynkę i pyk, jesteś w środku.

– Lustra – stwierdza Raj. – Widownia nie widzi prawdziwego przedmiotu czy osoby, tylko odbicie.

– Pewnie, tyle to sama wiem. Ale tu chodzi o ustawienie kątów, o geometrię. Wszystko musi być idealnie dopasowane, na tym polega

sztuka: na matematyce. – Klara już dopiła drinka, ale tym razem nawet tego nie zauważa. – Ale numer, który najbardziej chciałabym zrobić, mój ulubiony od zawsze, to Trzecie Oko. Wymyślił go iluzjonista Charles Morritt. Widzowie podawali mu różne przedmioty – na przykład złoty zegarek albo papierośnicę – a jego asystentka potrafiła zgadnąć, co Morritt akurat trzyma, mimo że miała opaskę na oczach. Później robili to też inni magicy, ale zawsze załatwiali sprawę trajkotaniem – wiesz, coś w stylu: „O, bardzo ciekawy przedmiot, proszę podać", więc od razu szło wychwycić, że mówili jakimś szyfrem – ale Morritt zawsze mówił tylko: „Tak, dziękuję". No i zabrał swój sekret do grobu.

– Opaska była prześwitująca.

– Asystentka stała twarzą do ściany.

– Ochotnicy z widowni byli podstawieni.

– Nie ma szans. – Klara potrząsa głową. – Numer nie zyskałby takiej sławy, ludzie od stu lat próbują to rozgryźć.

– Cholera – śmieje się Raj.

– Mówiłam ci. Od lat się nad tym zastanawiam.

– W takim razie będziemy musieli się bardziej wysilić.

12

Pewnego razu podczas corocznej wycieczki Goldów do Lavallette w New Jersey Saul obudził rodzinę o świcie. Gertie wstała ostatnia, z pojękiwaniem i stękaniem. Saul wyprowadził rodzinę z wynajętego plażowego domku o niebiesko-żółtych okiennicach i wszyscy ruszyli ścieżką prowadzącą do morza. Szli na boso; nie było czasu na szukanie butów. A kiedy dotarli nad wodę, Klara zrozumiała, skąd ten pośpiech.

– Wygląda jak keczup – ocenił Simon, choć woda na horyzoncie przybierała już kolor arbuzowej fuksji.

– Nie – odparł Saul. – Jak Nil. – I zapatrzył się w ocean z tak doskonałą wiarą, że Klara była skłonna się z nim zgodzić.

Lata później Klara dowiedziała się w szkole o zjawisku czerwonego przypływu: algi zaczynają rozmnażać się tak szybko, że wody przybrzeżne zmieniają kolor i stają się toksyczne. To odkrycie sprawiło, że poczuła się dziwnie pusta. Nie miała już powodu, by rozmyślać o czerwonym morzu, nie było już w tym żadnej fascynującej tajemnicy. Klara rozumiała, że coś jej podarowano, ale jednocześnie coś innego – magia przemienienia – zostało jej odebrane.

Kiedy Klara wyciąga komuś pieniążek z ucha albo zmienia piłeczkę w cytrynę, nie zamierza nikogo zwodzić – pragnie przekazywać inny rodzaj wiedzy, pogłębiać wiarę w możliwości. Rzecz nie w tym, by negować

rzeczywistość, ale zajrzeć pod jej obicie, wyciągnąć na wierzch jej kaprysy i sprzeczności. Najlepsze sztuczki magiczne, takie, jakie chce pokazywać Klara, nie odejmują nic rzeczywistości, lecz dodają.

* * *

W ósmym wieku przed Chrystusem Homer opisał Proteusza, morskiego boga i pasterza fok, który mógł przybrać każdą postać. Potrafił przepowiadać przyszłość, ale często zmieniał wygląd, żeby tego nie robić. Odpowiadał na pytania tylko schwytany w pułapkę. Trzy tysiące lat później wynalazca John Henry Pepper zaprezentował w Instytucie Politechniki w Londynie nową iluzję, zatytułowaną „Proteusz, czyli Jesteśmy, ale nas tu nie ma". Sto lat później Klara i Raj przetrząsają sterty odpadów budowlanych w poszukiwaniu kawałków drewna. O tej porze na plaży jest zupełnie pusto – nawet lwy morskie już śpią, widać tylko ich nosy dryfujące na powierzchni wody. We dwójkę zaciągają dziewięć desek na przyczepę pikapa Raja. W piwnicy domu na Sunset, który dzieli z czterema innymi mężczyznami, Raj zbija skrzynię szeroką na dziewięćdziesiąt centymetrów i wysoką na sto osiemdziesiąt. Klara wykleja wnętrze biało-złotą tapetą, jak u Johna Henry'ego Peppera. Raj zawiesza wewnątrz dwa szklane lustra, też wytapetowane z tyłu, więc kiedy wiszą płasko, wyglądają jak ściany. Ale jeśli ustawić je po skosie do środka skrzynki – tak, by dotykały się krawędziami – zostaje za nimi wąska przestrzeń, w której idealnie mieści się Klara. Teraz zamiast tylnej ściany skrzynki widać tylko odbicie bocznej.

– Piękna – wzdycha Klara.

Iluzja jest perfekcyjna. Klara znika, jakby rozpływała się w powietrzu. Pośrodku rzeczywistości otwiera się nowa płaszczyzna, której nikt nie dostrzega.

* * *

Przeszłość Raja nie ma w sobie nic magicznego. Jego matka zmarła na błonicę, kiedy miał trzy lata. Ojciec był gałganiarzem – całymi dniami brodził w hałdach śmieci w poszukiwaniu szkła, metalu i plastiku, które mógłby sprzedać handlarzom złomem. Resztki śmieci przynosił Rajowi do domu, a chłopiec przerabiał je na maleńkie, filigranowe robociki, które następnie ustawiał na podłodze pod ścianą ich kawalerki.

– Miał gruźlicę – wyjaśnia Raj. – Dlatego mnie tu wysłał. Wiedział, że umiera i że nie mam nikogo innego. Jeśli chciał, żebym się wyrwał, musiał zorganizować to jak najszybciej.

Leżą na łóżku Klary, niemal dotykając się nosami.

– I jak to zrobił?

Raj chwilę milczy.

– Opłacił kogoś, kto wystawił mi fałszywe papiery potwierdzające, że jestem bratem Amita. To był jedyny sposób, żeby przepuścili mnie przez granicę. Wydał na to wszystko, co miał. – Na twarzy Raja maluje się bezbronność, której Klara nigdy dotąd nie widziała, a może to strach. – Teraz jestem już legalny, jeśli o tym myślisz.

– Nie o tym. – Klara bierze dłonie Raja w swoje i ściska je mocno. – A twojemu tacie udało się tu przyjechać?

Raj potrząsa głową.

– Pożył jeszcze dwa lata. Ale nie powiedział mi, że jest chory, więc nie zdążyłem się z nim zobaczyć przed śmiercią. Może się bał, że jeśli przyjadę, to już go nie zostawię. Byłem jego jedynym dzieckiem.

Klara myśli o ich ojcach. W jej wyobraźni są przyjaciółmi, gdziekolwiek się znajdują: grają w szachy w widmowym parku i wdają się w długie debaty o teizmie w spowitych dymem niebiańskich barach. Wie, że nie powinna wierzyć w chrześcijańskie niebo, ale nic nie może na to poradzić.

Żydowski odpowiednik – Szeol, Kraina Zapomnienia – jest zbyt beznadziejny.

– Co by sobie o nas pomyśleli? – pyta. – Żydówka z hindusem?

– Ledwo co hindus. – Raj szczypie ją w nos. – I ledwo co żydówka.

Raj tworzy sobie od nowa własną mitologię. Jest synem syna legendarnego fakira, który nauczył Howarda Thurstona najwspanialszych sztuk magicznych z Indii; jak wyhodować drzewo z pestki mango w kilka sekund, jak siedzieć na gwoździach, jak zarzucić linę w powietrze i wspiąć się na niej do góry. Tak będzie mówić kierownikom i agentom od rezerwacji miejsc. Będzie to drukować w programach, z satysfakcją podszytą poczuciem winy.

Nie jest pewien, czy czuje się bardziej jak zmyślony wnuk fakira odzyskujący coś, co należało kiedyś do jego rodu, czy może jak kanciarz Howard Thurston przemykający się ze Wschodu na Zachód z kradzioną sztuczką w kieszeni.

* * *

– Nie rozumiem – mówi Raj. – Zaklinaczka śmierci?

Siedzą na kanapie Klary. Jest kwiecień, czwarta po południu, na zewnątrz mży, ale z dołu bije żar piekarni, więc uchylili okno.

– Czego tu nie rozumieć? – Klara ma na sobie luźny T-shirt i bokserki Raja; nagie stopy oparła o jego uda. – Ja nigdy nie umrę.

– Jaka pewna siebie. – Raj ściska jej łydkę. – Wiem, co to znaczy. Po prostu nie wiem, dlaczego myślisz, że właśnie w to grasz.

– A w co gram?

– W metamorfozę. – Raj podpiera się na łokciu. – Apaszka zmienia się w kwiat. Piłka – w cytrynę. Węgierska tancerka… – porusza znacząco

brwiami; Klara opowiadała mu o babci – zmienia się w amerykańską gwiazdę.

Raj ma wielkie plany: nowe kostiumy, wizytówki, większe lokale. Uczy się Igieł Fakira, sztuczki, w której magik połyka garść igieł i nitkę, rozciąga policzki, by publiczność mogła się przekonać, że nie ukrywa nic w ustach, a potem wypluwa igły z powrotem, nawleczone na nić. Udało mu się nawet zarezerwować im występ w Teatro ZinZanni, restauracji z teatrem, której właścicielem jest jeden z klientów warsztatu Raja.

Klara nie pamięta, kiedy dokładnie postanowili wspólnie prowadzić interes, ani kiedy zaczęli myśleć o tym przedsięwzięciu jak o interesie. Z drugiej strony, Klara wielu rzeczy nie pamięta. Ale kocha Raja: szarpnięcie jego energii, geniusz, z jakim potrafi tchnąć życie w każdy przedmiot. Kocha jego proste czarne włosy, które zawsze odgarnia z oczu, i kocha jego imię: Rajanikant Chapal. Raj buduje mechanicznego kanarka do Znikającej Klatki – gipsowego ptaszka, pustego w środku, oklejonego prawdziwymi piórkami – a potem z pomocą kijka i sznurka porusza jego główką i skrzydełkami. Klara kocha to, jak ptaszek ożywa w jego dłoniach.

* * *

Najtrudniejszym numerem Klary nie są Szczęki Życia, lecz nagromadzenie tak wielkiej siły woli, by ignorować pagery i sprane dżinsy na widowni. Podczas swoich występów cofa zegar do czasów, kiedy ludzie zachwycali się iluzją, kiedy spirytyści rozmawiali ze zmarłymi, kiedy ktoś jeszcze wierzył, że zmarli mają coś do powiedzenia. William i Ira Davenport – bracia z Rochester w stanie Nowy Jork, którzy wywoływali duchy, przywiązani do ławek z desek w dużej drewnianej skrzyni – to najsłynniejsi wiktoriańscy spirytyści, ale nie pierwsi; inspirowali się siostrami Fox. W 1848 roku, siedem lat przed pierwszym występem

Davenportów, Kate i Margaret Fox usłyszały stukanie w sypialni swojego domu na farmie w Hydesville. Wkrótce miejsce owiała ponura sława nawiedzonego domu, a dziewczęta ruszyły w tournée po kraju. W Rochester – pierwszym mieście, które odwiedziły – medycy badający siostry twierdzili, że kobiety wywoływały odgłosy pukania, strzelając stawami kolanowymi. Ale większa grupa badaczy nie potrafiła znaleźć żadnej racjonalnej przyczyny stukotów ani rozgryźć systemu komunikacji – kodu opartego na odliczaniu – który siostry stosowały w interpretacji sygnałów.

W maju Klara wpada do łazienki, gdy Raj bierze prysznic.

– Czas! – krzyczy.

– Co? – Raj uchyla zamglone drzwi kabiny.

– Trzecie Oko. Numer Morritta. Chodzi o czas, tak to robił. – Klara zanosi się śmiechem, to takie proste, takie oczywiste.

– Ta sztuczka z czytaniem w myślach? – Raj potrząsa głową jak pies. Woda pryska na ściany. – Jak to?

– Liczenie synchroniczne – tłumaczy Klara. – Wiedział, że publiczność będzie się doszukiwać szyfru opartego na słowach. Jak mógł to obejść? Tworząc szyfr oparty na ciszy, na długości ciszy pomiędzy słowami.

– I co miała oznaczać cisza? Litery? Masz pojęcie, jak wiele czasu trwałoby ułożenie z tego słowa?

– Nie, to nie mogły być litery. Ale może mieli listę typowych przedmiotów – wiesz, portfele, portmonetki, nie wiem, kapelusze – i jeśli Morritt mówił „Tak, dziękuję” po dwunastu sekundach, asystentka wiedziała, że chodzi o kapelusz. A jeśli chodzi o rodzaj, mogli mieć do tego drugą listę, na przykład materiałów, jedna sekunda na skórę, dwie na wełnę, trzy na filc… Moglibyśmy to zrobić, Raj. Jestem pewna.

On patrzy na nią jak na wariatkę – owszem, Klara jest szalona, ale to nigdy jej przed niczym nie powstrzymało. Nawet lata później, kiedy będą mieć za sobą setki przedstawień – nawet kiedy Klara będzie w ciąży z Ruby, nawet po narodzinach dziecka – Klara nigdy nie poczuje się tak blisko Raja jak wtedy, kiedy wystawiają Trzecie Oko. Wspólnie balansują na krawędzi porażki, Raj trzyma przedmiot, a Klara całą sobą nasłuchuje wskazówki, wertując w myślach ich numerowaną listę. Tenisówka Rebook. Paczka miętówek. Ostry wdech z publiczności, kiedy Klara prawidłowo odgaduje przedmiot. Nic dziwnego, że potrzebuje drinka albo trzech, żeby się uspokoić po występie – i dopiero po kilku godzinach jest dość otępiała, żeby zasnąć.

* * *

Dwa dni przed występem w Teatro ZinZani Raj wraca do mieszkania Klary po zmianie w warsztacie. Będą musieli całą noc przesiedzieć nad Znikającą Klatką.

– Kupiłaś drut? – pyta, rzucając kurtkę na krzesło.

– Nie jestem pewna. – Klara przełyka ślinę. Wczoraj miała kupić paczkę grubego mosiężnego drutu w sklepie z przyborami artystycznymi przy Market. Raj potrzebuje go do wykończenia klatki. – Nie pamiętam.

Raj podchodzi do niej.

– Jak to: nie pamiętasz? Albo poszłaś do sklepu, albo nie.

Klara nie mówiła Rajowi o dziurach w pamięci. Od miesiąca jej się to nie przytrafiło, ale wczoraj Raj został w pracy na dodatkową zmianę i nic nie odciągało Klary od myśli, które ją opadają, kiedy jest sama: brak ojca, rozczarowanie matki. Myślała, jak bardzo chciałaby, żeby Simon mógł ją teraz zobaczyć, nie pod niebieskim reflektorem na małym podeście w knajpie przy Filmore, ale w prawdziwym teatrze, z prawdziwymi

rekwizytami i prawdziwym partnerem. Więc wyszła z mieszkania, poszła do baru przy Kearny i piła, aż wszystkie myśli zniknęły.

– Cóż, nie pamiętam – jeży się Klara, bo taki jest Raj, nigdy nie odpuszcza. – Ale nie widzę nigdzie drutu, więc pewnie go nie kupiłam. Jutro to załatwię.

Idzie do sypialni i udaje, że poprawia światełka rozpięte wokół okna. Raj wchodzi za nią. Chwyta ją za ramię.

– Nie okłamuj mnie, Klaro. Jeśli tego nie zrobiłaś, to po prostu powiedz. Mamy spektakl do wystawienia. A czasami mam wrażenie, że zależy mi na tym bardziej niż tobie.

Raj zaprojektował ich wizytówki: *Zaklinaczka śmierci* & *Raj Chapal*, głosi napis, i wymyślił nowe kostiumy Klary. Kupił na wyprzedaży marynarkę od smokingu i zapłacił krawcowej, żeby przerobiła ją na figurę Klary. Do Szczęk Życia zamówił złotą sukienkę z cekinami z katalogu strojów łyżwiarskich. Klara protestowała – uważa, że sukienka jest tandetna, nie nadaje się do wodewilu – ale Raj mówił, że będzie błyszczeć w świetle reflektorów.

– Na niczym mi tak nie zależy jak na tym – syczy Klara. – I nigdy bym cię nie okłamała. Obrażasz mnie.

– W porządku. – Raj mruży oczy. – Jutro.

13

W czerwcu 1982 roku, kilka dni po śmierci Simona, Klara przyjechała na Clinton Street na jego pogrzeb. Po całonocnym locie z San Francisco stanęła przed drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową. Cała się trzęsła. Kiedy stała się osobą, która od lat nie odwiedzała własnej rodziny? Gdy wspinała się po stromych schodach, było jej niedobrze. Ale Varya otworzyła drzwi, wyciągnęła ku niej ręce – „Klara", westchnęła, a jej szczupłe ręce objęły pełniejsze ciało Klary – i czas spędzony osobno nie miał znaczenia, jeszcze nie. Były siostrami. Tylko to się liczyło.

Daniel miał dwadzieścia cztery lata. Trenował na siłowni na Uniwersytecie w Chicago, gdzie studiował medycynę. Kiedy ściągał bluzę, Klarze mignęła jego blada, umięśniona pierś, bliźniacze kępki ciemnych włosów – aż poczerwieniała na ten widok. Brodę miał usianą późnym trądzikiem, ale nastoletnia powaga ustąpiła miejsca wyrazistym brwiom, mocnej szczęce, dużemu rzymskiemu nosowi. Daniel wyglądał jak ich dziadek Otto.

Gertie nalegała na żydowską ceremonię pogrzebową. Kiedy Klara była dzieckiem, Saul wykładał im prawa judaizmu wytrwale i z godnością, jak Józef Rzymianom. Judaizm to nie przesąd, mówił, lecz droga życia zgodnie z prawem; być Żydem to przestrzegać praw, które Mojżesz przyniósł z góry Synaj. Ale Klara nie była zainteresowana zasadami. W szkole hebrajskiej

najbardziej podobały jej się przypowieści. Miriam, zgorzkniała prorokini, której toczący się kamień dawał Izraelitom wodę podczas czterdziestu lat tułaczki! Daniel, rzucony lwom i nietknięty nawet przez dzikie zwierzęta! Te historie mówiły Klarze, że może zrobić ze swoim życiem wszystko – więc dlaczego miałaby przeznaczyć je na przesiadywanie co tydzień przez sześć godzin w podziemiach synagogi i studiowanie Talmudu?

Poza tym to był męski świat. Kiedy Klara miała dziesięć lat, dwadzieścia tysięcy kobiet porzuciło swoje dzieci i maszyny do pisania i wyszło strajkować na Piątą Aleję, żeby wywalczyć równouprawnienie. Gertie oglądała transmisję w telewizji, ściskając gąbkę w dłoni, a oczy miała lśniące jak wypolerowane łyżeczki – choć prędko wyłączyła zenitha, kiedy tylko Saul wrócił do domu. Klara nie miała swojej bat micwy w szabat, jak jej bracia. Jej ceremonia odbyła się w grupie dziesięciu dziewcząt – żadnej nie dopuszczono do czytania z Tory ani haftary – podczas mniej istotnego nabożeństwa w piątkowy wieczór. Tamtego roku Komisja Prawa Żydowskiego dopuściła kobiety do minjanu, ale kwestia podejmowania przez nie studiów rabinicznych wymagała dalszej debaty.

Teraz, kiedy Klara stała wśród pozostałości swojej rodziny, a Gertie recytowała po hebrajsku *El Male Rachamim*, coś się w niej zmieniło. Otworzyły się w niej jakieś drzwi; do środka wpadł świeży powiew, niosąc za sobą miażdżącą falę żalu – a może ulgi? – wraz ze słowami, których nie słyszała od dzieciństwa. Nie mogła sobie przypomnieć całego znaczenia modlitwy, ale wiedziała, że łączy zmarłych, Simona i Saula, z żywymi: Klarą i Varyą, Gertie i Danielem. W słowach modlitwy nikogo nie brakowało. W słowach modlitwy byli obecni wszyscy Goldowie.

* * *

Trzy miesiące później Klara wróciła do Nowego Jorku na Jamim Noraim, Dni Trwogi – pierwsze dziesięć dni nowego roku żydowskiego. Przebywanie z kimkolwiek było torturą, jak szorowanie oparzeń papierem ściernym, ale mimo to uciułała pieniądze na samolot; wśród ludzi, którzy też kochali Simona, cierpiała najmniej. Z początku byli dla siebie wyrozumiali. Jednak już w połowie tygodnia ta delikatność zniknęła jak świeży kurz na wietrze. Daniel kroił jabłka, postukując zaciekle nożem.

– Mam wrażenie, że w ogóle go nie znałem – powiedział nagle.

Klara wypuściła z dłoni łyżkę, którą wygarniała miód ze słoika.

– Dlaczego? Bo był ciotą? Tak o nim myślisz, to dla ciebie tylko jakaś obca ciota?

Słowa same posypały jej się z ust. Varya popatrzyła na nią z niesmakiem. Zaraz po przyjeździe Klara nalała wódki do butelki po wodzie i schowała pod umywalką w łazience, w koszyku zapchanym żelami pod prysznic i starymi szamponami.

– Ciszej – upomniała ich Varya. Gertie leżała w łóżku, gdzie spędzała cały swój czas między nabożeństwami.

– Nie – powiedział Daniel do Klary. – Dlatego, że się od nas odciął. Gówno nam powiedział. Zdajesz sobie w ogóle sprawę, ile razy dzwoniliśmy? Ile wiadomości zostawiliśmy, jak błagaliśmy, żeby z nami porozmawiał, żeby chociaż wyjaśnił, dlaczego tak po prostu uciekł? A ty jeszcze mu pomagałaś, trzymałaś wszystko w sekrecie, nawet nie zadzwoniłaś – Danielowi załamał się głos – nawet nie zadzwoniłaś, kiedy był chory.

– Nie miałam prawa – odparła Klara, ale jej słowa zabrzmiały słabo i niepewnie, bo bez przerwy paliło ją poczucie winy. Teraz to widziała: odejście jej brata stało się bombą, która rozerwała ich rodzinę na strzępy, z jeszcze większą siłą niż śmierć Saula. Varyę i Daniela odepchnęła uraza,

Gertie – cierpienie. Czy gdyby Klara nie przekonała Simona do ucieczki, to jej brat nadal by żył? To ona wierzyła w przepowiednie; to ona wyznaczyła Simonowi kurs, popychając brata tak długo, aż wreszcie się przechylił i podryfował w inną stronę. Nieważne, jak często wspominała słowa Simona w szpitalu – to, jak ścisnął jej dłoń, jak jej podziękował – nie potrafiła pozbyć się myśli, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby wyjechali do Bostonu, Chicago czy Filadelfii, gdyby zachowała swoje cholerne przekonania dla siebie. – Próbowałam być wobec niego lojalna – wyszeptała.

– Tak? A wobec nas już nie musiałaś? – Daniel popatrzył na Varyę. – Vi musiała odłożyć wszystkie plany. Myślisz, że ona chce tu siedzieć? Ma dwadzieścia pięć lat, myślisz, że chce dalej mieszkać z mamą?

– No, czasami wydaje mi się, że tak. Może ona po prostu nie chce ryzykować. Czasami… – Klara spojrzała siostrze w oczy – myślę sobie, że tak ci po prostu wygodniej.

– Spieprzaj – syknęła Varya. – Nie masz pojęcia, jak wyglądały te cztery lata. Nic nie wiesz o odpowiedzialności, o obowiązkach wobec rodziny. I pewnie to się już nie zmieni.

Jeśli Daniel się rozrósł, to Varya chyba się skurczyła. Pracowała w administracji firmy farmaceutycznej i odłożyła studia magisterskie, żeby zająć się Gertie. Któregoś wieczoru Klara zobaczyła siostrę nachyloną nad łóżkiem matki, która obejmowała Varyę i cała się trzęsła. Klara wycofała się ze wstydem. Varya zasłużyła na przywilej dotyku Gertie, na jej zaufanie.

* * *

Gertie spędziła Dni Trwogi w ciasno zbitym kokonie cierpienia. Po śmierci Saula powiedziała: nigdy więcej. Nie mogła jeszcze raz ponosić

konsekwencji miłości – więc pożegnała się z Simonem, zanim zdążył jej to zrobić. Nie chcę, żebyś wracał, powiedziała.

Nie wrócił. I już nigdy nie wróci.

– W Rosz Haszanę w niebie otwierają się trzy księgi – powiedział rabin Chaim pierwszego wieczoru Dni Trwogi. – Pierwsza dla grzesznych, druga dla cnotliwych, a trzecia dla wszystkich pomiędzy nimi. Imiona grzesznych zapisano w księdze śmierci, cnotliwych – w księdze życia, ale los tych zawieszonych pośrodku jest niepewny aż do Jom Kipur. I bądźmy szczerzy – dodał, wywołując uśmiechy na twarzach wiernych – większość z nas należy do tej grupy.

Gertie nie była w stanie się uśmiechnąć. Wiedziała, że jest złą osobą. Żadne modlitwy świata nie zrobiłyby różnicy. Ale mimo to należy próbować, powiedział rabin Chaim, kiedy poszła porozmawiać z nim na osobności. Jego oczy patrzyły dobrotliwie zza okularów, broda kiwała się pojednawczo. Gertie pomyślała o jego rodzinie – o posłusznej żonie, która rzadko się odzywała, i o trzech zdrowych synach – i na kilka sekund go znienawidziła.

Kolejny grzech.

Rabin położył jej dłoń na ramieniu.

– Żaden człowiek nie jest wolny od grzechu, Gertie. Ale Bóg od nikogo się nie odwraca.

Więc gdzie On był? Po śmierci Saula Gertie poświęciła się wierze i jej obietnicom, rzuciła się w objęcia świątyni jak stęskniona kochanka – zapisała się nawet na lekcje hebrajskiego. Ale mimo że wypłakała dość łez, by wypełnić nimi całą rzekę Hudson, nie czuła zstępującego na nią przebaczenia. Nic się nie zmieniło. Bóg nadal był równie odległy jak słońce.

W Jom Kipur Gertie przyśniło się, że pojechała do Grecji. Nigdy tam nie była, choć widziała zdjęcia w kolorowym magazynie w poczekalni u dentysty. We śnie stała na skraju klifu, ściskając w dłoniach dwa ceramiczne naczynia. W każdym znajdowały się prochy: w jednym męża, a w drugim syna. Z klifu Gertie widziała kościoły o niebieskich kopułach i białe domki, pnące się pod górę jak wycofana obietnica. Kiedy przechyliła naczynia, wysypując prochy do wody, poczuła przerażającą lekkość – ogarnęła ją swoboda braku przynależności, wolność tak oszałamiająca, że Gertie sama poczuła nawoływanie wodnej głębiny.

Kiedy się obudziła, mdliło ją z przerażenia na myśl, że nie pochowała Simona i Saula zgodnie z żydowskim obrządkiem. Zew wody był równie koszmarny – ciemna skarpa żalu.

Jej koszula nocna była ciężka od potu. Naciągnęła różowy szlafrok i uklękła na drewnianej podłodze u stóp łóżka.

– Och, Simon. Wybacz mi – wyszeptała. Kolana jej dygotały. Za oknem pojawiało się powoli słońce. Gertie rozszlochała się na ten widok, opłakując wszystkie poranki, których jej Simon, jej złoty chłopiec, już nigdy nie zobaczy. – Wybacz mi, Simon. To moja wina. Wybacz mi, synku.

Nie poczuła ulgi. Nie znalazła wytchnienia. Ale promienie słońca, wpadające przez okno sypialni, grzały ją w plecy. Słyszała klaksony taksówek na Rivington, bodegi podnosiły metalowe żaluzje. Ulica budziła się do życia.

Gertie niepewnym krokiem ruszyła do salonu, gdzie zobaczyła swoje dzieci – dla niej oni zawsze byli dziećmi – śpiące w niewygodnych pozach. Klara skuliła się przy Varyi na kanapie. Daniel przewiesił długie nogi przez podłokietnik ulubionego fotela Saula. Wróciła do sypialni, zasłała łóżko i trzepała poduszkę Saula tak długo, aż stała się okrągła i puszysta. Ubrała się w sukienkę z ciemnej wełny, na nogi naciągnęła cieliste pończochy

i wsunęła stopy w czarne czółenka, które zawsze wkładała do pracy. Upudrowała twarz i nawinęła włosy na gorące wałki. Kiedy znów wyszła z sypialni, Varya parzyła właśnie kawę.

Córka podniosła głowę z zaskoczeniem.

– Mamo.

– Mamy wtorek – oznajmiła Gertie. Jej głos był ochrypły od nieużywania. – Muszę iść do pracy.

Biuro: pobrzękiwanie kluczy, klimatyzacja. W 1982 roku Gertie miała już własny komputer, magicznego szarego behemota zesłanego, by jej służyć.

– Dobrze – zgodziła się Varya, przełykając ślinę. – Dobrze. Znajdziemy ci pracę.

* * *

Cztery miesiące później, w styczniu 1983 roku, Klara zauważyła Eddiego O'Donoghue na widowni w klubie w Haight. Kiedy unosiła się pod sufit w Szczękach Życia, jego zadarta do góry twarz robiła się coraz mniejsza, światło reflektora odbiło się od odznaki. Po chwili Klara zorientowała się, że to ten gliniarz, który kiedyś napadł na Simona; całe jej ciało aż zapłonęło. Potknęła się przy lądowaniu, ukłoniła się niezgrabnie i zeszła ze sceny. Myślała o wszystkich sytuacjach, kiedy wkładała mężczyznom dłoń do tylnej kieszeni spodni i wyciągała dwie albo cztery dychy, czasem więcej, jeśli akurat ją przycisnęło. Czy on ją śledził? Może to jego prywatna zemsta za to, że nakrzyczała na niego przed komendą?

Nie. To nie miało sensu. Zawsze kroiła klientów z najwyższą ostrożnością. Rozglądała się uważnie, wszystko miała pod kontrolą. Miesiąc później jej bystry wzrok znów napotkał twarz Eddiego wśród publiczności na North Beach. Tym razem przyszedł w cywilu: miał na sobie

białą koszulkę i dżinsy. Klara musiała całą siłą woli skoncentrować się na scenariuszu numeru z kubkami i piłeczką, żeby zignorować jego splecione na piersi ramiona i powściągliwy uśmiech, który wkrótce zobaczyła znowu w nocnym klubie przy Valencia Street. Tym razem prawie wypuściła z rąk stalowe pierścienie. Po występie pomaszerowała prosto do Eddiego, który siedział przy barze na okrągłym skórzanym taborecie.

– Jaki ty masz problem?

– Problem? – powtórzył gliniarz, mrugając gwałtownie.

– Przecież mówię. – Klara opadła na stołek obok. Skórzana poduszka sapnęła pod jej ciężarem. – To trzecie przedstawienie, na którym cię widzę. Więc powiedz mi, jaki masz ze mną problem?

Eddie zmarszczył brwi.

– Widziałem zdjęcie twojego brata w gazecie.

– Spierdalaj – powiedziała Klara. To było takie przyjemne, jak alkohol wypalający wirusa, że aż powiedziała to jeszcze raz. – Spierdalaj. Nic nie wiesz o moim bracie.

Eddie aż się wzdrygnął. Postarzał się od czasu, kiedy widziała go przed komendą na Mission Street. Pod oczami miał siatkę zmarszczek, na brodzie szorstki rudy zarost. Jego włosy w kolorze truskawkowego blondu były zmierzwione, jakby dopiero wstał z łóżka.

– Twój brat był bardzo młody. Zbyt surowo go potraktowałem. – Eddie spojrzał jej w oczy. – Chciałbym przeprosić.

Klara zesztywniała. Nie spodziewała się tego. Ale nie mogła tak po prostu mu wybaczyć. Chwyciła płaszcz i płócienną torbę i wyszła z baru najszybciej, jak mogła bez ryzykowania, że zwróci na siebie uwagę menedżera – obleśnego typa, który zawsze zmuszał ją, żeby napiła się z nim na pożegnanie. Na zewnątrz panował zaskakujący ziąb. Z wejścia do Valencia Tool & Die wylewał się agresywny hardcore punk. Piekły ją oczy.

Wydawało jej się niepojęte, że Eddie żyje, a Simon nie – a jednak tak właśnie było, Eddie żył i biegł teraz za nią, a jego oczy błyszczały od determinacji.

– Klaro – wydyszał. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Wiem, chcesz przeprosić. Dziękuję. Jesteś rozgrzeszony.

– Nie. Coś innego. O twoim przedstawieniu – nalegał Eddie. – Ono mnie zmieniło.

– Zmieniło cię – prychnęła Klara. – Urocze. Co, podoba ci się moja kiecka? Lubisz pogapić się na mój tyłek, kiedy wiszę pod sufitem?

Eddie aż się skrzywił.

– To prostackie.

– Nie, to prawda. Naprawdę sądzisz, że nie wiem, dlaczego faceci przychodzą mnie oglądać? Że nie wiem, co w tym widzicie?

– Nie. Chyba nie wiesz. – Był zraniony, ale patrzył jej w oczy z zaskakującym uporem.

– Dobra. To powiedz, co ci się tak spodobało?

Eddie otworzył usta, ale w tej samej chwili z wejścia do Die wysypało się stadko punków, którzy przystanęli pod drzwiami do sklepu obok, żeby zapalić. Głowy mieli ogolone albo pofarbowane na wściekłe kolory, z pasków zwisały im metalowe łańcuchy. W porównaniu z nimi Eddie wyglądał boleśnie zwyczajnie, aż zamilkł z zażenowania. Kilka lat temu Klara może znalazłaby w sobie współczucie dla niego – dla kogokolwiek – ale teraz całe zasoby jej empatii się wyczerpały. Odwróciła się i pomaszerowała ku Dwudziestej Ulicy.

– Kiedy byłem mały – odezwał się Eddie do jej pleców – szalałem za komiksami. Flash. Atom. Wszystko. Patrzyłem w niebo i widziałem Zieloną Latarnię. Przechodziłem obok ognia w kominku i wiedziałem, że to Johnny Blaze. Myślałem, że mój zegarek należał kiedyś do Jimmy’ego Olsena. Co

tam, ja wierzyłem, że jestem Jimmym Olsenem. Ojciec mówił, że coś mi się uroiło. Nieprawda. To były marzenia.

Klara splotła ręce na piersi, otulając się ciaśniej płaszczem, ale zatrzymała się. Patrzyła prosto przed siebie, a Eddie ją dogonił i obszedł dookoła, żeby spojrzeć jej w twarz.

– Oczywiście, nie mogłem się do tego przyznać staremu – ciągnął. – To irlandzki katolik starej daty. Taki, co organizował związki zawodowe, należał do Starożytnego Zakonu Hibernian. „Masz zwidy, rozumiesz", mówi. „I nie chcę nigdy więcej o tym słyszeć". Powiedziałem, że dobrze, i odpuściłem. Poszedłem do liceum Najświętszego Serca, a potem zostałem policjantem i wyobrażałem sobie, że dalej mogę być taki jak oni. Mogłem zostać bohaterem, nie? Ale nic z tego. Byłem tylko człowiekiem, a nawet gorzej – psem. Nienawidziłem dzieciaków, gejów i tych wypalonych hipisów, wszystkich ludzi, którzy nie pracowali tak ciężko jak ja, a i tak lepiej im się powodziło. Takich ludzi jak twój brat. Tak mi się wydawało.

Klara płakała. Niewiele było trzeba, żeby doprowadzić ją do łez. Za miesiąc mijał rok, odkąd leżała w łóżku z Simonem i patrzyła, jak bierze ostatni oddech.

– Myliłem się – powiedział Eddie. – Kiedy patrzyłem, jak wyciągasz kartę z powietrza, jak łączysz i rozdzielasz te stalowe kółka, przypomniałem sobie o komiksach. Że można być kimś więcej, niż się jest – kimś więcej niż na początku. Chyba mogę powiedzieć, że dzięki tobie uwierzyłem. Pokazałaś, że nie zabrnąłem jeszcze za daleko.

Przez kilka sekund Klara nie była w stanie się odezwać. Nareszcie, nawet o tym nie wiedząc, przypomniała komuś o istnieniu magii. Dała Eddiemu wiarę.

– Nie robisz mnie w konia, co? – zapytała.

Eddie uśmiechnął się szczerze jak dziecko. Widząc tę prostolinijność, Klara zaniosła się jeszcze gwałtowniejszym płaczem.

– Niby po co? – odparł i nachylił się, nie wyciągając rąk z kieszeni, żeby ją pocałować.

Klara była tak zszokowana, że aż znieruchomiała. Mężczyźni całowali ją dziesiątki razy, ale dopiero teraz przekonała się, jaki to intymny akt. Od śmierci Simona prawie z nikim nie rozmawiała; zwykle nawet spotkania z Robertem były zbyt bolesne. Teraz jednak coś w niej drgnęło i poderwało się niczym stado ptaków, szarpnęło się rozpaczliwie ku Eddiemu. Ale kiedy on znów uniósł głowę i uśmiechnął się do niej, tym uśmiechem pełnym radości i szczęśliwego losu, jej desperacja zmieniła się w obrzydzenie. Co Simon by sobie pomyślał?

– Nie – powiedziała cicho.

Dłoń Eddiego znalazła się nagle na jej karku, przyciągając ją bliżej – nie usłyszał jej albo postanowił udawać, że nie usłyszał – a ona pozwoliła na jeszcze kilka sekund pocałunku. W ten sposób mogła udawać, że jest inną osobą: taką, która całuje mężczyznę, bo jej się spodobał, a nie po to, by na chwilę zapomnieć, że zwisa z ostrej skalnej półki, wczepiona rozpaczliwie palcami w wąską szczelinę.

– Nie – powtórzyła, a kiedy Eddie nadal nie puszczał, pchnęła go mocno w mostek. Jęknął i zachwiał się, robiąc krok w tył. Dwudziestka szóstka przejechała z klekotem przez Valencia Street, wykasłując chmurę spalin, a Klara popędziła za autobusem. Kiedy dym się rozwiał, Eddie stał sam pod lampą, z otwartymi szeroko ustami, a Klary już dawno nie było.

* * *

Tamtej jesieni podczas Jamim Noraim po raz trzeci pojechała do Nowego Jorku. Klara i Varya kroiły jabłka na kugel, Gertie gotowała kluski, a Daniel

opowiadał o życiu w Chicago. Varya miała dwadzieścia siedem lat i wreszcie wyprowadziła się do własnego mieszkania. Zaczęła studia magisterskie z biologii molekularnej na Uniwersytecie Nowojorskim. Specjalizowała się w ekspresji genów: asystowała profesorowi wizytującemu przy usuwaniu zmutowanych genów z szybko rozwijających się organizmów – bakterii, drożdży, robaków i muszek owocówek – żeby sprawdzić, czy to zmieni ich podatność na choroby. Miała nadzieję, że z czasem będzie można wykonywać takie same zabiegi na ludziach.

Wieczorem Klara kładła się do łóżka razem z Zoyą, która na stare lata wykształciła iście królewską niechęć do chodzenia dokądkolwiek. Klara leżała z kotem na brzuchu i rozmawiała z Varyą, zajmującą piętrowe łóżko pod przeciwległą ścianą, o jej pracy. To dawało Klarze nadzieję: ekspresja genu – jak uderzenie zapałką o draskę – i nieskończona ilość zmiennych, które można wykorzystać do zaplanowania koloru oczu, predyspozycji do chorób, a nawet śmierci. Od lat nie czuła takiej bliskości z rodzeństwem, i wszyscy, nawet Gertie, wydawali się jacyś lżejsi. Matka zaproponowała, żeby Goldowie całą rodziną odprawili przed Jom Kipur rytuał *kaparot*, podczas którego bierze się martwego kurczaka i kręci nim nad głową, odmawiając przy tym modlitwy z *machzoru*.

– Dzieci człowieka, siedzące w mroku i cieniu śmierci – zaintonowała Gertie – skowane nędzą i łańcuchami z żelaza…

Nagle Klara wybuchnęła śmiechem, aż opluła Danielowi koszulę charosetem.

– To najbardziej dołująca rzecz, jaką w życiu słyszałam – oznajmiła.

– A co z tym biednym kurczakiem? – zapytał Daniel, pstryknięciem usuwając kawałek przeżutego przez Klarę jabłka.

Gertie popatrzyła na nich zgorszona, ale jej oburzenie szybko stopniało. Po chwili ona też prychnęła, a Klara miała wrażenie, że wydarzył się cud –

od lat nie słyszała matczynego śmiechu.

Mimo to Klara nie potrafiła nikomu wyjaśnić, co dla niej oznacza śmierć Simona. Straciła nie tylko jego, ale także siebie: osobę, którą była w relacji z nim. Straciła też czas, całe kawały życia, których jedynym świadkiem był młodszy brat: naukę pierwszej sztuczki z monetą w wieku ośmiu lat i pieniążki, które wyciągała rozchichotanemu Simonowi zza uszu. Wspólne złażenie nocą po schodach pożarowych i eskapady do gorących, zatłoczonych klubów w Village – te noce, kiedy widziała, jak Simon patrzy na mężczyzn, kiedy on pozwalał jej widzieć, jak na nich patrzy. Blask w jego oczach, kiedy powiedziała, żeby pojechali do San Francisco, jakby podarowała mu niemożliwie wspaniały prezent. Nawet pod koniec, kiedy kłócili się o Adriana, on nadal był jej małym braciszkiem, najukochańszą osobą na całym świecie. Mimo że dryfował coraz dalej od niej.

Klara położyła się w swoim starym łóżku przy Clinton 72 i zamknęła oczy, koncentrując się tak długo, aż w końcu zaczęła czuć jego obecność. Sto trzydzieści pięć lat temu siostry Fox usłyszały stukanie w swojej sypialni w Hydesville. A tego szarego, wietrznego popołudnia we wrześniu 1983 roku Simon zapukał do Klary. To było coś więcej niż tylko skrzypienie parkietu czy pisk zawiasów w drzwiach: niski, dźwięczny stukot, który brzmiał tak, jakby dochodził aż z trzewi kamienicy, jakby budynek wyłamywał sobie stawy.

Klara natychmiast otworzyła szeroko oczy. Słyszała dudnienie własnego pulsu pod czaszką.

– Simon? – spróbowała.

Wstrzymała oddech. Nic.

Potrząsnęła głową. Chyba ją poniosło.

Zapomniała o stukaniu na długo, aż do 21 czerwca 1986 roku, kiedy wypadała czwarta rocznica śmierci Simona. Poprzednie spędziła w barach,

pijąc czystą tak długo, aż zapominała, co to za dzień, ale tym razem zmusiła się do zaparzenia kawy, zasznurowała martensy i poszła na Castro. Niesamowite: wiele gejowskich klubów pozamykało się razem z saunami, ale Purp dalej się trzymał. Chyba nawet był świeżo pomalowany. Żałowała, że nie może powiedzieć o tym Simonowi albo Robertowi. Robert nigdy nie lubił tego miejsca, ale Klara wiedziała, że ucieszyłby się na wieść, że klub przetrwał.

Robert. Dawniej spotykała się z nim w centrum miasta. W osiemdziesiątym piątym, kiedy prezydent Reagan nadal nie odniósł się w żaden sposób do epidemii AIDS, dwóch mężczyzn przykuło się na znak protestu do budynku na placu Narodów Zjednoczonych. Klara i Robert przynosili rosnącej grupie wolontariuszy jedzenie i egzemplarze gazety „Bay Arena Reporter". Jeśli Robert czuł się dość dobrze, spali na dworze z protestującymi. Klara przebłagała pielęgniarkę, która opiekowała się Simonem, żeby dopisała Roberta do grupy testowej Suraminu – dostał ostatnie wolne miejsce. Ale od leków poczuł się gorzej, tak źle, że nie mógł tańczyć, więc po kilku dniach przestał je przyjmować. Klara tłukła w drzwi mieszkania przy Eureka Street, które Robert zajmował teraz sam.

– Jesteś to winien Simonowi! – krzyczała. – Nie możesz teraz zrezygnować!

W sierpniu już ze sobą nie rozmawiali. Do października wszyscy pacjenci z grupy testowej nie żyli.

Kiedy Klara przeczytała o tym w gazecie, wydawało jej się, że cała płonie. Miała wrażenie, że za chwilę przepali podłogę. Zadzwoniła do Roberta, ale jego linia była odłączona. Kiedy dotarła na Akademię, Fauzi wyjaśnił, że Robert przeprowadził się z powrotem do Los Angeles. Tak po prostu: wstał i wyszedł. To było siedem miesięcy temu. Nie udało jej się go znaleźć.

Podniosła z chodnika pomarańczową nasturcję i zatknęła ją za klamkę Purp. Tego wieczoru zrobiła zapiekankę mięsną według przepisu Gertie – Simon ją uwielbiał – i rozebrała się do kąpieli. Pod wodą jej włosy rozcapierzyły się jak u Meduzy. Słyszała echa głosów, stłumione kroki na schodach. Aż nagle: stuk. Rozpoznała go natychmiast; ten sam dźwięk słyszała w Nowym Jorku.

Gwałtownie wyrwała się spod powierzchni wody, chlapiąc na podłogę.

– Jeśli jesteś prawdziwy – powiedziała – jeśli to naprawdę ty, zrób to jeszcze raz.

Odgłos rozległ się po raz drugi. Brzmiał jak uderzenie kijem bejsbolowym w piłkę.

– Jezu Chryste. – Klara zaczęła się trząść, jej łzy kapały do kąpieli. – Simon.

14

Czerwiec 1988 roku: Raj stoi na scenie Teatro ZinZanni, a Klara maluje się w garderobie. To najładniejsza, w jakiej dotąd była: ze złotą toaletką i telewizorem, który pokazuje, co się dzieje na scenie.

– Życie to więcej niż przeciwstawianie się śmierci. – Głos Raja dobiega z głośników po obu stronach ekranu. – To też przeciwstawianie się samemu sobie, potrzeba ciągłej transformacji. Dopóki jesteśmy gotowi na metamorfozę, moi przyjaciele, nie możemy umrzeć. Co Clark Kent ma wspólnego z kameleonem? Jeden i drugi przemienia się w coś innego w sytuacji zagrożenia. Gdzie się podziali? Nie widać ich. Kameleon stał się gałęzią. Clark Kent zmienił się w Supermana.

Miniaturowy Raj na ekranie rozpościera ramiona. Po chwili Klara odwraca się do lustra i obrysowuje wargi jaskrawoczerwoną kredką.

* * *

Trzy miesiące później Klara leci do Nowego Jorku: jej wizyty na Jamim Noraim stały się tradycją. Aż jej słabo ze szczęścia. Trzecie Oko odniosło sukces, a publiczność była zachwycona widowiskiem, mimo że pręty złożonej klatki przebijały przez rękaw Klary jak nabrzmiałe żyły – zaplątały się w szwy, będzie trzeba poprosić krawcową, żeby ją wyjęła. Teatro ZinZanni umówił się z nimi na kolejne dziesięć spektakli.

Klara chciałaby przedstawić Rajowi rodzinę, ale nie stać ich na dwa bilety do Nowego Jorku. Nie szkodzi, zapewnia Raj, niedługo będą mieć dość pieniędzy, by jechać, gdziekolwiek zechcą. W Rosz Haszanę Klara wciąga Varyę do ich starej sypialni. Ma wrażenie, że całe jej ciało wypełnia hel. Gdyby tylko zdjęła buty, poszybowałaby pod sufit.

– Chyba się pobierzemy – szepcze.

– Spotykacie się od marca – mówi Varya. – Dopiero sześć miesięcy.

– Od lutego – poprawia Klara. – Siedem.

– Ale nawet Daniel jeszcze się nie oświadczył Mirze.

Mira to dziewczyna Daniela. Poznali się rok temu – Mira studiowała historię sztuki – i zdążyła już przyjechać z wizytą, żeby poznać Varyę i Gertie. Daniel zamierza się oświadczyć, kiedy tylko znajdzie pracę. Podaruje Mirze rubinowy pierścionek, który Gertie dostała kiedyś od Saula.

Klara zakłada siostrze kosmyk włosów za ucho.

– Jesteś zazdrosna.

To spostrzeżenie, nie oskarżenie – i właśnie czułość w głosie Klary sprawia, że Varya aż się krzywi.

– Oczywiście, że nie – protestuje. – Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

Varya pewnie myśli, że to kolejny zryw Klary, że za miesiąc albo dwa jej się znudzi. Nie wie, że są już gotowi – Klara ma sukienkę, a Raj garnitur – i planują iść do ratusza zaraz po powrocie Klary z Nowego Jorku. Varya nie ma pojęcia o dziecku.

To była mało zaskakująca niespodzianka. Klara wie, jakie są konsekwencje beztroski, ale to nie sprawiło, że próbowała zachować ostrożność. Chodziło o coś więcej, o ten przypływ upojenia, gdy balansuje na cienkiej granicy między przyczyną a skutkiem – jeśli a, to b – wspólnie z mężczyzną, którego kocha. Czym jest spłodzenie dziecka, jeśli nie wyjęciem kwiatu prosto z powietrza, przemianą jednej chustki w dwie?

Przestała pić. W trzecim trymestrze jej umysł jest czysty jak kryształ, jaśniejszy niż kiedykolwiek – ale w tym kłopot, jest tam zbyt pusto, Klara ma w głowie nieskończone hektary przestrzeni do rozmyślań. Próbując się czymś zająć, wyobraża sobie dziecko. Kiedy kopie, ona widzi jego maleńkie nóżki. Powiedziała Rajowi, że będą musieli dać mu na imię Simon. W ostatnim miesiącu, kiedy jest tak spuchnięta, że stopy nie wchodzą jej w buty, kiedy nie może spać dłużej niż trzydzieści minut na raz, przywołuje pod powieki twarz Simona i nie ma już żalu do dziecka. Więc kiedy lekarz wyrywa je z głębi ciała Klary w burzową majową noc, a Raj krzyczy: „Dziewczynka!”, Klara jest pewna, że się pomylił.

– To się nie zgadza. Źle – majaczy w bólu; wydaje jej się, że w jej trzewiach eksplodowała bomba, a ona, Klara, pusta konstrukcja, za chwilę zapadnie się w siebie.

– Och, Klaro – odpowiada Raj. – Dobrze, bardzo dobrze.

Opatulają dziecko i przynoszą Klarze. Twarz dziewczynki jest rumiana, zaskoczona własnym istnieniem. Oczy ma ciemne jak pestki oliwek.

– A taka byłaś pewna – mówi Raj. Śmieje się.

* * *

Nazywają dziewczynkę Ruby. Klara pamięta, że Varya miała przyjaciółkę o tym imieniu, która mieszkała piętro nad nimi pod numerem 72 przy Clinton. Rubina. To hinduskie imię, matka Raja by się ucieszyła. Raj wprowadza się do mieszkania Klary i grucha nad Ruby, śpiewa jej kołysanki w łamanym hindi. *Soja baba Soja. Mackhan roti cheene*.

W czerwcu rodzina przyjeżdża z wizytą. Klara prowadzi ich na Castro – Gertie ściska mocno torebkę, kiedy przechodzą obok rozgdakanego stadka drag queens – a potem zabiera matkę i rodzeństwo na przedstawienie Corps. Siedzi obok Daniela i aż przewraca jej się w żołądku, bo nie jest

pewna, jak brat zareaguje na mężczyzn tańczących w balecie. Ale kiedy tancerze wychodzą do ukłonów, Daniel klaszcze najgłośniej ze wszystkich. Wieczorem, kiedy zapiekanka Gertie dochodzi w piekarniku, Daniel opowiada Klarze o Mirze. Poznali się na uniwersyteckiej stołówce i od tamtej pory zdążyli spędzić wiele długich nocy w zapyziałych knajpach i całodobowych barach na Hyde Park, dyskutując o Gorbaczowie, katastrofie promu kosmicznego „Challenger” i czy dałoby się lepiej zabezpieczyć zewnętrzny zbiornik paliwa.

– Musisz się przy niej wysilić – zauważa Klara. Ruby śpi, przyklejona ciepłym policzkiem do piersi Klary, która w tej krótkiej chwili czuje, że wszystko na świecie jest jak należy. – To dobrze.

Dawniej Daniel przeszedłby do defensywy. „Wysilić? A niby czemu uważasz, że mi to potrzebne?” – ale teraz tylko kiwa głową.

– Owszem – mówi i wzdycha z takim zadowoleniem, że Klara jest niemal zażenowana, że to słyszała.

Gertie jest zachwycona dzieckiem. Bez przerwy trzyma Ruby na rękach, wpatruje się w jej nosek wielkości maliny, całuje miniaturowe paluszki. Klara szuka podobieństwa między nimi, aż wreszcie znajduje: uszy! Drobne i delikatne, zawinięte do środka jak muszelki. Ale kiedy Gertie poznała Raja, otworzyła usta i zamknęła je bez słowa, milcząco jak ryba. Klara przyglądała się, jak jej matka w myślach spisuje inwentarz: ciemna skóra Raja, ciężkie buty, świeckie niedbalstwo. Nie wytrzymała i zaciągnęła Gertie do łazienki.

– Mama – syknęła. – Nie bądź taką bigotką.

– Bigotką? – wzburzyła się Gertie. – Czy to zbyt wiele prosić, żeby moja córka wychowała dziecko po żydowsku, po bożemu?

– Tak – odparła Klara. – To zbyt wiele.

Varya bez przerwy sypie dobrymi radami.

– Próbowałaś dać jej ciepłego mleka? – pyta, kiedy Ruby płacze. – A może weź ją na spacer w wózku? Masz huśtawkę dla niemowląt? Często ma kolki? Gdzie jej duduś?

Klarze już się kręci w głowie.

– Co to jest duduś?

– Co to jest duduś? – powtarza Gertie z niedowierzaniem.

– Chyba nie mówisz poważnie – wzdycha Varya. – Ona nie ma smoczka?

– A to mieszkanie – dodaje Gertie – w ogóle nie jest zabezpieczone. Tylko poczekaj, aż ona zacznie chodzić: raz-dwa rozwali głowę o ten stolik albo zleci ze schodów.

– Nic jej nie będzie – wtrąca Raj. – Ma wszystko, czego potrzebuje.

Zabiera dziecko z rąk Varyi, która nie wypuszcza małej o chwilę zbyt długo.

– Oddawaj! – Drażni się z Varyą Daniel, dźgając ją palcem w żebra.

Siostra odwdzięcza się klapsem, który z kolei wywołuje tak donośny skowyt, że Klara prawie wygania ich z domu. Ale kiedy następnego dnia wyjeżdżają – Gertie gramoli się na przednie siedzenie taksówki, Varya i Daniel machają przez tylną szybę – już rozpaczliwie za nimi tęskni. W ich obecności łatwiej było jej ignorować brak Simona i Saula. Ojciec uwielbiał dzieci. Klara do dziś pamięta odwiedziny w szpitalu po narodzinach Simona. Młodszy brat Klary urodził się nogami do przodu, owinięty pępowiną jak szelkami. Saul stał przed wejściem na oddział intensywnej terapii, jakby na straży tego posiniałego, wykręconego tyłem na przód chłopca, swojego ostatniego dziecka. Po powrocie do domu mógł trzymać dziecko w ramionach godzinami. Kiedy Simon podrygiwał we śnie albo wydymał wargi, Saul chichotał z nieproporcjonalnie wielką uciechą.

W dzieciństwie rodzeństwo wierzyło, że Saul zna odpowiedź na każde pytanie. Ale z czasem Klarze i Simonowi przestały się podobać odpowiedzi ojca. Patrzyli pogardliwie na jego rytm życia, podzielony na pracę i studiowanie Tory, na jego niezmienny strój: gabardynowe spodnie, trencz i tweedowy kapelusz. Teraz Klara patrzy na ojca z większym zrozumieniem. Saul pochodził z rodziny imigrantów – Klara przypuszcza, że bał się utraty nowego życia, które mu dano. Rozumie też samotność rodzicielstwa, w którym zawiera się samotność pamięci: ta wiedza, że Klara łączy przyszłość, której nie poznają jej rodzice, z przeszłością, której nigdy nie doświadczy jej dziecko. Ruby będzie zadawać Klarze pytania. Co Klara miałaby jej powiedzieć, skoro niezależnie od starań i tak nie zdoła przekazać córce swoich wspomnień? Dla Ruby przeszłość Klary będzie jedynie opowieścią, a Saul i Simon tylko duchami nawiedzającymi matkę.

* * *

Jest październik; Klara i Raj nie występowali na scenie od miesięcy. Klara nie mogła wykonywać Szczęk Życia podczas ciąży. A teraz umysł ma tak zamglony po nieprzespanych nocach z Ruby, że mylą jej się szyfry przy Trzecim Oku. Nie stać ich nawet na pokrycie kosztu materiałów. Całe ich mizerne oszczędności poszły na pieluchy, zabawki i ubranka, z których Ruby wyrasta w mgnieniu oka. Raj schodził całe miasto, od Tenderloin po North Beach, reklamując ich show w nocnych klubach i teatrach, ale większość nie była zainteresowana. Menedżer w Teatro ZinZanni przez całą jesień zapewni im tylko cztery występy.

– Musimy stąd wyjechać – oznajmia Raj przy obiedzie. – Ruszyć w trasę. San Francisco się skończyło. Ci ludzie pozmieniali się w roboty, to żywe komputery. Do diabła z nimi – dodaje, boksując się z niewidzialną maszyną.

– Czekaj. – Klara unosi palec. – Słyszałeś?

Już wcześniej próbowała zwrócić uwagę Raja na stukanie Simona, ale on zawsze twierdzi, że nic nie słyszy. Tym razem nie mógł tego przegapić. Uderzenie było głośne jak wystrzał; dziecko aż się zachłysnęło. Ruby ma już pięć miesięcy, jedwabiste czarne włosy Raja i uśmiech Klary, jak u kota z Cheshire.

Raj odkłada widelec.

– Tam nic nie ma.

Klara jest zadowolona, że Ruby słyszy stukoty. Podrzuca dziecko na kolanie, całuje jej nowe, ostre ząbki.

– Ruby – nuci. – Ruby wie.

– Klaro, skup się. Mówię o przeprowadzce. O pieniądzach. Musimy jakoś stanąć na nogi. – Raj klaszcze jej przed twarzą. – To miasto się dla nas skończyło, kotku. Ono już nie żyje. Musimy stąd spadać. Jedziemy szukać złota gdzie indziej.

– Może za szybko się rozwinęliśmy – wzdycha Klara, kiedy Ruby zaczyna płakać, przestraszona klaskaniem. – Może powinniśmy trochę zwolnić.

– Zwolnić? To ostatnie, czego nam teraz trzeba. – Raj krąży po pokoju. – Musimy się wyprowadzić. Być w ruchu. Jeśli zbyt długo siedzisz w jednym miejscu, to wszędzie się wypalisz. Na tym polega cały sekret, Klaro. Trzeba być w ciągłym ruchu.

Jego twarz lśni jak halloweenowa dynia. Raj ma rozmach, tak samo jak Klara; to jedna z rzeczy, za które go kocha. Klara myśli o czarnym pudełku Ilyi. To pudełko powinno podróżować, powiedział jej Ilya. Może Klara też powinna.

– Dokąd byśmy pojechali?

– Vegas – oznajmia Raj.

– Mowy nie ma. – Klara się śmieje.

– Dlaczego?

– Vegas jest ordynarne – mówi Klara, odliczając na palcach. – Rozwrzeszczane, tandetne. Jest strasznie tanie, a mimo to obłędnie drogie. A kobiety robią tylko za asystentki albo tancerki.

Vegas przypomina jej pierwszy i jedyny zjazd iluzjonistów, na który się wybrała: efekciarską imprezę w Atlantic City, gdzie kolejka do męskiej toalety była dłuższa niż do damskiej.

– A przede wszystkim – podsumowuje – jest fałszywe. W Vegas nie ma nic prawdziwego.

Raj unosi brwi.

– Przecież ty jesteś magiczką.

– Owszem. Jestem magiczką, która wystąpi wszędzie, byle nie w Vegas.

– Wszędzie, byle nie w Vegas. Moglibyśmy tak zatytułować nowy program.

– Urocze. – Ruby zaczyna popiskiwać, więc Klara niezdarnie wyplątuje się z koszulki. Dawniej chodziła po mieszkaniu nago, ale teraz wstydzi się swojego ciała, zredukowanego do funkcji użytkowej. – Wolałabym, żebyśmy zostali nomadami.

– Okej – zgadza się Raj. – W takim razie zostaniemy nomadami. Będziemy jeździć z miasta do miasta, posiedzimy w każdym kilka miesięcy. Zobaczymy trochę świata.

Ruby jest rozkojarzona, odrywa się od sutka. Klara obciąga koszulkę, a Raj chwyta dziecko pod pachy i podnosi do góry.

– San Francisco jest pełne wspomnień, Rubinku – mówi. – Jeśli zostaniesz tu zbyt długo, to zadrzesz z duchami.

Czy Klara dobrze widzi, że Raj zerka na nią kątem oka? Jego źrenice są jak zaostrzone rysiki ołówków. Ale może tylko jej się wydawało; kiedy

znów spogląda na Raja, jest zajęty Ruby, głośno całuje jej miękką brązową buzię.

Klara wstaje, żeby posprzątać ze stołu.

– A gdzie będziemy mieszkać?

– Znam takiego jednego gościa – mówi Raj.

* * *

Tej nocy Raj i Ruby zasypiają niemal natychmiast, ale Klara tylko leży z otwartymi oczami. W końcu wychodzi z łóżka, i mijając kołyskę Ruby, idzie do szafki, w której trzyma czarne pudełko Ilyi. W środku leżą jej karty, stalowe kółka, piłeczki i jedwabne apaszki. Prawie z nich już nie korzysta, miejsce zręcznych iluzji zajęły bardziej widowiskowe numery, ale teraz Klara wyjmuje dwie chustki i kładzie je na okrągłym kuchennym stole. Stare lampki Raja, te w kształcie papryczek chilli, wiszą przypięte wokół okiennej ramy. Nie zapala ich, żeby go nie obudzić. Zanim usiądzie do stołu, sięga po butelkę wódki z zamrażarki i nalewa sobie drinka.

Kiedyś często przesiadywała do późna. Gdy była nastolatką, czekała, aż usłyszy spokojny oddech Simona, stłumione mamrotanie śniącej Varyi i chrapanie Daniela, po czym zabierała spod łóżka swoje przybory i przekradała się do salonu. Uwielbiała tę niezwykłą ciszę i uczucie, że całe mieszkanie należy tylko do niej. Wtedy też nie zapalała światła, rozkładała się na podłodze przy oknie, żeby skorzystać z blasku ulicznej lampy. Przez kilka miesięcy udawało jej się utrzymać te eskapady w sekrecie. Ale którejś zimowej nocy weszła na palcach do salonu i zobaczyła, że wyprzedził ją ojciec.

W pierwszej chwili nawet jej nie zauważył. Siedział w swoim ulubionym fotelu – pikowanym, obitym aksamitem w kolorze groszku – i czytał

książkę. W kominku palił się świeży ogień, polana były jeszcze całe, czerwone od żaru.

Klara prawie zawróciła, ale się powstrzymała. Skoro on może tu siedzieć o pierwszej w nocy, to dlaczego nie ona? Wyszła z ciemności korytarza i stanęła na progu salonu. Wtedy Saul wreszcie ją zauważył.

– Nie mogłeś spać?

– Nie – odparł ojciec, unosząc książkę.

Oczywiście czytał Torę. Klara nie pojmowała, jakim cudem Saul nie ma jeszcze dość. Zdążył już przeczytać księgę na wszystkie sposoby: od przodu, od tyłu, w maleńkich urywkach – wydawałoby się, że wybieranych zupełnie przypadkowo – i w większych partiach tekstu, nad którymi potrafił przesiadywać tygodniami. Czasami przez wiele dni wpatrywał się w jedną i tę samą stronę.

– Którą część czytasz? – zapytała Klara.

Zazwyczaj unikała tego pytania, żeby nie wciągnął jej w wykład o Jeftem, który złożył własną córkę Bogu w ofierze, albo o Babilończykach, którzy odmówili oddania czci złotemu posągowi króla Nabuchodonozora, dzięki czemu nic im się nie stało, kiedy monarcha nakazał ich wrzucić do pieca.

Saul się zawahał. Zdążył już zrezygnować z pomysłu rodzinnego studiowania Tory. Nawet Gertie nie mogła usiedzieć w miejscu, kiedy czytał ustępy z ksiąg.

– Historię o rabinie Eliezerze i piecu – odparł. – Jako jedyny z rabinów uważał, że nieczysty piec da się rytualnie oczyścić.

– Och. Też ją lubię – odparła idiotycznie Klara, bo w ogóle nie kojarzyła tej opowieści.

Spodziewała się, że Saul będzie kontynuować, ale on tylko spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się zaskoczony, a może uradowany, jej reakcją. Weszła

głębiej do pokoju, ściskając w dłoni talię kart. Kiedy usiadła przy oknie, Saul wrócił do lektury. Siedzieli tak razem, aż polano w kominku rozsypało się na kawałki, a oni nie mogli dłużej powstrzymać ziewania. Kiedy wrócili do swoich pokojów, Klara spała lepiej niż przez kilka ostatnich miesięcy.

Gertie nigdy nie akceptowała magii Klary. Spodziewała się, że córka z tego wyrośnie; przecież w końcu da sobie spokój i tak jak Varya pójdzie na studia, których Gertie nie zdołała skończyć. Ale z Saulem było inaczej. Właśnie dlatego Klara mogła opuścić dom kilka tygodni po jego śmierci, nie czując do siebie nienawiści: bo to nie jej matka odeszła, lecz ojciec, który spędzał z nią długie nocne godziny w doskonałej ciszy, a o poranku w dniu swojej śmierci podniósł wzrok znad Miszny, żeby popatrzeć, jak Klara zmienia niebieską chustkę w czerwoną.

– Wspaniałe – pochwalił, widząc, jak jedwab przepływa przez dłonie Klary, i roześmiał się pod nosem niczym chochlik, trochę jak Ilya. – Zrób to jeszcze raz, co?

Więc Klara powtórzyła sztuczkę drugi, trzeci raz, robiła to tak długo, aż wreszcie ojciec zamknął księgę, założył nogę na nogę i zaczął się jej naprawdę przyglądać. Nie tym nieobecnym wzrokiem, którym zazwyczaj prześlizgiwał się po swoich dzieciach, ale z prawdziwym zainteresowaniem i zachwytem – tak samo, jak kiedyś patrzył na malutkiego Simona. Przecież ojciec zrozumiałby jej decyzję o odejściu? Jeśli judaizm czegokolwiek ją nauczył, to żeby nigdy nie tkwić w miejscu, bez względu na to, kto próbowałby ją uwięzić. Nauczył ją, żeby brać los we własne ręce, żeby zmieniać kamień w wodę, a wodę w krew. Że takie rzeczy są możliwe.

O czwartej nad ranem Klara już ledwo widzi, ręce ma sztywne od satysfakcjonującego bólu mięśni, wywołanego godzinami pracy. Myśli, żeby schować apaszki z powrotem do pudełka Ilyi, ale zamiast tego wciska je sobie w lewą pięść, potem dociska czubkiem prawego kciuka; kiedy

rozkłada ręce, chustek już nie ma. Klara zastanawia się, czym będzie dla niej wyjazd z San Francisco i czy kiedykolwiek przywyknie do życia w drodze, aż przypomina jej się jedna z opowieści Saula. Rok: 1948, miejsce akcji: kuchnia w mieszkaniu przy Hester Street. Mężczyzna i chłopiec siedzą po dwóch stronach stołu, niemal dotykając głowami radia tranzystorowego Philco PT-44. Tym chłopcem jest Saul Gold. Mężczyzną – jego ojciec Lew.

Kiedy w radiu ogłoszono, że Brytyjski Mandat Palestyny został rozwiązany, Lew zasłonił usta dłońmi. Oczy miał zamknięte. Dwie słone strużki spłynęły mu w głąb brody.

– Po raz pierwszy w historii świata my, Żydzi, mamy kontrolę nad własnym losem – oznajmił, chwytając Saula za wąski podbródek. – Wiesz, co to znaczy? Zawsze będziesz miał dokąd pójść. Izrael zawsze będzie twoim domem.

W 1948 roku Saul miał trzynaście lat. Nigdy dotąd nie widział, żeby ojciec płakał. Nagle pojął, że to, co uważał dotąd za swój dom – trzypokojowe mieszkanie nad piekarnią Gertel’s, w świeżo wyremontowanej ceglanej kamienicy – dla jego ojca stanowiło jedynie rekwizyt na cudzej scenie, zaledwie element dekoracji, który w każdej chwili może zostać rozebrany na kawałki i wyniesiony za kulisy. Brak własnego miejsca na świecie Lew rekompensował rytmem halachy: codzienną modlitwą, cotygodniowym szabatem, corocznymi obchodami świąt. Ich kultura żyła w czasie. To w czasie, nie w miejscu, mieli swój dom.

Klara chowa czarne pudełko Ilyi z powrotem do szafki i kładzie się do łóżka. Podpiera się na łokciu, sięga do okna i rozchyla palcami żaluzje. Przez szparę widzi półksiężyc, cienki jak paznokieć. Zawsze myślała

o domu jak o fizycznym miejscu, ale może wystarczą jej Raj i Ruby. Może dom, tak jak księżyc, podąży za Klarą wszędzie, dokąd ona się uda.

15

Kupują kampera od kolegi Raja z pracy. Klara spodziewała się, że ich nowy dom okaże się przygnębiający, ale Raj odświeża drewniany stolik w części kuchennej, wyrywa pomarańczowe plastikowe blaty i zastępuje je laminatem, który wygląda jak marmur. *Hit the road, Jack*, podśpiewuje. Montuje półki przy łóżku i przyprawia im aluminiowe wystające krawędzie, żeby książki nie ześlizgiwały się na zakrętach. Za dnia mogą złożyć łóżko w kanapę, odsłaniając szeroki pas wolnego miejsca na podłodze, na którym może się bawić Ruby. Klara szyje czerwone welwetowe zasłony i stawia łóżeczko Ruby przy tylnym oknie, żeby dziewczynka mogła wyglądać na świat. Rekwizyty pakują do bagażnika przyczepionego z tyłu kampera.

W zimny, słoneczny listopadowy poranek ruszają na północ.

Klara przypina Ruby do fotelika.

– Pomachaj na pożegnanie, Rubini – mówi Raj, sięgając za siebie, żeby podnieść jej małą rączkę. – Pożegnaj się z tym wszystkim.

Kocham was wszystkich, myśli Klara, patrząc na świątynię taoistyczną, na piekarnię pod swoim mieszkaniem, na stare kobiety niosące w różowych plastikowych siatkach pudełka z dim sum. Żegnajcie.

Udaje im się zaklepać dwa występy w kasynie w Santa Rosa, potem cztery w kurorcie w Lake Tahoe. Publiczność uśmiecha się na widok Raja –

showmana, ojca i męża – i Ruby, patrzącej wielkimi oczami spod miniaturowego cylindra, do którego Raj zbiera po występach napiwki. Trzyma gotówkę w zamkniętym na klucz pudełku pod siedzeniem kierowcy. W Tahoe kupuje telefon samochodowy, żeby umawiać ich zawczasu na występy. Klara chce zadzwonić do rodziny, ale Raj jej nie pozwala.

– Rachunek i bez tego jest wysoki – mówi.

Kiedy przychodzi zima, jadą na południe. W LA panuje zaciekła konkurencja, ale w studenckich miasteczkach idzie im w miarę dobrze i w kasynach na pustyni też całkiem nieźle. Ale Klara nie znosi kasyn. Kierownicy zawsze sądzą, że jest asystentką Raja. Ludzie odrywają się od stolików karcianych i automatów na żetony, żeby popatrzeć na młodą kobietę w obcisłej sukience, a czasami oglądają jej występy tylko dlatego, że są zbyt pijani, by iść do domu. Podoba im się sztuczka z igłami Raja, ale buczą przy Znikającej Klatce.

– Schowała ją w rękawie! – ryczy ktoś w głębi sali, jakby nieudana sztuczka stanowiła dla niego osobistą obelgę.

Klara zaczyna tęsknie wspominać skromne występy w San Francisco – pamięta ciemne, wysłużone sceny, ale zapomina o krzykaczach. Ani tam, ani tutaj nikt tak naprawdę nie był ciekaw, co miała do zaoferowania.

Za dnia, kiedy Raj chodzi po lokalach, reklamując show, Klara czyta Ruby w samochodzie. Podziwia pustynię, błękitne góry i pastelowe niebo, ale nie podoba jej się to uczucie rozleniwienia przemieszanego z niepokojem ani żar, który ściska ją jak ciężkie dłonie. W kuferku na przybory do makijażu trzyma miniaturowe buteleczki wódki, po którą sięga najchętniej – ze względu na czystość i palące uderzenie alkoholu, i na to, jak rozrywa jej gardło. Rano, kiedy Raj wyrusza, dolewa sobie wódki na dwa palce do kawy rozpuszczalnej. Czasami idzie na spacer z Ruby do

pobliskiego sklepu i kupuje butelkę coli, bo to lepiej maskuje zapach alkoholu. Raj wie, że Klara przestała pić w ciąży, ale sądzi też, że nigdy do tego nie wróciła. Teraz jednak jest inaczej niż kiedyś. Dziury w pamięci i wymioty ustąpiły miejsca czemuś stabilniejszemu, co trudniej wykryć: subtelnemu, lecz permanentnemu oderwaniu od rzeczywistości. Zanim Raj zdąży wrócić do domu, Klara wraca do kampera, myje zęby i spluwa za okno.

– No, to jest to – mówi zadowolony Raj, przeliczając czeki.

– Nie możemy tu zostać zbyt długo – upomina go Klara. Zaparkowali nielegalnie za zamkniętym na stałe Burger Kingiem, bo Raj nie chce płacić za postój na kempingu.

– Kotku, nikt nie wie, że tu siedzimy. Jesteśmy niewidzialni.

* * *

Pory roku są zupełnie pomieszane. Klara dzwoni do domu na Chanukę, zgarbiona nad telefonem, podczas gdy Raj płaci za paliwo w Stop ’n Save. W Nowym Jorku pada śnieg, ale w kamperze jest trzydzieści stopni.

– Jak sobie radzisz? – pyta Daniel, a Klara jest wstrząśnięta, gdy uświadamia sobie, jak bardzo za nim tęskni. Kiedy odwiedził ją w San Francisco, przyglądała się, jak bawi się w a kuku z Ruby, i po raz pierwszy wyobraziła go sobie w roli ojca.

– Dobrze – zapewnia, nadając słowom fałszywy blask. – Świetnie.

Klara ukryła przed rodzeństwem dwie rzeczy: prześladujące ją stukoty i fakt, że śmierć Simona pokryła się z przepowiednią. Simon nigdy nie powiedział Varyi i Danielowi, jaką datę usłyszał, a rodzeństwo nie rozmawiało o kobiecie z Hester Street od sziwy Saula. Ale Klara wie, i ta myśl gnije w niej jak ropiejąca rana. Kiedy po występach Raj zbiera

napiwki, Klara zmywa makijaż w garderobie i liczy, ile życia jej zostało, jeśli kobieta co do niej też miała rację.

Nie umrę, powiedziała Simonowi. Nie wyrażam na to zgody.

Łatwiej było jej zdobyć się na taką hardość, zanim spełniła się pierwsza przepowiednia. Po śmierci Simona Klara opadła w przeszłość, na próg mieszkania w kamienicy przy Hester Street. Tak naprawdę wcale nie chciała poznać daty swojej śmierci. Zależało jej tylko na spotkaniu z kobietą.

Nigdy nie słyszała o żadnej kobiecie zajmującej się magią. („Dlaczego jest nas tak mało?”, zapytała kiedyś Ilyę. „Po pierwsze – odparł – inkwizycja. Po drugie i trzecie, reformacja i proces czarownic z Salem. A poza tym ubiór. Próbowałaś kiedyś schować gołębia w sukni wieczorowej?”). Kiedy Klara weszła do mieszkania, kobieta stała przy oknie. Włosy miała zaplecione w dwa długie brązowe warkocze, przydające jej twarzy symetrii, jakby dopełniały jej rysy. Lata później Klara uciekła z lekcji, żeby pochodzić po Wielkiej Sali w Metropolitan Museum of Art. Zobaczyła tam posąg przedstawiający głowę Janusa, wypożyczony z Muzeum Watykańskiego, i pomyślała o wróżce. Twarze bóstwa spoglądały w różne strony, symbolizując przeszłość i przyszłość, ale postać nie wyglądała przez to na nieharmonijną; była okrężnie spójna. Klarze nie podobało się tylko, że posąg przedstawiał Janusa – bóstwo początku, przejścia i czasu – jako mężczyznę.

– O rany. – Klara rozejrzała się po mieszkaniu pełnym wykresów, kalendarzy, ksiąg I Ching i patyczków krwawnika. – Umie pani tego wszystkiego używać?

Ku zaskoczeniu dziewczynki kobieta potrząsnęła głową.

– To wszystko na pokaz – powiedziała. – Ci ludzie, co tu przychodzą… Oni chcą wierzyć, że moja wiedza się skądś bierze. Więc trzymam tu różne

takie zabawki.

Kiedy zbliżyła się do Klary, dziewczynka poczuła, że jej ciało ma moc i elektryzującą energię, jak pociąg w ruchu. Klara prawie odsunęła się na bok, ale nie: zaparła się, nie ustąpiła.

– Od rekwizytów wszystkim robi się lepiej – wyjaśniła kobieta. – Ale mi to niepotrzebne.

– Pani po prostu wie – wyszeptała Klara.

Ich ciała były jak dwa magnesy, a przestrzeń między nimi – pełna energii. Klarze zrobiło się słabo, jakby miała osunąć się kobiecie w ramiona, jeśli choć na chwilę się rozluźni.

– Po prostu wiem – przytaknęła kobieta. Cofnęła brodę, przechyliła głowę na bok i przyjrzała się Klarze z ukosa. – Tak jak ty.

„Jak ty” – to było jak dowód na istnienie. Klara pragnęła więcej. Nie sądziła, że chciałaby poznać datę swojej śmierci, ale teraz przepadła. Chciała jak najdłużej znajdować się pod urokiem kobiety, w którym, jak w lustrze, widziała samą siebie. Zapytała o swoją przyszłość.

Kiedy usłyszała odpowiedź, czar prysł.

Klara poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył. Nie pamięta, czy podziękowała kobiecie ani jak zeszła na ulicę. Po prostu nagle znalazła się na dole. Twarz miała mokrą od łez, dłonie lepkie i czarne od brudu pokrywającego poręcz schodów pożarowych.

Trzynaście lat później okazało się, że kobieta miała rację co do Simona, tak jak Klara się obawiała. Ale w tym cały problem: czy kobieta rzeczywiście miała taką moc, czy może to przez Klarę przepowiednia się ziściła? Co byłoby gorsze? Jeśli śmierci Simona dałoby się zapobiec – jeśli wróżba była zwykłą szarlatanerią – to znaczy, że winę ponosi Klara, i może ona też jest oszustką. W końcu jeśli magia naprawdę istnieje równolegle do rzeczywistości – jak dwie twarze jednego bóstwa zwrócone w przeciwne

strony – to niemożliwe, by tylko Klara miała do niej dostęp. Jeśli wątpi w kobietę, to musi zwątpić też w siebie. A jeśli zwątpi w siebie, to musi podważyć wiarygodność wszystkiego, w co wierzy – łącznie ze stukaniem Simona.

Klara potrzebuje dowodów. W maju 1990 roku, w ciepłą noc, kiedy Raj i Ruby już śpią, Klara siada na łóżku.

Mogłaby odmierzać czas między odgłosami, jak w Trzecim Oku. Jedna minuta na literę.

Wstaje i podchodzi do stołu, na którym zostawiła zegarek Simona – prezent od Saula, skórzany pasek z małą złotą tarczą. Siada w szoferce, gdzie przez szeroką szybę wpada dość światła, by dało się dostrzec ruch smukłego sekundnika.

– Proszę, Si – szepcze.

Kiedy rozlega się pierwsze stuknięcie, Klara zaczyna odmierzać minuty. Jedna, dwie – po trzeciej rozlega się kolejne.

C

Klara wpatruje się w zegarek, jakby to był jakiś klucz – jakby miała przed oczami uśmiechniętą twarz Simona. Na następne stuknięcie musi czekać dwadzieścia sześć minut.

Z

Ruby popiskuje.

Nie teraz, myśli Klara. Błagam, nie teraz. Ale pisk zmienia się w gulgotanie, aż wreszcie płacz Ruby rozcina powietrze niczym pierwszy promień świtu. Klara słyszy, jak Raj wygrzebuje się z łóżka i mruczy coś do Ruby, aż płacz dziecka łagodnieje, zmienia się w pojękiwanie i pociąganie nosem. Nagle pojawiają się w szoferce.

– Co ty tu robisz?

Raj trzyma Ruby wysoko na piersi, tak że jej głowa jest na tej samej wysokości co jego. Ich oczy lśnią w ciemności.

– Nic. Nie mogłam zasnąć.

Raj łagodnie huśta dziecko w górę i w dół.

– Dlaczego?

– A skąd mam wiedzieć?

On podnosi wolną rękę – „tak tylko pytam” – i cofa się w mrok.

Klara słyszy, jak Raj odkłada Ruby do łóżeczka.

– Raj – mówi, patrząc prosto przed siebie na zabite deskami drzwi Burger Kinga. – Nie jestem szczęśliwa.

– Wiem.

Raj podchodzi i siada w fotelu pasażera. Odsuwa go tak daleko, aż może wyprostować nogi. Włosy związał w kucyk – od wielu dni ich nie mył – a oczy ma szkliste z wyczerpania.

– Nie chciałem, żeby to tak wyglądało. Liczyłem na coś lepszego. Nadal liczę. Dla niej. – Raj wskazuje brodą na łóżeczko Ruby. – Chcę, żeby miała dom. Sąsiadów. Żeby miała, kurwa, pieska, jeśli będzie chciała. Ale piesek kosztuje. Sąsiedzi też. Klaro, staram się oszczędzać, ale ile my zarabiamy? Jest lepiej niż kiedyś, ale to nie znaczy, że jest dobrze.

– Może dalej już nie zajdziemy. – Klarze drży głos. – Jestem zmęczona. I wiem, że ty też. Może przyszedł czas, żebyśmy oboje poszukali prawdziwej pracy.

Raj prycha.

– Ja wyleciałem z liceum. Ty nie poszłaś na studia. Myślisz, że Microsoft przyjmie nas z otwartymi rękami?

– Nie Microsoft. Ktoś inny. Albo moglibyśmy wrócić do szkoły. Zawsze byłam dobra z matematyki, mogłabym zrobić kurs księgowości. A ty byłeś utalentowanym mechanikiem. Byłeś genialny.

– Ty też! – wybucha Raj. – To ty byłaś utalentowana. Ty byłaś genialna. Klaro, kiedy zobaczyłem cię na tej malutkiej scenie na North Beach, pomyślałem: Ta kobieta. Ona jest inna. Miałaś za duże marzenia i za długie włosy, wplątywały ci się w linę, ale ty wirowałaś pod sufitem, a ja w życiu nie widziałem niczego takiego i myślałem, że nigdy nie wrócisz na ziemię. Nie jestem gotowy się poddać. I myślę, że ty też nie. Naprawdę chcesz się ustatkować? Iść do pracy, żeby przekładać papiery albo liczyć cudze pieniądze?

Jego przemowa porusza w Klarze coś, co zdążyła już głęboko zakopać. Zawsze wiedziała, że jej przeznaczeniem jest stać się pomostem: między rzeczywistością a iluzją, teraźniejszością a przeszłością, światem żywych a umarłych. Musi tylko wymyślić, jak to zrobić.

– Okej – mówi powoli. – Ale nie możemy tak dalej żyć.

– Nie. Nie możemy – zgadza się Raj, patrząc prosto przed siebie. – Musimy wziąć się do czegoś większego.

– To znaczy?

– To znaczy Vegas.

– Raj. – Klara przyciska dłonie do oczu. – Już ci mówiłam.

– Wiem. – Raj wychyla się ku niej nad podłokietnikiem. – Ale ty chcesz mieć publiczność, chcesz robić wrażenie. Chcesz być znana, a tutaj nie masz na to szans. Do Vegas przyjeżdżają ludzie z całego świata. Szukają tam czegoś, czego nie znajdą w domu.

– Pieniędzy.

– Nie. Rozrywki. Chcą łamać zasady, postawić świat na głowie. Czy nie na tym ci zależy? Przecież właśnie tym się zajmujesz – dodaje, chwytając ją za rękę. – Słuchaj. Ja nigdy nie chciałem być gwiazdą. A ty nigdy nie chciałaś być asystentką. Zawsze czułaś, że jesteś stworzona do czegoś

wielkiego, czegoś lepszego niż to, prawda? A ja zawsze w ciebie wierzyłem.

– Już taka nie jestem. Coś straciłam. Jestem słabsza.

– Lepiej sobie radzisz, odkąd przestałaś pić. Stajesz się słaba, tylko kiedy chowasz się we własnej głowie, kiedy spadasz tam głęboko i nie możesz wyjść. Musisz zostać na powierzchni – mówi i wkłada jej otwartą dłoń pod brodę. – Nad wodą. Skup się na tym, co jest prawdziwe, jak Ruby. I twoja kariera.

Kiedy Klara myśli o Ruby, ma wrażenie, że próbuje się chwycić skały na środku rwącej rzeki, jakby próbowała utrzymać coś małego i twardego, podczas gdy wszystko ciągnie ją w przeciwną stronę.

– A co, jeśli pojedziemy do Vegas i okaże się, że mi nie wychodzi? Jeśli nikt nas nie zatrudni? Albo jeśli ja… Jeśli po prostu nie dam rady? Co wtedy?

– Ja się tego nie boję – mówi Raj. – I ty też nie powinnaś.

* * *

– Vegas – mówi Gertie. – Jedziecie do Vegas. – Klara słyszy, jak matka przykłada dłoń do słuchawki. A potem jej stłumiony krzyk. – Varya, słyszałaś? Vegas. Mówi, że jedzie do Vegas.

– Mama – wtrąca Klara. – Słyszę cię.

– Co?

– To moja decyzja.

– Nikt nie mówi, że nie. Chociaż mi osobiście coś takiego by przez myśl nie przeszło.

Rozlega się kliknięcie – Varya podnosi słuchawkę w drugim pokoju.

– Jedziecie do Vegas? – wtrąca. – Po co? Na wakacje? Zabieracie Ruby?

– Oczywiście, że zabieramy. A co niby mielibyśmy z nią zrobić? I nie jedziemy na wakacje, tylko się przeprowadzamy.

Klara wygląda przez okno kampera. Raj chodzi tam i z powrotem po parkingu, paląc papierosa. Co kilka sekund zerka, żeby sprawdzić, czy Klara nadal rozmawia.

– Jak to? – pyta Varya ze zgrozą.

– Bo chcę być iluzjonistką. A żeby mieć z tego pieniądze, muszę jechać do Vegas. A poza tym, Vi, ja mam dziecko. Nie zdajesz sobie sprawy, ile kosztuje Ruby. Pieluchy, jedzenie, ubranka…

– Wychowałam czwórkę dzieci – wtrąca Gertie – i jakoś nigdy nie musiałam jechać do Vegas.

– Owszem – ucina Klara. – Ale ze mną jest inaczej.

– Wiemy o tym – wzdycha Varya. – Cóż, jeśli cię to uszczęśliwi…

Kiedy odkłada słuchawkę na widełki, Raj właśnie wsiada do samochodu.

– I co powiedziały? – pyta, wskakując na siedzenie kierowcy, i wkłada kluczyk do stacyjki. – Nie spodobał im się ten pomysł, co?

– Mhm.

– Wiem, że to twoja rodzina – mówi Raj, wyjeżdżając na ulicę. – Ale gdybyście nie byli spokrewnieni, też byś ich nie lubiła.

* * *

Noc spędzają na kempingu w Hesperii. Klarę budzi głos Raja. Odwraca się na bok, i mrużąc oczy, patrzy na zegarek Saula: kwadrans po trzeciej. Raj siedzi przy łóżeczku Ruby. Patrzy na nią przez drewniane pręty barierki i opowiada szeptem o Dharavi.

Blacha pomalowana jaskrawoniebieską farbą. Kobiety sprzedające trzcinę cukrową. Domy ze ścianami z jutowych worków; potężne rury,

wyłażące z ziemi na ulice jak grzbiety słoni. Opowiada o handlarzach prądem, o lasach namorzynowych i o ruderze, w której się urodził.

– Ten dom należał do twojego *tata*. Połowa się rozpadła, jeszcze kiedy byłem mały. Drugiej pewnie też już dawno nie ma. Ale możemy go sobie wyobrazić. Tę połowę, która wtedy jeszcze stała – mówi. – Na każdym piętrze znajduje się jakiś interes. Na piętrze *tata* są szklane butelki, kawałki plastiku i metalu. Na następnym mężczyźni składają meble; jeszcze wyżej robią skórzane walizki i torebki. A na ostatnim kobiety szyją maleńkie dżinsy i koszulki, dla takich dzieci jak ty.

Ruby grucha cicho i macha rączką, błękitnobiałą w świetle księżyca. Raj bierze jej malutką dłoń w swoją.

– O twoich ludziach mówią, że są niedotykalni, gorsi od tych, którzy narodzili się pod stopami Brahmy. Ale to ludzie pracy. Twoi ludzie to sprzedawcy, rolnicy i złote rączki. Na wioskach nie wolno im wchodzić do świątyń ani kaplic. Ale Dharavi jest ich świątynią. A naszą jest Ameryka.

Klara leży z głową odwróconą ku łóżeczku córki, ale ciało ma sztywne. Raj nigdy nie opowiadał jej takich rzeczy. Kiedy pyta go o Dharavi albo o powstanie w Kaszmirze, Raj zmienia temat.

– Twój *tata* byłby z ciebie dumny. A ty powinnaś być dumna z niego.

Wstaje. Klara przyciska policzek do poduszki.

– Nie zapomnij o tym, Ruby – mówi jeszcze Raj na koniec, przykrywając dziecko kocykiem. – Nie zapomnij.

16

Kiedy przyjeżdżają do Vegas, parkują na kempingu King’s Row. Znajduje się piętnaście minut od Strip, a postój kosztuje dwieście dolarów miesięcznie. Raj niechętnie rozstaje się z pieniędzmi, bo w basenie na kempingu nie ma wody i wszystkie pralki poza jedną są zepsute.

– To tylko na chwilę – zapewnia Ruby, całując ją w maleńki nosek. – Niedługo sprzedamy ten wózek.

Kiedy Raj poziomuje przyczepę elektrycznymi lewarkami i podłącza kampera do prądu, Klara robi rozpoznanie terenu. Na kempingu znajduje się świetlica ze stołem do ping-ponga i na wpół opróżniony automat ze słodyczami. Inne auta wyglądają, jakby stały tu od miesięcy. Mieszkańcy dobudowali do nich drewniane ganki, na których porozstawiali rośliny w doniczkach i wywiesili amerykańskie flagi.

Podpisują długoterminową umowę na wynajem samochodu – dostają pontiaca sunbirda, rocznik ’82, i jadą na Strip. Klara w całym życiu nie widziała niczego podobnego. Wodospady, które nigdy nie wysychają. Wiecznie kwitnące tropikalne kwiaty. Kompleksy hotelowe o metalicznym połysku i ostrych kształtach, przypominające stacje kosmiczne. „Gorące dziewczyny na żywo”, syczy jej ktoś do ucha, i nagle w dłoni Klary materializuje się ulotka. Przed hotelem Caesars Palace paradują antyczne bóstwa; jakaś kobieta leży twarzą w dół przy ulicy, pod głową ma różową

skórzaną kopertówkę. Tancerki i zastępy Elvisów stoją obok żywej laleczki Chucky machającej do Klary nożem.

Najnowszy hotel wznosi się jak otwarta księga nad ulicą: dwa smukłe budynki połączone w zgięciu. Na ekranie u szczytu budynku pojawia się wielki napis z wymyślnych czerwonych liter: *The Mirage*, który ustępuje miejsca przewijanej wiadomości: *W ciągu pierwszych dziesięciu godzin wypłaciliśmy największą wygraną w historii Las Vegas! 4,6 miliona! Zapraszamy do bufetu!* Później litery znikają, znów ustępując miejsca *The Mirage*. Klara i Raj dowiadują się, że wulkan przed hotelem wybucha co noc przy akompaniamencie Grateful Dead i indyjskiego tablisty Zakira Hussaina. Mają tu też przeszklone atrium z lasem tropikalnym i zagrodę dla prawdziwych tygrysów. Jest tu wszystko, z czym Klara nie chciała mieć nic wspólnego, ale teraz myśli o Ruby. Tu są pieniądze.

Wchodzą do lobby, obwieszonego potężnymi żyrandolami o szklanych kloszach wielkości opon samochodowych. Za recepcją rozciąga się akwarium szerokie na piętnaście metrów, zajmujące całą przestrzeń od podłogi do sufitu. Nagle Klara słyszy przeszywający warkot – w pierwszej chwili sądzi, że to wodospad albo wulkan, ale po chwili orientuje się, że to odgłos piły: budynek nie jest jeszcze skończony.

– Psst – syczy Raj.

Wskazuje na duży plakat nad recepcją, przedstawiający Siegfrieda i Roya. Między iluzjonistami siedzi biały tygrys. *Codziennie o 13 i 19*. Jest 13.45. Idą za znakami do sali teatralnej. Ponieważ pokaz już się zaczął, nikt nie sprawdza biletów. Raj przemyka z Ruby na biodrze przez drzwi i wciąga Klarę za sobą, wskazując jej dwa wolne miejsca. Siegfried i Roy mają na sobie rozchełstane jedwabne koszule, krótkie futrzane kurtki i obcisłe skórzane spodnie. Ujeżdżają mechanicznego smoka zionącego ogniem, szarpiącego trzymetrowym łbem, a w tym czasie na scenę wchodzą

tancerki w bikini z muszli. Każda trzyma w dłoni laseczkę zwieńczoną wielkim kryształem. Na zakończenie przedstawienia Roy wskakuje na grzbiet białego tygrysa, siedzącego na ogromnej kuli dyskotekowej. Razem z Siegfriedem i jeszcze dwunastoma egzotycznymi zwierzętami unoszą się w górę i znikają pod sufitem.

To wynaturzony amerykański sen, to sen o amerykańskim śnie: czterdzieści lat temu magicy poznali się na pokładzie transatlantyku i uciekli z powojennych Niemiec z gepardem zapakowanym do kufra. Teraz przy przedstawieniu zatrudniają dwieście pięćdziesiąt osób.

Kiedy mężczyźni zginają się w ukłonie, Raj nachyla się do ucha Klary.

– Musimy po prostu znaleźć jakąś furtkę. Ktoś tu na pewno ma odpowiednie znajomości.

* * *

Klara siedzi na futonie i karmi Ruby piersią, jednym okiem pilnując zegarka Simona. Znów pojawiły się te same dwie litery co poprzednio: *C*, potem *Z*. Musiała czekać tak długo, że zaczęła się martwić, czy nie przegapiła czegoś, kiedy odbijała Ruby. Pięć minut później stukanie wskazało literę *E*. Minęło jeszcze jedenaście minut.

K

A M

– Czekam!

Ruby piszczy rozdzierająco. Klarze kończy się mleko.

– Co? – woła Raj z zewnątrz. Leży na plecach pod kamperem i sprawdza coś w podwoziu.

– Nic – zapewnia Klara. Raj nie będzie chciał słuchać o tym, co właśnie sobie uświadomiła: jeśli Simon komunikuje się z nią zza zasłony śmierci, to kto może stwierdzić, że Saul też tego nie robi?

Klara zapina stanik do karmienia i ucisza dziecko, ale czuje pulsujący ból w zatokach, jakby miała się rozpłakać. Ruby żyje, Ruby jej potrzebuje. Klara potrzebuje Simona i Saula, ale oni…

Nie żyją? Może. Ale może nie tak do końca.

Raj zaczyna wypytywać o kontakty znajomych szefów południowokalifornijskich kasyn, aż nagle okazuje się, że właściciel kompleksu hotelowego nad jeziorem Tahoe ma kuzyna, którego szwagier jest menedżerem kasyna Golden Nugget. Raj wkłada najlepsze ubranie i idzie na spotkanie do baru na Strip. Wraca rozemocjonowany, rozsadza go energia, a w oczach płonie mu jakiś dziki zachwyt.

– Kotku – oznajmia. – Mam numer telefonu.

17

Klara nigdy wcześniej nie występowała w takim miejscu jak teatr kasyna Mirage. Scena wznosi się dziewięć metrów nad ziemią, ma dwie ruchome platformy, pięć wyciągów, dwadzieścia reflektorów, a widownia może pomieścić dwa tysiące osób. Lina do Szczęk Życia już wisi pod sufitem, a skrzynka Proteusza na kółkach czeka w kulisach. Dyrekcja Mirage siedzi w pierwszym rzędzie.

Podczas monologu Raja Klara stoi za kulisami, czując, jak pot spływa jej pod rozmigotaną od cekinów sukienką. Po raz pierwszy oddali Ruby pod opiekę niani – na siedemnastym piętrze hotelu znajduje się świetlica dla dzieci pracowników. Klara czuje ucisk w żołądku. Stara się skoncentrować, zrobić to dla Ruby. Strzepnij ręce. Przełknij ślinę. Uśmiechnij się, do cholery. Wychodzi na scenę, postukując obcasami złotych szpilek.

Światło. Żar. Nie potrafi odróżnić jednego dyrektora od drugiego: wszyscy mają twarze ukryte w cieniu, widać tylko ich wypuszczone ze spodni koszule. Podczas Skrzynki Proteusza wiercą się w fotelach. Jeden wychodzi w trakcie Znikającej Klatki, wykręcając się telekonferencją. Pozostali dwaj trochę się ożywiają przy Trzecim Oku, ale Klara źle wymierzyła Upadek, więc musi unieść kolana, żeby nie uderzyć o scenę. Kiedy otwiera oczy, jeden z mężczyzn patrzy na pager. Drugi odkasłuje.

– To już? – woła.

Techniczny włącza oświetlenie widowni, Raj wychodzi zza kulis. Na twarzy ma uśmiech doświadczonego sprzedawcy, ale wściekłość promieniuje od niego niczym żar. Ogrom tej szansy – ogrom ich porażki – uderza Klarę z taką siłą, że na ułamek sekundy odbiera jej dech. W lodówce kampera stoją trzy słoiczki jedzenia dla Ruby. Klara i Raj od tygodni jedzą fast foody – Klara czuje to w ciele, tę spuchniętą mieszaninę przesytu i niedostatku. W schowku w samochodzie leży zamknięta na klucz skrzynka, a w niej sześćdziesiąt cztery dolary. Co zrobią, jeśli nie znajdą lokalu na kolejne występy?

Klara myśli o swoim mentorze, Ilyi Hlavacku. To on wytłumaczył jej, że magiczne sztuczki są wymyślane pod mężczyzn: kieszenie w marynarkach świetnie się nadają do przechowywania stalowych kubków, a manipulowanie przedmiotami jest łatwiejsze, kiedy ma się duże ręce. A potem pokazał Klarze, jak może przechylić szalę na swoją korzyść. Klara używa piankowych piłeczek, które dają się łatwo zgniatać, i do perfekcji opanowała korzystanie z szuflady w stoliku karcianym. Ale na małe dłonie nic nie poradzi – tu ratuje ją wyłącznie technika.

– Musisz być równie dobra co najlepsi mężczyźni w tym zawodzie – oznajmił Ilya i kazał jej tak długo ćwiczyć przetasowanie jedną ręką, aż palce pulsowały jej z bólu. – A potem musisz stać się jeszcze lepsza.

Właśnie te iluzje zręcznych dłoni były jej siłą. Nadal są. Ale Klara i Raj starali się zostać Siegfriedem i Royem. W międzyczasie Klara zapomniała o starej, niepozornej magii, na której się wychowała. Zapomniała o sobie samej.

– Nie – mówi. – Jeszcze nie koniec.

Idzie za kulisy po czarne pudełko Ilyi, które przyniosła ze sobą na szczęście. Niesie je przez scenę i zeskakuje na widownię, staje przed kierownikami i zmienia pudełko w stolik. Z tej odległości mężczyźni wcale

nie są już do siebie podobni. Jeden jest zwartej budowy, higienicznie łysy, za okularami w srebrnych oprawkach kryją się uważne niebieskie oczy. Ma na sobie czerwoną jedwabną koszulę. Drugi, w czarno-białej koszuli w prążki, jest wysoki i ma gruszkowatą sylwetkę, ciemne włosy zaczesane w kucyk i lawendowe okulary nasunięte aż pod nasadę nosa. Z szyi zwisa mu delikatny złoty krzyżyk.

Raj podchodzi na skraj sceny i przysiada za Klarą. Jest cały sztywny, ale przygląda jej się czujnie. Klara wyjmuje z ukrytej przegródki swoją ulubioną talię kart i rozprowadza ją na stoliku Ilyi.

– Proszę wybrać trzy – zachęca łysego. – I odwrócić awersem do góry.

Facet wyciąga asa trefl, królową karo i siódemkę kier. Klara wkłada je z powrotem do talii. A potem klaszcze w dłonie.

As wylatuje z talii, trzepocze w powietrzu i upada na siedzenie. Klara znów klaszcze: królowa wyłania się ze środka. Przy trzecim klaśnięciu siódemka kier materializuje się jej w palcach.

– Ha! – mówi mężczyzna. – Bardzo ładnie.

Klara nie pozwala sobie na zadowolenie z komplementu. Ma zadanie do wykonania, a dokładnie – Wielkie Przejście. Wyciąga z szuflady niezmywalny marker i podaje go mężczyźnie w lawendowych okularach.

– Proszę rozdzielić karty. W którymkolwiek miejscu. – On posłusznie rozdziela talię, odsłaniając trójkę pik. – Świetnie. Czy mogę prosić, żeby podpisał pan swoją kartę?

– Markerem?

– Owszem. Dopilnuje pan mojej uczciwości. Nawet jeśli w talii jest więcej niż jedna trójka pik, żadna nie będzie miała pana podpisu. Schowamy ją z powrotem do środka, o tak. Ale jest na to sposób. Wystarczy, że postukam w kartę na samej górze – Klara odwraca kartę – i proszę, pańska trójka. Dziwne, prawda? Dobrze, to schowajmy ją

z powrotem do środka, gdzie jej miejsce. Ale zaraz: jeśli jeszcze raz postukam w kartę na górze, przekonamy się, że nasza trójka znowu wróciła. Przeszła przez całą talię.

Wielkie Przejście to jedna z najtrudniejszych sztuczek w repertuarze Klary. Od lat jej nie ćwiczyła – nie powinna być w stanie jej wykonać, ale czuje nadchodzącą skądś pomoc. Coś przyciąga Klarę z powrotem do osoby, którą była od samego początku.

– A teraz włożę kartę do środka bardzo powoli, żeby nie stracił jej pan z oczu. Mogę ją nawet zostawić wysuniętą, żeby miał pan pewność, że nie oszukuję – widzi ją pan? Ja też. Więc jak to się stało… – Klara odwraca kartę na wierzchu talii – że po raz trzeci znalazła się na górze? Chwileczkę, mam wrażenie, że coś tu się rusza – dziwne, ale mogłabym przysiąc, że teraz pańska karta jest na samym dole. Wyjmie ją pan?

Mężczyzna wyciąga dolną kartę, śmiejąc się pod nosem.

– Dobra robota. Nie zauważyłbym podwójnego przełożenia, gdybym specjalnie go nie wypatrywał.

Mimo to facet nadal jednym okiem zerka na pager. Klara bierze go na celownik. Już łapie ją skurcz w małym palcu – od roku nie ćwiczyła wyprowadzania karty – ale nie ma czasu strzepnąć dłoni. Kiedy odkłada karty do szuflady, zgarnia z niej garść monet, wskazując jednocześnie na metalowy kubek stojący pod nogami łysego.

– Mogłabym go pożyczyć? Dziękuję, to bardzo miło z pana strony. Nie wiem, czy panowie zauważyli – może w ogóle nie zwrócili panowie na to uwagi – ale tutaj wszędzie jest pełno pieniędzy.

Klara bierze kubek w prawą dłoń i rozkłada lewą, pokazując, że jest pusta. Kiedy strzela palcami, między jej lewym kciukiem a palcem wskazującym pojawia się ćwiartka. Wrzuca ją do kubka; moneta spada na dno z brzękiem. Klara wyciąga dwie monety zza kołnierza łysego faceta, po

jednej z każdego ucha i jeszcze dwie z kieszeni koszuli większego mężczyzny.

– To pański kubek, nie mój. Nie ma w nim drugiego dna, żadnego schowka na monety. Więc pewnie się pan zastanawia, jak to robię. Założę się, że pan już wie, czego się spodziewać – dodaje, wskazując na okulary ciemnowłosego. On je zdejmuje i podaje Klarze, która przechyla je w stronę kubka. Ze szkieł ześlizgują się dwie monety. – To naturalna reakcja: bez przerwy szukamy w życiu sensu. Widzą panowie, jak wyciągam kolejne monety. Cóż, należałoby zatem założyć, że chowam je w lewej ręce. A kiedy ją panom pokażę, kiedy przekonacie się, że nie mogę nic w niej chować, zmienicie logikę. Teraz myślicie, że trzymam je w prawej. To byłoby wygodne rozwiązanie, prawda? Tak blisko kubka. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogę… – Klara przekłada kubek do lewej ręki – …zmieniać… – otwiera pustą prawą dłoń – …metody działania w trakcie.

Odkasłuje; dwie monety wypadają jej z ust. Ciemnowłosy mężczyzna chowa pager do kieszeni koszuli. Zdobyła jego uwagę.

– Jest pan wierzący – mówi, przyglądając się krzyżykowi na jego szyi. – Mój ojciec też był religijny. Kiedyś myślałam, że jest moim przeciwieństwem. Jego zasady kontra moje nieposłuszeństwo. Jego rzeczywistość kontra moje fantazje. Ale w końcu zrozumiałam – myślę, że on już dawno to wiedział – że wierzymy w to samo. Można nazywać to zapadnią w podłodze, ukrytym schowkiem albo Bogiem; to przecież tylko symbol tego, czego nie wiemy. Przestrzeń, w której niemożliwe staje się możliwe. Mój ojciec recytował kidusz albo zapalał świece na szabat – to były jego magiczne sztuczki.

Raj kaszle, żeby ją ostrzec: co ty wyprawiasz? Ale Klara doskonale wie, co robi. Od początku wiedziała.

– Mój ojciec i ja znamy się na rzeczywistości. I pan pewnie też. Czy rzeczywistość to zbyt wiele? Czy jest zbyt bolesna, zbyt ograniczona, zbyt uboga w radość albo w możliwości? Nie. Uważam, że rzeczywistość to za mało. – Klara odstawia kubek na podłogę i wyjmuje z szufladki kubek i piłeczkę. Stawia pusty kubek dnem do góry na stoliku i kładzie na nim piłeczkę. – Nie wystarczy znaleźć odpowiedź na to, czego nie rozumiemy – mówi, chwytając piłeczkę i zaciskając ją mocno w palcach. – Rzeczywistość jest zbyt płytka, by wytłumaczyć sprzeczności, które widzimy, słyszymy i czujemy. – Kiedy otwiera dłoń, piłeczki już nie ma. – Rzeczywistość to za mało, żeby budować na niej nadzieje, marzenia… wiarę. – Podnosi metalowy kubeczek, ukazując pod spodem piłeczkę. – Niektórzy iluzjoniści twierdzą, że magia niszczy człowiekowi świat. Ale ja uważam, że to właśnie magia jest spoiwem świata. To mroczna materia, klej rzeczywistości, wypełniający szpary między wszystkimi rzeczami, które uważamy za prawdziwe. I dopiero magia pokazuje, jak niekompletna… – Klara odstawia kubek – …jest… – zaciska dłoń w pięść – …rzeczywistość.

Kiedy rozkłada palce, na jej dłoni nie ma piłeczki. Na jej miejscu leży dojrzała, doskonale okrągła truskawka.

Cisza rozciąga się od pokrytej grubym dywanem podłogi aż pod sufit piętnaście metrów nad nimi, od końca sceny aż po balkon. W końcu Raj zaczyna bić brawo, a po chwili wtóruje mu łysy mężczyzna. Tylko ten ze złotym krzyżykiem nie klaszcze. Zamiast tego pyta:

– Kiedy może pani zacząć?

Klara wpatruje się w truskawkę na swojej dłoni. Owoc jest wilgotny. Czuje jego zapach. W jej uszach rozlega się huk wodospadu, który słyszała przed wejściem do Mirage – a może to był odgłos piły mechanicznej?

Łysy wyciąga z kieszeni kalendarz w skórzanej oprawie.

– Może grudzień, styczeń – styczeń? Damy ją zaraz przed Siegfrieda i Roya?

Głos jego towarzysza brzmi, jakby pod powierzchnią wody coś się przebudziło.

– Przecież oni ją zeżrą żywcem.

– Dobra, ale to byłby show na rozgrzewkę. Damy jej pół godziny, ludzie wtedy dopiero wchodzą, będą chcieli na coś popatrzeć, a to ładna dziewczyna – ładna z pani dziewczyna – przyciągnie ich uwagę, posadzi dupy w fotelach, a potem bum! Tygrysy, lwy, eksplozje. Jazda bez trzymanki.

– Będą im potrzebne nowe kostiumy – mówi ten z kucykiem.

– Och, kostiumy do kompletnej przeróbki. Przydzielimy wam zespół technicznych, wywalamy numer z klatką, wywalamy magiczną skrzynię, podkręcamy numer z liną, podkręcamy czytanie w myślach – można wyciągnąć kogoś z publiczności na scenę, coś w tym rodzaju. Wszystko ogarniemy. – Rozlega się pisk pagera. Obaj mężczyźni sięgają do kieszeni. – Macie cztery miesiące do premiery, dacie sobie radę.

* * *

– Kurwa, Jezu Chryste – wyrzuca z siebie Raj, kiedy tylko zamykają się za nimi drzwi windy. – Truskawka. – Zaczyna się śmiać, przysiada w kącie, gdzie spotykają się dwie szklane ściany. – Nie wiem, jak ty to zrobiłaś, ale to było doskonałe.

– Ja też nie wiem.

Śmiech Raja się urywa, choć jego usta nadal są rozciągnięte w szerokim uśmiechu.

– Mówię poważnie – dodaje Klara. – W życiu nie widziałam tej truskawki. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła.

W pierwszej chwili myśli, że znów ma dziury w pamięci: może pojechała na rynek, kupiła pudełko truskawek, schowała jedną do kieszeni. Ale to nie ma sensu. Tylko Raj jeździ wynajętym samochodem, a w okolicy King’s Row nie ma żadnego sklepu, do którego mogłaby dotrzeć na piechotę.

– Co ty sobie wyobrażasz? – pyta Raj. W jego twarzy jest coś zwierzęcego, coś dzikiego, jak u wilka pilnującego zdobyczy. – Iluzjonistka, która wierzy we własne sztuczki?

Kilka miesięcy temu te słowa by ją zraniły. Ale nie tym razem. Klara coś dostrzegła.

Ten błysk w oczach Raja. Z początku myślała, że widzi w nich złość. Ale to nie to.

On się jej boi.

18

Raj współpracuje z zespołem techników. Montuje sprzęt do Szczęk Życia i przerabia scenariusz Trzeciego Oka. Projektuje nowe rekwizyty do Igieł Fakira: większe igły, żeby było je widać ze sceny, czerwony sznurek zamiast nitki. Dyrektor artystyczny Mirage pyta Klarę, czy pozwoli Rajowi przepiłować ją na pół – „Pójdzie jak z płatka, to wcale nie boli” – ale ona odmawia. Dyrektor sądzi, że Klara boi się sztuczki, ale prawda jest taka, że mogłaby wygłosić godzinny wykład na temat P. T. Selbita i jego mizoginicznych wynalazków: Przepiłowanie Dziewczyny, Rozciąganie Kobiety, Zmiażdżenie Damy. Wszystkie stworzone po to, żeby dorobić się na powojennej żądzy krwi i niechęci do emancypacji kobiet.

Klara nie będzie kobietą, którą przepiłowuje się na pół albo zakuwa w kajdany – nie pozwoli się też uwalniać ani ratować. Sama się ocali. Będzie piłą.

Ale rozumie, że jeśli będzie stawiać większy opór, stracą pracę. Więc pozwala kostiumografowi skrócić spódniczkę o dziesięć centymetrów i pogłębić dekolt o pięć, daje sobie wypchać stanik poduszkami. Podczas prób Raj stoi dumnie wyprostowany, ale Klara się kurczy. Blask, który czuła na przesłuchaniu, z każdym dniem słabnie – przyćmiewają go pięćsetwatowe reflektory, znika za mgłą z wytwornic dymu. Klara sądziła, że Mirage chciało ją taką, jaka jest, ale okazuje się, że ma być

zwielokrotniona do sześcianu, ma przerosnąć rzeczywistość. Chcą ją w stylu Vegas. Dla nich ona jest po prostu kolejną nowinką, tak jak różowy wulkan przed wejściem: ich własna dziewczyna-magik.

* * *

Chrząstki Ruby zmieniają się w kości i zastygają w swoich kształtach. Jej ciało składa się w siedemdziesięciu procentach z wody, tak samo jak powierzchnia Ziemi. Ma delikatne psie kiełki i jeden zestaw guzkowatych trzonowców. Potrafi powiedzieć *idź*, *nie* i *oć tam*, co oznacza *chodź tam* i zmienia serce Klary w ciepłe masło. Ruby piszczy z uciechy na widok różowych jaszczurek pełzających po King's Row i mocno ściska kamyczki w małych dłoniach. Kiedy wystawiają pierwszy show i dostają pierwszy duży czek, Raj chce natychmiast sprzedać kampera i wynająć mieszkanie, poszukać żłobka i pediatry. Ale Klarze kończy się czas. Jeśli kobieta z Hester Street miała rację, zostały jej dwa miesiące życia.

Nie mówi Rajowi. On pomyślałby tylko, że jest jeszcze większą wariatką, niż sądził. Zresztą i tak prawie go nie widuje: między próbami Raj zostaje w teatrze. Wisi trzydzieści metrów nad sceną i montuje na stalowych sztankietach cały system lin i podciągników własnego pomysłu. Wykorzystuje zapadnie i windy, żeby zaprojektować mechanizm pozwalający na zniknięcie Klary w trakcie ukłonów po Upadku. Wspólnie z technikami buduje nowy stolik karciany i pomaga nosić rekwizyty z warsztatu na scenę. Kierownik sceny go uwielbia, ale niektórym technicznym nowy mniej się podoba. Któregoś razu Klara mija dwóch pracowników obsługi sceny, kiedy idzie odebrać Ruby ze świetlicy. Stoją tuż za drzwiami do teatru i przyglądają się, jak Raj oznacza scenę taśmą.

– Wcześniej to ty byłeś od oklejania – mówi jeden. – Uważaj, bo Gandhi ukradnie ci robotę.

* * *

Klara idzie do Vons, popycha przed sobą czerwony plastikowy wózek z Ruby. Podkrada z czwartej alejki osiem słoiczków purée z batatów Gerbera. Pobrzękują jej w torebce, kiedy kieruje się w stronę wyjścia. Automatyczne drzwi rozsuwają się na boki, a Klara czuje powiew ciepłego powietrza. Jest wieczór, kończy się listopad, ale niebo nadal ma kolor dżinsowego granatu. Klara przysiada pod lampą, otwiera słoiczek Gerbera i karmi Ruby palcem wskazującym.

Zbliżają się do niej dwie kule białego światła, robią się coraz większe, aż w końcu podjeżdża do niej srebrny oldsmobile. Klara zasłania oczy Ruby i mruży powieki, ale samochód nie jedzie dalej; stoi tuż przed nią, jakby blokowała mu wyjazd z parkingu. Mężczyzna w fotelu kierowcy gapi się prosto na nią. Ma potargane włosy w kolorze truskawkowego blondu, bladozłote oczy i otwarte usta. Wygląda kropka w kropkę jak Eddie O’Donoghue, gliniarz z San Francisco.

Klara podrywa się na nogi i sadza sobie Ruby na biodrze. Wypuszcza przy tym słoiczek z jedzeniem, który pęka na asfalcie, rozlewając pomarańczową breję, ale Klara się nie zatrzymuje – odchodzi, po chwili zaczyna biec z powrotem ku anonimowym tłumom na Strip. Przeciska się między turystami, popychając niezdarnie pusty wózek jedną ręką. Przypomina sobie jego język, wpychający się jej do ust, kiedy nagle wpada na plecy potężnie zbudowanej kobiety z dwoma długimi brązowymi warkoczami.

Krew zamarza jej w żyłach. To wróżka z Hester Street. Klara chwyta ją za ramię.

Kobieta się odwraca. To jakaś nastolatka. W roztańczonych światłach kasyna Stage Door jej twarz zmienia kolor na czerwony, potem na niebieski.

– Co ty odpierdalasz? – Dziewczyna ma rozszerzone źrenice, wysuniętą agresywnie szczękę.

– Przepraszam – szepcze Klara, robiąc krok w tył. – Wzięłam cię za kogoś innego.

Ruby zaczyna zawodzić. Klara niezgrabnie rusza przed siebie, mija Caesars Palace i Hilton Suites, Harrah's i Carnaval Court. Nie sądziła, że kiedykolwiek tak się ucieszy na widok idiotycznej, wściekle różowej piany wylewającej się z wulkanu przed Mirage. Dopiero kiedy wchodzi do hotelu, zauważa, że zostawiła pusty wózek Ruby przed Stage Door.

* * *

Klara nie chce słyszeć stukania – wolałaby, żeby hałasy wróciły tam, skąd przyszły – ale one tylko przybierają na sile. Simon jest na nią zły; myśli, że o nim zapomniała. Na godzinę przed pierwszą próbą generalną Klara wchodzi do damskiej toalety w Mirage i sadza Ruby na ladzie tuż przy wazonie ze sztucznymi kwiatami. Wyciąga zegarek. CZEKAM nadchodzi od razu, jak poprzednim razem. Trzy minuty później – kolejne C. Klarze wydaje się, że Simon nadaje komunikat jeszcze raz od nowa, ale tym razem, po osiemdziesięciu czterech minutach, stukanie układa się w słowo: CZEKAMY.

Simon i Saul. My. Łazienka kołysze się na boki. Klara opiera dłonie na marmurowym blacie, głowa opada jej na pierś. Nie wie, ile czasu minęło, kiedy nagle słyszy głos Ruby. Dziecko nie płacze; nawet nie gulgocze. Mówi jasno i wyraźnie:

– Ma. Ma. Ma-ma.

Wewnątrz Klary coś kołysze się niczym długa łodyga, przechyla się, pęka. Zawsze tak jest: rodzina, która ją stworzyła, i rodzina, którą ona stworzyła, ciągną Klarę w przeciwne strony. Ktoś wali do drzwi.

– Klara? – krzyczy Raj i wchodzi do środka.

Zamiast codziennego ubrania – białego T-shirtu poznaczonego szarymi smugami i starych dżinsów Carhartt – ma na sobie kostium: szyty na miarę frak i cylinder, czarne i gładkie jak pióra pingwina. Ruby siedzi po przeciwnej stronie blatu. Wpełzła do głębokiej złotej umywalki i bawi się automatycznym podajnikiem mydła w płynie. Teraz zawodzi rozdzierająco, tocząc niebieską pianę z buzi.

– Kurwa, co tu się dzieje? Co ty wyprawiasz?

Raj bierze Ruby w ramiona i pomaga jej wypluć mydło, płucze jej usta obiema rękami. Moczy papierowy ręcznik i wyciera dziecku nos i oczy. Potem opiera się o blat i nachyla do przodu, opierając brodę na ciemnych włoskach Ruby. Dopiero po chwili Klara dostrzega, że Raj płacze.

– Rozmawiałaś z Simonem – mówi. – Mam rację?

– To stukanie. Odmierzałam dźwięki w czasie. Wcześniej nie byłam pewna, czy są prawdziwe, ale teraz już wiem, on mi powiedział…

Raj nachyla się, jakby chciał ją pocałować. Ale zamiast tego tylko przybliża nos do jej policzka, zatrzymuje się na kilka sekund i odsuwa.

– Klaro. – Kiedy na nią patrzy, ma w twarzy coś żywego, coś bardzo wyraźnego, co ona w pierwszej chwili bierze za miłość, ale prawie od razu orientuje się, że to wściekłość. – Czuć od ciebie.

– Co niby czuć? – pyta Klara, żeby kupić sobie kilka sekund. W przyczepie wypiła dwie miniaturowe flaszki Popova; miały jej pomóc zachować równowagę.

– Ty chyba jesteś jakąś masochistką, że teraz nam to robisz. A może po prostu sądzisz, że zawsze będę pod ręką, żeby po tobie posprzątać?

– Tylko jeden drink. – Klara jest zła, że nie potrafi opanować drżenia w głosie. – Ty mnie ciągle kontrolujesz.

– Tak to sobie tłumaczysz? – Raj otwiera szeroko oczy. – Te wszystkie lata temu. Gdybym cię nie znalazł. Jak sądzisz, jak by ci się powodziło?

– Lepiej niż teraz. – Mieszkałaby dalej w San Francisco i wystawiała własny show. Byłaby samotna, ale miałaby kontrolę nad swoim życiem.

– Byłabyś zapitą cyrkówką – mówi Raj. – Nikim.

Ruby przygląda się Klarze z objęć Raja. Klara czuje, jak krew napływa jej do twarzy.

– Jesteś w stanie nadal robić to, co robisz, wyłącznie dlatego, że mnie poznałaś – ciągnie Raj. – A wcześniej radziłaś sobie tylko dlatego, że kroiłaś ludzi. Kradłaś, Klaro. Bez cienia wstydu. Naprawdę myślisz, że dawałaś im takie wspaniałe widowisko?

– Owszem, dawałam. Daję. – mówi Klara. – Staram się być dobrą matką. Chcę odnieść sukces. Ale ty nie rozumiesz, jak się czuję. Nie wiesz, co straciłam.

– Nie wiem, co straciłaś? A czy ty wiesz – czy masz w ogóle pojęcie – co się wydarzyło w moim kraju? – Raj ociera oczy wolną dłonią. – Twój ojciec miał własny interes, rodzinę. Ty nadal masz matkę, siostrę i starszego brata, ważnego pana doktora. Mój ojciec zbierał śmieci; mama umarła tak młodo, że nawet jej nie pamiętam. Amit zginął w osiemdziesiątym piątym. Pierwszy raz po przeprowadzce do Stanów wybrał się w odwiedziny do domu, do Indii. Jego samolot rozbił się na kilka minut przed lądowaniem w Bombaju. Twoja rodzina miała dobrze. Dalej ma.

– Wiem, że miałeś ciężkie życie – szepcze Klara. – Nie chciałam tego umniejszać. Ale mój brat nie żyje. Mój ojciec nie żyje. Oni nie mieli dobrze.

– Dlaczego? Bo nie dożyli dziewięćdziesiątki? Pomyśl, co mieli, kiedy żyli. Na przeciwnym biegunie są tacy jak ja – wszystko musimy wyszarpać zębami, a jeśli mamy wielkie, wielkie szczęście, jeśli jesteśmy zajebiście

wyjątkowi, to może do czegoś kiedyś w życiu dojdziemy. Za to na ciebie zawsze czeka miękkie lądowanie. – Raj potrząsa głową. – Jezu, Klaro. Jak ci się wydaje, dlaczego nie rozmawiam z tobą o swoich problemach, tych prawdziwych? Bobyś sobie z tym nie poradziła. Nie masz w głowie miejsca na niczyje problemy poza własnymi.

– Jak możesz mówić takie rzeczy?

– Bo to prawda.

Klara nie jest w stanie odpowiedzieć; umysł ma splątany, łącza sypią iskrami, monitor gaśnie. Raj sprawdza pieluchę Ruby i zawiązuje sznurówki jej maleńkich bucików. Zdejmuje Klarze z ramienia torbę z pieluchami i idzie do drzwi łazienki.

– Przysięgam na Boga, Klaro, myślałem, że ci się poprawia. Kiedy tylko dostaniemy ubezpieczenie zdrowotne, w pierwszy wolny dzień zabieram cię do lekarza. Nie możesz teraz się rozsypać. Jesteśmy zbyt blisko.

* * *

Dwudziesty ósmy grudnia 1990 roku. Jeśli kobieta miała rację, Klarze zostały cztery dni życia. Jeśli kobieta miała rację, Klara umrze w noc ich pierwszego spektaklu.

Musi być jakaś furtka, sekretne drzwiczki. Przecież ona jest iluzjonistką, do cholery. Musi tylko znaleźć te zasrane drzwiczki.

Bierze do łóżka czerwoną piłeczkę i bawi się nią pod kołdrą. Już wymyśliła, jak zmienić ją w truskawkę. Najpierw francuskie przejście z prawej ręki do lewej, żeby piłeczka zniknęła. Potem przesuwa lewą dłonią nad prawą. Potem przełożenie, i kiedy znów otwiera lewą dłoń, leży na niej chłodny, pachnący owoc. Zjada każdą truskawkę i wtyka zielone szypułki pod materac. Później wymyka się z przyczepy.

Jest już czarna, czarna noc, ale temperatura nadal przekracza trzydzieści stopni. Klara słyszy ludzi w przyczepach, jak biorą prysznic, gotują, jedzą, kłócą się, z oddali dobiega pojękiwanie pary nastolatków, którzy bez przerwy uprawiają seks. Ze wszystkich stron otacza ją życie: grzechocze w metalowych puszkach, próbuje wyrwać się na wolność.

Klara podchodzi do basenu. Ma kształt nerki i lśni nieziemskim, fosforycznym błękitem. Nigdzie wokół nie ma leżaków – kierownik kempingu twierdzi, że tylko je rozkradną – więc Klara staje nad głębszą częścią. Zdejmuje podkoszulek i szorty i rzuca je na ziemię. Brzuch nadal ma miękki i pofałdowany po Ruby. Kiedy ściąga bieliznę, jej włosy łonowe wyglądają, jakby rozkwitały.

Skacze.

Woda otacza ją jak membrana. Stopy Klary wydają się bliżej niż w rzeczywistości, a ramiona sprawiają wrażenie nienaturalnie wygiętych. Basen wygląda na płytszy niż dwa i pół metra, ale Klara wie, że to iluzja. Światło załamuje się, kiedy spotyka nowe medium. Ale ludzki mózg jest zaprogramowany na myślenie, że światło zawsze podróżuje w linii prostej. To, co widzimy, nie zawsze odpowiada rzeczywistości.

Słyszała, że tak samo jest z gwiazdami: wydają się mrugać, kiedy światło się zakrzywia, przechodząc przez atmosferę. Ludzkie oko postrzega ten ruch jako brak światła. Ale ono nie znika.

Klara wynurza się z wody. Wciąga gwałtownie powietrze.

Może wcale nie chodzi o to, żeby opierać się śmierci. Może w ogóle nie ma czegoś takiego jak śmierć. Skoro Simon i Saul kontaktują się z Klarą, to znaczy, że świadomość jest w stanie przetrwać rozkład ciała. A jeśli tak, to wszystko, co Klarze mówiono na ten temat, jest nieprawdą. Więc może śmierć wcale nie oznacza końca.

Klara przekręca się na plecy i unosi swobodnie na wodzie. Jeśli kobieta miała rację, jeśli już w 1969 roku zobaczyła ostatni dzień życia Simona, to na świecie istnieje magia: rozmigotana wiedza, ukryta w samym sercu nieznanego. Nieważne, czy Klara umrze; nadal będzie mogła komunikować się z Ruby, skoro teraz jest w stanie rozmawiać z Simonem. Może przekraczać granice, tak jak zawsze pragnęła.

Może być pomostem.

19

Przed hotelem wisi teraz inny billboard. *Dziś wieczorem! Zaklinaczka Śmierci i Raj Chapal*. Przedstawienie zaczyna się dopiero o jedenastej – to ma być specjalny sylwestrowy show – ale przy wejściu już kipią tłumy turystów. Raj parkuje sunbirda na postoju dla pracowników. Zazwyczaj Klara niesie torby, a Raj trzyma Ruby, ale dziś ona nie chce wypuścić dziecka z rąk. Ubrała Ruby w czerwoną wyjściową sukienkę, którą Gertie przysłała w prezencie na jej pierwsze urodziny, w grube białe rajstopy i czarne lakierki.

Idą przez lobby. Ryby lśnią fluorescencyjnym światłem i przemykają tam i z powrotem w piętnastometrowym akwarium. W zagrodzie tygrysów aż gęsto od zwierząt, choć większość śpi z puszystymi brodami opartymi na betonie. Raj i Klara podchodzą do windy. Tu się rozdzielą: Raj weźmie ich bagaże do teatru, a Klara zabierze Ruby do świetlicy.

Raj odwraca się i kładzie dłoń na jej policzku. Jest ciepła i szorstka od pracy w warsztacie.

– Gotowa?

Klara ma wrażenie, że jej serce nagle zamarło. Patrzy na piękną twarz Raja: krzywizny kości policzkowych jak szyje łabędzi, ostry podbródek. Włosy do ramion ma jak zwykle związane w kucyk; później

charakteryzatorka rozdmucha je suszarką i nałoży silikon, żeby lśniły w blasku reflektorów.

– Chcę, żebyś pamiętała, że jestem z ciebie dumny.

Kiedy to mówi, szklą mu się oczy. Zaskoczona Klara bierze głęboki wdech.

– Wiem, że ostro cię potraktowałem. Wiem, że nie było łatwo. Ale nie zapominaj, że cię kocham. Kocham nas. I wierzę w ciebie.

– Ale nie wierzysz w moje sztuczki. Nie wierzysz w magię. – Klara się uśmiecha. Żal jej Raja, który o tylu rzeczach nie ma pojęcia.

– Nie – mówi Raj zniecierpliwionym tonem, jakby rozmawiał z Ruby. – Nie ma czegoś takiego.

Rodziny z dziećmi potrącają ich i przepychają się przy wejściach do wind. Raj opuszcza rękę. Kiedy znów są sami, kładzie dłoń z powrotem na twarzy Klary, tym razem przytrzymując jej szczękę bardziej stanowczo.

– Posłuchaj. To, że nie wierzę w twoje sztuczki, nie znaczy, że nie wierzę w ciebie. Jesteś wspaniała w tym, co robisz. Potrafisz oczarować ludzi. Klaro, ty jesteś artystką. Królową estrady.

– Nie jestem klaunem. Ani małpą na sznurku.

– Nie. Jesteś gwiazdą.

Raj upuszcza torby na ziemię i przygarnia ją do siebie. Obejmuje Klarę ramionami i ściska mocno. Ruby piszczy, uwięziona przy piersi Klary. Ich mała rodzina. Klarze oni już przypominają duchy, wspomnienia ludzi, których kiedyś znała. Myśli o czasach – ma wrażenie, że to było tak dawno – kiedy wierzyła, że Raj może dać jej wszystko, czego pragnęła.

– Idę na górę – mówi Klara.

– Okej. – Raj nachyla się do Ruby i układa wargi w rybi pyszczek, a dziecko chichocze radośnie na ten widok. – Pomachaj pa, pa, Ruby. Pomachaj tatusiowi. Trzymaj kciuki za tatusia.

* * *

Kiedy Klara puka do drzwi, opiekunka świetlicy uchyla je nieznacznie. Pokój jest pełen dzieci techników, artystek, recepcjonistek, kucharzy, kierowników i sprzątaczek.

– Obłęd dziś – oznajmia znad łańcucha. Wygląda jak zakładniczka, na jej twarzy maluje się czysta udręka. – Szczęśliwego Nowego Roku, kurwa mać.

Klara słyszy brzęk tłuczonego szkła i serię triumfalnych dziecięcych okrzyków.

– Boże drogi! – wrzeszczy kobieta, odwracając się. Potem znów patrzy na Klarę. – Możemy to szybko załatwić? Hej, malutka.

Zdejmuje łańcuch z zasuwki i wyciąga ręce po Ruby. Klara ściska dziecko mocniej. Wszystko, co w niej racjonalne, buntuje się przeciw rozstaniu z Ruby.

– Co, nie zostawiasz jej dziś? Myślałam, że masz przedstawienie?

– Tak – mówi Klara. – Mam.

Przygładza niesforne czarne włoski Ruby, bierze jej pulchną, miękką buzię w dłonie.

Chce tylko, żeby dziecko na nią popatrzyło. Ale Ruby już się wierci; chce iść do innych dzieci.

– Na razie, kochanie. – Klara przysuwa nos do czoła Ruby i wdycha mleczną słodycz, kwaśny pot – esencję człowieczeństwa – jej skóry. Chłonie ten zapach. – Zobaczymy się niedługo.

* * *

Kiedy znów wchodzi do windy, ma wrażenie, że Simon na nią czekał. Rozpoznaje jego twarz w tęczowym pobłysku, rozlanym na szkle jak w plamie oleju. Jedzie na czterdzieste piąte piętro. Chciała tylko zobaczyć

widok z góry, ale ma szczęście: kiedy wychodzi na korytarz, zauważa sprzątaczkę opuszczającą apartament. Kiedy tylko kobieta znika w windzie, Klara rzuca się do drzwi. W ostatniej chwili blokuje je małym palcem i zagląda do środka.

Klara nigdy nie widziała równie wielkiego mieszkania. W salonie i jadalni stoją kremowe skórzane krzesła i szklane stoły; w sypialni odkrywa łóżko w rozmiarze California King i telewizor. Łazienka jest większa od ich kampera, ma wielkie jacuzzi i dwie marmurowe umywalki. W kuchni Klara znajduje chromowaną lodówkę wypełnioną alkoholem – w normalnych rozmiarach zamiast miniaturek. Bierze butelkę Bombay Sapphire, Johnnie Walker Black Label i Veuve Clicquot. Pije z każdej po kolei, krztusi się szampanem, po czym zaczyna kolejną rundę.

Zapomniała spojrzeć za okno. Grube pofalowane zasłony, też kremowe, są zaciągnięte. Kiedy Klara naciska okrągły guzik na ścianie, materiał rozsuwa się na boki, ukazując widok na Strip, który aż lśni od elektryczności. Klara próbuje sobie wyobrazić, jak to miejsce wyglądało sześćdziesiąt lat temu – zanim dwadzieścia tysięcy ludzi wybudowało Zaporę Hoovera, przed neonami i kasynami, kiedy Las Vegas było tylko zaspaną osadą kolejową.

Podchodzi do telefonu i wybiera numer. Gertie odbiera po czwartym sygnale.

– Mamo.

– Klara?

– Mam dziś przedstawienie. Premierę. Chciałam cię usłyszeć.

– Twoje własne przedstawienie? Wspaniale. – Gertie jest zdyszana z radości jak młoda dziewczyna. Klara słyszy w tle czyjś śmiech, jakieś wołanie. – My świętujemy. Bo…

– Daniel się zaręczył! – Przerywa jej Varya. Pewnie podniosła słuchawkę w drugim pokoju.

– Zaręczył? – Dopiero po chwili ta informacja dociera do Klary. – Z Mirą?

– Tak, głupku – potwierdza Varya. – A z kim?

Ciepło wsiąka w Klarę jak atrament. Nowy członek rodziny. Wie, dlaczego świętują, dlaczego to tyle dla nich znaczy.

– To cudowna wiadomość – mówi. – Cudowna.

Kiedy odkłada słuchawkę, apartament wydaje jej się zimny i opustoszały, jakby wszyscy właśnie wyszli z przyjęcia. Ale już wkrótce nie będzie sama.

* * *

Magicy nigdy nie byli zbyt dobrzy w umieraniu.

David Devant miał pięćdziesiąt lat, kiedy drżączka poraźna zmusiła go do przejścia na wczesną emeryturę. Howard Thurston stracił przytomność po występie i już się nie obudził. Houdiniego zabiła własna pewność siebie: w 1926 roku pozwolił, żeby mężczyzna z publiczności uderzył go w brzuch. Od ciosu pękł mu wyrostek. No i babcia. Klara zawsze sądziła, że jej imienniczka zginęła podczas wykonywania Szczęk Życia na Times Square, bo przypadkiem spadła na ziemię, ale teraz ma wątpliwości. Babcia niedługo przedtem straciła dziadka Klary, Otta. Klara wie, jakie to uczucie – trzymać się rzeczywistości zębami. Wie, jak to jest, kiedy człowiek chce po prostu puścić.

Otwiera torebkę i wyciąga sznur, zwinięty jak wąż. To pierwsza lina, jakiej użyła do Szczęk Życia, jeszcze w San Francisco. Klara dobrze pamięta jej szorstkie, mocne sploty, nagłe szarpnięcie. Staje na stole w salonie i przywiązuje sznur do potężnego żyrandola pod sufitem.

Czekała na jakiś dowód, że przepowiednie kobiety są prawdziwe. Ale na tym polega cała sztuczka: Klara sama musi to udowodnić. To ona jest odpowiedzią na zagadkę, drugą połową kręgu. Teraz pracują w tandemie: ramię w ramię, krok w krok.

Nie żeby Klara się nie bała. Jest przerażona. Myśl o Ruby w świetlicy – chodzącej niepewnie po pokoju na kluskowatych nóżkach i piszczącej z uciechy – przeszywa każdą komórkę jej ciała. Zatrzymuje się.

Może powinna poczekać na znak. Stuknięcie – wystarczy jedno.

Jest pewna, że za chwilę rozlegnie się sygnał. Tak pewna, że dwie minuty ciszy zupełnie wytrącają ją z równowagi. Wyłamuje palce i przypomina sobie o oddychaniu. Mija jeszcze minuta, a potem kolejne pięć.

Klarze trzęsą się już ramiona. Jeszcze sześćdziesiąt sekund i zrezygnuje. Sześćdziesiąt sekund i spakuje sznur, wróci do Raja i da występ.

Aż nagle nadchodzi.

Klara oddycha nierówno, pierś jej się trzęsie. Po twarzy spływają jej ciężkie, gęste łzy. Stukanie jest teraz natarczywe, głośne i prędkie jak grad. *Tak*, mówią. *Tak, tak, tak.*

– Proszę pani?

Ktoś stoi pod drzwiami, ale Klara się nie zatrzymuje. Zawiesiła na klamce tabliczkę *Nie przeszkadzać*. Jeśli to sprzątaczka, to zobaczy i sobie pójdzie.

Stół w salonie wygląda drogo – szklany, o ostrych krawędziach – ale okazuje się zaskakująco lekki. Klara odsuwa go pod ścianę i stawia na jego miejscu wysoki stołek spod blatu kuchennego.

– Proszę pani? Pani Gold?

Stukanie nie ustępuje. Klara czuje rozbłysk strachu. Wraca do kuchni i bierze łyk whisky, potem dżinu. Ogarniają ją nagłe zawroty głowy, aż

musi oprzeć się o blat i spuścić nisko głowę, żeby powstrzymać wymioty.

– Pani Gold? – woła głos jeszcze raz, tym razem głośniej. – Klaro?

Sznur zwisa z sufitu, czeka. Jej stary przyjaciel. Klara wchodzi na krzesło i związuje włosy.

Jeszcze jedno spojrzenie na zewnątrz, na strumień ludzi i świateł. Jeszcze jedna chwila na objęcie Ruby i Raja myślami; niedługo się do nich odezwie.

– Klaro? – woła głos za drzwiami.

Pierwszy stycznia 1991 roku, tak jak zapowiedziała kobieta. Klara bierze ją za ręce i razem wyrywają się w ciemne, ciemne niebo. Trzepoczą i szeleszczą jak liście, takie maleńkie na tle nieskończonego wszechświata; wirują, migoczą, znów wirują. Razem oświetlają przyszłość, widać je nawet z tak daleka.

* * *

Raj miał rację. Klara jest gwiazdą.

CZĘŚĆ TRZECIA

Inkwizycja

1991–2006

Daniel

20

Przed ich pierwszą rozmową Daniel widział Mirę trzy razy: najpierw przy biurku w Bibliotece Regensteina, kiedy pisała coś w małym czerwonym notesie. Potem – w kawiarni studenckiej w piwnicy Cobb, gdy wychodziła z kawą w dłoni. W jej ruchach była jakaś elektryzująca energia, która niemal przeskoczyła na Daniela, kiedy Mira go mijała. Zauważył to znów parę tygodni później, gdy zobaczył Mirę biegającą wokół stadionu Stagg Field, ale dopiero w maju 1987 roku ona pierwszy raz do niego podeszła.

Siedział w stołówce uniwersyteckiej i jadł kanapkę z szarpaną wieprzowiną. (Gertie dostałaby zawału, gdyby zobaczyła, że syn zajada się świniną. Daniel zasmakował nawet w bekonie, który trzymał w lodówce w swoim mieszkaniu w Hyde Parku. Zarzekał się, że matka wyczuwa od niego zapach trefnego jedzenia, kiedy odwiedza ją w Nowym Jorku). Była trzecia po południu, stołówka świeciła pustkami; Daniel jadł lunch o tej godzinie, bo od szóstej rano do 14.30 miał praktyki w szpitalu. Kiedy drzwi wejściowe się otworzyły, poczuł podmuch świeżego powietrza. Natychmiast rozpoznał młodą kobietę stojącą w progu i znów przeszedł go dreszcz. Ona rozejrzała się po pomieszczeniu, po czym ruszyła w stronę Daniela. Udawał, że jej nie dostrzega, aż przystanęła przed jego czteroosobowym stolikiem.

– Przepraszam, czy to miejsce…? – Przez ramię miała przewieszoną ciężką skórzaną listonoszkę, pod pachą trzymała naręcze książek.

– Nie, wolne – odparł Daniel, podnosząc głowę, jakby dopiero teraz ją zauważył, po czym rzucił się do akcji. Natychmiast uprzątnął zgniecioną puszkę po coli i wężową skórkę folii po słomce, odsunął na bok czerwony plastikowy koszyk ubrudzony resztkami kanapki: papier był uwalany strzępkami tłuszczu i plamami z bordowobrązowego sosu. – Oczywiście, wolne – zapewnił.

– Dzięki – odparła rzeczowym tonem. Usiadła po skosie od Daniela, wyjęła zeszyt i piórnik i zabrała się do pracy.

Daniel był zupełnie zbity z tropu. Wyglądało na to, że dziewczyna nic od niego nie chce. Oczywiście niewykluczone, że wybrała to konkretne miejsce z innych powodów: może chodziło jej o odległość od bufetu albo o to, że stolik znajdował się przy oknach, przez które wpadały właśnie rzadko widywane w Chicago promienie słońca.

Daniel wygrzebał z plecaka jakąś książkę i zaczął przyglądać się dziewczynie kątem oka. Była drobna, ale nie chuda, a jej okrągła twarz kończyła się szczupłą, kształtną brodą. Miała eleganckie, nieco nastroszone brwi i oczy koloru kasztanów, okolone zaskakująco jasnymi rzęsami. Jej skóra była oliwkowej barwy, usiana piegami. Proste brązowe włosy sięgały jej do obojczyków.

Wskazówki zegara wskazały trzecią trzydzieści, potem czwartą. Kwadrans po czwartej Daniel odkaszlnął.

– Co studiujesz?

Na kolanach trzymała srebrno-niebieskiego walkmana Sony. Zsunęła słuchawki z uszu.

– Słucham?

– Byłem ciekaw, co studiujesz.

– Och. Historię sztuki. Sztukę żydowską.

– Aa – bąknął Daniel, unosząc brwi i uśmiechając się w – jak miał nadzieję – wyrazie zainteresowania, choć temat niespecjalnie go ciekawił.

– O, nie podoba ci się.

– Nie podoba? Jej, nic z tych rzeczy. – Daniel się spłoszył. – Masz prawo studiować, co tylko ci się podoba.

– Dziękuję za pozwolenie – odparła z absolutną powagą.

Daniel poczerwieniał.

– Przepraszam. To zabrzmiało protekcjonalnie. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Ja sam jestem Żydem – dodał w geście solidarności. Kobieta zerknęła na resztki jego kanapki. – Z pochodzenia.

– W takim razie zostajesz rozgrzeszony – odparła kobieta, ale mimo złośliwej uwagi posłała mu uśmiech. – Jestem Mira.

– Daniel. – Czy powinien podać jej rękę? Zwykle lepiej sobie radził z kobietami. Ostatecznie tylko się uśmiechnął.

– No więc – podjęła Mira – już nie jesteś wierzący?

– Nie – przyznał.

W dzieciństwie Daniela uspokajała atmosfera synagogi; brodaci mężczyźni z jedwabnymi chustami, złożone rytuały, jabłka w miodzie i gorzkie zioła, rytm modlitwy. Ułożył sobie nawet własną osobistą modlitwę, którą powtarzał każdej nocy, pieczołowicie pilnując każdego szczegółu, jakby jedno potknięcie mogło wystarczyć, by sprowadzić na niego okropne nieszczęście. Ale przecież mimo tej staranności i tak spadły na niego okropne nieszczęścia: najpierw śmierć ojca, potem brata. Niedługo po odejściu Simona Daniel ostatecznie porzucił modlitwę. Nie dręczyło go poczucie winy; rezygnacja z Boga przebiegła bezboleśnie. Jego wiara odeszła logicznie, bez walki, tak jak potwór znika, kiedy wreszcie odważysz się zajrzeć pod łóżko. Taki właśnie był problem z religią: Bóg nie

wytrzymał ciężaru krytycznej analizy. W ogóle nie zamierzał się jej poddawać. Po prostu zniknął.

– Nie lubisz strzępić języka – oceniła Mira.

W tonie jej głosu było coś takiego, że Daniel się roześmiał.

– Nie, po prostu… cóż, przy dyskusji o religii niektórzy czują się nieswojo. Albo przechodzą od razu do defensywy. – Na wypadek gdyby Mira miała przejść do defensywy, dodał prędko: – Ale oczywiście widzę w tradycji religijnej wielką wartość.

Mira z zainteresowaniem przekrzywiła głowę.

– Jaką?

– Mój ojciec był głęboko wierzący. Szanuję go, więc szanuję też to, w co wierzył. – Daniel przerwał na chwilę, żeby zebrać myśli. Nigdy wcześniej nie miał okazji wyrazić tego na głos. – W pewnym sensie uważam religię za szczytowe osiągnięcie ludzkości. Tworząc Boga, wykształciliśmy zdolność kontemplacji własnych słabości – i wyposażyliśmy go w wygodne furtki, dzięki którym możemy wierzyć, że mamy ograniczoną kontrolę nad własnym życiem. A prawda jest taka, że większości ludzi odpowiada pewien stopień życiowej niemocy. Ale moim zdaniem mamy kontrolę – mamy jej tyle, że śmiertelnie nas to przeraża. Bardzo możliwe, że Bóg to najcenniejszy dar, jaki sprawił sobie gatunek ludzki. Dzięki niemu nie postradaliśmy zmysłów.

Usta Miry rozciągnęły się w odwrócony półksiężyc. Już wkrótce ten wyraz twarzy miał się stać dla Daniela równie znajomy co jej drobne, chłodne ręce i pieprzyk na płatku lewego ucha.

– A ja śledzę drogę, jaką pokonały dzieła sztuki zrabowane przez nazistów – oznajmiła po chwili. – I zauważyłam, że każdy z tych przedmiotów zawędrował niewiarygodnie daleko. Na przykład *Portret doktora Gacheta*. Van Gogh namalował go w Auvers-sur-Oise w tysiąc

osiemset osiemdziesiątym roku, mniej więcej na miesiąc przed samobójstwem. Obraz cztery razy przechodził z rąk do rąk, od brata Van Gogha do jego wdowy, a potem do dwóch niezależnych kolekcjonerów, aż w końcu kupił go Städel we Frankfurcie. Kiedy naziści w trzydziestym dziewiątym roku splądrowali muzeum, portret trafił do Hermanna Göringa, który wystawił go na aukcję. Obraz nabył niemiecki kolekcjoner i wtedy dopiero zrobiło się ciekawie: kolekcjoner sprzedał portret Siegfriedowi Kramarsky'emu, żydowskiemu bankierowi, który w trzydziestym ósmym uciekł przed Holokaustem do Nowego Jorku. Niesamowite, co? Po tylu latach obraz ostatecznie i tak trafił w żydowskie ręce, i to bezpośrednio od wspólnika Göringa. – Mira zaczęła się bawić kablem od słuchawek. Nagle zrobiła się dziwnie onieśmielona. – Może potrzebujemy Boga z tego samego powodu, dla którego potrzebujemy sztuki – dodała.

– Bo miło na to popatrzeć?

– Nie. – Mira się uśmiechnęła. – Bo pokazuje nam, co jest możliwe.

To była dokładnie ta dodająca fałszywej otuchy myśl, którą Daniel odrzucił wiele lat temu, ale mimo to coś go do niej przyciągało. W ten weekend pili wino i słuchali *Graceland* Paula Simona na boomboksie, którego Mira wetknęła w otwarte okno swojego mieszkania na trzecim piętrze bez windy. Kiedy wsunęła dłonie w tylne kieszenie dżinsów Daniela i przyciągnęła go blisko do siebie, poczuł takie szczęście, że niemal go to zawstydziło. Nie zdawał sobie sprawy, jaki jest samotny ani od jak dawna trwał w takim stanie.

Na swoim ślubie Daniel spojrzał na zebranych gości. Kiedy w ławce dla najbliższej rodziny zobaczył tylko Gertie i Varyę, coś w jego sercu pękło jak gałąź. Nigdy nie odżałował, że Klara i Mira nie zdążyły się poznać. W przeciwieństwie do Klary Mira była praktyczna do bólu, ale łączyło je to samo cyniczne poczucie humoru. Obie roztaczały wokół siebie aurę

prowokacji – czasem tylko dla zabawy, a czasem zupełnie na poważnie. Daniel nawet nie wiedział, jak ważna była dla niego młodsza siostra, dopóki nie poznał swojej przyszłej żony. Kiedy tłukli kieliszki, wyobraził sobie, że jego dotychczasowe życie też rozpryskuje się na drobne kawałki, wraz z całą jego ignorancją i udręką, ze wszystkimi wielkimi i małostkowymi rozczarowaniami. Pomyślał, że z tych odłamków złoży z Mirą coś nowego. Popatrzył w jej jasne orzechowe oczy, błyszczące od łez, i poczuł, że jego dusza się rozluźnia, jakby zanurzył ją w ciepłej kąpieli. Dopóki patrzył na Mirę, to uczucie spokoju pulsowało łagodnie, wypychając ból na obrzeża świadomości.

Później, kiedy leżał nagi obok swojej nowej żony – Mira pochrapywała z wilgotnym czołem opartym na jego piersi – Daniel poczuł, że cały dygocze. Zaczął się modlić. Słowa popłynęły z niego naturalnym, niepowstrzymanym strumieniem, jak mocz. (Okropne porównanie, Daniel zdawał sobie z tego sprawę – Mira byłaby zgorszona, gdyby jej to wyznał – ale i tak wydawało mu się bardziej odpowiednie niż napompowane metafory, których nasłuchał się w dzieciństwie). Proszę cię, Boże, myślał. Boże drogi, niech to przetrwa.

Gdy w pierwszych tygodniach po ślubie Daniel myślał o tej modlitwie, czuł się nieco zażenowany, ale też jakoś lżejszy; jakby odciął sobie kosmyk włosów. Nie spodziewał się, że rytuał religijny sprawi mu tak wielką ulgę. W rzeczywistości pierwsze ziarno ateizmu zostało w nim zasiane lata przed śmiercią Klary, Simona i Saula. Zaczęło się od kobiety z Hester Street. Daniela ogarniał taki wstyd na myśl o własnym pogaństwie i bluźnierczej chęci pojęcia niepojętego, że w odpowiedzi na to uczucie odrzucił całą religię. Poprzysiągł sobie, że już nigdy nikt nie będzie miał nad nim takiej władzy: żadna osoba, żadne bóstwo.

Ale może Bóg wcale nie przypominał tego krwawego, przerażającego sędziego, który zaprowadził go do wróżki, może nic nie łączyło go z jej niedorzecznymi przepowiedniami. Dla Saula Bóg oznaczał porządek i tradycję, kulturę i historię. Daniel nadal wierzył w wolność wyboru, ale może to nie wykluczało wiary w Boga. Wyobraził sobie nowego Boga, który potrąca go lekko, kiedy Daniel kieruje się w niewłaściwą stronę, ale nigdy nim nie szarpie; który doradza, ale nie grozi. Boga, który prowadzi go jak ojciec. Jak Ojciec.

* * *

Kilka lat później, kiedy byli już po ślubie i mieszkali w Kingston w stanie Nowy Jork, Daniel zapytał Mirę, czy specjalnie usiadła przy jego stoliku tamtego dnia, kiedy się poznali.

– Oczywiście – odparła. Kiedy się roześmiała, promień słońca wpadający przez kuchenne okno zmienił jej oczy w dwie złote monety. – Na stołówce było pusto. Niby dlaczego miałabym wybrać akurat tamto miejsce?

– Nie wiem – odparł Daniel, zawstydzony, że zapytał, albo że w nią zwątpił. – Może miałaś ochotę na towarzystwo. Albo chciałaś posiedzieć w słońcu. Pamiętam, że była ładna pogoda.

Mira go pocałowała. Poczuł na karku chłód jej złotej obrączki, takiej samej jak ta, którą nosił na serdecznym palcu.

– Doskonale wiedziałam, co robię.

21

Dziesięć dni przed Świętem Dziękczynienia w 2006 roku Daniel siedzi w biurze pułkownika Bertrama, komendanta głównej komisji poborowej Albany w stanie Nowy Jork. Przez cztery lata pracy w komisji Daniel był tu tylko kilka razy – zazwyczaj po to, żeby omówić jakiś niezwykły przypadek, raz po odbiór awansu na naczelnego lekarza jednostki – a dziś ma nadzieję na podwyżkę.

Pułkownik Bertram siedzi w skórzanym fotelu za szerokim lśniącym biurkiem. Jest młodszy od Daniela, na głowie ma kask z blond włosów wygolonych na skroniach, jego ciało jest napięte i żylaste. Wygląda na niewiele starszego od chłopców po programie szkolenia wojskowego, którzy przyjeżdżają tu całymi stadami na badania.

– Miał pan udaną karierę – mówi.

– Co proszę?

– Miał pan udaną karierę – powtarza pułkownik. – Dobrze pan służył swojemu krajowi. Ale będę z panem szczery, majorze. Część z nas uważa, że pański czas już się skończył.

Po studiach Daniel zaciągnął się do wojska jako lekarz. Pierwsze dziesięć lat kariery spędził w szpitalu wojskowym Keller Community na West Point. Właśnie tak zawsze wyobrażał sobie swoją przyszłą pracę, nieprzewidywalną i pełną ryzyka. Ale wyczerpywały go nieregularne

wielogodzinne zmiany i nieustanne cierpienie. Kiedy pojawiła się oferta pracy w komisji poborowej, Daniel, namówiony przez Mirę, zgłosił swoją kandydaturę.

Posada nie była prestiżowa, ale Daniel zaczął cenić stabilność, jaką mu zapewniała. Teraz nie potrafił sobie wyobrazić powrotu do szpitala – albo jeszcze gorzej, wyjazdu na misję.

Czasami obawia się, że jego słabość do rutyny stanowi oznakę tchórzostwa. Dostrzega paradoks swojej pracy: jego zadaniem jest potwierdzać zdolność młodych ludzi do pójścia na wojnę. Z drugiej strony jednak Daniel uważa się za strażnika. Jest sitem, oddzielającym gotowych do walki od niezdolnych do niej. Rekruci patrzą na niego z nerwową nadzieją, jakby miał im wydać pozwolenie na życie, nie przepustkę do śmierci. Oczywiście trafiają się też tacy, w których oczach maluje się czyste przerażenie – Daniel dostrzega w ich spojrzeniu ojców wojskowych albo beznadziejną biedę, która zagnała ich na przystanek ostatniej nadziei. Zawsze pyta, czy są pewni, że chcą iść na wojnę. Oni zawsze odpowiadają, że tak.

– Pułkowniku. – Umysł Daniela na chwilę ciemnieje. – Czy chodzi o Douglasa?

Jego rozmówca przechyla głowę.

– Douglas był sprawny. Trzeba było go przepuścić.

Daniel przypomina sobie papiery chłopaka: spirometria i wyniki testów szczytowego przepływu powietrza o wiele poniżej normy.

– Douglas miał astmę.

– Douglas jest z Detroit. – Z twarzy pułkownika znika uśmiech. – Tam wszyscy mają astmę. To co, uważa pan, że powinniśmy przestać rekrutować chłopaków z Detroit?

– Oczywiście, że nie.

Dopiero teraz Daniel w pełni uświadamia sobie powagę sytuacji. Wie, że liczba rekrutów spadła o dziesięć procent. Że wojsko obniżyło standardy testów psychologicznych – od lat siedemdziesiątych nie przyjmowano tylu rekrutów z czwartej kategorii. Do Daniela doszły słuchy, że niektórzy dowódcy wypisują decyzje o przyjmowaniu żołnierzy z wyrokami za kradzieże, napaści, a nawet za nieumyślne spowodowanie śmierci w wypadku drogowym albo zabójstwo.

– Tu nie chodzi tylko o Douglasa – mówi.

– Majorze.

Kiedy pułkownik Bertram nachyla się do przodu, w jego odznace – gwieździe otoczonej wieńcem – odbija się światło. Daniel wyobraża sobie pułkownika zgarbionego nad biurkiem, polerującego przypinkę wacikiem nasączonym płynem do czyszczenia srebra.

– Wszyscy wiemy, że ma pan dobre intencje. Ale pan jest z innego pokolenia. Jest pan konserwatywny, no i niech pan sobie będzie. Przyznaję, nie wszyscy ci chłopcy się nadają. Nie bez powodu robimy selekcję. Ale widzi pan, majorze, jest czas na konserwatywne podejście i jest czas, żeby sobie trochę odpuścić. Potrzebujemy ludzi, jak najwięcej rekrutów w służbie Bogu i ojczyźnie. Czasem trafi się taki, co kaszle albo go strzyka w kolanie, ale ma serce na właściwym miejscu, i dobrze, jakoś ujdzie – a teraz, doktorze Gold, potrzebujemy jak najwięcej takich z sercem. Takich, którzy po prostu ujdą. Potrzebujemy – pułkownik bierze do ręki plik dokumentów – pozytywnych decyzji.

– Wypisuję pozytywne decyzje, kiedy mają uzasadnienie.

– Kiedy pan myśli, że mają uzasadnienie, majorze.

– Sądziłem, że na tym polega moja praca.

– Służy pan pode mną. To ja panu mówię, na czym polega pańska praca. I na pewno nie ma pan ochoty, żeby artykuł piętnasty zasmrodził panu

papiery.

– Niby za co? – Danielowi robi się tak sucho w ustach, jakby połknął kawałek kredy. – Nigdy nie złamałem regulaminu.

Artykuł 15 przekreśliłby jego karierę w wojsku. Daniel nigdy nie dostałby awansu; mogliby go nawet zwolnić. Tak czy inaczej byłby skończony. Nie przeżyłby takiej kompromitacji.

Ale nie chodzi tylko o dumę. Mira wykłada na publicznej uczelni. Kiedy Daniel zrezygnował z pracy w szpitalu, mieli sporo pieniędzy, ale później wzięli na siebie koszty życia Gertie. Potem u matki Miry zdiagnozowano raka, a u ojca demencję. Po śmierci teściowej umieścili ojca Miry w domu opieki, którego roczne opłaty pochłonęły już większość ich oszczędności. To się prędko nie zmieni: teść Daniela ma sześćdziesiąt osiem lat i fizycznie jest w dobrym zdrowiu.

– Za niesubordynację. – Na dolnej wardze pułkownika drży strzępek jajka. Dowódca bierze w dłonie folię aluminiową, w którą była zapakowana kanapka, i składa ją na pół. – Za nieprzestrzeganie standardów obowiązujących w armii.

– To byłoby kłamstwo.

– Czyli co, jestem kłamcą? – pyta cicho pułkownik. Nadal trzyma w palcach folię aluminiową, składa ją na coraz mniejsze kawałki.

Daniel wie, że dostał szansę, by się poprawić. Ale myśl o artykule 15 płonie w nim żywym ogniem. Jest rozjuszony tą groźbą, jej niesprawiedliwością.

– Albo trepem, który zrobi wszystko, co mu każe góra.

Pułkownik zamiera. Wkłada folię, teraz rozmiarów wizytówki, do kieszeni. Potem podnosi się z krzesła i wychyla przez biurko w stronę Daniela, opierając dłonie na blacie.

– Jest pan zawieszony. Na dwa tygodnie.

– A kto przejmie moje obowiązki?

– Mam tu trzech takich, co potrafią tak samo dobrze wykonywać pańską pracę. To wszystko.

Daniel wstaje. Jeśli zasalutuje, pułkownik Bertram zobaczy, że trzęsą mu się ręce, więc tego nie robi – choć wie, że to znacząco pogorszy jego sytuację.

– Pewnie pan myśli, że jest pan zajebiście wyjątkowym kwiatuszkiem, majorze – syczy pułkownik, kiedy Daniel rusza do drzwi. – Prawdziwym amerykańskim bohaterem.

* * *

Daniel wychodzi na parking, dzwoni mu w uszach. Przekręca kluczyk w stacyjce i czeka, aż silnik się rozgrzeje. Gapi się na budynek federalny Leo W. O'Briena: wysoki przeszklony kloc, w którym od 1974 roku mieści się kwatera głównej komisji poborowej Albany. Po remoncie w dziewięćdziesiątym siódmym Daniel dostał obszerne nowe biuro na drugim piętrze. Centrum Albany to nic ciekawego, ale kiedy Daniel pierwszy raz usiadł w swoim gabinecie, wypełniło go poczucie pewności i celowości – jakby życie od samego początku go tu prowadziło i jakby znalazł się w tym miejscu dzięki konsekwentnemu podejmowaniu inteligentnych, strategicznych wyborów.

Daniel wycofuje samochód z parkingu i wyrusza w pięćdziesięciominutową drogę powrotną do Kingston. Co on powie Mirze? Jeszcze dziś rano ludzie przychodzili do niego po radę, czekali na jego decyzje: był wyrocznią. Teraz niczym nie różni się od wszystkich innych, jest jak kapłan odarty z szat.

– Baran – stwierdza Mira, kiedy Daniel wiotczeje jej w ramionach i o wszystkim opowiada. – Bertram? Bertrand? Baran. – Wspina się na

palce i bierze twarz Daniela w dłonie. – A gdzie etyka? Gdzie tu jest etyka, do cholery?

Na podwórku lampa z garażu oświetla las otaczający ich ogród. Jeleń obwąchuje gałęzie wystające za kurtynę pierwszych drzew. Krajobraz tak szybko zbrązowiał w tym roku.

– Wykorzystaj to – radzi Mira. – Przez te dwa tygodnie przygotujemy ci linię obrony. A ty trochę sobie odpocznij. Pomyśl, co chciałbyś z tego wyciągnąć.

W umyśle Daniela przewija się długa lista dyskwalifikujących schorzeń, jak napisy końcowe na ekranie telewizora. Owrzodzenia, żylaki, przetoka, achalazja lub inne zaburzenia czynności przełyku. Atrezja lub zaawansowana mikrotia. Choroba Ménière'a. Wygięcie grzbietowe stopy do dziesięciu stopni. Brak dużego palca u stopy lub stóp. I tak dalej – w sumie tysiące przeciwwskazań. A dla kobiet wymagania są jeszcze bardziej restrykcyjne. Torbiele jajników. Nieregularne krwawienia. To cud, że w ogóle ktokolwiek przechodzi wszystkie testy, ale jak się nad tym zastanowić, to również cudem jest, że większość ludzi nadal dożywa siedemdziesięciu ośmiu lat pomimo coraz większej zapadalności na raka, cukrzycę i choroby układu krążenia.

– Nie zamierzałeś ostatnio czegoś zrobić w domu? – ciągnie Mira. Stara się być silna dla niego, ale jej zdenerwowanie jest oczywiste; zawsze szuka sobie zajęcia, kiedy się czymś martwi. – Mógłbyś wyremontować szopę. Albo odezwać się do rodziny.

Wiele lat temu Mira zapytała – z właściwą sobie bezpośredniością – dlaczego Daniel nie jest w lepszych stosunkach z siostrami.

– Nie mamy złej relacji – odparł Daniel.

– To nie znaczy, że macie dobrą – oceniła Mira.

– Czasami mamy – upierał się, choć prawda była mniej oczywista.

Zdarzało się, że Daniel myślał o rodzeństwie i miał wrażenie, że miłość rozchodzi się z jego wnętrza niczym donośny zaśpiew szofaru, głęboki i pełen radości, bólu i odwiecznej wspólnoty: powstali z tych samych okruchów gwiezdnego pyłu co on, tych troje zna od początku początków. Ale kiedy był z nimi w jednym pomieszczeniu, wystarczało najmniejsze starcie, żeby nieodwracalnie go obrazić. Czasami łatwiej mu było myśleć o nich jak o postaciach z filmu – ciasno zasznurowana Varya i niedbała, bujająca w obłokach Klara – niż stanąć twarzą w twarz z całą ich odpychającą, w pełni rozwiniętą dorosłością: z porannym oddechem i głupimi decyzjami. Patrzeć, jak życie wymyka im się spod kontroli.

* * *

Tej nocy Daniel odpływa w półsen i znów się budzi. Myśli o rodzeństwie i o falach, proces zasypiania kojarzy mu się z oceanem liżącym piaszczysty brzeg. Podczas którychś wakacji w New Jersey Saul zabrał dzieci do kina. Daniel z nimi nie poszedł, bo wolał popływać. Miał siedem lat. Przynieśli z Gertie plastikowe składane krzesła. Gertie została na plaży z książką, a Daniel bawił się w Dona Schollandera, który rok wcześniej zdobył cztery medale w Tokio. Fale popychały go coraz dalej w stronę horyzontu, a on im na to pozwalał. Był cały naelektryzowany myślą o rosnącym dystansie między nim a matką. Kiedy zmęczył się brodzeniem w wodzie, był już pięćdziesiąt metrów od brzegu.

Nagle słona woda wdarła mu się do nosa i do ust. Nogi miał długie i bezużyteczne. Pluł, parskał, próbował krzyczeć, ale Gertie go nie słyszała. Dopiero kiedy nagły podmuch wiatru zerwał jej kapelusz z głowy, wstała i podnosząc go z piasku, dostrzegła opadającą głowę Daniela.

Natychmiast wypuściła kapelusz i pognała ku synowi jak w zwolnionym tempie, choć w rzeczywistości nigdy w życiu nie biegła równie szybko.

Miała na sobie półprzejrzyste muumuu; chwyciła krawędź w dłoń, żeby nie plątała jej się pod nogami. Po chwili jednak wydała z siebie sfrustrowany ryk, ściągnęła narzutkę i cisnęła ją na ziemię. Pod spodem miała jednoczęściowy czarny kostium ze spódniczką, odsłaniającą jej masywne, pełne dołeczków uda. Z chlupotem przeszła przez płytką wodę, po czym rzuciła się na fale. Pospiesz się, myślał Daniel, krztusząc się, dławiąc. Mamusiu, pospiesz się. Nie nazywał jej tak, odkąd nauczył się dobrze chodzić. Aż wreszcie poczuł jej dłonie pod pachami. Gertie wyciągnęła go z wody i razem opadli na piasek. Całe ciało miała czerwone, włosy przykleiły jej się do głowy niczym czapka pilota. Dyszała ciężko – z początku Daniel myślał, że to ze zmęczenia, ale po chwili zorientował się, że matka szlocha.

Wieczorem opowiedział ze swadą historię swojego prawie utonięcia, ale w duszy płonęło mu odkryte na nowo przywiązanie do rodziny. Aż do końca wakacji wybaczał Varyi zawzięte bełkotanie przez sen. Pozwalał Klarze pierwszej iść do łazienki po powrocie z plaży, choć jej prysznice trwały tak długo, że któregoś razu Gertie zaczęła tłuc do drzwi, żeby zapytać, dlaczego Klara nie weźmie po prostu mydła do oceanu, skoro potrzebuje tyle wody.

Lata później, kiedy Simon i Klara wyjechali – i potem, kiedy nawet Varya się od niego odsunęła – Daniel nie mógł pojąć, dlaczego oni nie czuli tego samego co on: żalu rozłąki i głębokiego szczęścia, że zostali sobie zwróceni. Czekał. Co miałby im powiedzieć? Nie odpływajcie za daleko? Będzie wam nas brakować? Lata płynęły, a oni nie wracali – a Daniel czuł się najpierw głęboko zraniony, potem podłamany, aż w końcu po prostu zgorzkniał.

O drugiej w nocy schodzi na parter, do gabinetu. Nie włącza światła – wystarcza mu niebieskawa poświata monitora – i wpisuje adres strony Raja

i Ruby. Po chwili na ekranie pojawiają się wielkie czerwone litery.

Odkryj CUDA INDII, nie ruszając się z fotela! RAJ i RUBY zabiorą Cię na przejażdżkę LATAJĄCYM DYWANEM prosto do dziwów z dalekich krain, od Igieł Fakira po Magiczną Indyjską Linę, która zadziwiła samego HOWARDA THURSTONA – największego AMERYKAŃSKIEGO MAGIKA dwudziestego wieku!

Wielkie litery migają i podskakują. Pod nimi widnieją twarze szwagra i siostrzenicy. Oboje mają czerwone kropki na czole. Na środku strony przewijają się po kolei zdjęcia. Jedno przedstawia Raja uwięzionego w koszu, który Ruby przebiła dwoma długimi mieczami. Na innym Raj trzyma węża grubszego od szyi Daniela.

Daniel uważa, że to tandeta. Granie stereotypami. Ale z drugiej strony to przecież Vegas: tutaj tandeta stanowi wartość dodaną. Daniel był w Vegas dwukrotnie: najpierw na przyjęciu kawalerskim kolegi, a później na konferencji medycznej. Za każdym razem był zszokowany tą szczególną amerykańską monstrualnością; wszystko było rozdęte i przerysowane, jak karykatura prawdziwego świata. Restauracje o nazwach Margaritaville albo Cabo Wabo. Wulkany rzygające różowym dymem. Forum Shops, centrum handlowe zaprojektowane na wzór starożytnego Rzymu. Jak ktokolwiek mógłby tam mieszkać i nie stracić kontaktu z rzeczywistością? Chociaż tyle dobrego, że Raj i Ruby podróżują: mają kontrakt na stałe występy w kasynie Mirage, ale w zakładce „Trasa” Daniel znajduje informacje o gościnnych występach. W najbliższy weekend można ich zobaczyć w bostońskim Mystery Lounge. Za dwa tygodnie przyjeżdżają na miesiąc do Nowego Jorku.

Daniel zastanawia się, gdzie zamierzają spędzić Święto Dziękczynienia. Raj zasadniczo trzyma Ruby z daleka od Goldów; raz na kilka lat wyciąga ją jak królika z kapelusza, prezentuje i chowa z powrotem. Daniel widział

siostrzenicę, kiedy była energiczną trzylatką. Później zmieniła się w chmurną, poważną pięcio- i dziewięciolatkę, a ostatnim razem, kiedy się spotkali, Ruby wchodziła już w nadąsany wiek nastoletni. Tamta wizyta skończyła się wściekłą kłótnią o Szczęki Życia, popisowy numer Klary. Raj zaczął uczyć go Ruby, a Daniela mdliło na samą myśl. Nie pojmował, dlaczego Raj chce odtworzyć obraz Klary zwisającej ze sznura za pomocą jej córki.

– Podtrzymuję pamięć o niej! – ryknął Raj. – A ty co dla niej robisz?

Od tamtej pory nie rozmawiali, choć wina nie leży tylko po stronie Raja. Daniel miał mnóstwo okazji, żeby się odezwać, zarówno przed tamtą awanturą, jak i potem. Ale przebywanie w obecności Raja i Ruby zawsze przepełniało go niepokojącym żalem. Kiedy Ruby była mała, wyglądała jak Raj, ale jako nastolatka zaczęła przypominać Klarę. Ma takie same okrągłe policzki z dołeczkami i uśmiech kota z Cheshire. Kręcone włosy opadają jej aż do talii, tak samo jak Klarze, tylko zamiast farbowanej czerwieni mają naturalny brązowy kolor, zupełnie jak jej matki. Czasami, kiedy Ruby miała humory, Daniel doświadczał fantasmagorycznego déjà vu. Ruby z holograficzną łatwością zmieniała się w swoją matkę – nagle Daniel stał przed Klarą patrzącą na niego oskarżycielsko. Nie był wystarczająco blisko z Klarą, nie wiedział, że jest aż tak chora. No i to on wymyślił wyprawę do wróżki. Ta wizyta odcisnęła piętno na nich wszystkich, ale na Klarze chyba odbiła się najmocniej. Daniel do dziś pamięta twarz siostry po zejściu ze schodów pożarowych: czerwoną i mokrą od łez. Oczy miała czujne i dziwnie puste jednocześnie.

Daniel ma tylko numer domowy do Raja. Na nic mu się nie przyda, skoro szwagier jest w trasie. Klika na zakładkę Kontakt. Znajduje tam adresy do menedżera, PR-owca i agenta. Poniżej widnieje pole z napisem: „Napisz do Raja i Ruby!”. Kto wie, czy w ogóle to czytają – Danielowi

wydaje się, że to miejsce na wiadomości od fanów – ale mimo to postanawia spróbować.

Raj,

Tu Daniel Gold. Minęło trochę czasu, więc pomyślałem, że się odezwę. Zauważyłem, że za kilka tygodni będziecie w Nowym Jorku. Jakieś plany na Święto Dziękczynienia? Możecie zatrzymać się u nas. Dobrze byłoby się zobaczyć z rodziną po tylu latach.

Pozdrawiam, DG

Daniel czyta wiadomość przed wysłaniem. Obawia się, że brzmi zbyt obojętnie. Zmienia początek na „Drogi Raju", ale potem wraca do poprzedniej wersji (Raj nie jest mu drogi, a poza tym żaden z nich nie toleruje fałszu; to jedna z niewielu rzeczy, które ich łączą). Dodaje „Czy macie może" przed „jakieś plany na Święto Dziękczynienia?" i zamienia „Możecie się zatrzymać u nas" na „Chętnie byśmy Was ugościli". Kasuje ostatnie zdanie – czy rzeczywiście są rodziną? – ale potem pisze je jeszcze raz. Są sobie dostatecznie bliscy. Naciska „Wyślij".

* * *

Daniel spodziewał się, że mimo przymusowego urlopu obudzi się jak zwykle o 6.30 – ma czterdzieści osiem lat, w tym wieku człowiek staje się kompletnie przewidywalny – ale kiedy dzwoni jego komórka, słońce jest już wysoko na niebie. Daniel mruży oczy, patrzy na zegar, potrząsa głową, znów zerka na wskazówki: jedenasta. Omiata dłonią szafkę nocną w poszukiwaniu okularów i telefonu, podnosi klapkę komórki. Czy to Raj już dzwoni?

– Halo?

Odpowiadają mu tylko trzaski i szum.

– Daniel – odzywa się ktoś po drugiej stronie. – …wi… Di…

– Przepraszam, strasznie przerywa – mówi Daniel. – Może pan powtórzyć?

– …Di… jestem tera… …my się… żeństwie…

– Di?

– Di – powtarza głos z uporem. – Eddie O… hue…

– Eddie O’Donoghue? – Nawet w tak poszarpanej formie nazwisko budzi jakieś wspomnienie.

Daniel siada, opiera się na poduszce.

– …ak… licjant… znaliśmy się… cisco… twoja… tra… FBI…

– Boże. Tak, oczywiście.

Eddie O’Donoghue był agentem FBI przydzielonym do sprawy Klary. Przyszedł na nabożeństwo poświęcone jej pamięci w San Francisco. Potem Daniel wpadł na niego w pubie przy Geary. Następnego dnia obudził się z morderczym kacem. Nie mógł pojąć, dlaczego tyle wyznał Eddiemu, ale miał cichą nadzieję, że policjant wypił dość dużo, żeby o wszystkim zapomnieć.

–…zjedź tu – mówi Eddie i nagle jego głos staje się wyraźny. – No, i już. Matko Boska, jaki tu jest gówniany zasięg. Jak wy z tym żyjecie?

– Mamy stacjonarny – wyjaśnia Daniel. – To o wiele stabilniejsze rozwiązanie.

– Słuchaj, nie mogę długo rozmawiać, stoję na poboczu na autostradzie, ale jak myślisz, pasowałoby ci? Szesnasta, siedemnasta? Gdzieś w mieście? Chciałem z tobą pogadać o paru rzeczach.

Daniel mruga kilka razy. Telefon – cały ten poranek – wydaje mu się nierzeczywisty.

– Okej – zgadza się. – Spotkajmy się w Hoffman House. O szesnastej trzydzieści.

Dopiero kiedy się rozłącza, dostrzega szeroki cień w drzwiach do sypialni: swoją matkę.

– Jezu, mama. – Daniel podciąga kołdrę. Gertie nadal jest w stanie sprawić, by poczuł się jak dwunastolatek. – Nie zauważyłem cię.

– Z kim rozmawiałeś? – Gertie jest owinięta pikowanym różowym szlafrokiem – Daniel nie chce liczyć, od ilu dekad matka z niego korzysta – a jej gęste siwe włosy wyglądają jak grzywa Beethovena.

– Z nikim – mówi szybko. – Z Mirą.

– Z Mirą, na pewno. Nie jestem upośledzona.

– Nie jesteś. Ale zawsze wszystko musisz wiedzieć. – Daniel wygrzebuje się z łóżka, naciąga bluzę z logo Uniwersytetu Binghamton i wsuwa stopy w kapcie z owczą wyściółką. Podchodzi do drzwi i całuje Gertie w policzek. – Jadłaś już?

– Czy jadłam? Oczywiście, że jadłam. Dochodzi południe. A ty wylegujesz się w łóżku jak nastolatek.

– Zawiesili mnie.

– Wiem. Mira mi powiedziała.

– To może mi trochę odpuść.

– A jak myślisz, dlaczego cię nie budziłam?

– Och, nie wiem – mówi Daniel, schodząc na parter. – Może dlatego, że nie jestem już dzieckiem?

– Zła odpowiedź. – Gertie przeciska się obok niego i wychodzi na prowadzenie, po czym wkracza dostojnie do kuchni. – Dlatego, że ci odpuszczam. Nikt ci tak nie odpuszcza jak ja. A teraz, jeśli chcesz, żebym ci zrobiła kawę, to siadaj.

* * *

Gertie wprowadziła się do Kingston trzy lata temu, jesienią 2003 roku. Dotąd upierała się, że zostanie na Clinton Street. Zazwyczaj Daniel odwiedzał ją raz w miesiącu, ale w tym roku opuścił wizytę w marcu i kwietniu; przez inwazję na Irak miał w pracy straszny chaos, a Gertie zapewniła, że spędzi święto Paschy z koleżanką.

Kiedy przyjechał 1 maja, Gertie leżała w łóżku opatulona szlafrokiem i czytała *Proces* Kafki. Okna zasłoniła brązowym papierem do pakowania. W miejscu lustra w drewnianej ramie, które wisiało dawniej nad komodą, teraz sterczał tylko samotny gwóźdź. Gertie zdjęła też z zawiasów lustro w łazience, służące jednocześnie za drzwiczki do szafki z lekami, odsłaniając stłoczone nieporządnie buteleczki z lekami na receptę.

– Mama – powiedział Daniel. Miał sucho w ustach. – Kto ci to wszystko przepisuje?

Gertie weszła do łazienki. Popatrzyła na niego hardo.

– Lekarze.

– Jacy lekarze? Ilu ich jest?

– No, nie jestem pewna. Do jednego chodzę z żołądkiem, drugi jest od kości. Do tego lekarz rodzinny, lekarz od oczu, dentysta, alergolożka, chociaż u niej od miesięcy nie byłam, lekarz kobiecy, i jeszcze fizjoterapeuta. Uważa, że mam skoliozę, której nikt mi nigdy nie zdiagnozował, chociaż całe życie cierpię na bóle pleców. Przysięgam, że kiedy robię mocne skręty tułowia – doktor Kurtzburg tak na to mówi – to mi przeskakuje taka mała kostka w klatce piersiowej. – Daniel zaczął protestować, ale Gertie uniosła dłoń. – A ty powinieneś się cieszyć, że ktoś mnie leczy, opiekuje się mną, interesuje się starą samotną kobietą, która potrzebuje, żeby ktoś się nią zajął. Więc powinieneś się cieszyć – powtórzyła, nadal trzymając rękę w powietrzu – że ktoś się mną zajmuje.

– Nie masz skoliozy.

– Nie jesteś moim lekarzem.

– Jestem kimś więcej. Twoim synem.

– O, i jeszcze dermatolożka. Pilnuje mi pieprzyków. Ludzie uważają, że to dodaje urody, ale mało kto pamięta, że uroda może człowieka zabić. Nie zastanawiałeś się nigdy, czy Marilyn Monroe nie umarła od pieprzyka? Tego na twarzy, dzięki któremu była sławna?

– Marilyn Monroe popełniła samobójstwo. Zjadła garść barbituranów.

– Może – odparła Gertie konspiracyjnym tonem.

– Dlaczego pozdejmowałaś lustra?

– To dla twojego brata, siostry i ojca.

Daniel wszedł do kuchni. Na blacie stał wysoki kieliszek z winem. Całą krawędź obsiadły muszki owocówki.

– To dla Eliasza. Nie ruszaj.

Kiedy Daniel chlusnął cuchnącym manischewitzem do zlewu, chmara muszek uniosła się ze środka i rozpierzchła we wszystkie strony. Gertie sapnęła z oburzeniem. Po drugiej stronie umywalki stała aluminiowa tacka z odkrytym sklepowym kuglem. Kluski były błyszczące i twarde jak z plastiku. Podobnie jak w sypialni, tutaj też okna były zasłonięte papierem.

– Dlaczego wszystko pozaklejałaś?

– W nich też widać odbicia – wyjaśniła Gertie. Widząc jej rozszerzone źrenice, Daniel już wiedział, że coś trzeba zrobić.

Z początku Gertie odmówiła, ale schlebiała jej myśl, że Daniel chce ją mieć bliżej siebie – i ulżyło jej, że czas odosobnienia dobiegł końca. W sierpniu przenieśli ją z mieszkania na Manhattanie. Varya przeprowadziła się do Kalifornii, bo dostała pracę w Instytucie Gerontologii Drake’a, ale przyleciała do Nowego Jorku, żeby im pomóc. Do wieczora mieszkanie było już tak ogołocone, że Danielowi aż zrobiło się żal. Gdy wynieśli fotel Saula, ten z obiciem w kolorze zielonego groszku –

obrzydliwy mebel, który cała rodzina szczerze uwielbiała – pozostało im już tylko rozmontowanie łóżek piętrowych.

– Nie będę na to patrzeć – oznajmiła Gertie tonem na wpół wyzywającym, na wpół zrezygnowanym. Łóżka zostały zakupione czterdzieści lat wcześniej w Sears, ale nawet po odejściu Klary i Simona Gertie nie chciała się ich pozbyć. Najpierw upierała się, że będą potrzebne na wypadek, gdyby Daniel, Mira i Varya przyjechali jednocześnie w odwiedziny, ale kiedy Daniel zasugerował, żeby rozebrać chociaż jedno, Gertie tak się wzburzyła, że już nigdy więcej nie poruszał tego tematu. Zanim Mira zabrała teściową do samochodu, Gertie zażądała, by zrobili jej zdjęcie z łóżkami. Stanęła na środku pokoju, ściskając kopertówkę, i uśmiechnęła się pogodnie, jak turystka przed Tadż Mahal. Potem wyszła prędko, odwracając się do ściany, żeby nie widzieli jej twarzy.

Daniel zamknął za nią drzwi wejściowe i wrócił do sypialni. W pierwszej chwili nie zobaczył Varyi. Ale potem usłyszał pociąganie nosem, dobiegające z jej starego górnego łóżka. Kiedy podniósł głowę, ujrzał jej prawą stopę wystającą zza krawędzi. Łzy spływały siostrze po obu stronach twarzy, tworząc dwie ciemne plamy na materacu.

– Och, Vi – westchnął.

Wyciągnął ku niej rękę, ale szybko się opamiętał: wiedział, że nie lubi być dotykana. Przez wiele lat Daniela bolało, że Varya ma w zwyczaju wymykać się z objęć i uścisków, że w ogóle trzyma się na dystans. Zostali tylko we dwoje, a ona potrafiła przez kilka tygodni zbywać go milczeniem, kiedy próbował się z nią skontaktować. Ale co miał zrobić? Dla każdego z nich było już za późno, żeby się zmienić.

– Myślałam sobie o tym – zaczęła Varya, biorąc głęboki wdech – jak tu kiedyś spałam.

– Co, kiedy byliśmy dziećmi?

– Nie. Później. Kiedy przyjeżdżałam – Varya czknęła – w odwiedziny.

Daniel miał wrażenie, że to słowo jest przesiąknięte znaczeniem, choć nie wiedział, co siostra chce przez to powiedzieć. Varya taka po prostu była: widziała świat inaczej, pewne rzeczy wydawały jej się złowróżbne albo z jakiegoś powodu istotne. Zdarzało się, że omijała szerokim łukiem fragment chodnika, który Danielowi wydawał się zupełnie zwyczajny. Czasami Daniel myślał, żeby ją o to zapytać, ale szczelina, która pojawiała się między nimi, równie szybko się zasklepiała. Tym razem było podobnie: Varya pośpiesznie otarła twarz dłonią i przerzuciła nogi przez krawędź łóżka, na drabinkę.

Ale nie mogła zejść. Drabinka była przytwierdzona do łóżka tak starymi śrubami, że pod nagłym naporem ciężaru Varyi wysunęły się z drewna. Drabinka przechyliła się ku podłodze; Varya krzyknęła przestraszona. Skok na podłogę nie był ani trochę niebezpieczny, ale ona chwyciła się mocno barierki, zerkając podejrzliwie zza krawędzi.

Daniel wyciągnął ręce.

– Chodź tu, staruszko.

Varya się zawahała. Po chwili zaśmiała się, wciągając gwałtownie powietrze, i wychyliła się w stronę brata. Daniel chwycił ją pod pachy, a siostra złapała się go mocno i pozwoliła, żeby postawił ją na ziemi.

22

Piętnaście lat temu w Kolumbarium San Francisco odbyło się nabożeństwo żałobne ku pamięci Klary. Raj zamierzał wysłać ciało do Nowego Jorku, żeby Goldowie mogli pogrzebać ją na rodzinnej działce na cmentarzu w Queens, ale Gertie początkowo się na to nie zgodziła. Kiedy Daniel zapytał matkę o powody, odparła, że prawo żydowskie zabrania grzebania samobójców w promieniu dwóch metrów od innych żydowskich zmarłych, jakby tylko najskrupulatniejsze przestrzeganie prawa mogło ochronić pozostałych przy życiu Goldów. Daniel się wściekł; walczył tak długo, aż matka w końcu odpuściła. Byłby gotów ją uderzyć. Nigdy wcześniej nie sądził, że byłby zdolny do czegoś takiego.

Daniel i Mira dopiero przeprowadzili się do Kingston. Mira właśnie została adiunktką na Uniwersytecie Stanowym New Paltz, gdzie wykładała historię sztuki i judaistykę, a Daniel zatrudnił się w szpitalu na nocną zmianę. Za miesiąc zaczynał pracę, za sześć się żenił, i nigdy w życiu nie czuł się równie bezradny. Śmierć Simona go zdruzgotała; jak to możliwe, że stracił też Klarę? Jak rodzina miała przetrwać coś takiego? Po nabożeństwie Daniel zabłąkał się do irlandzkiego pubu przy Geary Boulevard, położył głowę na barze i zaszlochał. Niemal nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wygląda i co mówi – „Boże, Boże kochany, wszyscy umierają” – dopóki ktoś się do niego nie odezwał.

– Tak – powiedział facet siedzący na stołku obok. – Ale to wcale nie staje się z czasem łatwiejsze do zniesienia.

Daniel podniósł głowę. Sąsiad był mniej więcej w jego wieku, miał włosy w kolorze truskawkowego blondu i gęste bokobrody. Jego oczy – dziwnej barwy, bardziej złote niż brązowe – były zaczerwienione. Szorstki zarost rozciągał mu się od policzków aż po szyję.

Facet uniósł butelkę guinnessa.

– Eddie O’Donoghue.

– Daniel Gold.

Eddie pokiwał głową.

– Widziałem cię na nabożeństwie. Prowadziłem śledztwo w sprawie śmierci twojej siostry.

Sięgnął do kieszeni czarnych spodni i wyciągnął odznakę FBI. Było na niej napisane „Agent specjalny”. Obok widniał nieczytelny podpis.

– Och – wykrztusił Daniel. – Dziękuję. – Czy właśnie to należało powiedzieć w takiej sytuacji? Daniel się cieszył, bardzo się cieszył, że w sprawie śmierci Klary prowadzone jest dochodzenie – miał własne podejrzenia – ale zaniepokoiło go, że zamieszani są w to federalni. – A czy mógłbym zapytać, dlaczego zajęło się tym FBI? Dlaczego nie lokalna policja?

Eddie schował odznakę i popatrzył na Daniela. Pomimo przekrwionych oczu i nieporządnego zarostu wyglądał jak młody chłopak.

– Byłem w niej zakochany.

Daniel o mało nie udławił się własną śliną.

– Słucham?

– Byłem w niej zakochany – powtórzył Eddie.

– W mojej… siostrze? Zdradzała Raja?

– Nie, nie. Wątpię, żeby go nawet wtedy znała. No, ale mniejsza z tym. To było nieodwzajemnione uczucie.

Nagle pojawił się przed nimi barman.

– Coś dla was, chłopaki?

– Jeszcze po jednym. Ja stawiam. – Eddie wskazał na szklankę z bourbonem Daniela, a on dopiero wtedy zorientował się, że go pije.

– Dzięki – powiedział.

Kiedy barman się oddalił, Daniel znów skoncentrował uwagę na Eddiem.

– Jak ją poznałeś?

– Pracowałem na komendzie w San Francisco. Wasza matka zadzwoniła, powiedziała, że wasz brat uciekł z domu, i poprosiła, żebyśmy go zgarnęli. Kiedy to było, ze dwanaście lat temu? Miał może szesnaście lat, nie więcej. Ostro go potraktowałem; ostrzej, niż należało. Twoja siostra chyba nigdy mi nie wybaczyła. Ale dzięki niej coś się we mnie obudziło. Kiedy zobaczyłem ją przed komendą, w tych ciężkich butach i z rozwianymi włosami, pomyślałem, że to najcudowniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Nie tylko dlatego, że była piękna. Ona miała w sobie moc. Więc ją zapamiętałem. – Eddie dokończył piwo i otarł pianę z ust. – Parę lat później wpadła mi w ręce ulotka z jej zdjęciem – ciągnął. – Zacząłem chodzić na jej przedstawienia. Po raz pierwszy chyba w osiemdziesiątym trzecim. Miałem potworny dzień, banda ćpunów pozabijała się w Tenderloin, ale kiedy usiadłem, żeby na nią popatrzeć, miałem wrażenie, że znalazłem się na chwilę w innym świecie. Któregoś wieczoru jej to powiedziałem. Że mi pomogła. Że dzięki jej przedstawieniu się zmieniłem. Przez kilka miesięcy zbierałem się na odwagę. Ale ona nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

Barman wrócił z ich drinkami. Daniel przełknął ślinę. Nie miał pojęcia, jak zareagować na wyznania Eddiego – były na tyle osobiste, że poczuł się

niezręcznie. Jednocześnie opowieść agenta tępiła jego rozpacz: dopóki Eddie mówił, Klara trwała zawieszona razem z nimi w pomieszczeniu.

– Będę z tobą szczery – podjął Eddie po chwili. – Nie byłem w zbyt dobrym stanie. Mój tata właśnie zmarł, za dużo piłem. Wiedziałem, że muszę się wyrwać z San Francisco, więc złożyłem papiery do FBI. Prosto z Quantico wysłali mnie do Vegas, żebym zajął się jakimś przekrętem kredytowym. Kiedy przejeżdżałem obok Mirage, zobaczyłem na plakacie twarz Klary. Pomyślałem, że chyba mi odbiło. Ale następnego dnia minąłem ją na parkingu przed Vons. Skręcam, patrzę, a ona siedzi na krawężniku z dzieckiem.

– Ruby.

– Tak ma na imię? Słodkie dziecko, nawet kiedy zaczęła się drzeć. Twoja siostra uciekła, chyba ją przestraszyłem. Nie miałem takiego zamiaru. A po tym, jak ją zobaczyłem, chciałem z nią porozmawiać. Więc postanowiłem, że wybiorę się na jej premierę. Wymyśliłem sobie, że poczekam po zakończeniu i upewnię się, że mamy jasną sytuację. Wyjaśnię jej, że nie mam o nic pretensji. Że nie ma się czym przejmować.

Obaj zapatrzyli się przed siebie. Daniel pomyślał, że to największa zaleta siedzenia przy barze: można przeprowadzić całą rozmowę, ani razu nie patrząc sobie w oczy.

– Na noc przed przedstawieniem nie mogłem zasnąć. Więc jadę wcześnie do Mirage. Kręcę się przed wejściem do teatru, kiedy nagle widzę, jak cała trójka wchodzi do lobby. Klara, jej facet i dziecko. Ona się z nim kłóci – na kilometr to widać. Facet idzie do teatru, a Klara bierze dziecko i wchodzi do windy. Wszystkie są przeszklone, więc lecę do sąsiedniej. Trzymam głowę nisko i patrzę, gdzie wysiądzie. Zostawiła dziecko w świetlicy na siedemnastym, a potem pojechała na czterdzieste piąte. Sama chyba nie wiedziała, dokąd idzie, dopóki z jednego

apartamentu nie wyszła pokojówka. Kiedy tylko sprzątaczka wsiadła do windy, Klara poleciała do środka.

Daniel był wdzięczny za półmrok i za alkohol; za to, że istnieją miejsca, do których można pójść o pierwszej po południu, żeby skryć się w ciemności. Broda, którą dopiero zaczął zapuszczać, była słona od łez.

– Był piątek wieczór – mówił dalej Eddie – więc wszyscy powychodzili z pokojów. W życiu nie słyszałem w Vegas takiej ciszy. Ale powiem ci, że w policji człowiek jednego się uczy: spokój jest fajny, cisza też, ale jeśli trwają za długo, to znaczy, że wcale nie jest spokojnie. Przebiegłem przez korytarz i zapukałem do drzwi. „Proszę pani”, krzyczę. „Pani Gold!”. Ale ona nie odpowiada. Więc poleciałem do recepcji po klucz i wróciłem na górę. – Eddie przechylił szklankę i pił, aż zupełnie ją opróżnił. – Nie powinienem nic więcej mówić.

– Nie przejmuj się mną – odparł Daniel.

Już ją stracił. To, co miał teraz usłyszeć, nie mogło zrobić wielkiej różnicy.

– Z początku sam nie wiedziałem, na co patrzę. W pierwszej chwili pomyślałem, że ćwiczy sztuczkę. Zwisała ze sznura, tak jak na występach; lekko się obracała, ledwo co; ale nie miała gryzaka w ustach, wisiał jej obok twarzy. Wziąłem ją w ręce. Chciałem przywrócić ją do życia. Próbowałem zrobić sztuczne oddychanie.

Daniel się pomylił. To, co teraz słyszał, robiło różnicę.

– Wystarczy.

– Przykro mi – westchnął Eddie. W ciemności jego źrenice były rozszerzone, lśniące. – Nie zasłużyła na coś takiego.

Na maszynie grającej Elvis zaczął śpiewać *Love Me Tender*. Daniel zacisnął palce na szklance.

– A jak to się stało, że przydzielili cię do sprawy? – zapytał.

– Ja ją znalazłem. To nie było bez znaczenia. A potem zacząłem się wykłócać. Duże morderstwa, przestępstwa przekraczające granice stanu, porwania – wszystkie takie sprawy leżą w gestii FBI, nie policji. Owszem, to wyglądało na samobójstwo, ale zapaliła mi się czerwona lampka. Coś mi nie grało. Wiedziałem, że jeździli ze stanu do stanu. Że ona kradła. I miałem jakieś dziwne przeczucie co do tego Chapala.

– Raj – powiedział Daniel, wytrącony z równowagi. – Podejrzewasz go?

– Jestem agentem. Wszystkich podejrzewam. A ty?

Daniel się zamyślił.

– Ledwo go znałem. Owszem, myślę, że ją kontrolował. Nie podobało mu się, że Klara utrzymywała z nami kontakt. – Zacisnął mocno powieki. Czas przeszły był nie do zniesienia.

– Przyjrzę się temu – zapewnił Eddie. – Masz jeszcze jakieś podejrzenia?

Daniel bardzo chciał mieć inne podejrzenia. Pragnął przyczyny, ale zamiast tego dostał tylko przypadek. Po śmierci Simona Daniel nie myślał o kobiecie z Hester Street. Jego śmierć była tak szokująca, że wymazała z umysłu Daniela wszystkie inne myśli – poza tym Simon nigdy nie podzielił się z nimi swoją datą. Ale Daniel zapamiętał przepowiednię Klary: kobieta twierdziła, że jego siostra umrze w wieku trzydziestu jeden lat. I dokładnie tyle miała w dniu śmierci.

– Tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy – wyznał. – Kompletna bzdura. Ale to trochę dziwna sprawa.

– Ja niczego nie oceniam. – Eddie uniósł dłonie.

Daniel czuł pod czaszką ból, odbijający się rykoszetem. Nie był pewien, czy to przez alkohol czy może przez wzbierające w nim wyznanie, na które nie zdobył się nawet przed Mirą. Kiedy skończył opowieść o kobiecie z Hester Street – o jej reputacji i niepokojącej wizycie, o precyzyjnie

przewidzianej dacie śmierci Klary –Eddie zmarszczył brwi. Powiedział, że się temu przyjrzy, ale Daniel nie robił sobie nadziei. Wyczuł, że rozczarował agenta – Eddie liczył na sekrety albo informacje o dawnych konfliktach Klary z mężem albo klientami, a nie na wspomnienie z dzieciństwa o wędrownej wróżce.

Sześć miesięcy później, kiedy śmierć Klary oficjalnie uznano za samobójstwo, Daniel nie był zaskoczony. To była najprostsza hipoteza, a ona nauczyła się, że najprostsze hipotezy zazwyczaj są prawdziwe. Jego promotor, dawny uczeń doktora Theodore'a Woodwarda, często powtarzał im, co Woodward mówił swoim studentom: „Kiedy słyszycie odgłos kopyt, rozglądajcie się za koniem, a nie zebrą".

* * *

Czternaście lat później i dziesięć stanów na wschód Daniel wchodzi do Hoffman House, żeby znów spotkać się z Eddiem. Podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych Hoffman był elementem fortyfikacji i punktem obserwacyjnym; teraz sprzedają tu piwo i burgery.

Poza architekturą – holenderski dom z kamienia, białe okiennice, niskie sufity i drewniane podłogi z szerokich desek – jedynym wspomnieniem historii tego miejsca są coroczne zjazdy entuzjastów dawnych wojen, którzy przyjeżdżają tu, żeby odegrać spalenie Kingston przez Brytyjczyków.

Z początku rekonstrukcje intrygowały Daniela. Był pod wrażeniem dbałości o detale. Uczestnicy ręcznie robili własne kostiumy, opierając się na oryginalnych dokumentach i obrazach, a broń nosili w białych lnianych workach. Ale teraz drażni go ta szopka; kobiety w halkach i białych czepkach, uwijające się tu i tam, mężczyźni biegający z atrapami muszkietów jak aktorzy uciekający w amoku z dzielnicowego teatru. Daniel

aż podskakuje na dźwięk wystrzałów z armat. Poza tym irytuje go samo założenie. Po co odtwarzać dramaty dawnej wojny, skoro właśnie toczy się inna, prawdziwa? Determinacja rekonstruktorów, pragnących za wszelką cenę przenieść się do innej epoki, wytrąca Daniela z równowagi. Przypomina mu o Klarze.

Dziś w Hoffmanie jest tylko Eddie O'Donoghue. Siedzi przy kominku, zajęty piwem. Po drugiej stronie stołu czeka nietknięta szklanka bourbona.

– Woodford Reserve – mówi. – Mam nadzieję, że może być.

Daniel mocno chwyta dłoń agenta.

– Niezła pamięć.

– Za to mi płacą. Dobrze cię widzieć.

Patrzą po sobie: Daniel i Eddie, Eddie i Daniel. Podobnie jak policjant, Daniel jest co najmniej dziesięć kilogramów cięższy niż w dziewięćdziesiątym pierwszym. Tak jak Daniel, Eddie pewnie dobiega pięćdziesiątki, a może nawet już mu stuknęła. Brwi Daniela rozpełzają się jak nieustraszeni odkrywcy; rosną tak prędko, że Mira kupiła mu na Chanukę profesjonalny trymer. Twarz Eddiego zmiękła i zrobiła się bardziej ciastowata przy szczęce, upodabniając go do smętnego psa. Ale oczy, podobnie jak Daniel, ma bystre i uważne. Daniel się denerwuje – domyśla się, że w sprawie Klary pojawił się jakiś nowy wątek – ale cieszy się, że widzi Eddiego, który jest dla niego jak przyjaciel.

– Domyślam się, że urwałeś się z pracy, żeby się ze mną spotkać – zaczyna Eddie, a Daniel go nie poprawia. – Nie będę cię trzymać w niepewności.

Daniel czuje się niezręcznie: ma na sobie znoszone dżinsy i sweter, który dostał w prezencie od Miry dobre dziesięć lat temu. Eddie przyszedł w koszuli i spodniach od garnituru, przez oparcie krzesła przerzucił sportową kurtkę. Agent wyciąga spod ławki czarną aktówkę, kładzie ją na

stole i otwiera. Ze środka wyjmuje notes i teczkę, też czarne. Następnie wyciąga z teczki kartkę i odwraca ją w stronę Daniela.

– Ktoś z tych ludzi wygląda znajomo?

Na kartce widnieje co najmniej dwanaście skserowanych zdjęć. Daniel sięga do kieszeni kurtki po okulary. Większość fotografii wykonano w areszcie: małe kwadraciki przedstawiające ciemnowłosych, ciemnookich ludzi, skrzywionych lub spoglądających spode łba, choć trafia się kilkoro uśmiechniętych nastolatków i jeden młody człowiek pokazujący znak *peace*. Pod zdjęciami z zatrzymań widnieją trzy fotografie zwalistej siwowłosej kobiety. Wyglądają, jakby zrobiła je kamera w westybulu strzeżonego budynku.

– Nie wydaje mi się. Kim oni są?

– Rodzina Costello – wyjaśnia Eddie. – Ta kobieta? – Wskazuje na pierwsze zdjęcie z aresztu, przedstawiające starą kobietę, może po siedemdziesiątce. Włosy ma pofalowane jak u gwiazdy filmowej z lat czterdziestych; oczy chłodne, o ciężkich powiekach. – To Rosa. Matka rodu. Tutaj jej mąż, Donnie, a to jej dwie siostry. W tym rzędzie są jej dzieci – ma piątkę – a w następnym ich dzieci; dziewiątka. W sumie osiemnaście osób. Osiemnaście osób prowadzących najbardziej wyrafinowany wróżbiarski trefny interes w historii Stanów Zjednoczonych.

– Trefny interes?

– Owszem. – Eddie splata ręce na piersi i odchyla się dla efektu. – Widzisz, przepowiadanie przyszłości strasznie ciężko się ściga. W niektórych częściach kraju jest zakazane, ale to praktycznie martwy przepis. Przecież mamy ludzi, którzy przewidują, co się stanie na giełdzie. Mamy ludzi od przepowiadania pogody, którzy dostają za to pieniądze. Proszę cię, w każdej gazecie jest rubryka z horoskopem. A poza tym to jest też sprawa kulturowa. Ci ludzie to Romowie; mówi się też na nich Cyganie.

Uciekali przed Mongołami, Europejczykami, nazistami. Są ubodzy, często źle traktowani, poza systemem. Nie chodzą do szkoły – od urodzenia są uczeni wróżenia. Więc kiedy spróbujesz któregoś z nich dziabnąć za oszustwo, co usłyszysz w pierwszej kolejności? Obrona powie, że naruszasz ich wolność słowa. Że to dyskryminacja. Więc jak nam się to udało? Jakim cudem w końcu skazaliśmy rodzinę Costello za czternaście przestępstw federalnych?

Coś kwaśnego podchodzi Danielowi do gardła. Uświadamia sobie, że Eddie nie ma informacji o Klarze, tylko o kobiecie z Hester Street.

– Pojęcia nie mam. Jak?

– Opowiem ci historię o pewnym człowieku, nazwijmy go Jim. – Eddie zniża głos. – Nasz Jim stracił dziecko. Umarło na raka. Żona się z nim rozwiodła. Miał obłędne stany lękowe i cierpiał na ciągłe bóle mięśni. Więc mamy tu bardzo chorego faceta, któremu nie chce pomóc nikt z medycznego mainstreamu, bo jest tak upierdliwy i odpychający, że nie jest w stanie utrzymać relacji z żadnym konwencjonalnym lekarzem. Nic dziwnego, że taki facet ostatecznie trafia do kogoś innego, kto mówi: „Mogę ci pomóc, mogę sprawić, że poczujesz się lepiej”. No i tym kimś okazuje się Rosa Costello.

Rosa Costello. Daniel patrzy na jej zdjęcie. Wie, że to nie z nią spotkał się w sześćdziesiątym dziewiątym. Ma zbyt pełne wargi i twarz w kształcie serca.

Słowem, jest ładniejsza. A mimo to kobieta przeistacza się na oczach Daniela. Jej podbródek staje się bardziej kanciasty, oczy tracą głębię, pojawia się w nich nieprzyjazny błysk.

– Więc od tego się zaczyna – mówi Eddie. – Ta wróżka, ta cała Rosa Costello, mówi facetowi: „Kupisz pan ode mnie tę świeczkę za pięćdziesiąt dolarów, ja ją zapalę i się pomodlę, a niedługo zauważysz pan różnicę,

nerwy przejdą”. A kiedy Jim nie widzi żadnej poprawy, ona mówi tak: „No dobrze, trzeba zrobić coś więcej. Kup pan ode mnie te liście z takiej specjalnej rośliny, spalimy je i powiemy inną modlitwę”. Dwa lata później facet jest już po kilkunastu leczniczych rytuałach i dwóch bardzo dramatycznych ofiarach, które w sumie kosztowały go coś w okolicach czterdziestu tysięcy dolarów. Aż w końcu Rosa mówi: „Widzisz pan, to przez te pieniądze masz pan takie problemy, one są przeklęte. Jak przyniesiesz mi pan jeszcze dziesięć tysięcy, to ściągniemy klątwę”. Facet przynosi kasę, oficjalnie jako darowiznę; rodzina jest zarejestrowana jako Kościół. Nazwali się Kościołem Wolnego Ducha.

Daniel nie był głodny, ale kiedy pojawia się przed nimi kelner, nagle czuje, że mógłby zjeść konia z kopytami. Eddie zamawia pieczone skrzydełka. Daniel wybiera kalmara.

– Nie zapominajmy, że takie sprawy to koszmar dla prokuratury – ciągnie Eddie, kiedy znów są sami. – Nikt nie chce się w tym babrać. Ale rodzina Costello wręcz grała policji na nosie. Kiedy konfiskowaliśmy ich majątek, znaleźliśmy samochody, motory, jachty, złotą biżuterię. Rezydencje nad Intracoastal Waterway. Chłopie, myśmy tam znaleźli pięćdziesiąt milionów.

– Jezu Chryste.

– Słuchaj dalej – przerywa mu Eddie, unosząc dłoń. – Jeszcze nie zdążyliśmy postawić żadnych zarzutów, a ich adwokat już składa wniosek na dwadzieścia cztery strony o uniewinnienie ze względu na wolność słowa. W końcu ta rodzina to zarejestrowany Kościół, nie? Kościół Wolnego Ducha, ja cię pierniczę. Ale nie koniec na tym, potem ten adwokat mówi, że cała ta sytuacja to po prostu kolejny z niezliczonych przypadków prześladowania Romów. Czy ja mówię, że wszyscy Cyganie to naciągacze i krętacze? Absolutnie nie. Ale dziewięcioro capnęliśmy za kradzież,

fałszywe deklaracje podatkowe, malwersacje, fałszerstwa pocztowe i pranie brudnych pieniędzy. Wysłaliśmy wezwanie sądowe, zażądaliśmy aktów urodzenia – chcieliśmy zgarnąć wszystkich zamieszanych w sprawę. Tylko jednej osoby nie udało nam się znaleźć. – Eddie wskazuje na zdjęcia z monitoringu, przedstawiające kobietę w westybulu. Ma na sobie długi brązowy płaszcz i szare buty zapinane na rzepy. Dłonie opiera na poręczy obrotowych drzwi, długie siwe włosy ma zaplecione w dwa smukłe warkocze.

– Boże – szepcze Daniel.

– To ta twoja kobieta?

Kiwa głową. Teraz to widzi. Szerokie czoło. Ściągnięte w nieprzyjaznym grymasie wargi. Pamięta, że patrzył jej na wargi, kiedy odczytywała jego przyszłość. Pamięta, jak się rozchyliły, a on zobaczył między nimi mokry różowy język.

– Przyjrzyj się uważnie – nalega Eddie. – Chcę, żebyś był pewien.

– Jestem pewien. – Daniel ciężko wypuszcza powietrze. – Kim ona jest?

– To siostra Rosy. Możliwe, że jest w to zamieszana, możliwe, że nie. Wiemy tylko, że nie trzyma się z resztą rodziny. Romowie zazwyczaj żyją w grupach, więc to dość niezwykłe, że ona działa w pojedynkę. Ale jedno jest typowe: nasza podejrzana bez przerwy się przemieszcza. I jest sprytna. Działa pod różnymi pseudonimami. Nie ma licencji, co w prawie całym kraju jest nielegalne, ale dzięki temu wymyka się z systemu.

– Ta rodzina – zaczyna Daniel. – Czy oni na początku odmawiają przyjęcia zapłaty? Bo tak było z nami. Nie poprosiła o pieniądze, albo mój brat jej ich nie dał. To zawsze wydawało mi się dziwne.

Eddie się śmieje.

– Czy przyjmują pieniądze? Oni przyjmowali wszystko, co tylko udało im się z ludzi wycisnąć. Może ta kobieta wam odpuściła, bo byliście

dziećmi.

– Ale jeśli to prawda, to dlaczego nagadała nam takich potwornych rzeczy? Klara miała dziewięć lat. Ja skończyłem jedenaście, a i tak mało się nie zesrałem z przerażenia. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że wykorzystywała strach, żeby przywiązać do siebie klientów – im bardziej ich przestraszy, tym większa szansa, że wrócą. Że się uzależnią.

Podczas rezydencji w szpitalu w Chicago Daniel asystował lekarzowi, który stosował podobną technikę: przekonywał pacjentów z depresją, że ich stanu psychicznego nie da się utrzymać pod kontrolą bez regularnych wizyt, a otyłych, że nie przeżyją bez operacji.

– A może w ogóle nie ma znaczenia, co mówi, bo i tak przejęła rynek. Romowie zwykle przepowiadają przyszłość według jednego schematu: mówią o życiu uczuciowym, o pracy, pieniądzach. Podawanie daty śmierci? To trzeba mieć jaja. I łeb na karku. Romowie chwytają się też innych zajęć – mężczyźni czasem kładą chodniki, naprawiają i sprzedają używane auta – ale nawet jeśli świat przestanie potrzebować chodników i jeździć samochodami, co będzie nam towarzyszyć do końca istnienia naszego gatunku? Pragnienie wiedzy. I za to zapłacimy każde pieniądze. Romowie od setek lat przepowiadają przyszłość z takim samym finansowym sukcesem. Ale ta twoja kobieta idzie krok dalej. Jeśli ona mówi ludziom, kiedy umrą, to sprzedaje usługę, której inni Romowie nie mają w ofercie. Więc nie ma konkurencji.

Ogień w kominku grzeje tak mocno, że Daniel zaczyna się pocić. Zdejmuje sweter, ciągnie za kołnierzyk koszulki polo. Uświadamia sobie, że nie powiedział Mirze, gdzie jest, i że miał się z nią spotkać o szóstej w synagodze. Ale nie może odejść od stołu, nie teraz, nawet na chwilę, żeby napisać jej wiadomość, choć niedawno nauczył się wreszcie, jak je wysyłać.

– Co jeszcze wam o nich wiadomo? – pyta, kiedy kelner przynosi im jedzenie.

Eddie przeciąga skrzydełko przez wściekle pomarańczową meduzowatą kałużę, po czym zanurza je w sosie czosnkowym.

– O rodzinie Costello? Przyjechali na Florydę z Włoch w latach trzydziestych. Prawdopodobnie uciekali przed Hitlerem. Tak jak wszyscy Romowie, bardzo dbają o swoją prywatność. Kiedy nie widują się z klientami, rozmawiają we własnym języku; nawet nie próbują się asymilować. Potrzebują *gadže* dla pieniędzy – *gadže* to nie-Romowie, jak my – ale uważają nas przy tym za nieczystych – wyjaśnia Eddie, ocierając usta. – To kobiety przepowiadają przyszłość. Romowie uważają to za dar od Boga. Ale ponieważ kobiety muszą mieć styczność z *gadže*, też są uważane za skażone. Oni mają obsesję na punkcie czystości. Jak wejdziesz do nich do domu, nie znajdziesz ani pyłku kurzu.

– Ale ta kobieta, z którą się spotkałem… Ona miała straszny bałagan w mieszkaniu. Powiedziałbym, że prawie brud. – Daniel marszczy brwi. – Pytaliście o nią rodzinę?

– Jasne, że pytaliśmy. Ale nie chcieli z nami gadać. Dlatego rozmawiam z tobą.

– Co chciałbyś wiedzieć?

Eddie przez chwilę milczy.

– Muszę ci zadać kilka pytań na bardzo newralgiczny temat. Zdaję sobie sprawę, że może nie będziesz chciał o tym rozmawiać. Ale zależy mi, żebyś spróbował. Jak wspominałem, niewiele udało nam się znaleźć. Owszem, ta kobieta nie jest zarejestrowana, ale nie będziemy jej za to ścigać. Interesuje nas jej związek z serią samobójstw.

Reakcja organizmu jest taka prosta, natychmiastowa: głód Daniela znika w jednej chwili. Teraz zbiera mu się na wymioty.

– Nie zdołaliśmy znaleźć żadnego bezpośredniego, przyczynowo-skutkowego powiązania. To wszystko ludzie, którzy spotkali się z nią dwa, dziesięć, czasem dwadzieścia lat wcześniej. Ale jest ich sporo – piątka, wliczając twoją siostrę. A to już wystarczająco dużo, żeby zacząć się zastanawiać. – Eddie splata dłonie i nachyla się nad stołem ku Danielowi. – Więc chciałbym wiedzieć, czy ona powiedziała albo zrobiła cokolwiek, żeby pchnąć cię w takim kierunku. Albo czy tak było w przypadku Klary.

– Na pewno nie ze mną. Powiedziałem jej, czego od niej chcę, a ona mi to dała. To była prosta transakcja. Nie odniosłem wrażenia, że obchodzi ją, co zrobię z tą informacją po wyjściu. – Daniel ma wrażenie, że coś przebiega mu po karku, coś zwinnego i wielonogiego jak pająk, ale kiedy wkłada sobie palec pod kołnierzyk, nic nie znajduje. Uświadamia sobie, że Eddie nie sprecyzował, czy spotkali się dziś na rozmowę, czy może na przesłuchanie. – Ale nie jestem pewien co do Klary – podejmuje po chwili. – Nigdy mi nie powiedziała, że czuła jakąś presję. Ale ona od zawsze była inna.

– W jakim sensie?

– Bezbronna. Trochę niestabilna. Może bardziej podatna na takie rzeczy. Niewykluczone, że się z tym urodziła, ale kto wie, czy nie wykształciła tego w sobie z biegiem czasu. – Daniel odsuwa od siebie talerz. Nie może patrzeć na płaszcz kalmara, pokrojony w idealnie równe krążki, na poskręcane do wewnątrz macki. – Wiem, że tak ci powiedziałem po pogrzebie. Wydawało mi się, że to bardzo dziwny zbieg okoliczności, jak tej wróżce udało się przepowiedzieć śmierć Klary. Ale byłem wzburzony. Nie myślałem zbyt jasno. Owszem, ta kobieta miała rację, ale tylko dlatego, że Klara postanowiła jej uwierzyć. W tym nie ma żadnej tajemnicy. – Daniel przerywa. Jest głęboko rozstrojony, choć dopiero po chwili uświadamia sobie dlaczego. – Z drugiej strony – podejmuje – jeśli

rzeczywiście uważasz, że ta kobieta miała z tym coś wspólnego, jeśli weźmiemy pod uwagę tę bardzo nikłą szansę, to szczerze mówiąc, mam pretensje do siebie. To ja o niej usłyszałem i to ja zaciągnąłem brata i siostry do jej mieszkania.

– Daniel. Nie możesz się o to winić. – Eddie trzyma dłoń nad notesem, ale na jego twarzy maluje się współczucie. – To tak, jakbyśmy obwiniali naszego Jima o to, że poszedł do Rosy. W ten sposób obwiniasz ofiarę. Na tobie to też musiało się nieźle odbić, przecież byłeś wtedy tylko dzieckiem. I usłyszałeś od niej, kiedy umrzesz.

Daniel nie zapomniał swojej daty – dwudziesty czwarty listopada tego roku – ale nie przypisywał jej też nigdy znaczenia. Spośród znanych mu ludzi, którzy umarli młodo, większość straciła życie przez koszmarną diagnozę: AIDS, jak Simon, albo nieuleczalny nowotwór. Daniel zaledwie dwa tygodnie temu przeszedł coroczne badania lekarskie. W drodze do przychodni czuł niepokój, ale później wstydził się, że dopuścił do głosu idiotyczne przesądy. Okazało się, że poza niewielką nadwagą i minimalnie podwyższonym cholesterolem jest okazem zdrowia.

– Pewnie – zgadza się. – Byłem dzieckiem. Nic przyjemnego. Ale już dawno się z tego otrząsnąłem.

– A jeśli Klara sobie z tym nie poradziła? – pyta Eddie, dźgając notes palcem wskazującym. – Właśnie tak działają naciągacze: wybierają sobie najbardziej bezbronne ofiary. Mówiłeś o podatności. To jest jak gen. Ta wróżka mogła być po prostu czynnikiem środowiskowym, który go uaktywnił. Albo może dostrzegła to w Klarze i wykorzystała.

– Może – przytakuje Daniel, ale trochę się jeży.

Zauważył, że Eddie wykorzystał medyczną metaforę, żeby przeciągnąć go na swoją stronę, ale to zabrzmiało pseudonaukowo i trochę protekcjonalnie. Co Eddie może wiedzieć o ekspresji genów, nie

wspominając o genotypie Klary? Niech się lepiej trzyma tego, na czym się zna. Daniel go nie poucza, jak prowadzić przesłuchanie.

– A twój brat? – Eddie spogląda na notatki. – Zmarł w osiemdziesiątym drugim, tak? Wróżka to też przewidziała?

Coś w geście Eddiego – to zerknięcie w dokumenty, wystarczające, by zasugerować, że musiał do nich zajrzeć, żeby sprawdzić datę, ale zbyt krótkie, by rzeczywiście ją znaleźć – jeszcze bardziej irytuje Daniela. Nie ma wątpliwości, że policjant doskonale zna rok śmierci jego brata. I że wie o Simonie całe mnóstwo rzeczy, o których Daniel nie ma pojęcia.

– Nie wiem. Nigdy nam nie powiedział, co od niej usłyszał. Ale mój brat zawsze zamierzał żyć po swojemu. Był gejem, który mieszkał w San Francisco w latach osiemdziesiątych i zaraził się AIDS. Jak dla mnie tu nie ma nad czym się zastanawiać.

– Okej. – Eddie nadal trzyma nadgarstki na stole, ale unosi palce i dłonie. Ten gest ma udobruchać Daniela; policjantowi nie umknęła ostra nuta w jego głosie. – Doceniam, że zgodziłeś się ze mną porozmawiać. A gdyby coś jeszcze ci się przypomniało, masz mój numer – dodaje, przesuwając po blacie wizytówkę. Wstaje, zamyka papierową teczkę i stuka nią o stół, żeby wyrównać dokumenty w środku. Następnie chowa wszystko do aktówki i przerzuca sobie kurtkę przez ramię. – Ej, sprawdziłem cię przed wyjściem – mówi. – Widziałem, że dalej pracujesz w wojsku.

– Owszem – odpowiada Daniel, ale potem coś zatyka mu gardło. Nie jest w stanie powiedzieć nic więcej.

– Dobra robota – oznajmia Eddie, wychodząc, i poklepuje Daniela po plecach w geście jowialnej zachęty, jak trener dziecięcej drużyny bejsbola. – Tylko tak dalej.

* * *

Daniel idzie zamaszystym krokiem przez parking, wsiada do samochodu i odjeżdża z szarpnięciem. Jest jednocześnie pobudzony i wyczerpany; nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo nim to wstrząśnie. Nie był przygotowany na rozgrzebywanie historii z kobietą w takich szczegółach, ani na słuchanie o jej rodzinie wyłudzaczy. Rozmyślanie o śmierci rodzeństwa jest tak bolesne, że Daniel poświęca się temu wyłącznie w samotności: podczas bezsennych nocy, gdy Mira śpi obok niego, albo kiedy zimą wraca z pracy, wpatrzony w skrawek drogi oświetlany przez samochód, a w tle przygrywa radio.

Powiedział Eddiemu prawdę: nie kupuje przepowiedni wróżki. Daniel wierzy w złe decyzje i w pecha. A mimo to wspomnienie o kobiecie z Hester Street tkwi w nim jak maleńka, cieniutka igła, którą połknął dawno temu. Zazwyczaj pływa w jego żołądku niezauważenie, ale czasem Daniel poruszy się w określony sposób i nagle czuje ukłucie.

Nigdy nie powiedział Mirze. Ona dorastała w Berkeley jako jedyne dziecko dwojga muzyków – jej ojciec był chrześcijaninem, a matka żydówką – którzy pisali międzywyznaniowe piosenki dla dzieci. Mira kocha rodziców, ale nie może słuchać „Elohim jest pasterzem moim” czy „Hawa Nagila Duchu Święty”, i nie ma cierpliwości do newage’owych wymysłów. Nic dziwnego, że przyciągnął ją judaizm: podoba jej się intelektualny charakter tej religii, jej logiczna, uporządkowana moralność i praworządność.

Przed ślubem Daniel obawiał się, że Mira uzna opowieść o wróżce za dziecinną. Nie chciał jej do siebie zniechęcać. Po śmierci Klary bardzo chciał się podzielić wspomnieniem z żoną, ale wtedy też tego nie zrobił. Tym razem obawiał się, że zobaczy, jak brwi Miry marszczą się z troską – tworząc maleńkie, delikatne *v*, jak klucz gęsi, pewien obranego kierunku. Obawiał się, że Mira uzna go za podobnego Klarze, że przypisze mu jej

ekscentryczność i brak rozsądku. Może nawet jej chorobę. A Daniel nie był podobny do Klary – tyle o sobie wiedział. Nie byłoby rozważne podsuwać Mirze taką myśl.

23

Raj i Ruby spędzą z nimi Święto Dziękczynienia. W piątek Raj odpisał Danielowi i się umówili.

Mają przyjechać we wtorek, dwa dni przed świętem, więc Daniel i Mira przez weekend przygotowują mieszkanie. Piorą pościel do gościnnego pokoju i wstawiają rozkładaną kanapę do gabinetu Daniela. Potem sprzątają cały dom: Mira zajmuje się kuchnią i salonem, Daniel bierze na siebie sypialnie i łazienki, Gertie przypada w udziale jadalnia. Jadą do Rhinebeck po owoce i warzywa od rolników z Breezy Hill Orchard i sery w Grand Cru. Zanim znów przejadą przez rzekę i wrócą do Kingston, zatrzymują się jeszcze w BellaVita, żeby kupić dekorację na stół – wybierają kompozycję z tulipanów, owoców granatu i morelowych róż. Daniel niesie ją do samochodu. Na tle ciemnego listopadowego nieba kwiaty wydają się roztaczać własną bladą poświatę.

* * *

Dzwonek do drzwi rozlega się dwie godziny przed czasem, kiedy Mira jest na uczelni, a Gertie drzemie. Daniel zbiega na dół, nadal ma na sobie koszulkę z Binghamton i kapcie wyścielane barankiem. Przeklina własną bezmyślność; trzeba było się wcześniej przebrać. Wygląda przez wizjer: mężczyzna i dziewczynka, a raczej nastolatka, niemal wzrostu ojca. Daniel

otwiera drzwi. Na zewnątrz mży; gęsta siatka drobnych kropelek osiada Ruby na grzywie ciemnych, połyskujących miedzią włosów.

– Raj – mówi Daniel. – I Rubina.

Natychmiast czuje się niezręcznie, że przywitał siostrzenicę pełnym imieniem, którego o ile mu wiadomo praktycznie nie używa. Ale tak bardzo się zmieniła, w ogóle nie przypomina już dziecka, które zapamiętał – teraz jest dorosłą osobą, którą spotyka po raz pierwszy – więc pierwsze, co przyszło mu do głowy, to równie dorosłe i obce imię: Rubina.

– Hej – odpowiada Ruby.

Ma na sobie fuksjowy welurowy dres, z nogawkami wpuszczonymi w kozaki Uggs do kolan. Kiedy się uśmiecha, tak bardzo przypomina Klarę, że Daniel prawie się krzywi.

– Daniel. – Raj robi krok do przodu, żeby podać mu rękę. – Dobrze cię widzieć.

Kiedy Daniel ostatni raz widział Raja, szwagier był anemicznie przystojny, trochę przypominał bezdomnego psa: spiczasty podbródek, ostre kości policzkowe, mocny zarys nosa. Teraz Raj wygląda zdrowo, jest wysportowany i zadbany. Pod kaszmirową bluzą z kapturem rysuje się wyrzeźbiony tors. Włosy ma schludnie przycięte. Jego skronie przyprószyła siwizna, ale twarz jest mniej pomarszczona niż Daniela. W dłoni trzyma butelkę soku o nieapetycznej, brązowozielonej barwie.

– Ciebie też – odwzajemnia się Daniel. – Wchodźcie. Mama śpi, a Mira jest jeszcze na uczelni, ale niedługo wróci. Napijecie się czegoś?

– Najchętniej wody – mówi Raj.

Wciąga do mieszkania srebrną walizkę Tumi. Ruby ma ze sobą torbę podróżną Louisa Vuittona. Odwraca się, żeby zarzucić ją sobie na ramię. Z tyłu jej dresowych spodni widnieją dwa słowa z błyszczących

diamencików: *Juicy*, dużymi finezyjnymi literami, a poniżej *Couture* – drobniejszym, mniej rzucającym się w oczy krojem pisma.

– Na pewno? – pyta Daniel, zamykając drzwi. – Mam w garażu świetne Barolo.

Dlaczego próbuje zrobić wrażenie na Raju? Żeby zrekompensować sobie niechlujną koszulkę i kapcie? Już myśli, co zrobi jutro na śniadanie: może frittatę z serem fontina i resztką czarnych pomidorów.

– Och, nie trzeba. Dziękuję.

– Ale to żaden kłopot. – Nagle Daniel czuje desperacką potrzebę, żeby się napić. – Leży tam i się kurzy, tylko czeka na taką okazję.

– Naprawdę nie trzeba. Ale jeśli masz ochotę na drinka, to mną się nie przejmuj.

Na chwilę zapada cisza. Patrzą sobie w oczy. Do Daniela wreszcie dociera: Raj nie pije. Po nadgarstku szwagra ześlizguje się duży srebrny zegarek.

– Jasne – mówi Daniel. – Woda. Chodźcie, pokażę wam, gdzie będziecie spać. W gościnnym jest duże łóżko, a w moim gabinecie rozkładana sofa. Jedno i drugie już zaścielone.

Ruby była przez ten czas zajęta stukaniem w klawisze cienkiego różowego telefonu z klapką – to ta Motorola Razr, którą mają wszystkie nastolatki – ale teraz zamyka komórkę z trzaskiem.

– Tata bierze kanapę.

– Nic z tego – odpowiada natychmiast Raj.

– I chętnie napiję się Barolo – dodaje.

– Mowy nie ma.

Ruby mruży oczy i patrzy na ojca z uśmieszkiem, ale kiedy Raj unosi brwi, ona rozciąga wargi w prawdziwym uśmiechu.

– Głupiutki stary tatuś – mówi, idąc za Danielem do gabinetu. – Tata nudziarz. Nudny tatko długonóżek.

* * *

Następnego dnia rano – jest środa – Daniel budzi się o dziesiątej. Klnie. Słyszy odgłos prysznica w ich prywatnej łazience – Mira – i ma nadzieję, że Raj i Ruby też zaspali. Daniel nie może uwierzyć, jak późno się wczoraj położyli, a tym bardziej jak gładko wszystko poszło. Niespieszny dwugodzinny obiad z matką, żoną, szwagrem i siostrzenicą, jakby coś takiego było w ich rodzinie normalne, a potem czekoladki i herbata w salonie. Daniel ostatecznie otworzył Barolo, i nawet Gertie poczłapała do łóżka po jedenastej.

Daniel położył się o wiele później. Jego komputer stoi w gabinecie, gdzie spała już Ruby. Mira też była już w łóżku, więc Daniel skorzystał z okazji i wyciągnął z szuflady w szafce nocnej jej laptop, po czym zabrał go do łazienki.

Walizka Louisa Vuittona go zaciekawiła. Większość designerskich logotypów nic dla niego nie znaczyła, ale nawet Daniel rozpoznał te słynne brązowe litery. Zegarek Raja też wyglądał na drogi. I jeszcze ta kaszmirowa bluza: kto nosi takie rzeczy? Wiedział, że dobrze im się powodzi – w 2003 roku jeden z białych tygrysów ranił Roya Horna, więc Ruby i Raj weszli na miejsce atrakcji wieczoru, zastępując legendarny duet. Ale mimo to Daniel nie mógł uwierzyć w to, co znalazł w Google. Dom Raja i Ruby – grodzona śnieżnobiała posesja – pojawił się na okładkach „Luxury Las Vegas” i „Architectural Digest”. Bramy zdobią eleganckie inicjały *RC*. Za nimi rozciąga się półtorakilometrowy podjazd prowadzący na trzydzieści akrów połączonych ze sobą rezydencji i ścieżek spacerowych. Na terenie posiadłości znajduje się centrum medytacji, prywatne kino i sanktuarium

dla zwierząt, w którym za ciężkie pieniądze można obejrzeć czarne łabędzie i strusie. Na trzynaste urodziny Ruby dostała od ojca kuca szetlandzkiego, upasiony egzemplarz o imieniu Krystal, z którym wystąpiła na okładce magazynu dla nastolatek „Bossy” – na zdjęciu dziewczynka stoi obok konia, obejmując go za szyję; jej ciemne włosy spływają na blond grzywę Krystal. Daniel znalazł PDF artykułu online: „Bossy” nazywa w nim Ruby najmłodszą milionerką w Las Vegas.

Dlaczego Daniel nie miał o tym wszystkim pojęcia? Może po prostu nie chciał wiedzieć? Unikał czytania opisów przedstawienia Raja i Ruby, głównie dlatego, że przypominały mu o katastrofie, jaką skończyło się ich ostatnie spotkanie – i o poczuciu winy, gryzącym go na myśl, że tak się od nich oddalił. Teraz jednak nie może przestać analizować wydarzeń poprzedniego wieczoru. Daniel i Mira kupili dom w 1990 roku, kiedy nie było ich stać na nieruchomość w Cornwall-on-Hudson czy Rhinebeck i nadal wierzyli, że Kingston ma perspektywy. Daniel wyobraził sobie, jak Raj i Ruby wjeżdżają do miasta, spodziewając się historycznej zabudowy – Kingston było kiedyś stolicą stanu Nowy Jork – a zamiast tego zastają mieścinę, która nadal nie podniosła się po zamknięciu fabryki IBM, gdzie pracowało siedem tysięcy mieszkańców. Oczyma duszy zobaczył, jak przejeżdżają przez zaniedbaną, sypiącą się Main Street. Co oni sobie pomyśleli na widok sofy w gabinecie Daniela, za którą teraz się wstydził, i drogiego sera na stole, którym próbował to zrekompensować?

Nie mógł znieść myśli o poniedziałkowym powrocie do pracy i o tym, co może się stać, jeśli nie ustąpi w kwestii rekrutowania niezdatnych kandydatów. Kilka dni temu złożył prośbę o omówienie swojej sprawy z lokalnym adwokatem wojskowym, który reprezentuje wojskowych na służbie oskarżonych o wykroczenia. Daniel wie, że Mira ma rację – najlepiej od razu sprawdzić, jak może się bronić – ale samo złożenie takiej

prośby było upokarzające. Kim on będzie bez pracy? Facetem, który siedzi na macie łazienkowej, oparty plecami o muszlę klozetową, i czyta o prywatnym solarium szwagra? Ta wizja była tak koszmarna, że zamknął laptopa i poszedł do łóżka, żeby zasnąć i przestać to sobie wyobrażać.

Teraz wkłada wyjściowe ubranie i zbiega na dół. Raj i Ruby siedzą przy kuchennym blacie, popijają sok pomarańczowy i jedzą omlety.

– Kurde – mówi Daniel. – Przepraszam. Chciałem zrobić wam śniadanie.

– Nie ma za co przepraszać. – Raj jest świeżo po prysznicu, dziś ma na sobie inny, równie drogo wyglądający sweter, tym razem szarozielony, i ciemne dżinsy. – Daliśmy sobie radę.

– Zawsze wcześnie wstajemy – dodaje Ruby.

– Ruby ma do szkoły na siódmą trzydzieści.

– Z wyjątkiem dni występów. Wtedy śpimy do późna.

– Aha? – mamrocze Daniel. Kawa pomoże. Mira zwykle parzy ją pierwsza, ale dziś dzbanek jest pusty. – A dlaczego?

– Bo strasznie późno się wtedy kładziemy. Przedstawienia trwają do pierwszej, czasami jeszcze dłużej. Wtedy mam nauczanie domowe – wyjaśnia Ruby.

Nadal jest w piżamie: dół z Bobem Kanciastoportym i biały podkoszulek, spod którego prześwituje różowy stanik. To połączenie wytrąca Daniela z równowagi: dziecinne spodnie i góra, może nie bardzo obcisła, ale mimo to odsłaniająca więcej, niż Daniel spodziewał się zobaczyć.

– Aha? – powtarza. – Brzmi skomplikowanie.

– Widzisz? – Ruby odwraca się do Raja.

– To wcale nie jest skomplikowane – ucina Raj. – Dni szkoły, wcześnie. Dni występów, późno.

– Widzieliście mamę? – pyta Daniel.

– Mhm – przytakuje Ruby. – Też wcześnie wstała. Wypiliśmy razem kawę. A potem poszła na tai-chi. – Z brzękiem odkłada widelec. – Słuchaj, macie sokowirówkę?

– Sokowirówkę?

– No. Znaleźliśmy to w lodówce… – Ruby unosi szklankę; sok pomarańczowy chlupie niebezpiecznie blisko krawędzi – ale wolimy wyciskać własny.

– Obawiam się, że nie mamy w domu sokowirówki.

– Nie szkodzi – ćwierka Ruby. Dziabie róg złożonego wpół omletu. – A wy co zwykle jecie na śniadanie?

Daniel wie, że Ruby próbuje tylko podtrzymać rozmowę, ale on z trudem nadąża za siostrzenicą. Co gorsza, ekspres nie chce się włączyć. Daniel nasypał kawy do filtra, nalał wody i nacisnął guzik, który powinien rozpocząć proces parzenia, ale czerwone światełko się nie zapala.

– Ja raczej nie jadam śniadań – wyznaje. – Zwykle po prostu zabieram do pracy kubek z kawą.

Na schodach rozlega się miękki odgłos kroków i po chwili do kuchni wchodzi Mira. Jej włosy, lśniące i świeżo wysuszone, unoszą się jak skrzydło.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiada Raj.

– Hej – mówi Ruby i znów patrzy na Daniela. – Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Gniazdko, skarbie. – Mira przechodzi za Danielem, dotykając go lekko w dole pleców, i podłącza urządzenie do kontaktu. Czerwona lampka natychmiast zaczyna świecić.

– Jutro jest Święto Dziękczynienia, Rubinku – tłumaczy Raj. – Nikt dziś nie idzie do pracy.

– Och. Okej. – Ruby zabiera się do drugiego rogu omletu. Obgryza go dookoła, zostawiając sobie na koniec grube wybrzuszenie, pod którym kryją się dodatki. – Jesteś lekarzem, prawda?

– Tak. – Budowana wiele lat kariera Daniela teraz wisi na włosku – ten fakt sam w sobie jest upokarzający, ale kiedy Daniel myśli o posiadłości Raja, o jego kaszmirach i sokowirówce, zaczyna go to palić żywym ogniem. Daniel z największym wysiłkiem przypomina sobie, o co spytała go Ruby. – Pracuję w komisji poborowej. Upewniam się, że żołnierze są dostatecznie zdrowi, żeby iść na wojnę.

– No, ładny oksymoron – śmieje się Raj. – I jak ci się tam podoba?

– Bardzo. Pracuję w wojsku od dobrych piętnastu lat.

Daniel nadal czuje dumę, kiedy to mówi. Kawa skapuje do dzbanka cienkim strumyczkiem.

– Okej. – Raj kiwa głową, jakby zgadzał się na remis.

– A wy? – zagaduje Mira. – Jak wam się układa w pracy?

– Wspaniale – uśmiecha się Raj. – Uwielbiamy życie na scenie.

Mira wychyla się do przodu, opierając łokcie na blacie kuchennym.

– To takie ekscytujące. Wasz świat jest zupełnie inny niż nasz. Cudownie byłoby zobaczyć wasz występ. Zapraszamy do centrum sztuki Ulster, chociaż obawiam się, że może nie spełniać waszych standardów.

– A my zapraszamy do Vegas – odwzajemnia się Raj. – Występujemy w każdym tygodniu, od czwartku do niedzieli.

– Cztery noce z rzędu – dziwi się Mira. – To musi być wykańczające.

– Wcale nie. – Raj mówi łagodnie, ale uśmiech ma przyklejony do twarzy. – Za to Rubina…

– Tato – przerywa Ruby. – Nie nazywaj mnie tak.

– Przecież to twoje imię.

– Tak, ale… – Ruby marszczy nos. – Tylko w paszporcie. To nie jest moje prawdziwe imię.

– Ups. – Daniel się uśmiecha. – Wczoraj powiedziałem do ciebie Rubina.

– Och, nie szkodzi. No wiesz, ty jesteś obcy.

To słowo wisi w powietrzu kilka sekund. Nagle na twarzy Ruby maluje się zgroza.

– Rany. Przepraszam. Nie chciałam… Nie jesteś obcy.

Ruby spogląda błagalnie na Raja. Daniela wzrusza ten gest: nastolatka biegnąca do nóg rodzica, żeby się ich złapać i schować.

– Nie szkodzi, kotku. – Raj mierzwi jej włosy. – Wszyscy rozumieją.

* * *

Pakują się całą piątką do samochodu Daniela. Wszyscy oferują Gertie miejsce na przedzie, ale ustępują, kiedy ona odmawia, bo woli siedzieć z tyłu obok Ruby. Jadą do muzeum marynistyki, zwiedzają historyczną dzielnicę i wybierają się na krótki spacer po rezerwacie Mohonk. Daniel goni Ruby po trawie, błoto pryska im na kurtki. Cudownie zimne powietrze wypełnia mu płuca, Daniel aż dyszy z przyjemnego zmęczenia. Kiedy zaczyna padać śnieg, Daniel spodziewa się, że Ruby będzie narzekać, ale siostrzenica klaszcze w dłonie.

– Jak w Narnii! – oznajmia radośnie, a w drodze do samochodu wszyscy się śmieją.

Ruby zaskakuje go na wiele sposobów. Na przykład przy obiedzie, kiedy Gertie wylicza swoje dolegliwości – to temat, który matka uwielbia tak samo gorąco, jak Mira i Daniel go nie znoszą. Teraz zerkają na siebie z przerażeniem.

– Miałam na stopie nagniotek, który przez rok nie chciał się zagoić – ogłasza Gertie. – Tak się zaczęło. A potem zrobiła się infekcja i nabawiłam się zapalenia węzłów chłonnych w nogach. Zrobiły się takie wielkie, że miałam pod kolanami pęcherze z ropą, ogromne jak piłki do golfa. Zupełnie przestały mi rosnąć włosy na nogach. A niedługo później rozeszło mi się aż do pachwin.

– Mama – syczy Daniel. – Nie przy jedzeniu.

– Wybaczcie – ciągnie Gertie. – Ale nie reagowałam na antybiotyki. Więc lekarz mi się przyjrzał i powiedział, że jeśli przyjdę na operację, to osuszą mi wszystkie węzły chłonne i możliwe, że to załatwi sprawę. We dwóch się za mnie zabrali, jeden starszy, drugi młodszy. I ten młodszy mówi: „Pani Gold, nawet sobie pani nie wyobraża, ile ropy żeśmy tu znaleźli!”. A potem podpięli mnie do takiej rurki, żeby zrobić drenaż, i musiałam zostać w szpitalu, dopóki nie wypłynęła cała krew i osocze.

– Mama – przerywa Daniel.

Raj odłożył widelec. Daniel płonie ze wstydu; ma ochotę zakleić matce usta taśmą izolacyjną, ale Ruby zafascynowana nachyla się nad stołem.

– I co to było? – wypytuje. – Skąd się to wszystko wzięło?

– Cóż – mówi Gertie. – Ponieważ jemy obiad, może nie powinnam teraz o tym mówić. Ale skoro jesteś zainteresowana…

– My nie jesteśmy – ucina stanowczo Daniel. – Nie teraz.

Najdziwniejsze, że Ruby wygląda na równie rozczarowaną co Gertie. A kiedy Mira pyta Raja o ich plany na nadchodzące tournée, Ruby przysuwa się do babci.

– Opowiesz mi w domu – szepcze, a na twarzy Gertie maluje się taka przyjemność, że Daniel ma ochotę objąć siostrzenicę i jej podziękować.

* * *

Wieczorem, kiedy Daniel myje zęby, myśli o Eddiem. Nie daje mu spokoju pytanie agenta o Simona – czy wróżka rzeczywiście przewidziała jego śmierć.

Daniel nie wie, jaką datę kobieta podała jego bratu. Kiedy rozmawiali w tamtą pijaną, otumanioną noc siedem dni po śmierci ojca, Simon powiedział tylko, że umrze młodo. Ale „młodo” mogło oznaczać trzydzieści pięć lat. Albo pięćdziesiąt. Ta informacja była tak mglista, że Daniel w ogóle się nad nią nie zastanawiał. Wydawało mu się bardziej prawdopodobne, że śmierć Simona wynikała bezpośrednio z jego własnych działań. Nie chodziło o to, że był gejem – nawet jeśli Daniel odczuwał lekki dyskomfort na myśl o orientacji brata, daleko mu było do moralizującej homofobii – ale o to, że Simon zachowywał się samolubnie i bezmyślnie. Interesowała go wyłącznie własna przyjemność. Nie dało się tak żyć w nieskończoność.

Ale żal, jaki Daniel czuje wobec Simona, to jedynie przykrywka dla czegoś głębszego i mroczniejszego: jest równie wściekły na samego siebie. To, że nie poznał Simona – że nie poznał go tak naprawdę – kiedy brat żył, Daniel uważa za osobistą porażkę. Nie zrozumiał Simona nawet, kiedy ten umierał. Simon był jego jedynym bratem, a Daniel nie zdołał go ochronić. Owszem, rozmawiali po przyjeździe Simona do San Francisco, Daniel próbował przekonać brata, żeby wrócił do Nowego Jorku. Ale kiedy Simon odłożył słuchawkę, Daniel tak się wściekł, że rzucił telefonem o podłogę. Aparat roztrzaskał się na linoleum, a Daniel pomyślał, że może bez Simona matce będzie lżej. Oczywiście ta myśl była równie ulotna co okrutna, ale czy Daniel naprawdę nie mógł bardziej się postarać? Wsiąść w autokar do San Francisco, zamiast marynować się we własnych pretensjach i czekać, aż wyjdzie na jego?

Żerują na najbardziej bezbronnych, powiedział o wróżce Eddie. Potrafią ich przejrzeć na wylot.

To prawda, myśli Daniel, Simon był bezbronny. Miał siedem lat, ale nie tylko o to chodziło. Tak jak Klara, Simon był inny. Nie da się stwierdzić, czy już w tym wieku wiedział, że jest gejem. W każdym razie zawsze trudno go było zrozumieć. Wymykał się, przelatywał przez palce. Nie był tak wygadany jak rodzeństwo. Miał niewielu przyjaciół w szkole. Uwielbiał biegać, ale robił to w samotności. Może przepowiednia zagnieździła się w nim jak wirus. Może pchała go do nierozważnych decyzji – do niebezpiecznego życia.

Daniel spluwa do umywalki i jeszcze raz zastanawia się nad teorią Eddiego: że wizyta u wróżki rozbudziła – albo może nasiliła – wrodzoną bezbronność, jaką nosiła w sobie Klara. W pewnych sytuacjach dochodzi do niezaprzeczalnego połączenia psychologii z fizjologią, choć medycyna nie do końca to jeszcze rozumie – na przykład fakt, że ból nie powstaje w mięśniach czy nerwach, lecz w mózgu. Albo to, że pacjenci z pozytywnym nastawieniem mają większe szanse na pokonanie choroby. Podczas studiów Daniel asystował przy projekcie badającym efekt placebo. Prowadzący badanie wysunęli hipotezę, że efekt jest wywoływany przez oczekiwania pacjentów – i rzeczywiście, osoby, którym powiedziano, że tabletka ze skrobi, którą im podano, jest środkiem pobudzającym, wkrótce wykazały przyspieszone bicie serca, wyższe ciśnienie i krótszy czas reakcji. Druga grupa badanych usłyszała, że placebo jest lekiem usypiającym – ci pacjenci zasypiali po średnio dwudziestu minutach.

Oczywiście efekt placebo nie był wtedy dla Daniela niczym nowym, ale zobaczyć coś takiego na własne oczy – to zupełnie co innego. Daniel przekonał się, że myśl potrafi poruszyć molekuły w ludzkim ciele, że organizm zrobi wszystko, by uzasadnić rzeczywistość wytwarzaną przez

mózg. Według tej logiki teoria Eddiego miała sens: Klara i Simon uwierzyli, że wzięli pigułkę zmieniającą życie, nie wiedząc, że dostali placebo. Nie zdawali sobie sprawy, że konsekwencje wzięły się z ich własnego umysłu.

Coś przechyla się w Danielu i powoli upada, jak wysoka kolumna. Zalewa go smutek i empatia wobec Simona, przypływ niemożliwej do zniesienia czułości, którą tyle lat trzymał szczelnie zamkniętą. Daniel opiera dłonie na marmurowym blacie i nachyla się nad umywalką, czekając, aż mu przejdzie. Musi zadzwonić do Eddiego.

Wizytówka agenta została w gabinecie. Ruby jest w środku – drzwi są zamknięte, ale pali się światło. Kiedy Daniel puka, nikt nie odpowiada. Puka po raz drugi, po czym lekko zaniepokojony uchyla drzwi.

– Ruby?

Jego siostrzenica siedzi pod kołdrą, na uszach ma ogromne słuchawki, a na kolanach trzyma książkę: *Demony dobrego Dextera*. Kiedy widzi Daniela, aż się wzdryga.

– Kurde – mówi, ściągając słuchawki. – Przestraszyłeś mnie.

– Przepraszam. – Daniel unosi dłoń. – Chciałem tylko coś zabrać. Mogę po to wrócić rano.

– Nie ma problemu. – Ruby odwraca otwartą książkę grzbietem do góry. – Nie jestem zajęta.

W dzień była umalowana – miała eyeliner na oczach i jakąś brokatową maź na wargach – ale teraz, z umytą twarzą, wygląda młodziej. Jej skóra jest o odcień jaśniejsza niż Raja, i choć jej oczy są tak samo ciemne jak u ojca, policzki ma równie okrągłe jak Klara. I oczywiście odziedziczyła też jej uśmiech. Daniel podchodzi do biurka, wyjmuje wizytówkę Eddiego z górnej szuflady i chowa do kieszeni. Już ma wychodzić, kiedy Ruby znów się odzywa.

– Masz jakieś zdjęcia mojej mamy?

Daniel czuje ucisk w sercu. Zatrzymuje się, nadal twarzą do ściany. Mojej mamy. Nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek powiedział tak o Klarze.

– Tak.

Kiedy się odwraca, widzi, że Ruby siedzi z kolanami podciągniętymi pod brodę. Ma na sobie dół od piżamy z Bobem Kanciastoportym i workowatą bluzę. Nadgarstek ma opleciony gumkami do włosów, jak bransoletkami.

– Chciałabyś je obejrzeć?

– My też trochę mamy – zapewnia szybko Ruby. – W domu. Ale widziałam je już milion razy. Fajnie by było pooglądać jakieś inne.

Daniel idzie do salonu, żeby wygrzebać stare albumy. Jakie to dziwne, że Ruby tu jest. Jego siostrzenica. Daniel i Mira oczywiście nie mają dzieci. Kiedy poprosił Mirę o rękę, powiedziała mu o endometriozie. Czwartego stopnia.

– Nie mogę zajść w ciążę – wyjaśniła.

– Nie szkodzi – zapewnił Daniel. – Są inne sposoby. Na przykład adopcja…

Ale Mira powiedziała, że nie chce adoptować. Usłyszała diagnozę wyjątkowo wcześnie, kiedy miała zaledwie siedemnaście lat, więc miała sporo czasu, żeby się nad tym zastanowić. Postanowiła, że znajdzie spełnienie w innych aspektach życia; nie musi mieć dzieci. Daniel uświadomił sobie, że nie potrafi się z nią rozstać. Mimo to po cichu nosił w sobie żałobę. Zawsze wyobrażał sobie, że pewnego dnia zostanie tatą. Kiedy widział ojca wynoszącego śpiące dziecko z restauracji – z główką wiotko zwisającą mu z ramienia – myślał o własnym rodzeństwie. Ale myśl o rodzicielstwie też go przerażała. Jego jedynym punktem odniesienia był Saul, sztywny i nieobecny. Daniel nie miał szans przewidzieć, jak sobie

poradzi. Kiedyś myślał, że będzie lepszym ojcem niż Saul, ale może to było błędne rozumowanie. Równie dobrze mógłby okazać się o wiele gorszym rodzicem.

Daniel wraca do gabinetu z dwoma albumami. Ruby siedzi teraz na łóżku po turecku, oparta plecami o ścianę. Klepie puste miejsce obok siebie. Daniel siada przy niej. Nie jest dość elastyczny, żeby skrzyżować nogi, więc pozwala, żeby zwisały z krawędzi łóżka. Otwiera pierwszy album.

– Od lat ich nie oglądałem – wyznaje.

Sądził, że to będzie bolesne doświadczenie, ale kiedy widzi pierwsze zdjęcie – cała czwórka rodzeństwa Goldów na schodach do domu przy Clinton Street – ogarnia go czysta radość. Varya jest długonogim chudzielcem, malutki Simon pyzatym rozczochrańcem. Daniel czuje, jak wzbiera w nim wszechogarniające ciepło; mógłby się teraz rozpłakać.

– To mama. – Ruby wskazuje palcem na Klarę. Ma cztery albo pięć lat, jest ubrana w zieloną wyjściową sukienkę w kratę.

– No. – Daniel się śmieje. – Uwielbiała tę sukienkę. Wpadała w histerię za każdym razem, kiedy twoja babcia zabierała ją do prania. Wkładała ją i udawała, że jest Klarą z *Dziadka do orzechów*. A my przecież byliśmy z porządnej żydowskiej rodziny! Nasz ojciec nie mógł tego znieść.

Ruby się uśmiecha.

– Miała silną osobowość, prawda?

– Bardzo silną.

– Ja też. Uważam, że to jedna z moich najlepszych cech – oznajmia Ruby. Daniel jest rozbawiony, ale kiedy patrzy na siostrzenicę, dostrzega, że ona mówi poważnie. – Bo inaczej ludzie będą tobą pomiatać. Zwłaszcza jeśli jesteś kobietą. A już na pewno w show-biznesie. Tata mnie tego nauczył. Ale myślę, że mama by się z nim zgodziła.

Daniel nagle trzeźwieje – czy ktoś pomiatał Ruby? Jak? Ale ona już odwraca stronę, żeby obejrzeć inne zdjęcie z tego samego dnia, na którym rodzeństwo stoi w parach.

– To jest ciocia Varya i wujek Simon. Umarł przed moim urodzeniem, na AIDS. – Ruby patrzy na Daniela, upewniając się, że ma rację.

– Owszem. Był bardzo młody. O wiele za młody.

Ruby kiwa głową.

– Niedługo będzie na to lekarstwo: Truvada. Słyszałeś? Nie leczy HIV, ale zapobiega przenoszeniu, więc chory nie zaraża. Czytałam o tym artykuł w „New York Timesie". Szkoda, że nie mieli jej wtedy. Dla wujka Simona.

– Słyszałem o tym leku. Niesamowite.

To wręcz cud – u szczytu epidemii to było nie do pomyślenia, kiedy w samych Stanach każdego roku umierały dziesiątki tysięcy ludzi. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy wypuszczono pierwsze leki na AIDS, pacjenci musieli przyjmować nawet trzydzieści sześć pigułek dziennie, a na początku lat osiemdziesiątych nie było w ogóle żadnego ratunku. Daniel wyobraża sobie Simona, zaledwie dwudziestoletniego chłopca, umierającego na nieznaną i nienazwaną chorobę. Czy lekarze zdołali w jakikolwiek sposób złagodzić jego cierpienie? Znów pochłania go to uczucie, które dopadło go przed chwilą w łazience – to rozsadzające od środka współczucie, o wiele trudniejsze do zniesienia niż uraza i rozgoryczenie.

– Popatrz na babcię. – Głos Ruby wyrywa go z zamyślenia. – Jaka szczęśliwa.

Babcia. Kolejne słowo, którego Daniel nigdy wcześniej nie słyszał. Czuje głębokie wzruszenie – Ruby uważa Goldów za swoją rodzinę.

– Była szczęśliwa. To ona z twoim dziadkiem Saulem. Mieli po dwadzieścia kilka lat.

– On umarł przed wujkiem Simonem, prawda? Ile miał lat?

– Czterdzieści pięć.

Ruby podciąga kolana pod brodę.

– Opowiesz mi o nim jedną rzecz?

– Jaką rzecz?

– Coś fajnego. Coś ciekawego, czego bym się sama nie domyśliła.

Daniel przez chwilę się zastanawia. Mógłby opowiedzieć Ruby o zakładzie krawieckim ojca, ale zamiast tego staje mu przed oczami słoik z zieloną etykietą i białym wieczkiem.

– Jadłaś kiedyś takie malutkie ogórki w occie? Dziadek miał obsesję na ich punkcie. I był bardzo wybredny: wypróbował te Cainsa, Heinza i Vlasica, aż wreszcie odkrył ogórki marki Milwaukee's, które babcia musiała zamawiać aż z Wisconsin, bo prawie nie dało się ich znaleźć w Nowym Jorku. Dziadek potrafił zjeść cały słoik na raz.

– Strasznie dziwne. – Ruby chichocze. – Ale wiesz co? Ja lubię ogórki z octu na kanapkach z masłem orzechowym.

– Niemożliwe. – Daniel udaje, że zbiera mu się na wymioty.

– Ale to prawda! Kroję w plasterki i układam na wierzchu. Pyszne, przysięgam – są słodko-kwaśne i chrupiące, a masło orzechowe słodkie i też chrupie…

– Nie kupuję tego – oznajmia Daniel. Teraz oboje się śmieją – ten dźwięk wydaje mu się niezwykły. – Absolutnie tego nie kupuję.

* * *

O północy Daniel zostawia Ruby ze stosem albumów i wchodzi na parter. Przechodząc przez kuchnię, zatrzymuje się na chwilę. Był taki zadowolony, kiedy siedział z Ruby, że to uczucie nadal się za nim ciągnie; robienie teraz czegokolwiek poza pójściem spać u boku Miry wydaje mu się niemądre –

a może niepotrzebne. Ale kiedy wyciąga z kieszeni dresowych spodni wizytówkę Eddiego, jego zadowolenie przeistacza się w tęsknotę graniczącą z żałobą. Mógł mieć tego w życiu więcej – mógł mieć głębszą relację z Ruby, albo nawet z własnym dzieckiem. Może był jeszcze jakiś powód, dla którego Daniel nie namawiał Miry na ponowne rozważenie adopcji. Może czuł, że na to nie zasługuje. Saul tyle czasu spędzał w pracy, że Daniel zawsze próbował wziąć na siebie rolę lidera rodzeństwa. Starał się stawiać czoła niebezpieczeństwu, chaosowi, nieprzewidywalnym zrządzeniom losu. I proszę, do czego to doprowadziło.

Nie rób tego, powiedział mu Eddie. Obwiniasz ofiarę. Ale już za późno: Daniel właśnie to zrobił, właśnie tak myślał. Spędził całe dekady, karząc się za coś, co nigdy nie było jego winą. Teraz wzbiera w nim współczucie wobec samego siebie, a wściekłość na wróżkę rośnie i gęstnieje. Chce, żeby ją złapano – nie tylko ze względu na Simona i Klarę, ale też dla niego samego.

Podchodzi do drzwi wejściowych i otwiera delikatnie. Rozlega się cmoknięcie uszczelki i do domu wpada lodowate listopadowe powietrze, ale Daniel mimo to wychodzi na zewnątrz i zamyka drzwi za sobą. Następnie podnosi klapkę telefonu i wybiera numer Eddiego.

– Daniel? Coś się stało?

Daniel wyobraża sobie agenta w pokoju hotelu Hudson Valley. Może Eddie zarywa noc, siedzi nad papierami z kubkiem taniej kawy. Może rozmyśla o wróżce tak samo obsesyjnie jak Daniel – ta wspólna myśl łączy ich jak żyłka.

– Coś mi się przypomniało. – Temperatura na dworze spadła prawie do zera, ale ciało Daniela jest ciepłe. – Pytałeś o Simona, czy ta wróżka przepowiedziała jego śmierć, a ja odparłem, że nie wiem. Ale Simon powiedział, że umrze młodo. Więc załóżmy, że Simon wiedział, że jest

gejem. Ma szesnaście lat, ojciec nie żyje, a przepowiednia nie daje mu spokoju; myśli, że to jego jedyna szansa na życie w zgodzie z własnymi marzeniami. Więc zapomina o rozsądku, nie przejmuje się bezpieczeństwem.

– Okej – mówi powoli Eddie. – Simon nie dodał nic bardziej konkretnego?

– Nie, żadnych konkretów. Tak jak mówiłem: byliśmy dzieciakami, tylko raz o tym rozmawialiśmy, ale to przecież potwierdza twoją hipotezę? Że jego też popchnęła w tę stronę?

– Niewykluczone – zgadza się Eddie, ale głos ma nieobecny.

Teraz Daniel wyobraża go sobie inaczej: jak przekręca się na bok, przytrzymując telefon ramieniem. Dłoń prześlizguje się po szafce nocnej, by znów zgasić lampkę. Eddie jest rozczarowany odkryciem Daniela.

– Coś jeszcze?

Ciepło opuszcza Daniela, osiada w nim depresja. Ale coś przychodzi mu do głowy. Jeśli Eddie jest nieporuszony tą informacją – albo nawet stracił wiarę w całą sprawę – to może Daniel powinien zająć się dochodzeniem na własną rękę.

– Tak. Jedno pytanie. – Oddech Daniela zmienia się w białe chmurki, unoszące się w powietrzu jak spadochrony. – Jak ona się nazywa?

– A na co ci to wiedzieć?

– Mógłbym ją wtedy jakoś nazwać. – Daniel wymyśla odpowiedź na poczekaniu. Mówi to żartobliwym tonem, żeby nie wzbudzać podejrzeń Eddiego. – Nie musiałbym myśleć o niej „wróżka”, albo jeszcze gorzej, „ta kobieta”.

Eddie chwilę się zastanawia. Odkasłuje.

– Bruna Costello – odpowiada po długiej ciszy.

– Co? – Od nagłego przypływu adrenaliny Danielowi huczy w uszach.

– Bruna – mówi Eddie. – Bruna Costello.

– Bruna Costello. – Daniel delektuje się tymi słowami, każde z nich staje się faktem. – I gdzie ona jest?

– To już drugie pytanie – ucina Eddie. – Zadzwonię do ciebie, kiedy będzie po wszystkim. Dam znać, kiedy załatwimy całą sprawę.

24

W Święto Dziękczynienia Daniel budzi się przed Rajem i Ruby. Jest za piętnaście siódma, granat nieba przechodzi w mleczny róż, za oknem uwijają się wiewiórki, jelonek skubie zbrązowiały trawnik. Daniel parzy dzbanek mocnej kawy i siada z laptopem na kolanach w fotelu bujanym przy oknie w salonie. Kiedy wpisuje w Google „Bruna Costello", pierwszy wynik prowadzi na stronę FBI, do zakładki „Poszukiwani". *Pomagając FBI w namierzaniu poszukiwanych terrorystów i zbiegów, przyczyniasz się do zwiększenia bezpieczeństwa swojej rodziny, lokalnej społeczności i całego kraju. W niektórych przypadkach oferowane nagrody za pomoc w schwytaniu poszukiwanych.* Bruna jest w zakładce „Poszukujemy informacji" – czarno-biała miniaturka w czwartym rzędzie. Fotografia jest niewyraźna, wycięta z większego pliku. Kiedy Daniel klika na odnośnik, na ekranie pojawia się całe zdjęcie – to samo, które Eddie pokazał mu w Hoffman House.

Federalne Biuro Śledcze (FBI) zwraca się z prośbą o pomoc w identyfikacji domniemanych ofiar Bruny Costello, podejrzewanej o wyłudzenia i oszustwa we współpracy z gangiem naciągaczy zajmujących się przepowiadaniem przyszłości, z siedzibą na Florydzie. Pozostali członkowie rodziny Costello zostali skazani pod zarzutem przestępstw federalnych, w tym kradzież, fałszywe deklaracje podatkowe, malwersacje,

fałszerstwa pocztowe i pranie brudnych pieniędzy. Bruna Costello jest obecnie jedyną podejrzaną, której udało się uniknąć przesłuchania.

Costello przemieszcza się kamperem Gulf Stream Regatta z 1989 roku (zob. Inne zdjęcia). Wcześniej mieszkała w Coral Springs i Fort Lauderdale w stanie Floryda. Wiadomo, że podróżowała po dużej części kontynentalnych Stanów Zjednoczonych. Podejrzewa się, że Costello przebywa obecnie w miejscowości West Milton pod Dayton w stanie Ohio.

Daniel klika na odnośnik „Inne zdjęcia". Znajduje tam fotografię szerokiego kampera o kanciastej masce, pomalowanego spłowiałą kremową farbą – może kiedyś był biały. Przez środek przebiega szeroki brązowy pas. Pod zakładką „Więcej zdjęć" znajduje się odnośnik „Pseudonimy".

Drina Demeter

Cora Wheeler

Nuri Gargano

Bruna Galletti

I jeszcze z sześć innych. Daniel gwałtownie zamyka laptopa. Eddie musiał wiedzieć, gdzie przebywa kobieta. Więc dlaczego mu nie powiedział? Może obawia się, że Daniel jest niestabilny albo opętany żądzą zemsty.

Czy ma rację? To prawda, że Daniel po raz pierwszy, odkąd został zawieszony, czuje motywację do działania. Obecność kobiety jest jak melodia dobiegająca z sąsiedniego pokoju albo jak powiew wiatru, unoszący mu włosy. Rzuca mu wyzwanie, prowokuje, żeby się zbliżył.

* * *

Mira i Raj kroją warzywa, a Gertie przygotowuje swój słynny farsz do indyka. Daniel i Ruby zajmują się ptakiem, ośmiokilogramową bestią wysmarowaną masłem z czosnkiem i tymiankiem. Wczesnym popołudniem

jedzenie już jest w piekarniku albo czeka na swoją kolej. Mira wyciera kuchenne blaty, a Raj odbiera służbowy telefon w pokoju gościnnym. Gertie idzie się zdrzemnąć. Ruby i Daniel siedzą w salonie: on z laptopem w fotelu bujanym, a siostrzenica na kanapie, zajęta książeczką z sudoku. Śnieg wiruje za oknem, drobne płatki topnieją, kiedy tylko dotykają szyby.

Daniel czyta o Romach: pochodzą z Indii, ale opuścili swój kraj, uciekając przed prześladowaniem religijnym i niewolnictwem. Ruszyli na wschód, do Europy i na Bałkany, i stali się uchodźcami wyspecjalizowanymi w przepowiadaniu przyszłości. Pół miliona zostało wymordowanych podczas Holokaustu. To przypomina mu historię Żydów. Exodus i tułaczka, nieugięta wola przetrwania i adaptacja do każdych warunków. Nawet słynne romskie przysłowie: *Amari čhib s'amari zor*, „Nasz język jest naszą siłą", brzmi jak coś, co mógłby powiedzieć jego ojciec. Daniel wygrzebuje z kieszeni paragon z pralni i zapisuje przysłowie, a potem jeszcze jedno: „Myśli mają skrzydła".

Ostatnio trudno mu podtrzymać więź z Bogiem. Rok temu postanowił zagłębić się w teologię judaizmu. Chciał w ten sposób złożyć hołd Saulowi i miał nadzieję, że to da mu jakieś ukojenie, pomoże mu pogodzić się ze śmiercią rodzeństwa. Ale niewiele udało mu się znaleźć: judaizm nie ma dużo do powiedzenia w kwestii śmierci i nieśmiertelności. Podczas gdy inne religie koncentrują się na śmierci, żydów bardziej interesuje życie. Tora skupia się na *olam haze*, na „obecnym świecie".

– Pracujesz? – zagaduje Ruby.

Daniel podnosi głowę. Słońce powoli stacza się za góry Catskills, łagodne zbocza mają barwę pastelowego lazuru i brzoskwini. Ruby siedzi skulona na kanapie, oparta na podłokietniku.

– Raczej nie. – Daniel zamyka laptopa. – A ty?

– Raczej nie. – Ruby wzrusza ramionami i zamyka książeczkę z sudoku.

– Pojęcia nie mam, jak ty rozwiązujesz te krzyżówki. Dla mnie to kompletna chińszczyzna.

– Przy przedstawieniach jest dużo czasu, kiedy nic się nie dzieje. Jeśli nie znajdziesz sobie czegoś, w czym jesteś dobry, to zwariujesz. A ja lubię rozwiązywać różne problemy.

Ruby podwija nogi pod siebie. Dziś ma na sobie inny dres Juicy. Włosy zebrała w rozdęty kok przypominający ptasie gniazdo. Daniel uświadamia sobie, że będzie za nią tęsknił.

– Byłabyś dobrą lekarką.

– Mam nadzieję. – Ruby podnosi głowę, żeby na niego popatrzeć. W jej oczach Daniel dostrzega bezbronność. Jest zaskoczony: ona przejmuje się jego zdaniem. – Chcę iść na medycynę.

– Naprawdę? A co z waszym show?

– Przecież nie będę tego robić wiecznie.

Ruby mówi to obojętnym, rzeczowym tonem, którego Daniel nie potrafi do końca zrozumieć.

Czy Raj o tym wie? Nigdy z żadną asystentką nie będzie miał takiej relacji jak z Ruby. Danielowi przypomina się wczorajsza poranna rozmowa, napięcie, z jakim Ruby i Raj mówili o jej planie zajęć. Raj twierdził, że to proste. „Za to Rubina…”

Ruby odgarnia luźne kosmyki włosów na jedno ramię. Teraz Daniel widzi, że wcale nie jest jej to obojętne. Ruby jest zirytowana.

– No Jezu, błagam. Chcę iść na studia, być prawdziwą osobą. Robić coś, co ma jakieś znaczenie.

– Twoja mama nie chciała być prawdziwą osobą.

Te słowa same wyrywają się Danielowi. Mówi cicho i z uśmiechem, bo kiedy myśli o Klarze, właśnie to jako pierwsze przychodzi mu do głowy: jej krnąbrność i hardy upór. Nie to, co się stało później.

– No i? – Na policzki Ruby występuje rumieniec. Jej oczy lśnią w złotym świetle lampy. – No i co, że mama nie chciała?

– Strasznie cię przepraszam. – Danielowi robi się niedobrze. – Nie wiem, co mi odbiło.

Ruby otwiera usta, a potem je zamyka. Już wymyka się Danielowi, ucieka do tego obcego miejsca, w którym mieszkają nastoletnie dziewczęta: kryje się za górami rozgoryczenia, wśród dziur i wyrw, których on nie potrafi dostrzec.

– Twoja mama była wyjątkowa. – Daniel ma poczucie, że musi ją o tym przekonać, jak najszybciej. – To nie znaczy, że musisz być taka jak ona. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała.

– Wiem – mówi głucho Ruby. – Wszyscy mi to mówią.

* * *

Ruby wychodzi, żeby przejść się po śniegu. Daniel patrzy, jak brnie przez topniejącą śniegową breję w zamszowych kozakach i bluzie z kapturem, ciemne kosmyki włosów unoszą jej się wokół twarzy. I już po chwili znika wśród drzew.

25

Halleluja. Chwalcie Pana w świątyni Jego, chwalcie Go na przestworze potęgi Jego. Chwalcie Go we wszechmocy Jego, chwalcie Go wedle ogromu wielkości Jego. Chwalcie Go głosem trąb, chwalcie Go na lutni… – tu Gertie przerywa na chwilę – i cytrze.

– Co to jest cytra? – pyta Ruby.

Po spacerze wrócił jej humor. Teraz siedzi między Rajem a Gertie po jednej stronie stołu. Daniel i Mira trzymają się za ręce po przeciwnej.

– Nie wiem. – Gertie marszczy brwi, wpatrując się w Tehilim.

– Czekaj, sprawdzę na Wikipedii. – Ruby wyciąga z kieszeni telefon, podnosi klapkę i zręcznie wystukuje zapytanie na maleńkich klawiszach. – Okej. Cytra, z greckiego *kitara*, to strunowy instrument muzyczny. Cytra smyczkowa, w przeciwieństwie do znanej od czasów starożytnych cytry szarpanej, powstała w dwudziestym wieku – odczytuje na głos i zamyka telefon. – No, to już wszystko wiemy. Czytaj dalej, babciu.

Gertie wraca do psałterza.

– Chwalcie Go bębnem i fletem, chwalcie Go na skrzypcach i piszczałkach. Chwalcie Go na cymbałach głośnych, chwalcie Go na cymbałach brzmiących. Wszelki duch niech chwali Pana. Halleluja.

– Amen – mówi cicho Mira. Ściska dłoń Daniela. – No, to jedzmy.

Daniel odwzajemnia uścisk jej dłoni, ale czuje niepokój. Po południu dowiedział się o eksplozji w Bagdadzie, w dzielnicy as-Saura. Wybuchło pięć bomb samochodowych, a następnie moździerz. Atak zabił ponad dwieście osób, w większości szyitów. Daniel bierze duży łyk malbeca. Wypił już spory kieliszek białego wina, które Mira otworzyła, kiedy gotowali obiad, ale nadal czeka na przyjemną watę, która zawsze otula go po alkoholu.

Gertie spogląda na Ruby i Raja.

– O której jutro wyjeżdżacie?

– Wcześnie – odpowiada Raj.

– Niestety – dodaje Ruby.

– O siódmej mamy spektakl w mieście – wyjaśnia Raj. – Więc musimy być na miejscu przed południem, żeby spotkać się z technicznymi.

– Szkoda – wzdycha Gertie. – Chciałabym, żebyście pobyli z nami trochę dłużej.

– Ja też – zapewnia Ruby. – Ale mogłabyś nas odwiedzić w Vegas. Dostaniesz własny apartament. I mogłabyś poznać Krystal. To szetland, taki mały grubcio. Zjada dziennie z pół hektara trawy.

– Niewiarygodne – śmieje się Mira. Przecina wpół rządek strączków fasolki. – A skoro już mowa o waszych występach, to mam taką osobistą prośbę. Nie chciałam o tym wspominać, bo na pewno ludzie bez przerwy zawracają wam głowę, tak jak nasi znajomi zawsze proszą Daniela, żeby ich zdiagnozował, ale skoro mamy w domu aż dwoje magików, to nie mogę przepuścić takiej okazji.

Raj unosi brwi. W jadalni panuje niemal zupełna cisza – w tej części Kingston las otacza ich właściwie ze wszystkich stron.

Mira odkłada widelec; rumieni się.

– Kiedy byłam nastolatką, magik na ulicy pokazał mi sztuczkę. Rozłożył karty, zajęło mu to jakąś sekundę, i powiedział, żebym wybrała jedną. Wyjęłam dziewiątkę kier. A on zgadł. Poprosiłam, żeby to powtórzył, bo myślałam, że może całą talię ma z samych dziewiątek. Do dziś nie wiem, jak on to zrobił.

Raj i Ruby patrzą po sobie.

– Wymuszanie – odzywa się Ruby. – Tak się na to mówi, kiedy magik manipuluje twoją decyzją.

– Ale właśnie o to chodzi. On nie powiedział ani nie zrobił zupełnie nic, żeby wpłynąć na moją decyzję. Podjęłam ją zupełnie samodzielnie.

– Albo tak ci się wydawało – mówi Raj. – Są dwa rodzaje wymuszania. Psychologiczne, kiedy iluzjonista popycha cię w stronę konkretnej decyzji, stosując odpowiedni język, i fizyczne, z którego pewnie skorzystał twój magik. To polega na wyróżnieniu jednego przedmiotu spośród innych. Wystarczyło, żeby zatrzymał się na dziewiątce kier na ułamek sekundy dłużej.

– Zwiększona ekspozycja – dodaje Ruby. – Klasyczna technika.

– Fascynujące – Mira odchyla się na krześle. – Chociaż muszę wyznać, że jestem prawie… rozczarowana? Chyba nie spodziewałam się, że odpowiedź będzie taka racjonalna.

– Większość magików to ogromnie racjonalni ludzie. – Raj odkrawa mięso z uda indyka, po czym układa równe plastry na talerzu. – To analitycy. Bez tego nie da się stworzyć iluzji, zmylić widza.

To wyjaśnienie z jakiegoś powodu drażni Daniela. Przypomina mu, czego od zawsze nie znosi w Raju: jego pragmatyzmu, obsesji na punkcie interesów. Zanim Klara poznała Raja, magia była jej pasją, jej największą miłością. Teraz Raj mieszka w grodzonej rezydencji, a Klara nie żyje.

– Nie wiem, czy moja siostra też tak o tym myślała – oznajmia Daniel.

Raj nabija marynowaną cebulkę na widelec.

– Co masz na myśli?

– Klara wiedziała, że magią można zwodzić ludzi. Ale ona próbowała osiągnąć coś przeciwnego, ujawnić jakąś głębszą prawdę. Otworzyć ludziom oczy.

Wysoki świecznik na środku stołu rzuca cień na dolną część twarzy Raja, ale oczy szwagra płoną w złotym świetle.

– Jeśli pytasz, czy wierzę w to, co robię, czy uważam, że daję światu coś niezbywalnego – cóż, o to samo mógłbym ciebie zapytać. To moja kariera. Jest dla mnie tak samo ważna, jak twoja praca dla ciebie.

Kęs jedzenia rośnie Danielowi w ustach. Nagle świta mu koszmarna myśl, że Raj od początku wiedział o jego zawieszeniu w obowiązkach i tylko udawał, że jest inaczej – z kurtuazji, a może z litości.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Uważasz, że to szlachetne, wysyłać młodych ludzi na śmierć? – pyta Raj. – Motywuje cię do tego jakaś głębsza prawda?

Gertie i Ruby spoglądają to na Raja, to na Daniela.

Daniel odkasłuje.

– Owszem, mocno wierzę, że utrzymanie sprawnej armii jest bardzo istotne. Czy moja praca jest szlachetna, nie mnie to oceniać. Ale to, co robią żołnierze, jest czymś wielkim.

Brzmi dość przekonująco, ale Mira wychwytuje w jego głosie ostrą nutę. Schyla głowę nad talerzem. Daniel wie, że robi to z uprzejmości, by nie zdradzić czegoś spojrzeniem, ale mimo to on czuje się jak jeszcze większy hipokryta.

– Nawet teraz? – naciska Raj.

– Szczególnie teraz.

Daniel dobrze pamięta koszmar, jaki rozpętał się 11 września. Jego najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, Eli, pracował w południowej wieży. Kiedy uderzył drugi samolot, Eli stał na klatce schodowej na siedemdziesiątym ósmym piętrze i zaganiał ludzi do windy ekspresowej. Okej, krzyczał, wszyscy wychodzą. Jego kolega, który był w wieżach podczas wcześniejszego zamachu – w dziewięćdziesiątym trzecim – powiedział później, że Eli był głosem przebudzenia. Eli dotarł na dach, gdzie w dziewięćdziesiątym trzecim znajdowało się miejsce dostępu dla służb ratowniczych, i zadzwonił do żony. „Kocham cię, skarbie", powiedział. „Możliwe, że późno dziś wrócę do domu". Nadal był na dachu, kiedy o dziesiątej rano wieża się zawaliła.

– Szczególnie teraz? – powtarza Raj. – Kiedy Irak stracił prawie całą infrastrukturę? Kiedy sadyści w Abu Ghurajb torturują niewinnych ludzi? Kiedy nigdzie nie widać ani śladu broni masowego rażenia?

Raj patrzy Danielowi w oczy. Ten celebryta z Vegas, ten magik w drogich ciuchach – Daniel go nie docenił.

– Tato – wtrąca Ruby.

– Jeszcze fasolki? – pyta Mira, podnosząc półmisek.

– A ty byś wolał, żeby jakiś brutalny tyran dalej mordował i terroryzował setki tysięcy ludzi? – odgryza się Daniel. – A co z Saddamem i jego ludobójstwem Kurdów, co z przemocą w Kuwejcie? Z uprowadzaniem ludzi z klanu Barzanich? A broń chemiczna, masowe groby? Nie przeszkadza ci to?

Wino uderza mu do głowy. Umysł ma już zamglony, więc cieszy się, że był w stanie wymienić zbrodnie Husajna na poczekaniu.

– Stany nigdy nie kierowały się żadnym kompasem moralnym przy wyborze politycznych sprzymierzeńców. Prowadzą operacje wojskowe z Pakistanu. Wspierały Husajna, kiedy był u szczytu władzy i terroru.

A teraz ścigają coś, czego nie ma. Program broni masowego rażenia w Iraku został zamknięty w dziewięćdziesiątym pierwszym. Teraz już nic tam nie ma – poza ropą.

Daniel nie chce się do tego przyznać, ale obawia się, że Raj ma rację. Widział potworne zdjęcia z Abu Ghurajb: nagich mężczyzn w kapturach, skatowanych i przerażonych. Chodzą plotki, że Husajn zostanie powieszony w grudniu, podczas muzułmańskiego święta Id al-Adha – w geście wypaczającym religię, i to nie z inicjatywy wroga.

– Nie możesz tego wiedzieć – mówi tylko.

– Nie? – Raj ociera wargi serwetką. – Jest powód, dla którego żaden kraj na świecie nie popiera wojny w Iraku. Z wyjątkiem Izraela.

Dodaje to po chwili, jakby po raz pierwszy zapomniał, przed jaką publicznością występuje. A może to było wyrachowane posunięcie? Goldowie sztywnieją, natychmiast łączą się w jedno, co do atomu. Daniel ma własne zastrzeżenia wobec syjonizmu, ale teraz szczęka mu sztywnieje, a serce bije wściekle, jakby ktoś obraził jego matkę.

Mira odkłada sztućce.

– Co proszę?

Po raz pierwszy od chwili przyjazdu nonszalancja Raja ześlizguje się z niego jak kaptur.

– Nie muszę nikomu przypominać, że Izrael jest strategicznym sojusznikiem Stanów ani że inwazja na Bagdad miała na celu wzmocnienie bezpieczeństwa ich regionu na równi z naszym – mówi cicho. – Tylko to miałem na myśli.

– Czyżby? – Ramiona Miry unoszą się lekko, mówi przez ściśnięte gardło. – Bo szczerze mówiąc, Raj, to zabrzmiało bardziej jak zwalanie winy na Żydów.

– Ale przecież Żydzi już od dawna nie są chłopcem do bicia. To jeden z najważniejszych sojuszników Ameryki. Cały arabski świat sprzeciwia się wojnie w Iraku, ale amerykańscy Arabowie nigdy nie będą mieć takiej władzy jak amerykańscy Żydzi. – Raj milknie. Musi zdawać sobie sprawę, że cały stół jest przeciwko niemu. Ale po chwili kontynuuje – albo czuje się zagrożony, albo postanowił, że nie pozwoli się zastraszyć. – A Żydzi w tym czasie zachowują się, jakby nadal byli ofiarami strasznego prześladowania. Takie podejście bardzo się przydaje, kiedy sami chcą prześladować innych.

– Wystarczy – przerywa Gertie.

Ubrała się odświętnie do obiadu: włożyła bordową sukienkę bez rękawów, rajstopy i skórzane pantofle z odkrytą piętą. Na piersi ma przypiętą szklaną broszkę od Saula. Daniel nie może patrzeć na żal w oczach matki. Ruby wygląda jeszcze gorzej. Siedzi nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w pusty talerz. Nawet przy świecach Daniel widzi, że szklą jej się oczy.

Raj patrzy na córkę. Przez chwilę wygląda na zaskoczonego, jest niemal zbity z tropu. Potem ze zgrzytem odsuwa krzesło.

– Daniel – mówi. – Chodźmy się przejść.

* * *

Raj prowadzi Daniela za pierwszą linię klonów – kilka tygodni temu ich korony płonęły kolorami, dziś są zupełnie ogołocone – na polanę za drzewami. Jest tu staw otoczony pałkami wodnymi, wokół rosną brzozy. Raj jest jakieś pięć–siedem centymetrów niższy od Daniela, ma może metr siedemdziesiąt pięć, a mimo to zaskakuje Daniela pewnością siebie. Wyszedł na dwór i ruszył na polanę, jakby czuł się w domu Daniela jak u siebie. To wystarcza, by Daniel zdobył się na pierwszy cios.

– Mówisz o wojnie tak, jakbyś doskonale wiedział, kogo winić, ale cholernie łatwo rzucać takie oskarżenia, kiedy się siedzi w marmurowej rezydencji i co wieczór wyciąga królika z kapelusza. Może powinieneś spróbować zająć się czymś, co ma jakieś znaczenie. – Gdzie on już słyszał to zdanie? Ruby. „Chcę iść na studia”, wyznała mu siostrzenica. „Chcę być prawdziwą osobą. Chcę robić coś, co ma jakieś znaczenie”. Daniel czuje, jak żar zalewa mu policzki, puls podchodzi mu do gardła. Nagle zdaje sobie sprawę, gdzie uderzyć, żeby Raja zabolało najbardziej. – Nawet twoja własna córka uważa, że jesteś tylko magikiem z Vegas. Powiedziała mi, że chce studiować medycynę.

W stawie odbija się światło księżyca. Twarz Raja zaciska się jak pięść. Daniel widzi jego słabość tak samo wyraźnie jak własną: Raj boi się, że straci Ruby. Trzyma ją z daleka od Goldów nie tylko dlatego, że ich nie lubi, ale też dlatego, że stanowią zagrożenie. Alternatywna rodzina – alternatywne życie.

Ale Raj nie odwraca wzroku.

– Masz rację. Nie jestem lekarzem. Nie mam dyplomu, nie urodziłem się w Nowym Jorku. Ale wychowałem fantastyczne dziecko. Zrobiłem karierę.

Daniel się chwieje; nagle staje mu przed oczami twarz pułkownika Bertrama. „Pewnie pan myśli, że jest pan zajebiście wyjątkowym kwiatuszkiem”, syczy pułkownik, szczerząc się znad błyszczącej przypinki. „Prawdziwym amerykańskim bohaterem”.

– Nie. Nie zrobiłeś, tylko ukradłeś. Ukradłeś jej występ. – Daniel od lat chciał wyrzucić z siebie to oskarżenie. Czuje, jakby wreszcie strząsnął z siebie przytłaczający ciężar.

Głos Raja staje się niski, powolny.

– Byłem jej partnerem – mówi. W jego słowach nie pobrzmiewa spokój, lecz nadludzkie opanowanie.

– Gówno prawda. Byłeś zarozumiały. Bardziej cię interesował ten twój show niż ona. – Z każdym słowem w Danielu wzbiera pewność i coś, co początkowo jest jeszcze mgliste, lecz po chwili nabiera kształtu: echo innej historii, historii Bruny Costello. – Klara ci ufała – ciągnie. – A ty ją wykorzystałeś.

– Człowieku, czy ty jesteś poważny? – Raj odchyla głowę o kilka centymetrów, białka jego oczu błyszczą w świetle księżyca. Daniel dostrzega w nich zaborczość, tęsknotę i coś jeszcze: miłość. – Opiekowałem się nią. Masz pojęcie, jaka ona była rozjebana? Czy ktokolwiek z was zdawał sobie z tego sprawę? Urywał jej się film. Pamięć miała w strzępach. Nawet by się nie ubrała rano, gdybym jej nie przypilnował. Poza tym była twoją siostrą. A ty co zrobiłeś, żeby jej pomóc? Odwiedziłeś chociaż raz Ruby? Zadzwoniłeś w Chanukę?

Żołądek Daniela wywraca się na lewą stronę.

– Trzeba było nam powiedzieć.

– Ledwo was znałem. I nikt z waszej rodziny nie powitał mnie z otwartymi ramionami. Traktowaliście mnie jak intruza, jakbym nie był dość dobry dla Klary. Dla Goldów – wspaniałych Goldów, którzy tyle wycierpieli i teraz wszystko im się należy.

Pogarda w głosie Raja jest tak paląca, że odbiera Danielowi mowę.

– Nie masz pojęcia, przez co przeszliśmy – wykrztusza w końcu.

– O, o tym mówię! – oznajmia Raj, wskazując na Daniela palcem.

W jego oczach płonie gorączkowy blask, a gest jest tak elektryczny, jakby Raj zaraz miał wykonać magiczną sztuczkę – choć Daniel wie, że to absurdalna myśl.

– Właśnie w tym cały problem. Przeżyliście tragedię. Nikt nie próbuje tego podważać. Ale to nie jest świeża sprawa, wasze życie wygląda teraz inaczej. Aura dramatu przygasła. Wasza historia zdążyła sczerstwieć. Nie

potraficie się z nią rozstać, bo gdybyście zostawili to za sobą, nie bylibyście już ofiarami. Ale miliony ludzi na świecie muszą żyć w ucisku. Ja się z nich wywodzę. Ci ludzie nie mogą żyć przeszłością. Nie mogą żyć we własnej głowie. Nie stać ich na taki luksus.

Daniel cofa się w cień drzew, jakby szukał kryjówki. Raj nie czeka na odpowiedź: odwraca się i idzie z powrotem do domu, okrążając staw. Ale kiedy jest już na ścieżce, zatrzymuje się na chwilę.

– I jeszcze jedno. – Jego głos niesie się z łatwością, choć on sam prawie zniknął w ciemności. – Twierdzisz, że robisz coś ważnego. Coś, co ma znaczenie. Ale tylko się oszukujesz. Tak naprawdę tylko siedzisz i patrzysz, jak inni odwalają za ciebie brudną robotę, tysiące kilometrów stąd. Jesteś tylko trybikiem, organizatorem. Boże, jak ty się boisz. Boisz się, że nigdy nie zbierzesz się na taki gest jak twoja siostra – nie potrafiłbyś stawać na scenie, noc w noc, i obnażać przed ludźmi własnej duszy, nawet, kurwa, nie wiedząc, czy będą klaskać, czy cię wygwiżdżą. Owszem, Klara się zabiła. Ale i tak miała więcej odwagi od ciebie.

26

Raj i Ruby wyjeżdżają przed ósmą rano. W nocy padało, ich wynajęty samochód stoi mokry na podjeździe. Daniel i Raj bez słowa pakują walizki do bagażnika. Mżawka osiada na żółtym welurze najnowszego dresu Ruby. Siostrzenica sztywno odwzajemnia uścisk Daniela. Równie ozięble traktuje Raja, ale to jej ojciec: w końcu będzie musiała mu wybaczyć. Daniel nie może liczyć na taki przywilej. Patrzy, jak Ruby siada w fotelu pasażera i zamyka za sobą drzwi, i czuje beznadziejną rozpacz. Kiedy wyjeżdżają z podjazdu, macha za samochodem, ale Ruby już spuściła głowę i wbiła wzrok w ekran telefonu. Daniel widzi tylko burzę jej ciemnych włosów.

* * *

Mira pojechała do New Paltz na zebranie wydziału. Daniel podchodzi do lodówki i zaczyna wyjmować resztki z wczorajszego posiłku. Skórka z indyka, wcześniej chrupiąca, teraz jest pomarszczona i wilgotna. Tłuszcz z brytfanny zmienił się w przejrzyste białawe kałuże.

Daniel nakłada sobie pełny talerz, odgrzewa w mikrofalówce i je przy kuchennym blacie, aż robi mu się niedobrze. Nie potrafi się zmusić, żeby usiąść przy stole w jadalni, gdzie Goldowie jedli obiad razem z Chapalami – zaledwie wczoraj, a jednak Danielowi wydaje się, że od tamtej chwili

minęły całe lata. Daniel po raz pierwszy poczuł jakąś więź z Ruby – uwierzył, że mogliby być sobie bliscy, że nie musi się wstydzić roli, jaką odegrał w historii śmierci jej matki. Ale teraz już ją stracił. Może Ruby znów ich odwiedzi, kiedy skończy osiemnaście lat i będzie mogła podejmować własne decyzje, ale Raj jej tu nie przywiezie – i nigdy nie będzie tym kontaktom przychylny. Daniel mógłby odezwać się do Ruby, ale kto wie, czy w ogóle by odpowiedziała? Święto Dziękczynienia skończyło się katastrofą nie tylko z winy Raja.

Po poprzedniej awanturze z Rajem Daniel znalazł ukojenie w pracy. Teraz jednak nie może już na to liczyć: kiedy tylko myśli o powrocie do biura, ma wrażenie, że się dusi. Będzie mógł utrzymać stanowisko, tylko jeśli zrezygnuje z władzy, jaką daje mu możliwość niezależnego podejmowania decyzji. A jeśli to zrobi – jeżeli wybierze ciepłą posadę zamiast uczciwości, stabilność zatrudnienia zamiast wolnej woli – będzie właśnie takim pionkiem, za jakiego uważa go Raj.

Z sypialni rozlega się dzwonek jego komórki. Daniel wchodzi na górę. Kiedy widzi numer na wyświetlaczu, chwyta telefon tak pośpiesznie, że wyrywa ładowarkę z gniazdka.

– Eddie? – upewnia się.

– Daniel. Dzwonię, żeby dać znać o postępach w sprawie. Chciałeś, żebym ci powiedział, kiedy coś się ruszy.

– Tak?

Głos Eddiego brzmi ciężko, jakby agent mówił przez ściśnięte gardło.

– Oczyściliśmy ją z zarzutów.

Daniel opada na łóżko. Przyciska komórkę do ucha, kabel ciągnie się jak ogon.

– Nie możecie tego zrobić.

– Słuchaj, to… – Eddie wzdycha ciężko. – To bardzo nieoczywista sytuacja. Jak udowodnić, że zabiła tych ludzi, skoro nigdy ich nie dotknęła, nie nakłaniała, w każdym razie nie bezpośrednio. Sześć miesięcy próbowałem znaleźć na nią haka. Kiedy się do ciebie odezwałem, już prawie zamykaliśmy sprawę. Ale pomyślałem, że może coś mi umknęło, jakiś szczegół, o którym tylko ty mogłeś wiedzieć. Zrobiłeś, co mogłeś. Byłeś szczery. Po prostu mamy za mało dowodów.

– A kiedy będziecie mieli dość? Potrzebujecie jeszcze pięciu samobójstw? A może dwudziestu? – Głos Daniela załamuje się na ostatniej sylabie, pierwszy raz od mutacji. – Chyba sam powiedziałeś, że nie jest zarejestrowana. Nie możecie jej zamknąć na tej podstawie?

– Owszem, nie jest zarejestrowana. Ale zarabia jakieś grosze, prawie nic. Biuro uważa, że to strata czasu. Poza tym to starsza pani. Długo już nie pożyje.

– A co to ma do rzeczy? Jeśli ktoś dopuścił się strasznych rzeczy, odrażających rzeczy, to nieważne, jak późno zostanie postawiony przed wymiarem sprawiedliwości. Ważne, że odpowie za to, co zrobił.

– Daniel, spokojnie – mówi Eddie, a Daniel czuje, że palą go uszy. – Zależało mi na tym tak samo jak tobie. Ale musisz odpuścić.

– Eddie. Dziś jest mój dzień.

– Twój dzień?

– Data, którą mi podała. Dzień mojej śmierci.

To ostatnia karta Daniela. Nigdy nie spodziewał się, że zdradzi tę informację Eddiemu, ale jest zdesperowany. Musi przekonać agenta, żeby wrócił do sprawy.

– Och, Daniel. – Eddie wzdycha. – Nie roztrząsaj tego. Tylko się zadręczasz, po co ci to?

Daniel milczy. Za oknem widzi gęstą mgiełkę delikatnych kryształków śniegu. Są tak lekkie, że nie wiadomo nawet, czy opadają na ziemię, czy może szybują ku niebu.

– Uważaj na siebie, okej? – naciska Eddie. – Najlepsze, co możesz dziś zrobić, to o siebie zadbać.

– Masz rację – odpowiada Daniel drewnianym tonem. – Rozumiem. I doceniam wszystko, co zrobiłeś w tej sprawie.

Kiedy się rozłączają, Daniel ciska telefonem o ścianę. Urządzenie rozpada się na dwa kawałki z głuchym trzaskiem. Zostawia je na podłodze i schodzi do gabinetu. Mira zdjęła już pościel z łóżka Ruby, z powrotem złożyła kanapę i włożyła poszewki do pralki. Odkurzyła nawet podłogę – postarała się, ale Daniel ma przez to wrażenie, że Ruby w ogóle tu nie było.

Siada przy biurku i wchodzi na stronę FBI. Bruna Costello zniknęła z zakładki „Poszukujemy informacji”. Kiedy Daniel wpisuje jej imię i nazwisko w pasku wyszukiwania, zostaje przekierowany do strony z krótkim komunikatem „Brak pasujących wyników”.

Daniel odchyla się na krześle i obraca, kryjąc twarz w dłoniach. Myślami wraca do wspomnienia, które tak często go nawiedza – do ostatniej rozmowy z bratem. Simon zadzwonił ze szpitala, choć Daniel wtedy o tym nie wiedział. „Jestem chory”, powiedział. Daniel osłupiał; dobrą chwilę trwało, zanim rozpoznał głos własnego brata, dojrzalszy, a zarazem delikatniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Daniel nie dał tego po sobie poznać, ale poczuł ulgę w równym stopniu co żal do Simona. W słuchawce usłyszał syreni śpiew rodzinnych więzów – przyciągający ku sobie wbrew wszelkiemu rozsądkowi, zmuszający do porzucenia własnych przekonań i wiary w swoją rację na rzecz głębokiej współzależności.

Gdyby Simon w jakikolwiek sposób spróbował przeprosić, Daniel by mu wybaczył. Ale Simon nie przeprosił. W ogóle niewiele powiedział. Zapytał,

co słychać u Daniela, jakby to była zwyczajna rozmowa między braćmi, którzy nie zerwali kontaktów lata temu. Daniel nie wiedział, czy stało się coś złego, czy może Simon jest po prostu sobą: wykrętnym, samolubnym chłopcem. Może decyzja o telefonie do Daniela była tak samo bezmyślna jak pomysł przeprowadzki do San Francisco.

– Simon? – zapytał Daniel. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Wiedział, że to zabrzmiało zimno i oschle. Simon po chwili się rozłączył.

Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Daniel nie uratuje już Simona ani Klary. Oni zostali w przeszłości. Ale może jest w stanie zmienić przyszłość. To doskonała ironia: w ten dzień, kiedy według Bruny Costello ma nadejść jego śmierć, Daniel ją znajdzie i zmusi, żeby wyznała, jak ich wykorzystała. A potem upewni się, że kobieta już nigdy nikomu tego nie zrobi.

Przestaje się obracać na biurowym krześle. Zdejmuje dłonie z twarzy, mruga gwałtownie, kiedy sztuczne światło lampy kłuje go w oczy. Potem garbi się nad klawiaturą i próbuje wygrzebać z pamięci treść ogłoszenia na stronie FBI. Zdjęcie kremowo-brązowego kampera, lista pseudonimów. I miasteczko w Ohio – coś tam Milton. Na studiach przeczytał *Raj utracony*. Kiedy czytał ogłoszenie, zwrócił uwagę na tę nazwę. East Milton? Nie: West Milton. Wpisuje frazę w Google. Pojawiają się linki do szkoły podstawowej i biblioteki, a po prawej mapka: West Milton jest obramowane na czerwono, ma kształt jak Włochy, tylko bez obcasa. Wchodzi w grafikę: spokojne miasteczko, w centrum sklepiki z wywieszonymi przed wejściem amerykańskimi flagami. Jedno ze zdjęć przedstawia mały wodospad w lesie albo parku, a obok zarośnięte schody. Kiedy Daniel klika na zdjęcie, zostaje przekierowany na jakieś forum.

Ktoś stworzył post: Wodospad West Milton. Nikt nie dba o to miejsce. Ludzie wyrzucają tu śmieci, schody i ogrodzenie są zaniedbane i niebezpieczne. To wygląda na lepszą kryjówkę niż centrum miasta. Daniel wraca do mapy. Z Kingston do West Milton jest dziesięć godzin samochodem. Na samą myśl serce bije mu szybciej. Daniel nie ma pojęcia, gdzie dokładnie przebywa Bruna, ale wodospad wygląda obiecująco, a całe miasteczko rozciąga się na niecałe osiem kilometrów kwadratowych. Chyba trudno byłoby przegapić zdezelowanego kampera?

Daniel słyszy pisk z kuchni. Tak rzadko korzystają z telefonu domowego, że dopiero po chwili rozpoznaje ten dźwięk. Mało kto w ogóle zna ich numer: telemarketerzy, rodzina, może paru sąsiadów. Ale tym razem Daniel nie musi nawet patrzeć na wyświetlacz. Wie, że to Varya.

– Vi – mówi do słuchawki.

– Daniel. – Varya nie mogła przyjechać na Święto Dziękczynienia, bo musiała być na konferencji w Amsterdamie. – Miałeś wyłączoną komórkę. Chciałam sprawdzić, co u ciebie.

Kiedy Eddie dzwonił z autostrady, Daniel słyszał więcej trzasków niż słów, ale głos Varyi dobiega zza oceanu tak wyraźnie i czysto, jakby siostra stała tuż obok. Varya mówi z chłodną samokontrolą; Daniel nie ma do tego cierpliwości.

– Wiem, po co dzwonisz.

– Cóż. – Śmiech Varyi brzmi krucho, niepewnie. – Przyłapałeś mnie. – Zapada cisza, ale Daniel nawet nie stara się jej wypełnić. – Co dzisiaj robisz?

– Jadę do tej wróżki. Znajdę ją i zmuszę, żeby przeprosiła za to, co zrobiła naszej rodzinie.

– To nie jest zabawne.

– Szkoda, że nie było cię z nami wczoraj.

– Miałam wykład.

– W Święto Dziękczynienia?

– Wyobraź sobie, że Holendrzy go nie obchodzą. – Głos Varyi tchnie chłodem, a Daniel znów się jeży. – Jak było?

– W porządku. – Nic z niego nie wyciśnie. – A konferencja?

– W porządku.

Daniel jest wściekły, że Varyi zależy na nim na tyle, żeby dzisiaj do niego zadzwonić, ale nie aż tak, żeby odezwać się przy innej okazji, a już na pewno nie żeby przyjechać w odwiedziny. Obserwuje go tylko z góry jak owada biegającego tam i z powrotem w probówce – nigdy nie zniży się, żeby interweniować.

– To jak ty to ogarniasz? – pyta, przyciskając telefon do ucha. – Masz to rozpisane w jakiejś tabelce? Czy po prostu nauczyłaś się ich na pamięć?

– Nie bądź wredny – mówi Varya, a Daniel traci rezon.

– Wszystko u mnie w porządku, Varya. – Opiera się o blat i rozciera nasadę nosa wolną dłonią. – Wszystko będzie dobrze.

Kiedy tylko się rozłączają, Daniela dopada poczucie winy. Varya nie życzy mu źle. Ale będzie jeszcze mnóstwo czasu, żeby wszystko naprawić. Daniel podchodzi do lady i wyjmuje z wiklinowego koszyka kluczyki.

– Daniel. – Rozlega się głos Gertie. – Co ty robisz?

Matka stoi w drzwiach. Jest owinięta starym różowym szlafrokiem, spod którego wystają gołe nogi. Skórę wokół oczu ma wilgotną, o dziwnym lawendowym połysku.

– Muszę się przejechać.

– Dokąd?

– Do biura. Chcę uporządkować kilka rzeczy przed poniedziałkiem.

– Jest szabat. Nie powinieneś pracować.

– Szabat jest jutro.

– Zaczyna się dziś wieczorem.

– Więc mam jeszcze sześć godzin – ucina Daniel.

Ale już teraz wie, że za sześć godzin nawet nie będzie jeszcze na miejscu. Wróci dopiero jutro rano. Potem wyjaśni wszystko matce i Mirze. Opowie im, jak złapał Brunę, jak kobieta przyznała się do wszystkiego. Może Eddie znów otworzy sprawę.

– Daniel. – Gertie blokuje wyjście. – Martwię się o ciebie.

– To się nie martw.

– Za dużo pijesz.

– Wcale nie.

– Ty coś przede mną ukrywasz. – Gertie wpatruje się w niego boleśnie, dociekliwie. – Co się dzieje, kochanie?

– Nic. – Boże, przez nią czuje się jak dziecko. Niechże ona się ruszy z przejścia. – Masz paranoję.

– Nie powinieneś wychodzić. W szabat nie wypada.

– Szabat nic nie znaczy – przerywa jej brutalnie Daniel. – Boga to nic nie obchodzi. Bóg ma to głęboko w dupie.

Nagle sama idea Boga wydaje się Danielowi równie bezużyteczna i obraźliwa co telefon od Varyi. Bóg nie zaopiekował się Simonem ani Klarą, a już na pewno nie zatroszczył się o sprawiedliwość. Ale czego Daniel się spodziewał? Kiedy ożenił się z Mirą, postanowił wrócić do judaizmu. Wyobraził sobie – a właściwie wybrał – Boga, w którego zamierzał od teraz wierzyć, i w tym tkwił problem. Oczywiście ludzie bez przerwy wybierają sobie rzeczy, w które chcą wierzyć: związki, przekonania polityczne, kupony na loterię. Ale teraz Daniel widzi, że z Bogiem jest inaczej. Boga nie należy projektować, opierając się na osobistych przekonaniach, jak rękawiczki szyte na miarę. Bóg nie powinien

być wytworem ludzkiej tęsknoty, dość silnej, by wyciągnąć sobie bóstwo z kapelusza.

– Daniel – mówi Gertie. Jeśli matka jeszcze raz powtórzy jego imię, Daniel zacznie krzyczeć. – Nie mówisz poważnie.

– Mamuś, ty też nie wierzysz w Boga. Po prostu chcesz wierzyć.

Gertie trzepocze powiekami i ściąga wargi w ciup, ale nie rusza się z miejsca. Daniel kładzie jej dłoń na ramieniu i nachyla się, żeby pocałować matkę w policzek. Kiedy wychodzi, Gertie nadal stoi w kuchni.

* * *

Idzie za dom, do szopy. W środku leżą przybory ogrodnicze Miry: na wpół opróżnione paczki z nasionami, skórzane rękawiczki, srebrna konewka. Daniel zdejmuje z najniższej półki zielonego węża, żeby wyciągnąć ukryte za nim pudełko na buty. W środku kryje się mały pistolet. Kiedy Daniel zaciągnął się do wojska, przeszedł szkolenie z broni palnej. Zakup pistoletu wydawał się rozsądnym posunięciem. Nigdy z niego nie korzysta poza corocznymi wyprawami na strzelnicę w klubie myśliwskim Saugerties, ale w marcu odnowił licencję. Ładuje pistolet, chowa pod kurtkę i zabiera do samochodu. Możliwe, że będzie musiał zastraszyć Brunę, żeby z niej coś wyciągnąć.

Kiedy wjeżdża na autostradę, jest kilka minut po południu. Dopiero w Pensylwanii orientuje się, że zapomniał wyczyścić historię w przeglądarce.

27

Wczesnym popołudniem mija Scranton. Kiedy dojeżdża do Columbus, jest już prawie dziewiąta wieczorem. Ramiona ma zesztywniałe, głowa mu pęka, ale mimo to Daniel aż się trzęsie od taniej kawy i oczekiwań. Miejski krajobraz zaczyna ustępować miejsca coraz mniejszym mieścinom: Huber Heights, Vandalia, Tipp City. West Milton jest oznaczone niewielkim zielono-beżowym znakiem. Droga przez miasteczko zajmuje jakieś pięć minut. Płaskie domki obite blachą, potem łagodne wzgórza i szachownice pól. Nigdzie ani śladu kampera ani parkingu, ale Daniel się nie zniechęca. Gdyby zamierzał się tu ukryć, poszedłby do lasu.

Zerka na zegarek: 10.32, poza nim na drodze nie widać ani jednego samochodu. Wodospad z forum znajduje się przy skrzyżowaniu drogi 571 i 48, za sklepem meblowym. Daniel parkuje i podchodzi do skarpy. Nie dostrzega nic poza schodami – barierka rzeczywiście ledwo się trzyma. Schody są oblepione mokrymi liśćmi, poręcz cała w strupach z rdzy.

A jeśli Bruna wyjechała już z West Milton? Jeszcze za wcześnie, żeby się poddawać, mówi sobie Daniel, idąc z powrotem do auta. Las ciągnie się nieprzerwanie aż do następnego miasteczka. Nawet jeśli odeszła, to możliwe, że niezbyt daleko.

Rusza na północ, wzdłuż rzeki Stillwater, aż do Ludlow Falls, liczba mieszkańców: 209. Za rozległym trawnikiem przy Covington Avenue Daniel widzi most, przez który droga 48 przebiega nad kolejnym wodospadem, jak dotąd największym. Daniel parkuje przy krawędzi trawnika, wkłada wełniany płaszcz i chowa pistolet do kieszeni. Potem schodzi po zboczu, pod most.

Wodospad Ludlow Falls jest wysoki prawie na dwa piętra, woda huczy na kamieniach. Stare schody prowadzą co najmniej dziesięć metrów w dół wąwozu, na ścieżkę obok rzeki, ledwie widoczną w świetle księżyca.

Z początku Daniel schodzi powoli, potem coraz szybciej, dostosowując tempo do szerokości schodów.

Wąwóz jest poszczerbiony i nierówny, trudniej się w nim poruszać. Daniel co chwila zahacza płaszczem o gałęzie, dwa razy potyka się o powykręcane korzenie. Dlaczego wydawało mu się, że to dobry pomysł? Rów jest zbyt wąski, żeby zmieścił się tu kamper, a zjazd zbyt stromy. Daniel idzie dalej – ma nadzieję, że znajdzie kolejne schody albo ścieżkę prowadzącą wyżej, ale nadzieja prędko zmienia się w zmęczenie. W którymś momencie ślizga się na mokrej skalnej półce i musi ukucnąć, żeby nie zlecieć do rzeki.

Szoruje dłońmi po mchu i kamieniach. Spodnie ma przemoczone na kolanach. Serce spadło mu do żołądka i już tam zostało. Daniel ma jeszcze czas, żeby zawrócić. Mógłby wynająć pokój w motelu, doprowadzić się do porządku i wrócić do domu nad ranem. Powiedziałby Mirze, że zasnął w biurze. Może będzie wzburzona, ale mu uwierzy. Daniel jest wierny ponad wszystko.

Zamiast tego jednak odkleja się ostrożnie od skały, najpierw podnosi na kolana, potem wstaje. Dostrzega lepszą trasę dalej od wody, gdzie poszycie jest suche. Wąwóz zaczyna się zwężać i prowadzić ku górze. Daniel nie jest

pewien, ile czasu minęło, kiedy zauważa, że zostawił wodospad w oddali. Chyba obszedł go dookoła i jest teraz na południowej stronie.

Widzi, że wyżej rozciąga się płaski grunt. Przyspiesza niepewnie, chwyta się pni i niskich gałęzi, żeby wydostać się z wąwozu. Kiedy się wspina, wysilając oczy w ciemności, dostrzega, że część prześwitu blokuje jakiś kształt. Blady prostokąt.

Na polanie otoczonej gęstwiną drzew stoi kamper. Kiedy Daniel dosięga krawędzi rowu, jest już cały zdyszany, ale czuje taką energię, że mógłby pokonać dwa razy wyższe wzniesienie. Samochód jest spryskany błotem. Na dachu leżą grudy śniegu. Okna są zasłonięte, a na bocznej ścianie widnieje słowo *Regatta*, zapisane pochyłymi literami.

* * *

Daniel z zaskoczeniem odkrywa, że drzwi nie są zamknięte. Wspina się po schodkach i wchodzi do środka.

Oczy potrzebują kilku sekund na dostosowanie się do ciemności. Trudno coś dostrzec przy zasłoniętych oknach, ale Danielowi udaje się wychwycić kontury. Stoi w zatłoczonej części mieszkalnej, lewym kolanem dotyka wyświechtanej kanapy z obrzydliwym abstrakcyjnym wzorem. Naprzeciwko kanapy znajduje się stolik – choć to raczej duże słowo na deskę odchylaną od ściany – załadowany pudłami. Na lewo od stolika Daniel widzi umywalkę i wąski blat, zastawiony świeczkami i figurkami.

Wchodzi głębiej, mija wąską, ciasną toaletę, aż natrafia na zamknięte drzwi. Na samym środku znajduje się krzyż zawieszony na dwóch pinezkach. Daniel przekręca klamkę.

Pod ścianą stoi wąskie jednoosobowe łóżko. Przy nim skrzynka, na której Daniel dostrzega Biblię i talerz – pusty, jeśli nie liczyć plastikowego opakowania. Wyżej znajduje się niewielkie kwadratowe okno. Łóżko jest

zasłane flanelowym prześcieradłem w kratę i granatową pierzyną, spod której wystaje jedna stopa.

Daniel odkasłuje.

– Wstawaj.

Ciało pod kołdrą się porusza. Twarz ma przysłoniętą długimi kosmykami włosów. Kobieta powoli obraca się na plecy i otwiera jedno oko, potem drugie. Przez chwilę patrzy na Daniela pustym wzrokiem. Potem wciąga gwałtownie powietrze i podpiera się na materacu, żeby usiąść. Ma na sobie bawełnianą koszulę nocną we wzorek z maleńkich żółtych kwiatków.

– Mam pistolet. Ubieraj się – nakazuje Daniel. Już się nią brzydzi. Goła pięta kobiety jest szorstka i popękana. – Porozmawiamy sobie.

* * *

Prowadzi kobietę do salonu i każe usiąść na kanapie. Bruna idzie posłusznie, z granatową kołdrą owiniętą wokół ramion. Daniel odsłania czarne żaluzje, żeby lepiej ją widzieć w świetle księżyca.

Nadal jest przyciężka, choć okutana w pierzynę pewnie wydaje się większa niż w rzeczywistości. Włosy ma białe, potargane, zwisające aż do piersi. Jej twarz jest poznaczona siatką delikatnych pajęczych zmarszczek, tak precyzyjnych, jakby ktoś narysował je ostrym ołówkiem. Skórę pod oczami ma cienką, różowawą.

– Znam cię – mówi ochryple. – Pamiętam. Przyszedłeś do mnie w Nowym Jorku. Miałeś rodzeństwo, byli razem z tobą. Dwie dziewczynki i chłopiec.

– Już nie żyją. Chłopiec i jedna dziewczynka.

Kobieta ściąga wargi. Poprawia się pod kołdrą.

– Wiem, jak się nazywasz. Bruna Costello. Znam twoją rodzinę, słyszałem, za co ich zamknęli. Ale chcę dowiedzieć się więcej o tobie.

Dlaczego się tym zajmujesz, i dlaczego nam to zrobiłaś.

Ona nadal siedzi z zaciśniętymi ustami.

– Ja tobie nic nie mam do powiedzenia.

Daniel wyjmuje z wewnętrznej kieszeni płaszcza pistolet i strzela dwa razy w aluminiową podłogę. Kobieta skrzeczy i zasłania uszy; kołdra zsuwa się na bok. Pod obojczykiem Bruna ma bliznę, białą i lśniącą jak ścieżka zaschniętego kleju.

– To mój dom – mówi. – Ty nie masz prawa tego robić.

– Zrobię coś gorszego. – Daniel celuje jej w twarz, lufa pistoletu zawisa na wysokości nosa kobiety. – Więc gadaj. Od początku. Wywodzisz się z kryminalistów.

– Ja nie rozmawiam o mojej rodzinie.

Daniel celuje w górę, znów strzela. Pocisk przebija się przez sufit i rozcina niebo na zewnątrz. Bruna wrzeszczy. Jedną ręką znów podciąga kołdrę na ramiona. Drugą wyciąga na wprost, otwartą dłonią ku Danielowi, jakby próbowała go zatrzymać.

– *Drabarimos* to dar od Boga. Moja rodzina nie używała go dobrze. Oni są zacofani, nieuczciwi, nawet się za siebie nie oglądną. Ja inne rzeczy robię. Ja mówię o życiu. O błogosławieństwach od Boga.

– Wiesz, że oni wszyscy siedzą, prawda? Że ich złapali?

– Słyszałam. Ale ja nie rozmawiam z nimi. Ja nie mam z tym cokolwiek wspólnego.

– Gówno prawda. Wy wszyscy trzymacie się w stadach, jak szczury.

– Nie ja – upiera się Bruna. – Nie ja.

Kiedy Daniel odsuwa pistolet, kobieta opuszcza rękę. W jej oczach szklą się łzy. Może mówi prawdę. Może rodzina wydaje się jej tak samo odległa, jak Danielowi Klara, Simon i Saul – jakby byli częścią jakiegoś innego życia.

Ale nie może teraz zmięknąć.

– Dlatego odeszłaś z domu?

– To jest część.

– A jakie jeszcze miałaś powody?

– Byłam dziewczyną. Nie chciałam być nikogo żoną, nikogo matką. Jak masz siedem lat, to sprzątasz dom. Jedenaście, dwanaście – pracujesz. Czternaście, masz męża. A ja chciałam się uczyć, zostać pielęgniarką, ale nie miałam szkoły. Tylko ciągle „*Shai drabarel, shai drabarel?*”. Czy ona umie przyszłość czytać. No to uciekłam. Robiłam, co umiałam, czytałam przyszłość. Ale mówię sobie, ja będę inaczej. Jeśli nie muszę, to bez zapłaty. Żadnych tych magicznych głupot. Taką miałam klientkę wiele lat, ani razu nie prosiłam o pieniądze. Mówię jej, „Naucz mnie. Naucz mnie czytać”. Ona się śmieje i pyta, czy z dłoni. A ja jej mówię, nie, gazetę. – Drży jej warga. – Mam piętnaście lat – ciągnie. – Mieszkam w motelu. Nie umiem napisać ogłoszenia. Nie umiem przeczytać umowy. Uczę się, ale patrzę, co trzeba zrobić, żeby być pielęgniarką, studia i tak dalej, a ja miałam siedem lat, jak mnie ze szkoły zabrali. Wiem, że nie dam rady. No to mówię sobie, okej, mam dar – dalej go mam. Może cała rzecz w tym, jak go użyję.

Pod koniec monologu z Bruny uchodzi powietrze. Daniel widzi, jaka jest nieszczęśliwa, że musi mu się z tego zwierzać.

– Mów dalej – nakazuje.

Kobieta bierze świszczący wdech.

– Chciałam coś dobrego zrobić. No to myślę sobie, co robi pielęgniarka? Pomaga ludziom, co cierpią. A dlaczego cierpią? Bo nie wiedzą, co z nimi będzie. A gdybym mogła z nich to zdjąć? Jeśli dostaną odpowiedź, to będą wolni, tak sobie pomyślałam. Jeśli będą wiedzieli, kiedy umrą, to będą mogli naprawdę żyć.

– Czego chcesz od ludzi, którzy do ciebie przychodzą? Nie pieniędzy – to czego?

– Nic. – Oczy już prawie wyłażą jej z orbit.

– Gówno prawda. Chciałaś mieć władzę. Byliśmy dziećmi, okręciłaś nas sobie wokół palca.

– Nie kazałam wam przychodzić.

– Reklamowałaś swoje usługi.

– Nieprawda. Sami żeście mnie znaleźli.

Bruna się ożywia, na jej twarzy maluje się oburzenie. Daniel próbuje sobie przypomnieć, czy rzeczywiście tak było. Jak on o niej usłyszał? Podsłuchał chłopaków w sklepie. Ale skąd oni wiedzieli o Brunie? Ona musiała to jakoś zacząć.

– Nawet gdyby to była prawda, trzeba było nas pogonić. Byliśmy dziećmi, a ty powiedziałaś nam rzeczy, jakich żadne dziecko nie powinno słyszeć.

– Wszystkie dzieci myślą o śmierci. Każdy o tym myśli! A jak komu się uda mnie znaleźć, to znaczy, że miał swoje powody, każdy z nich, więc daję im to, po co przyszli. Dzieci mają czyste życzenia, są odważne. Chcą wiedzieć, nie boją się tego. Pamiętam cię, zadziorny był z ciebie chłopaczek. Ale nie podobało ci się, co usłyszałeś. To mi nie wierz – nie musisz mi wierzyć! Żyj, jakbyś mi nie wierzył.

– Właśnie tak żyję.

Daniel czuje się zbity z tropu. Zmęczenie i zimno dają mu się we znaki – jak Bruna znosi taką temperaturę? – długa jazda, myśl o Mirze znajdującej jego rozbity telefon na podłodze.

– Znasz swoją własną przyszłość? – pyta. – Wiesz, kiedy umrzesz?

Wydaje mu się, że Bruna dygocze. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że kobieta potrząsa przecząco głową.

– Nie, nie wiem. Nie mogę siebie zobaczyć.

– Nie możesz siebie zobaczyć – powtarza Daniel. Rozkwita w nim okrutne zadowolenie. – To musi cię doprowadzać do szału.

Bruna jest w wieku jego matki, mają podobną posturę. Ale Gertie jest krzepka. Bruna wydaje się jednocześnie krucha i rozdęta.

– A jeśli to teraz? – Daniel znów celuje do niej z pistoletu.

Kobieta wciąga gwałtownie powietrze. Przyciska dłonie do uszu, kołdra ześlizguje się na podłogę, odsłaniając jej koszulę nocną i gołe nogi. Stopy ma skrzyżowane w kostkach i przyciśnięte do siebie, żeby zachować choć odrobinę ciepła.

– Odpowiedz – żąda Daniel.

– Jeśli teraz, to teraz – mówi Bruna. Jej głos jest cienki i piskliwy.

– Ale to nie musi się wydarzyć dzisiaj. – Daniel bawi się pistoletem. – Mógłbym to zrobić w każdej chwili. Nigdy nie będziesz wiedziała, kiedy pojawię się w twoim domu. Co byś wolała? Umrzeć teraz czy bez przerwy się zastanawiać? Czekać, czekać, chodzić na palcach, codziennie oglądać się za siebie, żyć dalej, podczas gdy wszyscy wokół ciebie umierają, a ty zastanawiasz się, czy to nie powinnaś być ty, aż się znienawidzisz za…

– To twój dzień! – krzyczy Bruna. Daniel jest zaskoczony nagłą zmianą w jej głosie: teraz jest niższy, pewniejszy. – Twój dzień, dzisiaj. Dlatego tu jesteś.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Że zrobiłem to przypadkiem? – mówi Daniel.

Bruna jednak spogląda na niego z podejrzliwością sugerującą zupełnie inną wersję wydarzeń: taką, w której Daniel wcale nie pojawił się na jej progu celowo, lecz został tu przywiedziony przez tę samą siłę, która popychała Simona i Klarę. W tej wersji jego decyzja od początku była

zaplanowana przez los, bo kobieta potrafi zobaczyć rzeczy, których Daniel nie rozumie – albo po prostu jest na tyle słaby, że w to wierzy.

Nie. Simona i Klarę pociągnął ku śmierci nieuświadomiony magnetyzm. Daniel jest w pełni władz umysłowych. A jednak te dwie narracje unoszą się obok siebie jak iluzja optyczna – wazon czy dwie twarze? – każda perspektywa jest równie przekonująca, lecz rozpływa się, gdy tylko Daniel przestaje koncentrować na niej uwagę.

Ale jest jeden sposób, by utrwalić jego własną wersję wydarzeń i sprawić, by ta druga na zawsze pozostała tylko spekulacją. Nie jest pewien, czy ta myśl przyszła mu do głowy teraz, czy może tkwiła w nim od chwili, kiedy zobaczył zdjęcie kobiety.

Bruna zerka na lewo, a Daniel zamiera w miejscu. Z początku słyszy tylko szum wodospadu, ale po chwili wychwytuje jeszcze jakiś odgłos: powolny, miękki chrzęst kroków w wąwozie.

– Nie ruszaj się – nakazuje kobiecie.

Przechodzi do szoferki. Kiedy jego oczy przywykają do mroku, dostrzega ciemny kształt przemykający przez wąski rów.

– Uciekaj – mówi Bruna. – Idź.

Kroki rozlegają się coraz bliżej, przyspieszają, Danielowi zaczyna walić serce.

– Daniel? – woła go ktoś.

Trasa do West Milton na ekranie komputera. Wizytówka obok podkładki na myszkę. Mira musiała je znaleźć. Pewnie zadzwoniła do Eddiego.

– Daniel! – krzyczy policjant.

Daniel jęczy ze złości.

– Mówię, żebyś uciekał – powtarza Bruna.

Ale Eddie jest już za blisko. Daniel widzi postać wdrapującą się na krawędź wąwozu. Agent wchodzi na polanę. Danielowi przewraca się

w żołądku. Z trzaskiem podnosi składany stolik ku ścianie, pudła sypią się na podłogę. Prawie w tej samej chwili przewracają się składane metalowe krzesełka.

– Dobrze – mówi ostro kobieta. – Wystarczy.

Ale Daniel nie może się powstrzymać. Przeraża go własny strach, nagła, niepowstrzymana siła tego uczucia. To nie on, to nie jest jego: musi to z siebie wyrwać z korzeniami. Podchodzi do lady przy umywalce i zmiata religijne figurki na podłogę lufą pistoletu. Wysypuje na ziemię zawartość pudeł leżących na przednich siedzeniach: gazety, jedzenie w puszkach, karty do gry i tarota, stare dokumenty i fotografie. Bruna krzyczy, ciężko podnosi się z kanapy, ale Daniel wymija ją i podchodzi do drzwi sypialni. Zrywa drewniany krzyż z kołków i ciska nim o ścianę kampera.

– Nie masz prawa tego robić – woła Bruna, chwiejąc się na nogach. Białka jej oczu przecinają czerwone żyłki, spuchnięte powieki lśnią w słabym świetle. – To mój dom. Mieszkam tu od lat i nigdzie się nie wybieram. Nie masz prawa. Jestem Amerykanką, tak samo jak ty.

Daniel chwyta ją za nadgarstek. Jest cienki jak kurza kość.

– Nie jesteśmy tacy sami – cedzi.

Drzwi *Regatty* otwierają się gwałtownie, Eddie staje w progu. Jest w cywilu, ma na sobie skórzaną kurtkę i dżinsy, ale w jednej dłoni trzyma odznakę, a w drugiej pistolet.

– Daniel – mówi. – Rzuć broń.

Daniel potrząsa głową. Tak rzadko zachowywał się odważnie. Teraz się nie zawaha – dla Simona, który przez całe życie musiał ukrywać swoją seksualność i dopiero po śmierci doczekał się zrozumienia. Dla Klary o obłędnym spojrzeniu, zwisającej z żyrandola. Dla Saula, który pracował po dwanaście godzin dziennie, żeby jego dzieci nie musiały, i dla Gertie, która straciła ich wszystkich.

Dla Daniela to jest akt wiary. Nie w Boga, lecz we własną moc sprawczą. Daniel nie wierzy w przeznaczenie, on wierzy w wybór. Miał żyć. On będzie żyć. To wiara w życie.

Nadal trzyma Brunę za delikatny nadgarstek. Unosi pistolet do jej skroni, a kobieta mocno zaciska oczy.

– Daniel! – ryczy Eddie. – Będę strzelać!

Ale Daniel ledwo go słyszy. Poczucie wolności i wszechogarniające przekonanie, że jest niewinny, wypełniają go i unoszą niczym hel. Schyla głowę i patrzy na Brunę Costello. Przez tyle lat Daniel wierzył, że odpowiedzialność unosi się między nimi jak powietrze. Teraz nie potrafi sobie przypomnieć, co takiego miało ich łączyć.

– *Akana mukav tut le Devlesa* – mamrocze z trudem Bruna, prawie niesłyszalnie. – *Akana mukav tut le Devlesa*. Teraz zostawiam cię Bogu.

– Słuchaj, Daniel – mówi Eddie. – Jeśli to zrobisz, nie będę mógł ci pomóc.

Daniel ma wilgotne ręce. Odbezpiecza pistolet.

– *Akana mukav tut le Devlesa* – szepcze Bruna. – Teraz zostawiam cię…

CZĘŚĆ CZWARTA

Miejsce życia

2006–2010

Varya

28

Frida jest głodna.

Varya wchodzi do wiwarium o 7.30, ale małpa już stoi w klatce i szarpie za pręty. Większość zwierząt na widok Varyi piszczy i szczebiocze, wiedząc, że jej wizyta poprzedza śniadanie, ale Frida od tygodni wita ją jedynie ostrym szczekaniem.

– Ćśśś – uspokaja ją Varya. – Ćśśś.

Każda małpa dostaje karmnik z łamigłówką – to zmusza zwierzęta do zapracowania na posiłek, tak jak w naturalnym środowisku. Małpy przesuwają granulki jedzenia z jednego końca żółtego labiryntu na drugi, gdzie karma wypada przez dziurkę. Sąsiedzi Fridy rzucają się na karmniki, ale ona zostawia swój na podłodze. Zadanie nie stanowi dla niej wyzwania: Frida mogłaby wydobyć jedzenie z labiryntu w kilka sekund. Zamiast tego małpa wpatruje się w Varyę, po czym wybucha ostrzegawczym wrzaskiem. Pysk ma otwarty tak szeroko, że zmieściłaby się w nim pomarańcza.

Varya dostrzega jakiś ruch, ciemne włosy, dłoń na framudze. W drzwiach pojawia się głowa Annie Kim.

– Już tu jest – oznajmia.

– Przed czasem.

Varya ma na sobie niebieski kombinezon i dwie pary ciężkich rękawic do łokci. Krótkie włosy schowała pod foliowym czepkiem, na twarzy ma

maskę i plastikową osłonę. Mimo to odór moczu i piżma jest nie do zniesienia. Towarzyszy Varyi też w mieszkaniu i w laboratorium. Nie jest pewna, czy to jej własne ciało przejęło ten zapach, czy może tak do niego przywykła, że wszędzie go wyczuwa.

– Tylko pięć minut. Słuchaj – wzdycha Annie. – Im wcześniej się do tego zabierzesz, tym prędzej będzie po wszystkim. Jak wyrywanie zęba.

Niektóre małpy rozwiązały już swoje łamigłówki i domagają się kolejnej porcji jedzenia. Varyę swędzi coś w pasie; drapie się łokciem.

– Bardziej jak tygodniowa wizyta u dentysty.

– Większość konkursów o granty trwa o wiele dłużej – zauważa Annie, a Varya nie może powstrzymać śmiechu. – Pamiętaj: kiedy na niego spojrzysz, masz widzieć kupę pieniędzy.

Annie przytrzymuje stopą drzwi, żeby Varya mogła wyjść. Kiedy tylko zamykają się za nimi, jazgotu małp prawie nie słychać – brzmi jak dźwięk z telewizora gdzieś w oddali. Budynek jest cały z betonu, ma niewiele okien, a wszystkie pomieszczenia są dźwiękoszczelne. Varya idzie za Annie przez korytarz do ich wspólnego gabinetu.

– Frida dalej na strajku głodowym – mówi Varya.

– Jeszcze trochę i pęknie.

– Nie podoba mi się to. Ona mnie niepokoi.

– I myślisz, że o tym nie wie? – pyta Annie.

Gabinet ma kształt długiego prostokąta. Biurko Varyi stoi pod krótką zachodnią ścianą; stół należący do Annie przylega do długiej – południowej, na lewo od drzwi. Między ich biurkami, naprzeciwko drzwi, znajduje się stalowa laboratoryjna umywalka. Annie siada i obraca się na krześle w stronę monitora. Varya zdejmuje maskę i plastikowy ochraniacz, potem rękawice, kombinezon, czepek i plastikowe osłonki na buty. Myje ręce: trzy razy namydla i płucze w najgorętszej wodzie, jaką jest w stanie

wytrzymać. Potem poprawia ubranie: czarne spodnie, niebieską koszulę i czarny sweterek zapięty na górny guzik.

– No, ruszaj się. – Annie mruży oczy i wpatruje się w komputer. Jedną dłonią rusza myszką, w drugiej trzyma na wpół zjedzony batonik proteinowy. – Nie powinien być zbyt długo sam na sam z marmozetami. Jeszcze pomyśli, że wszystkie nasze małpy są takie milusie.

Varya masuje sobie skronie.

– Dlaczego nie mogę ciebie do niego wysłać?

– Pan Van Galder wyraził się bardzo jasno. – Annie nie odrywa wzroku od monitora, ale jej twarz rozciąga się w uśmiechu. – Ty jesteś liderką projektu. To ty masz fikuśne badania. Ze mną nie będzie gadać.

* * *

Varya wychodzi z windy. Dostrzega mężczyznę stojącego twarzą do zagrody marmozet. To jedyne wiwarium w instytucie dostępne dla zwiedzających. Ma niecałe trzy metry wysokości na dwa i pół szerokości, a ściany zrobione są z gęstej siatki, zabezpieczonej od zewnątrz szkłem. Mężczyzna nie odwraca się od razu, więc Varya może przyjrzeć mu się od tyłu. Ma jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, na głowie gęstwinę blond włosów, a jego ubranie bardziej nadawałoby się na wycieczkę po górach niż na zwiedzanie laboratorium: jakieś nylonowe spodnie i wiatrówka, a do tego plecak ze skomplikowanym systemem kieszeni i zapięć.

Marmozety tłoczą się przy siatce. Jest ich dziewięć: dwoje rodziców i ich dzieci, wszystkie poza jednym to bliźnięta dwujajowe. Dorosłe osobniki mierzą około osiemnastu centymetrów – czterdziestu, jeśli liczyć ekspresyjny prążkowany ogon. Pyszczki małpek są wielkości łupiny orzecha włoskiego, lecz mimo niewielkich rozmiarów mają niezwykle szczegółowe rysy, jak gdyby ktoś zaprojektował je w większej skali,

a potem doskonale skurczył. Ich nozdrza są wielkości główki od szpilki, czarne oczka wyglądają jak koraliki w kształcie migdałów. Jedna marmozeta przysiada na kartonowej tubie wznoszącej się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Małpka ma wywinięte stopy, a okrągłe, porośnięte gęstym futrem uda rozchyla na boki; w takiej pozycji wygląda jak dżin. Wydaje z siebie przeszywający gwizd, tylko nieznacznie tłumiony przez szkło. Gdy Varya zaczynała pracę w instytucie dziesięć lat temu, brała krzyki marmozet za alarm przeciwpożarowy dobiegający z głębi budynku.

– One tak mają, proszę się nie przejmować – odzywa się, podchodząc. – Wiem, jak to brzmi.

– Jak zapowiedź kataklizmu?

Mężczyzna się odwraca. Varya nie spodziewała się, że będzie taki młody. Jest chudy jak patyk, twarz ma ukrytą za dużym, zakrzywionym nosem. Ale ma też pełne wargi, a kiedy się uśmiecha, jego twarz okazuje się całkiem przystojna. Między przednimi zębami ma niewielką przerwę, która przydaje mu chłopięcego uroku. Oczy ukryte za okularami w srebrnej oprawce mają orzechowy kolor, prawie taki sam jak u Fridy.

– To sposób nawiązywania kontaktu – wyjaśnia Varya. – Marmozety mogą dzięki temu komunikować się na duże dystanse i witać nowo przybyłych. Makakom lepiej się tak nie przyglądać. Są mocno terytorialne, więc czują się wtedy zagrożone. Ale marmozety to ciekawskie stworzenia, bardziej uległe.

To prawda, że marmozety są mniej agresywne od innych małp, ale ten pisk z szeroko otwartego pyszczka komunikuje niepokój. Varya nie ma pojęcia, co w nią wstąpiło – dlaczego natychmiast skłamała, i to w tak błahej sprawie. Może wytrąciła ją z równowagi intensywność spojrzenia tego mężczyzny, który teraz przygląda się jej tak samo wnikliwie, jak przed chwilą małpom.

– Domyślam się, że mam przyjemność z doktor Gold.

– Dzień dobry, panie Van Galder.

Varya nie podaje mu ręki w nadziei, że on też tego nie zrobi, ale Van Galder wyciąga dłoń, więc jest zmuszona ją uścisnąć. Natychmiast zapisuje to sobie w pamięci – prawa.

– Wystarczy Luke.

Varya kiwa głową.

– Nie mogę cię zabrać do laboratorium, dopóki nie dostaniemy wyników twojego testu na gruźlicę. Więc pomyślałam, że dziś pokażę ci kampus.

– Nie marnuje pani czasu – zauważa Luke.

Przekomarza się z nią. Varya czuje się z tym niezręcznie. Dziennikarze lubią stosować tę taktykę: budują fałszywe poczucie bliskości, podlizują się, aż wreszcie człowiek tak się przy nich rozluźnia, że zaczyna mówić rzeczy, które w innej sytuacji rozsądek kazałby im zachować dla siebie. Ostatni dziennikarz, którego wpuścili do laboratorium, zrobił w telewizji taki reportaż, że sponsorzy dostali szału. Instytut postawił nową zagrodę do zabawy dla małp, żeby ich udobruchać. Oczywiście reporter postanowił wykorzystać tylko najbardziej pogrążający materiał z przebitkami na makaki szarpiące za klatki i jazgoczące, jakby ostatni raz jadły tydzień temu, a nie przed kwadransem.

Varya prowadzi Luke’a do westybulu przy wejściu. Za biurkiem siedzi przysadzisty ochroniarz i czyta gazetę.

– Clyde’a już poznałeś.

– Pewnie, zdążyliśmy się zakolegować. Dopiero co opowiedział mi o urodzinach swojej mamy.

– No, w zeszłym miesiącu skończyła sto jeden lat – oznajmia Clyde, składając gazetę. – Więc pojechaliśmy z braćmi do Daly City i zrobiliśmy jej przyjęcie. Nie może wychodzić z domu, no to pogadaliśmy z chórem

z jej kościoła i zapłaciliśmy, żeby przyszli jej zaśpiewać. Staruszka dalej pamięta wszystkie słowa.

Przez dziesięć lat pracy w laboratorium Varya nie zamieniła z Clyde'em ani słowa, nie licząc „dzień dobry" i „do widzenia". Teraz podchodzi do ciężkich stalowych drzwi i wbija najnowszy kod Annie na keypadzie przy wejściu.

– Twoja matka ma sto jeden lat?

– No mówię. To jej powinniście grzebać w środku, a nie tym małpom.

* * *

Instytut Gerontologii Drake'a to kompleks kanciastych białych budynków, zagnieżdżonych na wiecznie zielonych zboczach góry Burdell. Kampus zajmuje niewiele ponad dwieście hektarów i znajduje się trzy kilometry na południe od parku krajobrazowego Olompali i trzy kilometry na północ od Rancza Skywalkera, w okolicy niemal nietkniętej ręką człowieka. Kampus znajduje się na płaskowyżu mniej więcej w połowie wysokości góry; wśród wawrzynów kalifornijskich i zbitych gęstwin karłowatych dębów zalegają masywne wapienne kadłuby, przypominające obozowisko obcej cywilizacji. Varya nie może patrzeć na górskie zbocza i nieuporządkowaną roślinność – kolczaste, splątane krzewy, gałęzie wawrzynów opadające jak zapuszczone brody – ale Luke Van Galder wyciąga ręce nad głowę i wzdycha.

– Boże drogi – mówi. – Pracować w takim miejscu. Dwadzieścia stopni w marcu. Można spacerować po rezerwacie w przerwie na lunch.

Varya wyciąga z kieszeni okulary przeciwsłoneczne.

– Niestety, to raczej tak nie wygląda. Jestem w pracy o siódmej rano. Często nie mam pojęcia, jaka jest pogoda aż do wieczora, kiedy wracam do domu. Widzisz ten budynek? – Wskazuje palcem. – To główny ośrodek

badawczy. Zaprojektował go Leoh Chen. Jego prace są znane z wyrazistych rozwiązań geometrycznych – pewnie zostawiłeś samochód na parkingu dla gości, więc widziałeś, że ośrodek ma kształt półkola. Ze wszystkich stron są okna. Stąd wydają się małe, ale w rzeczywistości sięgają od podłogi do sufitu. – Varya przystaje. Są czterdzieści metrów od laboratorium naczelnych i czterysta metrów od głównego ośrodka. – Masz jakiś notes?

– Na razie słucham. Takie informacje mogę sprawdzić później.

– W porządku, jeśli uważasz taki sposób pracy za skuteczny.

– Zapoznaję się z otoczeniem. Będę tu cały tydzień. – Luke unosi brwi i się uśmiecha. – Może byśmy usiedli?

– Oczywiście, usiądziemy. Za jakiś czas. Ale zazwyczaj nie spotykam się z dziennikarzami. Na pewno zrozumiesz, że pewne informacje muszą być przekazywane w ruchu. Badanie jest tak zaprojektowane, że powinnam spędzać jak najmniej czasu poza laboratorium.

Varya ma metr siedemdziesiąt siedem, jej wzrok jest niemal na wysokości oczu Luke’a. Jego twarz oglądana zza ciemnych szkieł wydaje się nieco bledsza i bardziej płaska, ale malujące się na niej zaskoczenie nie traci na wyrazistości. Dlaczego jest taki zdziwiony? Bo Varya jest ostra i bezosobowa? Nie przeszkadzałoby mu takie zachowanie, gdyby kierownikiem laboratorium był mężczyzna. W pierwszej chwili czuła się trochę winna, że traktuje chłopaka obcesowo, ale teraz ogarnia ją pewność siebie. W świecie naczelnych jej zachowanie oznacza demonstrację dominacji nad innym osobnikiem.

Luke przerzuca sobie plecak pod pachę i wygrzebuje ze środka czarny dyktafon.

– Możemy?

– W porządku – zgadza się Varya.

Luke wciska guzik nagrywania, a ona znów zaczyna iść.

– Od kiedy pracujesz dla „Chronicle”?

Varya nie znosi pustych pogawędek, ale zmusza się do przyjaznego gestu. Alejka przechodzi w szerszy chodnik, okrążający główny budynek. Droga do laboratorium naczelnych to zaledwie wydeptana w trawie ścieżka. „Trzymają nas na uboczu, laboratorium dzikusów”, skomentowała kiedyś Annie, a Varya się roześmiała, choć nie była pewna, czy Annie mówi o małpach, czy o nich dwóch.

– Nie pracuję dla nich – odpowiada Luke. – Jestem freelancerem. To pierwszy materiał, jaki dla nich robię. Pracuję z Chicago, zwykle piszę dla „Tribune”. Nie widziała pani mojego CV?

Varya potrząsa głową.

– Takimi rzeczami zajmuje się doktor Kim.

Wprawdzie Annie jest badaczką, a nie osobą od kontaktów z mediami, ale gładko weszła w tę rolę. Varya nieprzerwanie czuje wdzięczność za swobodę, z jaką Annie komunikuje się z dziennikarzami, więc żeby wynagrodzić koleżance dodatkową pracę, zgodziła się na wywiad dla „San Francisco Chronicle”. Laboratorium naczelnych właśnie weszło w drugą dekadę dwudziestoletniego projektu. W tym roku będą brać udział w konkursie o grant. Oficjalnie rozgłos nie ma wpływu na finansowanie badań. Nieoficjalnie – fundacje wspierające instytut lubią widzieć, że pomagają w ważnej sprawie, która cieszy się zainteresowaniem mediów i – w przypadku badań na naczelnych – poparciem społeczeństwa.

– Pracowałeś kiedyś w newsroomie?

– Na studiach. Byłem redaktorem naczelnym studenckiej gazety.

Varya prawie wybucha śmiechem. Annie doskonale wiedziała, co robi. Luke Van Galder to dzieciak.

– Ciekawy zawód. Każde zlecenie jest inne – stwierdza, choć tak naprawdę takie rzeczy w ogóle jej nie ekscytują. – Co studiowałeś?

– Biologię.

– Tak jak ja. A gdzie?

– Na Świętym Olafie. Taki mały college pod Minneapolis. Wychowałem się na farmie w Wisconsin. Minneapolis było wystarczająco blisko domu.

Ubranie Varyi jest odpowiednie do pracy w laboratorium, gdzie nie dociera światło dzienne i zawsze jest zimno, ale teraz robi się jej gorąco. Zaczyna się pocić na słońcu, więc czuje ulgę, kiedy docierają do głównego budynku, otoczonego schludnie przyciętą trawą i świeżo posadzonymi drzewami. Varya prowadzi Luke'a przez okrągły podjazd. Wchodzą do środka przez drzwi obrotowe.

– Ja pierniczę – wyrywa się Luke'owi, kiedy stają w lobby.

Pomieszczenie jest okazałe i przestronne, rozciąga się do góry na wysokość dwóch pięter. Tu i ówdzie rosną drzewa w wapiennych donicach wielkości dziecięcych baseników. Podłogi są z importowanego białego marmuru; ciągną się w nieskończoność, jak przestrzeń centrum handlowego. Pod zachodnią ścianą tłoczy się grupka zwiedzających – znajdują się tam płaskie ekrany z filmami edukacyjnymi i interaktywna wystawa. Druga grupa idzie za przewodnikiem w stronę windy. Luke patrzy za nimi, a Varya wie dlaczego: windy w budynku są naprawdę spektakularne. To nowoczesne bryły ze szkła i stali, z których roztacza się widok na zatokę San Pablo – ale jedynym pracownikiem korzystającym z tej wygody jest siedemdziesięciodwuletni naukowiec przykuty do wózka inwalidzkiego przez reumatoidalne zapalenie stawów, który zajmuje się badaniem nicienia *C. elegans*. Wszyscy pozostali wchodzą po schodach, nawet ci pracujący na siódmym piętrze, chyba że są chorzy albo doznali jakiegoś urazu.

– Tędy. – Varya wskazuje kierunek. – Porozmawiamy w atrium.

Luke zostaje w tyle; nie może przestać się rozglądać. Atrium jest wzorowane na Luwrze: szklana piramida, z której rozciąga się widok na Pacyfik i górę Tamalpais. Pomieszczenie pełni też funkcję kawiarni – przestrzeń zajmują okrągłe stoliki i bar, przy którym ustawiło się już z dziesięciu turystów. Varya zatrzymuje się przy najodleglejszym stoliku i siada, wieszając torebkę na podłokietniku.

– Nie zawsze są tu takie tłumy – wyjaśnia. – W każdy poniedziałek rano organizujemy zwiedzanie z przewodnikiem.

Varya pochyla się lekko w przód, tak by dotykać oparcia tylko dolną częścią pleców: to akt chwiejnej dyscypliny, zagrożenie równoważone ciągłą czujnością. Jak gdyby dyskomfort był ceną, jaką Varya musi płacić za swoje bezpieczeństwo. Kiedyś, gdy była dzieckiem, położyła się na górnym poziomie piętrowego łóżka i oparła brudną stopę o sufit. Ot, tak – żeby przekonać się, jakie to uczucie. Noga zostawiła na białym tynku ciemny ślad. Kiedy nadeszła noc, Varya bała się, że maleńkie cząsteczki brudu oprószą jej twarz, kiedy będzie spała, więc całą noc nie zmrużyła oka i obserwowała czarną smugę. Nie zobaczyła, żeby cokolwiek z niej spadło, ale to nie stanowiło żadnej gwarancji. Gdyby Varya zasnęła – gdyby nie pilnowała – brud mógłby posypać się na nią z sufitu.

– Opinia publiczna musi się wami bardzo interesować – zauważa Luke i siada naprzeciwko.

Ściąga wiatrówkę – jest jaskrawopomarańczowa, jak kamizelka ostrzegawcza – i przerzuca ją przez oparcie krzesła.

– Ilu ludzi tu pracuje?

– Mamy dwadzieścia dwa laboratoria. Każde ma kierownika i przynajmniej troje innych pracowników, czasami więcej, nawet do dziesięciu osób. To naukowcy, profesorowie, badacze, zootechnicy laboratoryjni, opiekunowie zwierząt, pracownicy naukowi, doktoranci,

stypendyści. Większe laboratoria zatrudniają też ludzi do administracji. Tak jest na przykład w laboratorium profesor Dunham, która bada neurotransmisję u chorych na Alzheimera. Oczywiście oprócz tego trzeba też liczyć osoby z obsługi, ochronę i ekipę sprzątającą. W sumie? Około stu siedemdziesięciu pracowników, w większości naukowcy.

– I wszyscy pracujecie nad sposobami zapobiegania starzeniu?

– Wolimy termin „długowieczność”. – Varya mruży oczy: wprawdzie wybrała miejsce w zacienionej części atrium, ale słońce zmieniło już pozycję i metalowy blat stolika odbija światło. – Kiedy mówi się o zapobieganiu starzeniu, ludzie wyobrażają sobie science fiction, kriogenikę, emulację mózgu. Ale nasz Święty Graal to coś więcej niż wydłużenie życia. Zależy nam na wydłużeniu zdrowia, czyli poprawie jakości życia na jego późniejszym etapie. Na przykład doktor Bhattacharya pracuje nad nowym lekiem na Parkinsona. Badania doktora Cabrillo mają na celu udowodnienie, że wiek stanowi największy czynnik ryzyka w rozwoju nowotworów. A doktor Zhang zdołała doprowadzić do cofnięcia chorób serca u myszy w podeszłym wieku.

– Ale na pewno macie też sporo krytyków, w końcu wielu ludzi uważa, że nasze życie i tak jest już dość długie. Mówi się o braku jedzenia, przeludnieniu, chorobach. Nie wspominając nawet o ekonomii, odwróconej piramidzie wieku i polityce; trzeba zadać sobie pytanie, kto najbardziej na tym skorzysta.

Varya jest przygotowana na takie pytania, bo z krytyką musi się mierzyć bezustannie. Kiedyś zaproszono ją na kolację, podczas której jeden z gości, prawnik zajmujący się ochroną środowiska, zapytał, dlaczego Varya nie zajmuje się ochroną zagrożonych gatunków, skoro tak jej zależy na podtrzymywaniu życia. Przecież niezliczone ekosystemy, rośliny i gatunki zwierząt są dziś na granicy wymarcia, mówił. Czy Varya nie uważa, że

redukcja emisji dwutlenku węgla albo ocalenie walenia błękitnego przed wyginięciem to pilniejsze sprawy niż rozciągnięcie ludzkiego życia o kolejne dziesięć lat? Poza tym – wtrąciła jego żona, ekonomistka – wydłużenie przewidywanej długości życia napompuje koszty opieki społecznej i medycznej, a kraj pogrąży się w jeszcze większym zadłużeniu niż dotychczas. Co Varya sądzi na ten temat?

– Oczywiście – odpowiada Luke'owi. – I właśnie dlatego tak nam zależy, żeby Instytut Drake'a zachował pełną przejrzystość. Co tydzień oprowadzamy gości po ośrodku, wpuszczamy dziennikarzy takich jak ty do laboratoriów, bo dzięki temu możemy być zupełnie szczerzy. Ale wiemy, jakie są fakty: każda decyzja i każde badanie przyniesie pewnym grupom korzyści, a innym nie. Musimy zdecydować, komu chcemy być lojalni. Ja postanowiłam być wierna ludziom.

– Niektórzy mogliby uznać, że to samolubne.

– Owszem. Ale rozwińmy ten argument logicznie. Czy w takim razie powinniśmy przestać szukać leków na raka? Nie pomagać chorym na HIV? Może należałoby odciąć opiekę zdrowotną dla starszych ludzi i skazać ich na to, co przyniesie los? W teorii masz rację, ale zapytaj kogoś, komu ojciec umarł na chorobę serca albo kto miał partnera z Alzheimerem. Porozmawiaj z nimi przed i po tym przeżyciu – zapytaj, czy popierają nasze badania. Gwarantuję, że po przejściu czegoś takiego każdy powie, że robimy coś dobrego.

– Ach. – Luke nachyla się nad stolikiem i składa dłonie, opierając je na blacie. Rękaw jego kurtki zsuwa się z krzesła i dotyka podłogi. – Więc to osobista sprawa.

– Naszym celem jest minimalizacja ludzkiego cierpienia. Czy to mniej istotny imperatyw moralny od ratowania wielorybów? – To jej karta przetargowa. Tymi słowami ucisza znajomych na przyjęciach

i nieuniknione pytania z publiczności na konferencjach i wykładach. – Twoja kurtka. – Varya się krzywi.

– Co?

– Kurtka spadła ci na ziemię.

– Och.

Luke wzrusza ramionami i zostawia wiatrówkę na podłodze.

29

Kiedy Varya wychodzi z laboratorium, słońce barwi już niebo na pudrowy róż. W połowie drogi przez most Golden Gate widzi, jak latarnie rozbłyskują pomarańczowym światłem. Przejeżdża przez Land's End, mija muzeum Legion of Honor i wille w dzielnicy Seacliff, po czym zatrzymuje się na parkingu dla gości w Geary. Podpisuje się w recepcji i przechodzi przez wewnętrzne podwórko do budynku Gertie. Matka Varyi mieszka w domu opieki Pomocne Dłonie od dwóch lat. Przez kilka pierwszych miesięcy po śmierci Daniela przebywała w Kingston, a Mira i Varya zastanawiały się, co zrobić. Ale w maju 2007 roku Mira wróciła z pracy i zobaczyła Gertie na podwórku; teściowa straciła przytomność w drodze z ogrodu do domu. Gertie leżała z policzkiem przyciśniętym do ziemi, przy jej brodzie zdążyła się już zgromadzić błyszcząca kałuża śliny. Prawe ramię miała umazane krwią; skaleczyła się o drut kolczasty na ogrodzeniu. Mira wrzasnęła z przerażenia, ale szybko przekonała się, że Gertie jest w stanie podnieść się na nogi, a nawet samodzielnie chodzić. W szpitalu lekarze zrobili jej tomografię i badanie krwi i stwierdzili, że Gertie miała udar.

Varya była wściekła. Nie dałoby się znaleźć na to innego słowa. Prawie nie było w niej żalu – tylko rozgrzewająca do białości furia, tak intensywna, że kiedy Varya usłyszała w końcu głos matki, aż zrobiło jej się słabo.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś po Mirę? – spytała. – Mogłaś wstać. Mogłaś chodzić. Więc dlaczego nie poszłaś do domu i nie zadzwoniłaś do Miry – albo do mnie, jeśli nie chciałaś jej niepokoić?

Przycisnęła mocniej komórkę do ucha. Ciągnęła walizkę przez terminal w San Francisco, niedługo miała wsiąść w samolot do Nowego Jorku.

– Myślałam, że umieram – wyznała Gertie.

– Ale pewnie szybko się zorientowałaś, że jednak nie.

Cisza ciągnęła się w nieskończoność. Varya usłyszała w niej to, o czym już wiedziała, prawdziwą przyczynę swojej złości. Miałam nadzieję, że umieram, chciała powiedzieć matka. Chciałam umrzeć. Gertie nie musiała tego mówić. Varya wiedziała. Wiedziała też dlaczego – oczywiście, że wiedziała – a jednak wydawało jej się niepojętym okrucieństwem, że Gertie miałaby ją teraz zostawić – i to z własnej woli, teraz, kiedy zostały już tylko we dwie.

Po kilku tygodniach u Gertie pojawiły się komplikacje. Wszystko jej się mieszało. Straciła czucie w lewej ręce i pogorszył jej się zmysł równowagi. Przez sześć miesięcy mieszkała z Varyą, ale po kilku niebezpiecznych upadkach stało się jasne, że matka potrzebuje całodobowej opieki. Obejrzały trzy różne ośrodki, aż w końcu zdecydowały się na Pomocne Dłonie – Gertie spodobał się budynek, pomalowany na kremowo i błękitno, z żółtym daszkiem nad każdym oknem, bo przypominał jej domek, który rodzina Goldów wynajmowała w każde wakacje na plaży w New Jersey. I mieli też bibliotekę.

Varya wchodzi do pokoju matki, a Gertie wstaje ze spłowiałego fotela i chwiejnie podchodzi do drzwi na miękkich, pulchnych kostkach. Pielęgniarki w ośrodku sugerowały, żeby Gertie poruszała się wyłącznie na wózku, ale Gertie go nie znosi i wykręca się od tego przy każdej okazji, jak nieposłuszna nastolatka uciekająca rodzicom w tłumie.

Gertie chwyta Varyę za ramiona.

– Inaczej wyglądasz.

Varya schyla się, żeby pocałować matkę w delikatny, aksamitny policzek. Przez większość życia ukrywała haczykowaty nos pod długimi włosami. Ale teraz jest już siwa, więc w zeszłym tygodniu ostrzygła się na krótko.

– Dlaczego jesteś cała na czarno? I te włosy, jak z *Dziecka Rosie*?

– *Dziecka Rosemary*? – Varya marszczy brwi. – Ona była blondynką.

Rozlega się lekkie pukanie do drzwi. Wchodzi pielęgniarka z obiadem dla Gertie: sałatka, pierś z kurczaka pod błoną galarety i bułka z porcją masła zawiniętą w sreberko.

Gertie wdrapuje się na łóżko i uruchamia mechanizm, który rozkłada przed nią niewielki stolik. Z początku nie znosiła ośrodka. Tak na to mówiła – „ośrodek”, zamiast „dom opieki”, jak wolała nazywać to miejsce Varya – i co tydzień próbowała z niego uciec. Osiemnaście miesięcy temu – po tym, jak zadzwoniła do salonu Don Dorfman’s Auto Emporium, próbując kupić Volvo S40 za pomocą od dawna nieważnej karty kredytowej Saula – lekarz przepisał Gertie antydepresant i jej stan się poprawił. Teraz chodzi na wykłady uniwersytetu trzeciego wieku o wielkich bitwach drugiej wojny światowej i cieszące się popularnością wśród rezydentek ośrodka zajęcia „Romanse z władzą (kobiety prezydentów)”. Rozgrywa partyjki mahjonga z grupką terkotliwych wdów. Korzysta z biblioteki i nawet z basenu – dryfuje na dmuchanym materacu jak celebrytka na prywatnej plaży i pokrzykuje do każdego, kto znajdzie się w zasięgu jej głosu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie pójdziesz ze mną na stołówkę – wzdycha Gertie, kiedy pielęgniarka wychodzi. – Mogłybyśmy usiąść normalnie przy stole i porozmawiać z ludźmi. Może nawet byś coś zjadła.

Ale w towarzystwie nowych koleżanek Gertie Varya czuje się nieswojo. Bez przerwy plotkują: czyj syn ma przyjechać z wizytą, czyja wnuczka ostatnio urodziła. Kiedy dowiedziały się, że Varya nie tylko nie ma dzieci, ale nawet nie jest zamężna, były najpierw zszokowane, a potem zaczęły nad nią gdakać z litością. Nie zainteresowały się jej pracą naukową, która przecież ma na celu pomagać właśnie takim ludziom jak one.

– Ale tak bez dzieci? – drążyły, jakby Varya za pierwszym razem je okłamała. – W ogóle nikogo w życiu nie masz? Straszna szkoda.

Varya staje przy łóżku Gertie. Chwilę milczy.

– Przychodzę tu spotkać się z tobą. Nie muszę z nikim innym rozmawiać. I już ci mówiłam, nigdy nie jem o tej porze. Nie przed…

– Siódmą trzydzieści. Wiem.

Na twarzy Gertie maluje się jednocześnie upór i rozżalenie. Zna Varyę lepiej niż ktokolwiek inny, wie o jej największej tajemnicy i pewnie domyśla się wielu innych. Od pewnego czasu wizyty Varyi kończą się sprzeczkami – Gertie próbuje naciskać na starannie ulepioną skorupę Varyi, a córka uparcie umacnia fortyfikacje, upierając się, że są jej naprawdę potrzebne.

– Mam coś dla ciebie – oznajmia Varya.

Podchodzi do niewielkiego kwadratowego stolika przy oknie i rozpakowuje zakupy z brązowej papierowej torby. Tomik poezji Elizabeth Bishop, wyszperany na kiermaszu bibliotecznym; słoik ogórków w zalewie koperkowej marki Milwaukee’s, hołd dla Saula; na końcu wyjmuje bukiet bzów i zabiera go do ciasnej łazienki Gertie. Przycina końcówki gałązek nad koszem na śmieci, podstawia pod kran wysoką szklankę i wraca do pokoju. Stawia bukiet na stoliku.

– Mogłabyś się już tak nie kręcić – stęka Gertie.

– Przyniosłam ci kwiaty.

– To się uspokój i na nie popatrz.

Varya posłusznie przystaje i przygląda się bzom. Szklanka jest za krótka. Jedna gałąź wychyla się idiotycznie na bok. Długo nie pożyją.

– Bardzo ładne – mówi Gertie. – Dziękuję.

Kiedy Varya rozgląda się po pokoju i widzi nijaki plastikowy stolik, parapet zasłany miękką warstwą kurzu i szpitalne łóżko, które Gertie przykryła wyświechtaną kapą zrobioną przez matkę Saula na szydełku, dociera do niej, dlaczego kwiaty podobają się Gertie. Bzy odcinają się od smętnego otoczenia. Wydają się tak kolorowe, jakby ktoś je namalował.

Varya odsuwa od stolika składane metalowe krzesełko i stawia je przy łóżku Gertie. Fotel stoi bliżej, ale ma szorstkie, poplamione obicie. Kto wie, ilu ludzi na nim siedziało.

Gertie rozpakowuje masło i rozkrawa maleńką kostkę plastikowym nożem.

– Masz dla mnie zdjęcie?

Varya pamiętała, choć co tydzień ma nadzieję, że Gertie zapomni zapytać. Dziesięć lat temu popełniła wielki błąd i sfotografowała Fridę nowym telefonem. Małpka dopiero co przyjechała do instytutu po trzydniowej podróży z laboratorium naczelnych w Georgii. Miała dwa tygodnie: jej różowy pyszczek w kształcie gruszki był cały pomarszczony. Ssała oba kciuki jednocześnie. Wtedy Gertie mieszkała jeszcze sama na Manhattanie. Varyi żal było matki żyjącej w odosobnieniu, więc wysłała jej zdjęcie Fridy mailem. Natychmiast uświadomiła sobie swój błąd. Dopiero od miesiąca pracowała w instytucie, a razem z umową dostała do podpisania rygorystyczną klauzulę poufności. Ale Gertie zareagowała na zdjęcie taką radością, że Varya wkrótce wysłała jej kolejną fotografię – tym razem z Fridą owiniętą w zielononiebieski kocyk, z butelką w pyszczku.

Dlaczego nie przestała tego robić? Z dwóch powodów. Po pierwsze, dzięki zdjęciom może pokazać Gertie, czym się zajmuje – matka nigdy do końca nie rozumiała jej badań, a do tej pory Varya pracowała z drożdżami i octówkami, organizmami tak małymi i nieciekawymi, że Gertie nie mogła pojąć, jak córka zamierza nauczyć się z nich czegokolwiek, co przydałoby się ludziom. A po drugie, zdjęcia sprawiały Gertie radość; Varya sprawiała Gertie radość.

– Mam coś lepszego – oznajmia teraz. – Filmik.

Twarz Gertie wyraża czysty zachwyt. Jej dłonie, zgrubiałe i powykręcane przez artretyzm, sięgają po telefon tak niecierpliwie, jakby córka właśnie przyniosła jej wieści o wnuku. Varya pomaga matce przytrzymać telefon i naciska „play”. Frida się myje, patrząc w lustro zawieszone przed jej klatką. Lustro stanowi element wzbogacający, podobnie jak karmniki z zagadkami i muzyka klasyczna, puszczana w wiwarium codziennie po południu. Małpy mogą sięgać do luster przez pręty w klatkach i ustawiać je tak, żeby zobaczyć swoje odbicie albo legowiska sąsiadów.

– Och! – Wzdycha Gertie, przysuwając ekran blisko do twarzy. – Patrzcie państwo.

Filmik ma dwa lata. Ostatnimi czasy podczas wizyt Varya ucieka się do recyklingu starszych materiałów, bo Frida wygląda teraz zupełnie inaczej. Varya się uśmiecha na myśl o młodszej Fridzie, ale twarz Gertie już ciemnieje. Od udaru trzy lata temu takie momenty zdarzają się jej coraz częściej. Varya wie, jak będzie przebiegać transformacja: pustka w oczach, rozmiękłe wargi, wstępująca w Gertie dezorientacja.

Matka odrywa wzrok od telefonu i spogląda oskarżycielsko na Varyę.

– Ale dlaczego trzymasz ją w klatce?

30

Mamy dwie teorie, jak zatrzymać starzenie – zaczyna Varya. – Pierwsza zakłada unicestwienie systemu reprodukcyjnego.

– System reprodukcyjny – powtarza Luke. Pochyla głowę nad małym czarnym notesem, który przyniósł dziś razem z dyktafonem.

Varya kiwa głową. Spotkała się z dziennikarzem rano w atrium, a teraz prowadzi go po ścieżce do laboratorium naczelnych.

– Biolog Thomas Kirkwood zakłada, że nasz organizm poświęca sam siebie, żeby przekazać geny potomstwu, i że tkanki, które nie uczestniczą w procesie reprodukcji – na przykład mózg czy serce – biorą na siebie dodatkowe obciążenie, żeby chronić organy reprodukcyjne. Ta teoria została udowodniona w warunkach laboratoryjnych: nicienie mają dwie komórki, z których rozwija się cały ich system reprodukcyjny. Te, u których usunięto te komórki laserowo, żyją o sześćdziesiąt procent dłużej.

Po chwili ciszy Varya słyszy za plecami głos Luke’a.

– A druga teoria?

– Druga teoria głosi, że aby spowolnić proces starzenia, należy ograniczyć przyjmowaną ilość kalorii. I właśnie tym ja się zajmuję.

Varya wbija nowy kod – Annie zmieniła go wczoraj wieczorem – używając do tego knykcia palca wskazującego prawej ręki.

Zapala się zielone światełko i rozlega pisk, a Varya otwiera drzwi. Kiwa Clyde’owi głową na powitanie i zerka na marmozety. Dziś cała dziewiątka leży w jednym hamaku – można je od siebie odróżnić jedynie po małych metalowych obrączkach. Varya naciska łokciem guzik windy.

– I jak to działa?

– Sądzimy, że to ma związek z genem DAF-16, który uczestniczy w szlaku sygnałowym inicjowanym przez receptory insuliny.

Drzwi windy się otwierają, ze środka wychodzi zootechniczka w niebieskim kombinezonie. Varya i Luke zajmują jej miejsce.

– Kiedy zablokujemy ten szlak na przykład u nicienia *C. elegans*, możemy dwukrotnie wydłużyć jego życie.

Luke patrzy na nią, unosząc brwi.

– A po angielsku?

Varya rzadko rozmawia o swoich badaniach z ludźmi, którzy nie są naukowcami. Jeszcze jeden powód, żeby zgodzić się na ten wywiad, upierała się Annie: trzeba pokazać ich pracę szerszej publiczności, takiej, która czyta „Chronicle”.

– Wytłumaczę na przykładzie – mówi Varya, kiedy rozlega się dzwonek windy. – Ludzie na wyspie Okinawa mają najwyższy wskaźnik przeciętnej długości życia na świecie. Na studiach magisterskich zajmowałam się dietą mieszkańców Okinawy. Okazuje się, że jest bardzo pożywna, ale też niskokaloryczna. – Varya skręca w lewo, na długi korytarz. – Jedzenie jest nam potrzebne do produkcji energii. Ale wytwarzanie energii powoduje też powstawanie w organizmie szkodliwych związków chemicznych, które robią nam krzywdę, bo komórki są wystawiane na stres. Ale tu dochodzimy do interesującego odkrycia: niskokaloryczna dieta, taka jak u mieszkańców Okinawy, wywołuje w organizmie więcej stresu. Ale właśnie dzięki temu

organizm może żyć dłużej: ponieważ jest bez przerwy poddawany stresowi na niskim poziomie, uczy się, jak sobie z nim radzić na dłuższą metę.

– To nie brzmi zbyt przyjemnie. – Luke ma na sobie spodnie techniczne i bluzę z kapturem, a na głowie okulary przeciwsłoneczne, zatknięte między gęste loki.

Varya wsuwa klucz do zamka i biodrem otwiera drzwi do biura.

– Hedoniści nie żyją zbyt długo – ucina Varya.

– Ale przynajmniej przez ten czas dobrze się bawią.

Luke wchodzi za Varyą do gabinetu. Jej część jest nieskazitelnie czysta; po stronie Annie walają się opakowania po batonach energetycznych i butelki po wodzie, a na biurku zalegają sterty czasopism naukowych.

– To brzmi, jakbyśmy musieli wybierać między życiem a przetrwaniem.

Varya nie odpowiada. Podaje mu ubranie.

– Odzież ochronna – wyjaśnia.

Chłopak bierze tłumoczek w ramiona i odkłada plecak. Spodnie są niemal za krótkie; Luke ma długie, chude nogi, a Varyi bez ostrzeżenia stają przed oczami nogi Daniela, twarz Daniela. Odwraca się, żeby się uspokoić. Przez wiele lat po jego śmierci nie miała żadnych epizodów. Ale w któryś poniedziałek, cztery miesiące temu, zepsuł się jej ekspres do kawy, więc poszła do Peet’s i stanęła w długiej kolejce. Z głośników płynęła koszmarna muzyka – jakaś jazzowa bożonarodzeniowa składanka, chociaż dopiero co minęło Święto Dziękczynienia. Ale w tej sytuacji było coś takiego – ta melodia, tłum, gęsty, dławiący zapach mielonej kawy i piskliwy jazgot urządzenia – że nagle Varya zaczęła się dusić. Kiedy podeszła do kasy, widziała, że sprzedawca porusza ustami, ale nie słyszała ani słowa. Wpatrywała się w jego wargi, jakby widziała je przez teleskop, aż wreszcie rozległo się wyraźniejsze: „Proszę pani? Wszystko w porządku?”, a teleskop poleciał na podłogę.

Gdy Varya się odwraca, Luke jest już przebrany i wpatruje się w nią z uwagą.

– Od kiedy pani tu pracuje?

Varya jest wdzięczna za to pytanie. Spodziewała się, że usłyszy „Dobrze się pani czuje?”.

– Od dziesięciu lat.

– A wcześniej co pani robiła?

Varya kuca, żeby naciągnąć osłonki na buty.

– Jestem pewna, że odrobiłeś pracę domową.

– W siedemdziesiątym ósmym zrobiła pani licencjat na Vassar. W osiemdziesiątym trzecim rozpoczęła pani studia na Uniwersytecie Nowojorskim, a w osiemdziesiątym ósmym obroniła pani pracę doktorską. Została pani tam jeszcze dwa lata na stanowisku adiunkta, a potem dostała pani stypendium na Uniwersytecie Columbia. W dziewięćdziesiątym trzecim opublikowała pani pracę naukową – „Ekstremalne zwiększenie średniej długości życia w mutacjach drożdży: wolniejszy rozwój mutacji odpowiedzialnych za starzenie w organizmach z aktywowanym białkiem Sir2”, jeśli się nie mylę. Była na tyle przełomowa, że napisały o niej niektóre czasopisma naukowe, a potem temat podjął nawet „Times”.

Varya wstaje zaskoczona. Wymienione przez Luke’a informacje są dostępne na stronie Instytutu, ale nie oceniała chłopaka aż tak wysoko, by spodziewać się, że to wszystko zapamięta.

– Chciałem mieć pewność, że nic nie pomyliłem – dodaje Luke stłumionym głosem spod maseczki, ale w jego oczach za plastikowym ochraniaczem Varya dostrzega lekką nieśmiałość.

– Nic nie pomyliłeś.

– Więc skąd taki przeskok, od drożdży do małp? – pyta chłopak, przytrzymując drzwi. Kiedy wychodzą, Varya zamyka je na klucz.

Przyzwyczaiła się do organizmów tak drobnych, że można je dobrze obejrzeć jedynie pod mikroskopem: drożdży przysyłanych do laboratorium w pojemnikach próżniowych przez firmę zaopatrzeniową z Północnej Karoliny, i do muszek owocówek hodowanych specjalnie na potrzeby badań, z miniaturowymi skrzydełkami, które nie nadawały się do latania. Varya miała czterdzieści cztery lata, kiedy szefowa instytutu – surowa starsza kobieta, która zaczęła od ostrzeżenia, że taka okazja już się nie powtórzy – zaproponowała jej kierownictwo nad badaniem wpływu diety niskokalorycznej na długowieczność u naczelnych. Kiedy skończyły rozmowę, Varya wybuchła przerażonym śmiechem. Dosyć trudności sprawiało jej pójście do lekarza; nie wyobrażała sobie, że miałaby codziennie przebywać w pobliżu makaków, od których mogłaby zarazić się gruźlicą, ebolą czy wirusem żółtaczki typu B.

Poza tym była po prostu zdumiona. Nigdy dotąd nie pracowała z małpami, ani nawet z myszami – ale szefowa wyjaśniła, że właśnie dlatego się nią zainteresowali. Instytut nie zamierzał promować niskokalorycznej diety – „Proszę sobie wyobrazić, jaki odnieślibyśmy sukces”, stwierdziła kwaśno – tylko opracować lek, który przynosiłby taki sam efekt. Potrzebowali kogoś obeznanego z genetyką, kto mógłby analizować wyniki badań na poziomie molekularnym. Prędko zapewniła też Varyę, że nie będzie musiała przebywać zbyt często ze zwierzętami. Mają od tego zootechników i weterynarzy. Varya miała spędzać większość czasu na telekonferencjach, spotkaniach albo przy biurku: czytać i oceniać raporty, pisać podania o granty, badać zbiory danych, przygotowywać prezentacje. A jeśli nie chce, to nie musi mieć żadnego kontaktu z małpami.

Varya prowadzi Luke’a do dużych stalowych drzwi.

– Nasze geny są w mniej więcej dziewięćdziesięciu trzech procentach takie same jak u makaków. Przyjemniej mi się pracowało z drożdżami. Ale

uświadomiłam sobie, że praca z mikroskopijnymi organizmami nigdy nie pomoże ludziom w takim stopniu – nie ma na to szans, z biologicznego punktu widzenia – jak badania na naczelnych.

Nie dodaje, że w roku dwutysięcznym, kiedy otrzymała propozycję pracy w instytucie, zbliżała się dziesiąta rocznica śmierci Klary i dwudziesta Simona.

– Niech się pani nad tym zastanowi – powiedziała na pożegnanie szefowa instytutu.

Varya zapewniła, że oczywiście, choć już obliczała w myślach, ile czasu wypada odczekać przed odmową. Ale kiedy wróciła do swojego laboratorium na Columbii, gdzie niedawno zaczęła nowe badanie nad drożdżami, nie znalazła w pracy satysfakcji ani dumy, tylko pustkę. Czuła się bezwartościowa. Kiedy Varya robiła doktorat, jej badania były przełomowe, ale teraz każdy adiunkt potrafił wydłużyć życie owocówki czy nicienia. Czym Varya będzie mogła się pochwalić za pięć lat? Prawdopodobnie nie będzie miała partnera, dzieci na pewno nie, ale może właśnie to: wielkie odkrycie. Mogłaby w inny sposób przysłużyć się światu.

Przyjęła pracę z jeszcze jednego powodu. Varya zawsze mówiła sobie, że prowadzi swoje badania z miłości – z miłości do życia, do nauki, do braci i siostry, którzy nie dożyli podeszłego wieku – ale w głębi serca niepokoiła się, że jej główną motywacją jest strach przed brakiem kontroli. Bała się, że życie przelatuje człowiekowi przez palce bez względu na to, co zrobi. Bała się, że Simon, Klara i Daniel przynajmniej żyli prawdziwym życiem, podczas gdy ona żyje tylko w teorii, w swoich książkach, badaniach, we własnej głowie. Praca w instytucie wydała jej się ostatnią szansą. Jeśli zdoła się do tego zmusić – bez względu na to, jak koszmarnie będzie się z tym czuła – może uda jej się pozbyć poczucia winy, długu zaciągniętego przez sam fakt, że ona przetrwała.

– Pamiętaj o rękawiczkach – dodaje, zatrzymując się przed wejściem do wiwarium. – Nie zdejmuj ich, nawet jednej pary.

Luke podnosi dłonie. Z szyi zwisa mu aparat na pasku; notes i dyktafon zostały w gabinecie. Varya otwiera pierwsze drzwi wykończone grubą gumową uszczelką Wiwarium 1, a potem drugie, zabezpieczane kodem, który Annie zmienia co miesiąc, i prowadzi Luke'a w ogłuszający popołudniowy jazgot.

* * *

Vivarium po łacinie znaczy dosłownie „miejsce życia". W nauce określa się tak przestrzeń, w której trzyma się żywe zwierzęta w warunkach symulujących ich naturalne środowisko. Jakie środowisko jest naturalnym habitatem makaka? Człowiek to jedyny przedstawiciel naczelnych rozproszony po świecie bardziej niż makak. Ten nomadyczny gatunek małpy, który pokonał w swojej historii wielkie dystanse w wodzie i na lądzie, radzi sobie równie dobrze w górach na wysokościach tysiąca dwustu metrów, jak w lesie tropikalnym czy namorzynowym. Makaki występują w najróżniejszych klimatach i środowiskach od Portoryko po Afganistan, mieszkają w świątyniach, kanałach i na dworcach. Żywią się insektami i liśćmi, ale nie gardzą też jedzeniem podebranym człowiekowi: smażonym chlebem, orzeszkami, bananami czy lodami. Każdego dnia potrafią przemierzyć dziesiątki kilometrów.

Żadnego z tych środowisk nie da się łatwo odtworzyć w warunkach laboratoryjnych, ale instytut robi, co może. Ponieważ makaki są zwierzętami społecznymi, podobierano je w pary. Każdą klatkę da się otworzyć, żeby zwierzęta mogły je przechodzić bezpośrednio od sąsiada do sąsiada. Razem klatki tworzą jeden ogrodzony tunel, zajmujący całą długość wiwarium. Makaki mają też zapewnione zajęcia wzbogacające,

które dostarczają im niezbędnej stymulacji psychologicznej – karmniki z łamigłówkami, lustra czy plastikowe piłki. Z początku makaki mogły też oglądać nagrania na iPadach, ale tak często tłukły ekrany, że ostatecznie zrezygnowano z tego pomysłu. Z głośników pod sufitem rozlegają się dźwięki dżungli. Raz w roku laboratorium odwiedza przedstawiciel federalnego Departamentu Rolnictwa, który upewnia się, że Instytut nie łamie wytycznych wyznaczonych w ustawie o ochronie zwierząt. W zeszłym roku inspektor zasugerował, żeby pracownicy czasami przychodzili do wiwarium w innym ubraniu – na przykład w rękawiczkach albo czepkach w ciekawe wzory – żeby zaintrygować zwierzęta i zapewnić im dodatkową rozrywkę, więc stosują się do tego zalecenia.

Varya nie ma złudzeń. Oczywiście, że zwierzęta wolałyby przebywać w naturze. Ale ponieważ w instytucie prowadzony jest tylko jeden projekt z udziałem małp, klatki są większe, niż wymaga tego Narodowy Instytut Zdrowia. Za wiwarium znajduje się duża ogrodzona strefa, w której małpy mogą bawić się oponami i bujać na linach i siatkach, chociaż tak naprawdę powinny mieć więcej przestrzeni, a poza tym każda małpa spędza tam zaledwie parę godzin w tygodniu. Ale najważniejsze, że projekt Varyi nie wymaga testowania na zwierzętach nowych leków ani nie bada małpiego wirusa niedoboru odporności. Ich zadaniem jest utrzymać makaki przy życiu najdłużej, jak to możliwe. Czy to rzeczywiście coś złego?

Varya odwraca się do Luke’a i wymienia kluczowe informacje przygotowane przez Annie. Bez badań naczelnych nie odkrylibyśmy niezliczonych wirusów, nie stworzylibyśmy szczepionek ani nie zdołalibyśmy opracować skutecznych terapii i metod leczenia Alzheimera, Parkinsona i AIDS. Nie zapominajmy, że życie na zewnątrz to nie piknik, małpom w naturze grożą najróżniejsze drapieżniki i potencjalna śmierć z głodu. Chyba tylko sadyści – i może Harry Harlow – są zadowoleni na

widok małpy w klatce, ale w instytucie zwierzęta są przynajmniej zadbane i pod troskliwą opieką.

Mimo to Varya rozumie, dlaczego odwiedzający mogliby odnieść inne wrażenie. Klatki przylegają do ścian, pozostawiając jedynie wąski korytarz dla Varyi i Luke'a. Zwierzęta przyglądają im się, rozcapierzone na siatce jak gekony. Rozpłaszczają różowe brzuchy, zahaczają palce o większe oczka. Dominujące małpy przyglądają im się w ciszy, obnażając długie, żółte zęby; te z niższą pozycją w stadzie krzywią się i wrzeszczą. Tak samo zachowują się w obecności nowego dyrektora instytutu, który odwiedza laboratorium raz albo dwa w roku i spędza tu tak mało czasu, jak to tylko możliwe.

Przez pierwszy rok małpy podobnie reagowały na Varyę. Całą siłą woli musiała się powstrzymywać przed ucieczką. Ale nie uciekła, i choć jej dawna dyrektorka miała rację – większość czasu Varya spędza za biurkiem – to zmusza się, żeby odwiedzać wiwarium raz dziennie, zazwyczaj żeby przynieść małpom śniadanie. Nie dotyka ich, ale chce wiedzieć, jak się czują, lubi patrzeć na dowody swojego sukcesu.

Najpierw zwraca uwagę Luke'a na małpy z grupy o ograniczonej podaży kalorii, a potem na grupę kontrolną – te zwierzęta mogą jeść, ile tylko zechcą. Luke robi zdjęcie najpierw jednej, a potem drugiej grupie. Flesz wytrąca małpy z równowagi i podnoszą jeszcze głośniejsze larum. Niektóre zaczynają trząść prętami klatek, więc Varya musi przekrzykiwać harmider. Wyjaśnia, że małpy z grupy kontrolnej są bardziej podatne na wczesną cukrzycę, a ryzyko występowania choroby jest u nich niemal trzykrotnie wyższe niż u makaków z grupy niskokalorycznej. Małpy na ograniczonej diecie nawet wyglądają młodziej: najstarsze zwierzęta z grupy mają gęste, lśniące kasztanowe futro, a makaki z grupy kontrolnej są pomarszczone i łysieją; spod rzednącej sierści prześwitują czerwone zady.

Badanie jest w połowie trwania, więc za wcześnie jeszcze na ocenę całkowitej przewidywanej długości życia. Mimo to już widać, że rezultaty są obiecujące i sugerują, że tezę Varyi najprawdopodobniej da się udowodnić. Mówiąc to, Varya czuje taką dumę, że zapomina o wrzasku, zamęcie i ostrym odorze. Przygląda się małpom, swoim obiektom badań, ze szczerą przyjemnością.

* * *

Po wyjściu Luke'a Varya idzie po Fridę.

Rano poprosiła Annie, żeby Fridę przeniesiono do izolatki. To wprawdzie jej ulubienica, ale Varya wie, że Frida zrobiłaby im czarny PR. Jej ukochana Frida – o szerokim, płaskim czole i złotych oczach w ciemnych obwódkach, jakby narysowanych kohlem. W dzieciństwie miała nieproporcjonalnie wielkie uszy, a palce długie i różowe. Przyjechała do Kalifornii tydzień po Varyi. Tamtego ranka Annie odebrała dostawę nowych małp, ale jedna nie dotarła z resztą przez zamieć śnieżną – noworodek z hodowli w centrum badań w Georgii. Annie musiała iść do domu, więc Varya została w instytucie. O 21.30 na wzgórze wtoczył się nieoznakowany biały samochód towarowy i zaparkował przed laboratorium naczelnych. Ze środka wygramolił się nieogolony chłopak, najwyżej dwudziestoletni, i poprosił Varyę o podpis na potwierdzeniu odbioru, jakby przywiózł pizzę. Nie wykazywał najmniejszego zainteresowania przesyłką, a może miał jej już serdecznie dosyć: kiedy wyjął przykryty kocem transporter, ze środka rozległ się tak koszmarny skrzek, że Varya instynktownie zrobiła krok w tył.

Ale przecież była teraz odpowiedzialna za zwierzę. Miała na sobie komplet odzieży ochronnej, ale nic nie tłumiło odgłosów dobiegających z klatki, którą podał jej kierowca. Chłopak otarł twarz z widoczną ulgą

i potruchtał z powrotem do auta. Odjechał prędzej, niż przyjechał, zostawiając Varyę sam na sam z rozjazgotanym pakunkiem.

Klatka była wielkości mikrofalówki. Dopiero jutro mieli przedstawić Fridę pozostałym zwierzętom, więc Varya zabrała klatkę do izolatki rozmiarów schowka na miotły i postawiła ją na podłodze. Już bolały ją ręce, a serce trzepotało jej z przerażenia. Dlaczego ona w ogóle się na to zgodziła? Nawet nie doszła jeszcze do najtrudniejszej części, czyli fizycznego przeniesienia małpki ze starej klatki do nowej, co wymagało dotknięcia zwierzątka.

Transporter nadal był przykryty materiałem – teraz Varya zorientowała się, że to dziecięcy kocyk w żółte grzechotki. Odchyliła ostrożnie jeden róg. Wrzask zwierzęcia przybrał na sile. Varya przysiadła na piętach. Jej lęk pęczniał jak balon – wiedziała, że musi wypuścić małpę teraz, albo w ogóle nie da sobie z tym rady – więc wciągnęła mniejszą klatkę do większej i ściągnęła kocyk. Transporter był niewiele większy od zwierzęcia, ale małpka zaczęła się kręcić w kółko, chwytając za pręty. Poruszała się tak szybko, że Varya nie mogła przyjrzeć się jej twarzy, ale strach i zagubienie małpy były nie do zniesienia. Varya sięgnęła do zamka i otworzyła pokrywę tak, jak pokazała jej Annie.

Maleństwo wystrzeliło jak z armaty. Małpka nie wylądowała w większej klatce, tylko na piersi Varyi, która też wrzasnęła i poleciała w tył, z kolan na plecy. Myślała, że małpka chce jej zrobić krzywdę, ale zwierzątko tylko oplotło ją szczupłymi ramionkami i przywarło do niej całym ciałem, kryjąc twarz w jej piersi.

Kto był bardziej przerażony? Varya już miała przed oczami pełzakowicę, żółtaczkę typu B i cały katalog chorób, które śniły jej się po nocach i sprawiały, że panicznie bała się śmierci. Przypomniały jej się wszystkie powody, dla których nie chciała przyjąć tej pracy. Ale do tego strachu teraz

dołączyło żywe stworzenie. Ciało małpki było ciężkie, o wiele bardziej zbite niż ciało ludzkiego dziecka. W porównaniu z makakiem niemowlę wydałoby się puste w środku. Varya nie miała pojęcia, jak długo tak przesiedziały. Kołysała się na piętach, a małpka płakała i popiskiwała. Miała trzy tygodnie. Varya wiedziała, że tydzień temu została odebrana matce i była jej pierwszym dzieckiem, a także że matka – małpa o imieniu Songlin, przywieziona do Georgii z hodowli w regionie Kuangsi w Chinach – była tak wzburzona, że trzeba było ją uśpić, kiedy odbierano jej młode.

W pewnej chwili Varya podniosła głowę i zobaczyła ich odbicie w lustrze zawieszonym na zewnętrznej stronie klatki. Ten widok skojarzył jej się z obrazem *Autoportret z małpą* Fridy Kahlo. Varya nie przypominała malarki – nie była tak silna, nie miała wyzywającej osobowości – a laboratorium o beżowych ścianach z betonu nie mogłoby się bardziej różnić od tak ukochanych przez Kahlo wielkich, lśniących liści juki. Ale Varya trzymała w ramionach małpkę o czarnych, wielkich jak jeżyny oczach. Siedziały tak we dwie, równie przerażone i równie samotne, wpatrzone w swoje wspólne odbicie.

31

Trzy i pół roku temu, kiedy Varya przyjechała do Kingston po śmierci Daniela, Mira zaprowadziła ją do pokoju gościnnego i zamknęła drzwi.

– Muszę ci coś pokazać – powiedziała.

Mira przysiadła na krawędzi łóżka z laptopem na kolanach. Nogi miała sztywne, palce stóp mocno wciskała w dywan. Otworzyła strony z historii przeglądania: wyszukiwane w Google hasła o Romach, zrzut ekranu ze strony FBI z sylwetką Bruny Costello. Varya natychmiast rozpoznała kobietę. Poczuła, jak krew uderza jej do głowy: zrobiło jej się słabo, srebrne konfetti zamigotało jej przed oczami. Prawie zsunęła się na podłogę.

– To jest ta kobieta, którą śledził Daniel. Dowiedział się, że mieszka w West Milton, zabrał z szopy pistolet i tam pojechał. Zadzwoniłam do tego agenta z FBI, a on dotarł na miejsce i go zastrzelił. – Głos Miry był rozchwiany jak wysoka trzcina. – Dlaczego? Dlaczego on to zrobił?

Więc Varya opowiedziała jej historię kobiety. Mówiła ochryple, zdrapywała z siebie słowa jak płaty rdzy, aż w końcu posypały się prędzej, wyraźniej. Varya desperacko pragnęła wytłumaczyć wszystko Mirze. Ale kiedy skończyła opowieść, bratowa wyglądała na jeszcze bardziej oszołomioną.

– Przecież to było tak dawno. Tak głęboko w przeszłości.

– Dla niego to nigdy nie przestało być świeżą sprawą. – Łzy popłynęły Varyi po twarzy; otarła policzki palcami.

– Ale trzeba było to zostawić. Zapomnieć. – Mira popatrzyła na nią przekrwionymi oczami. Gardło miała zdarte od płaczu. – Jasna cholera, Varya. Boże! Gdyby tylko sobie odpuścił.

Długo naradzały się, jak wyjaśnić wszystko Gertie. Varya chciała powiedzieć, że po zawieszeniu w pracy Daniel zaczął obsesyjnie śledzić miejscową oszustkę. Myśl o wymierzeniu sprawiedliwości dawała mu motywację do działania, mógł się czymś zająć, w coś wierzyć. Mira wolała być szczera.

– Jakie to ma znaczenie, czy powiemy jej prawdę, czy nie? – upierała się. – To nie przywróci Danielowi życia. Nie zmieni tego, jak umarł.

Ale Varya się z nią nie zgadzała. Wiedziała, że opowieści mogą zmienić rzeczywistość: przeszłość, przyszłość, nawet teraźniejszość. Już na studiach była agnostyczką, ale jeśli miałaby się zgodzić z jakimś aspektem judaizmu, to właśnie z wiarą w moc słów. Słowa wślizgują się przez dziurki od klucza i szpary w drzwiach. Przyczepiają się do ludzi, przechodzą jak materiał genetyczny z pokolenia na pokolenie. Prawda mogłaby zmienić to, jak Gertie postrzega swoje dzieci – dzieci, które nie mogły się już bronić przed żadnymi zarzutami. Varya była niemal pewna, że to tylko pogłębiłoby cierpienie Gertie.

Tamtego wieczoru, kiedy Mira i Gertie już spały, Varya wysunęła się z łóżka w pokoju gościnnym i poszła do gabinetu. Wszędzie zalegały okruchy życia Daniela – pocieszająco znajome, a przy tym boleśnie powierzchowne. Przy komputerze stał przycisk do papieru w kształcie mostu Golden Gate, który Varya kupiła na lotnisku w San Francisco. Była wtedy pochłonięta habilitacją i dopiero w drodze do Kingston na Chanukę zorientowała się, że zapomniała o prezentach. Miała nadzieję, że Daniel

uzna figurynkę za dzieło sztuki. Nic z tego. „Durnostojka z lotniska?”, huknął rozbawiony i pacnął ją w ramię. Złota blaszka zdążyła już zmienić kolor na zaśniedziałą zieleń. Varya nie miała pojęcia, że brat zatrzymał figurkę.

Usiadła w jego krześle i odchyliła głowę w tył. Nie pojechała na Święto Dziękczynienia do Amsterdamu, jak mu powiedziała; nie było żadnej konferencji. Rozmroziła paczkę pokrojonych warzyw, podsmażyła je na niewielkiej ilości oliwy z oliwek, zsunęła nieapetyczną mieszankę na talerz i zjadła sama przy kuchennym stole. Przez całą jesień odczuwała przejmujący lęk na samą myśl o dacie Daniela. Nie wiedziała, co się wydarzy tego dnia, i nawet sobie nie wyobrażała, że miałaby przy tym być – a może właśnie o to chodziło, że gdyby tam była, czułaby się odpowiedzialna. Nadal bała się, że złapie albo przekaże komuś jakąś potworną chorobę, jakby jej nieszczęście było zaraźliwe. Najlepsze, co mogła zrobić dla Daniela, to trzymać się od niego z daleka.

Ale o dziewiątej rano w dzień po Święcie Dziękczynienia była już bliska palpitacji. Pociła się tak obficie, że nawet zimny prysznic pomógł tylko na chwilę. Varya przysięgała sobie, że do niego nie zadzwoni – ale ostatecznie się złamała. Daniel napomknął, że zamierza znaleźć wróżkę, ale Varya mu nie uwierzyła, nie sądziła, że mówi poważnie. Potem rozmowa przeszła w pretensje, głos Daniela przybrał dobrze jej znany ton, dziecinny i dręczący zarazem – „Szkoda, że nie było cię z nami wczoraj” – a w Varyi wezbrała irytacja przesiąknięta nienawiścią do samej siebie. Dawniej kasowała jego wiadomości głosowe bez odsłuchiwania, żeby nie słyszeć jego przepełnionego niezmordowaną udręką głosu, który doprowadzał ją do szału. Jakby Daniel czerpał jakąś satysfakcję z tego, że wiecznie spotyka go zawód. Po co w ogóle się jeszcze starał? Przecież miał Mirę. Im prędzej Daniel zrozumie, że siostra nie ma mu nic do zaoferowania i że czekają go

z jej strony wyłącznie rozczarowania, tym prędzej będzie szczęśliwy bez niej. A wtedy Varya będzie wolna.

Pod przyciskiem do papieru leżał paragon z pralni. Kiedy Varya podniosła figurkę, kartka zaszeleściła na blacie. Schludne, kwadratowe pismo Daniela przebijało na drugą stronę.

Varya odwróciła paragon. „Nasz język jest naszą siłą”, napisał Daniel. Pod spodem widniało drugie zdanie, poprawione długopisem tyle razy, że wyglądało na wypukłe, jakby unosiło się nad papierem: „Myśli mają skrzydła”.

* * *

Varya doskonale wiedziała, jak to rozumieć. Kiedyś, jeszcze na studiach doktoranckich, próbowała wytłumaczyć to zjawisko swojej pierwszej terapeutce.

– Nie chodzi o to, czy widzę, że coś jest czyste – powiedziała. – Tylko o to, czy czuję, że jest czyste.

– A jeśli nie czujesz? – zapytała terapeutka. – Że coś jest czyste?

Varya zamilkła. Prawda była taka, że Varya nie wiedziała, co dokładnie miałoby się stać. Po prostu żyła w wiecznym poczuciu zagrożenia. Wydawało jej się, że tragedia wisi nad nią jak wieczny cień, i tylko przestrzeganie rytuałów może jej zapobiec.

– To wydarzy się coś złego – odparła w końcu.

Kiedy to się zaczęło? Varyę od zawsze dręczyły lęki, ale po wizycie u kobiety z Hester Street coś się zmieniło. Kiedy Varya siedziała w mieszkaniu *rishiki*, była pewna, że rozmawia z oszustką, ale po powrocie do domu przepowiednia zagnieździła się w niej jak wirus. Z jej rodzeństwem było tak samo: widziała to w samotnych biegach Simona,

w wybuchach gniewu Daniela, w oderwaniu Klary, dryfującej coraz dalej od nich.

Może zawsze tacy byli. Może i tak rozwinęliby się w ten sposób. Ale nie: Varya by to w nich zobaczyła, dostrzegłaby zalążki nieuniknionej przyszłości rodzeństwa. Wiedziałaby.

Miała trzynaście lat – trzynaście i pół – kiedy przyszło jej do głowy, że jeśli nie będzie następować na pęknięte płytki chodnikowe, uratuje Klarę przed jej przepowiednią. W dniu czternastych urodzin czuła, że musi za wszelką cenę zdmuchnąć wszystkie świeczki na torcie tak szybko, jak to tylko możliwe, bo inaczej Simonowi stanie się coś okropnego. Nie udało się – opuściła trzy, a ośmioletni wtedy Simon jej pomógł. Varya nakrzyczała na brata. Wiedziała, że wyjdzie na samolubną, ale to się nie liczyło. Simon zaprzepaścił jej szansę, żeby go ochronić – i to był prawdziwy problem.

Dopiero w wieku trzydziestu lat usłyszała diagnozę. W dzisiejszych czasach każde dziecko ma gotowy akronim wyjaśniający, co jest z nim nie tak, ale kiedy Varya była nastolatką, kompulsywne zachowania były ciężarem, który musiała nosić w sekrecie i w samotności. Po śmierci Simona jej się pogorszyło. Ale dopiero na studiach doktoranckich przyszło jej do głowy, że mogłaby wybrać się na terapię. A kiedy terapeutka powiedziała jej o zaburzeniach obsesyjno-kompulsyjnych, Varya uświadomiła sobie, że istnieje nazwa na ciągłe mycie rąk, szorowanie zębów, unikanie publicznych toalet, pralni, szpitali, siedzeń w metrze, dotykania drzwi, klamek i dłoni innych ludzi, na wszystkie te rytuały, którymi obwarowała każdą godzinę, każdy dzień, miesiąc, rok.

Lata później inna terapeutka zapytała ją, czego właściwie się boi. Varya początkowo była zbita z tropu, ale nie dlatego, że nie potrafiła udzielić odpowiedzi. Trudniej byłoby jej wymienić rzeczy, które jej nie przerażały.

– Więc podaj mi kilka przykładów – zachęciła terapeutka, a Varya wieczorem spisała listę.

Rak. Zmiana klimatu. Bycie ofiarą wypadku samochodowego. Spowodowanie wypadku samochodowego. (Przez pewien czas Varya tak się bała, że mogłaby przypadkiem zabić rowerzystę podczas skręcania w prawo, że jechała potem za każdym przez dobrych kilka przecznic, by upewnić się, że nic mu się nie stało). Uzbrojeni bandyci. Katastrofy lotnicze – nagła śmierć! Ludzie z plastrami w widocznych miejscach. AIDS – a właściwie wszystkie rodzaje wirusów, bakterii i chorób. Zarażenie kogoś jakąś chorobą. Brudne powierzchnie, poplamiona pościel, wydzieliny ciała. Apteki i drogerie. Kleszcze, pluskwy i wszy. Środki chemiczne. Bezdomni. Tłumy. Niepewność, ryzyko, otwarte zakończenia. Odpowiedzialność i poczucie winy. Varya boi się nawet własnego umysłu. Przeraża ją jego moc i to, co on z nią robi.

Podczas następnej wizyty Varya odczytała listę głośno. Kiedy skończyła, terapeutka odchyliła się w fotelu.

– No dobrze – powiedziała. – Ale czego się tak naprawdę boisz?

To pytanie było tak czyste, że Varya aż się roześmiała. Oczywiście chodziło o stratę. Varya bała się utraty życia i ludzi, których kocha.

– Ale przecież już przez to przeszłaś – zauważyła terapeutka. – Straciłaś ojca i całe rodzeństwo. Wielu ludzi w średnim wieku nie doświadczyło nawet w części tego co ty. A mimo to nadal stoisz. Siedzisz – poprawiła, posyłając uśmiech w stronę kanapy.

Owszem, Varya nadal siedziała, ale to nie było takie proste. Razem z rodzeństwem straciła po kawałku siebie. Jakby obserwowała dzielnicę, w której po trochu jest odcinany prąd: kolejne przestrzenie w jej wnętrzu gasły, jedna po drugiej. Opuszczały ją pewne odmiany odwagi –

emocjonalnej odwagi – i pożądania. Za samotność płaci się wysoką cenę, Varya dobrze o tym wie, ale strata kosztuje jeszcze więcej.

Kiedyś tego nie rozumiała. Miała dwadzieścia siedem lat, gdy zapisała się na zajęcia na wydziale fizyki. Prowadził je profesor wizytujący z Edynburga, który studiował z Peterem Higgsem.

– Wielu ludzi nie wierzy doktorowi Higgsowi – powiedział Varyi. – Ale to oni się mylą.

Siedzieli we włoskiej restauracji w Midtown. Profesor wyjaśnił, że doktor Higgs postuluje istnienie cząstki, którą nazwał bozonem Higgsa. Według Higgsa właśnie ta cząstka, oddziałując z innymi cząstkami, miała nadawać im masę. Profesor uważał, że bozon Higgsa może okazać się kluczem do zrozumienia natury wszechświata, nowym fundamentem współczesnej fizyki – choć nikt go nigdy nie widział. Miał on wskazywać na wszechświat rządzony zasadami symetrii, w którym najbardziej ekscytujące zjawiska – takie jak ludzie – stanowią aberrację, powstałą w konsekwencji ulotnych chwil, kiedy symetria zawiodła.

Niektóre koleżanki Varyi były zszokowane, gdy spóźniał im się okres, ale Varya wiedziała natychmiast: pewnego ranka obudziła się ze świadomością, że jej ciało już nie należy do niej. Trzy dni wcześniej przespała się z profesorem na pojedynczym łóżku w jego mieszkaniu na kampusie. Kiedy zanurzył głowę między jej nogami i zaczął poruszać językiem, Varya po raz pierwszy przeżyła orgazm. Niedługo później jednak zaczął traktować ją z chłodną uprzejmością, a potem już nigdy się do niej nie odezwał. Varya wyobraziła sobie nowe komórki w swoim ciele i pomyślała: Zniszczysz mnie. Zakotwiczysz. Przez ciebie świat stanie się tak wyraźny, tak prawdziwy, że ani na sekundę nie będę mogła zapomnieć o swoim bólu. Varya bała się aberracji, która wymykała się kontroli; wolała bezpieczną trwałość symetrii. Kiedy umówiła się na wizytę w placówce

Planned Parenthood przy Bleecker Street, żeby opróżnić zawartość macicy, wyobraziła sobie, że aberracja niedługo zniknie jak za drzwiami windy. Tak czysto, jakby w ogóle nigdy jej nie było. Inni ludzie mówią o ekstazie seksu i bardziej złożonych radościach rodzicielstwa, ale dla Varyi nie ma przyjemności większej od ulgi, jaką może dać tylko wiedza, że przyczyna jej strachu nie istnieje. Ale satysfakcja szybko przemija, jak porywisty podmuch wiatru albo histeryczny śmiech – „Co ja sobie wyobrażałam?" – ustępujący miejsca wątpliwościom wciskającym się przez szpary. Pewność ulega powolnej erozji, a Varya musi jeszcze raz zerknąć w tylne lusterko, wziąć kolejny prysznic, wypolerować jeszcze jedną klamkę.

Varya ma za sobą dość sesji terapeutycznych, by rozumieć, że opowiada sobie historie. Wierzy, że rytuały mają moc, że myśli mogą zmienić przebieg wydarzeń albo odpędzić nieszczęście. Zdaje sobie sprawę, że to tylko magiczna sztuczka, niezbędna do przetrwania. Ale, ale: czy opowieść, w którą się wierzy, to nadal tylko fikcja? Varya skrywa jeszcze głębszy sekret, przyczynę, przez którą prawdopodobnie nigdy nie uwolni się od swoich zaburzeń: czasami nie uważa, że to zaburzenie. Wiara w to, że myśl może zmienić rzeczywistość, nie zawsze wydaje jej się czymś absurdalnym.

W maju 2007 roku, sześć miesięcy po śmierci Daniela, do Varyi zadzwoniła rozhisteryzowana Mira.

– Oczyścili Eddiego O'Donoghue z zarzutów – powiedziała. Przeprowadzono postępowanie wewnętrzne, jednak nie znaleziono żadnych dowodów na to, że agent przekroczył swoje uprawnienia.

Varya nie płakała. Czuła tylko, jak w jej ciało wstępuje furia, jak wije sobie w niej gniazdo. Już nie wierzyła, że Daniel umarł od pocisku wycelowanego w biodro, który zamiast tego rozdarł mu udo i przerwał tętnicę, prowadząc do zupełnego wykrwawienia w niecałe dziesięć minut. Śmierć Daniela nie oznacza przegranej ciała, lecz udowadnia potęgę

zupełnie innego przeciwnika: ludzkiego mózgu. Pokazuje, że myśli mają skrzydła.

32

W piątek rano w drodze do pracy Varya zjeżdża z drogi, zatrzymuje samochód na parkingu i chowa głowę między kolanami. Myśli o Luke’u. Przez ostatnie dwa dni czekał na nią przed laboratorium o 7.30 i szedł za nią do wiwarium. Chciał się na coś przydać – pomagał Varyi w odważaniu karmy, nosił ciężkie klatki do magazynu na czyszczenie – a zwierzęta go polubiły. W środę wciągnął się w zabawę z Gusem, jednym ze starszych samców o gęstym pomarańczowym futrze i równie imponującym ego. Gus podchodził do prętów klatki i wystawiał brzuch do podrapania. A potem albo odskakiwał w tył, próbując zaskoczyć Luke’a, który śmiał się i podejmował jego grę, albo siedział spokojnie tak długo, jak długo Luke drapał go po łososiowym brzuchu, i mlaskał z zadowolenia.

Kiedy Varya wyraziła swoje zaskoczenie, że chłopak tak chętnie pomaga i radzi sobie z małpami, Luke wyjaśnił, że dorastał na farmie – praca fizyczna i kontakt ze zwierzętami nie są mu obce. Poza tym tego właśnie oczekuje od niego redaktor w „Chronicle”: żeby Luke zapoznał się z codziennym życiem w instytucie. Dzięki temu w artykule naukowcy staną się ludźmi z krwi i kości, a małpy stworzeniami z indywidualną osobowością, a nie tylko przedmiotami badań. Zapytał ją o to w czwartek, kiedy jedli lunch w jej gabinecie – Varya siedziała nad przyniesionym z domu pudełkiem brokułów z czarną fasolką, Luke rozpakował wrapa

z kurczakiem kupionego w atrium. Chciał wiedzieć, czy Varya dostrzega w małpach jednostkową tożsamość i czy przeszkadza jej, że siedzą zamknięte w klatkach. Gdyby zrobił to w poniedziałek, byłaby ostrożniejsza, ale cały tydzień upłynął gładko, bez żadnych starć, a dziennikarz ani razu nie sprawiał wrażenia, że ją osądza. Do czwartku zdążyła się już rozluźnić na tyle, że odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Przed rozpoczęciem pracy w instytucie Varya nigdy nie miała styczności z organizmami tak dużymi i intensywnymi w kontakcie. Ciała małp były mięsiste, niemożliwe do zignorowania: zwierzęta wydzielały ostry zapach, jazgotały, były porośnięte sierścią, chorowały na cukrzycę i endometriozę. Sutki miały rozciągnięte, koloru gumy balonowej, a twarze niepokojąco pełne emocji. Nie dało się spojrzeć im w oczy i nie zobaczyć – albo nie odnieść wrażenia, że się widzi – co myślą, co czują. Małpy nie były pasywnymi przedmiotami badań, lecz aktywnymi uczestnikami z własną opinią na każdy temat. Varya pilnowała się, żeby ich nie antropomorfizować, a mimo to w pierwszych latach pracy czuła niepokój na widok znajomych rysów ich twarzy, a zwłaszcza oczu. Kiedy małpy zbierały się razem i wpatrywały w nią ślepiami bez dna, wydawało jej się, że to ludzie w małpich przebraniach, wyglądający przez dziury wycięte w maskach.

– Ale oczywiście takie myślenie jest niemożliwe do utrzymania na dłuższą metę – wyjaśnia Luke’owi.

Siedziała przy swoim biurku, a Luke przy stanowisku Annie. Oparł prawą kostkę na lewym kolanie, zginając długie nogi z pajęczą niezdarnością właściwą wysokim młodym mężczyznom. Rozluźniona jego nienachalnym zainteresowaniem ciągnęła opowieść.

– Kiedyś pojechałam na Święto Dziękczynienia do brata, który był lekarzem wojskowym, i zwierzyłam mu się z tego wszystkiego. To był mój

drugi albo trzeci rok pracy w instytucie. Daniel opowiedział mi o pacjencie, którego przyjął tego dnia rano, dwudziestotrzyletnim żołnierzu z infekcją w amputowanej kończynie, który wyklinał Afgańczyków za każdym razem, kiedy mój brat go dotykał. Daniel go kojarzył, kilka lat wcześniej badał go na komisji poborowej. Okazywał wtedy taki niepokój, taką troskę o ludzi, którzy tam mieszkają, że Daniel prawie wysłał go na badanie psychiatryczne. Obawiał się, że chłopak jest za miękki.

Kiedy o tym rozmawiali, Daniel siedział w takiej samej pozycji jak Luke w czwartek – z jedną nogą opartą na drugiej – i wzrok miał tak samo skupiony, ale jego oczy były podkrążone, a włosy, dawniej gęste, zdążyły już się przerzedzić. W tamtej chwili Varyi stanął przed oczami Daniel sprzed kilku dekad, jej młodszy brat, którego idealizm ustąpił miejsca czemuś o wiele bardziej realistycznemu, lecz równie prostemu, co dostrzegała również w sobie.

– Chodziło mu o to – ciągnęła – że nie przetrwasz, jeśli nie odczłowieczysz wroga, jeśli go sobie nie stworzysz. Daniel powiedział, że współczucie to przywilej cywili, a nie tych, którzy muszą działać. Działanie oznacza, że musisz wybrać jedną rzecz zamiast drugiej. A lepiej pomagać tylko jednej stronie niż żadnej.

Nałożyła przykrywkę na plastikowy pojemnik i pomyślała o Fridzie, przydzielonej do grupy z ograniczoną podażą kalorii. Z początku Frida niestrudzenie domagała się jedzenia. Varya słyszała jej krzyki nawet po powrocie do domu. W bezwstydnym głodzie małpy było coś takiego, co wzbudzało w Varyi jednocześnie poczucie winy i obrzydzenie. Jej pragnienie życia było tak oczywiste, a oskarżycielski wyraz oczu tak wyraźny, że Varya niemal spodziewała się usłyszeć z klatki Fridy angielszczyznę zamiast ochrypłego staccato jazgotliwych pisków.

– Owszem, przywiązuję się do małp – dodała. – Nie powinnam tego mówić, to niezbyt naukowe podejście. Ale znam je od dziesięciu lat. I muszę pamiętać, że badanie im też przynosi korzyści. Opiekuję się nimi, chronię je, zwłaszcza te na ograniczonej diecie. Dzięki temu będą dłużej żyły.

Luke milczał; odłożył dyktafon i nie sięgnął po notes, choć leżał przed nim na biurku.

– Ale mimo to należy wyznaczyć granicę, która nam powie: „Nasz projekt jest tego wart. Życie tego zwierzęcia po prostu nie ma takiej wartości jak postęp medyczny, któremu ono się przysłuży". Trzeba tak myśleć.

Tamtej nocy Varya długo nie mogła zasnąć. Zastanawiała się, dlaczego wyznała to wszystko dziennikarzowi i jak się to na niej odbije, jeśli Luke postanowi wpleść jej wypowiedź do artykułu. Mogłaby poprosić, żeby pominął tę rozmowę, ale to sugerowałoby, że Varya ma wątpliwości co do etyki własnej pracy i że długo nad tym rozmyślała – a takiej perspektywy nie chciałaby mu podsuwać. Teraz siedzi w samochodzie, walcząc z falą mdłości. Dręczy ją wszechogarniające uczucie, że nie tylko postawiła własną karierę pod znakiem zapytania, ale też zdradziła Daniela. Kiedy myśli o spotkaniu z Lukiem w laboratorium, ma przed oczami brata. To bez sensu. Jedyne podobieństwo między nimi to wzrost, a mimo to Varya nie może odpędzić tego obrazu. To Daniel czeka na nią w pomarańczowej wiatrówce, z plecakiem przewieszonym przez ramię. Twarz Daniela stapia się z młodszymi, pełnymi oczekiwania rysami Luke'a. Potem obraz ulega transformacji: Varya widzi Daniela w kamperze, z nogą rozszarpaną pociskiem, leżącego w kałuży krwi. Wie, że gdyby się tak nie odcięła, Daniel porozmawiałby o niej z Bruną. Mogłaby go ocalić.

Kiedy mdłości ustępują, a dłonie Varyi przestają się trząść – przynajmniej na tyle, żeby mogła utrzymać kierownicę – okazuje się, że minęła godzina. Varya nigdy dotąd nie spóźniła się do pracy. Z ulgą odkrywa, że Annie zabrała Luke'a do kuchni, żeby pomógł jej zważyć jedzenie zostawione przez małpy po posiłku i rozdzielić granulki do karmników na przyszły tydzień. Varya go unika. Zamyka się w biurze i zajmuje podaniem o grant. W pewnym momencie ktoś puka do drzwi. Annie by jej nie przeszkadzała, więc Varya wie, że to może być tylko Luke.

– Pomyślałem, że sprawdzę, czy nie chciałaby pani wyjść na kolację – mówi, kiedy Varya otwiera mu drzwi. Chłopak trzyma ręce w kieszeniach; uśmiecha się, widząc jej zaskoczenie. – Już osiemnasta.

– Obawiam się, że nie jestem głodna. – Varya wraca do biurka, żeby wyłączyć komputer.

– To może wyjdziemy się napić? W czerwonym winie jest resweratrol. Proszę nie myśleć, że nie odrobiłem pracy domowej.

Varya wypuszcza powietrze z płuc.

– To miałaby być rozmowa do artykułu, czy nieoficjalna?

– Jak pani woli. Myślałem o nieoficjalnej.

– Jeśli to nie wywiad, to po co mielibyśmy się spotykać? – pyta Varya, obracając się na krześle.

– Networking? Relacje międzyludzkie? – Luke przygląda się jej dziwnie, jakby nie był pewien, czy to żart. – Nie gryzę. Albo przynajmniej nie tyle, co pani małpy.

Varya gasi światło. Twarz Luke'a rozmywa się w cieniu, rozproszonym tylko przez jarzeniówki z korytarza. Sprawiła mu przykrość.

– Ja zapraszam – dodaje chłopak. – Chciałbym pani podziękować.

Później Varya będzie się zastanawiać, co sprawiło, że zgodziła się na to spotkanie, choć przecież wszystko w niej się buntowało, i co by się stało,

gdyby odmówiła. Czy kierowały nią wyrzuty sumienia, czy może zmęczenie? Była już wycieńczona dręczącym ją nieustannie poczuciem winy, które kurczyło się, tylko kiedy pracowała – albo kiedy myła ręce. Pozwalała coraz gorętszej wodzie płynąć tak długo, aż miała wrażenie, że trzyma dłonie w ogniu albo w bryle lodu. Sumienie uciszało się też pod wpływem głodu, a Varya często była głodna. Czasami czuła się tak lekka, jakby miała w każdej chwili unieść się w niebo, do rodzeństwa. Teraz też czuła głód, ale jednak coś sprawiło, że zgodziła się na wyjście.

* * *

Siedzą w wine barze przy Grant Avenue nad butelką czerwonego caberneta z winiarni znajdującej się zaledwie dwanaście kilometrów na południe. Varya natychmiast czuje działanie alkoholu. Zdaje sobie sprawę, że od ostatniego posiłku minęło wiele czasu, ale nie tknęłaby jedzenia w restauracji, więc tylko pije i słucha Luke'a, który opowiada jej o swoim dzieciństwie. Jego rodzina hoduje wiśnie na farmie w hrabstwie Door w stanie Wisconsin, na zbitce wysepek i wzdłuż linii brzegowej ciągnącej się aż do jeziora Michigan. Mówi, że farma przypomina mu hrabstwo Marin, tereny należące dawniej do Indian – Potawatomów w hrabstwie Door, Miwoków w Marin – zanim przyjechali Europejczycy i zagarnęli te ziemie pod własne uprawy i wycinkę drewna. Luke opisuje wapienie, wydmy, choiny o długich, wiecznie zielonych ramionach i żółte brzozy, których liście każdej jesieni pokrywają ziemię bajkowym złotym dywanem.

Chłopak wyjaśnia, że poza sezonem mieszka tam niecałe trzydzieści tysięcy ludzi, ale latem i wczesną jesienią liczba mieszkańców wzrasta prawie dziesięciokrotnie. W lipcu farmę ogarnia prawdziwy obłęd – trzeba jak najszybciej zebrać, wysuszyć, zapuszkować albo zamrozić jak najwięcej wiśni. Hodują cztery odmiany owoców – kiedy Luke był mały, każdy

członek rodziny dostawał w przydziale jeden gatunek do zebrania z drzew specjalnym kombajnem. Ojciec Luke’a zajmował się wielkimi, soczystymi balatonami. Ponieważ Luke był najmłodszy, miał za zadanie razem z matką zbierać wiśnie montmorency o przezroczystym żółtym miąższu. Starszy brat Luke’a zbierał czereśnie: twarde i czarne, najcenniejsze ze wszystkich owoców na farmie.

Varya słucha, ale zaczyna odpływać. Ma przed oczami ciemne czereśnie, żółte i czerwone wiśnie, lekko rozmyte w miękkiej sennej mgle. Luke pokazuje jej zdjęcie swojej rodziny na telefonie. To chyba wczesna jesień, zielone korony drzew są już gęsto poprzetykane musztardowymi liśćmi. Rodzice Luke’a mają gęste blond włosy, choć jaśniejsze niż jego. Brat – „Asher”, wyjaśnia Luke – młody chłopiec o pryszczatej twarzy, rozpromienionej w uśmiechu, trzyma dłonie na ramionach Luke’a, który ma najwyżej sześć lat. Unosi ramiona ku rękom Ashera. Szczerzy zęby tak radośnie, że jego uśmiech niemal przechodzi w grymas.

– A pani? – pyta, chowając telefon z powrotem do kieszeni. – Opowie mi pani coś o swojej rodzinie?

– Starszy z moich braci był lekarzem, jak już wspominałam. Młodszy tancerzem. A siostra iluzjonistką.

– Ja pierniczę. Wyciągała króliki z kapelusza?

– Nie. – Pomieszczenie rozmywa się w półmroku, więc Varya nie może wypatrzyć w otoczeniu rzeczy, które by ją zaniepokoiły. – Była świetna w sztuczkach karcianych, ale specjalizowała się w czytaniu w myślach. Jej partner prosił kogoś z publiczności o jakiś osobisty przedmiot, na przykład czapkę czy portfel, a ona zgadywała, co to jest, bez żadnych podpowiedzi od asystenta, z zawiązanymi oczami i stojąc twarzą do ściany.

– A czym się teraz zajmują? – pyta Luke, a Varya aż się wzdryga. Chłopak przygląda się jej uważnie. – Przepraszam. Użyła pani czasu

przeszłego. Pomyślałem, że pewnie już są…

– Na emeryturze? – kończy za niego Varya i potrząsa głową. – Nie. Już nie żyją.

Sama nie wie, dlaczego postanawia mówić dalej; może dlatego, że Luke wkrótce wyjeżdża. Jakie to niezwykłe uczucie, jaka ulga – podzielić się z kimś wspomnieniami, o których mówiła tylko na terapii.

– Mój najmłodszy brat zmarł na AIDS; miał dwadzieścia lat. Siostra odebrała sobie życie. Czasami zastanawiam się, czy nie cierpiała na zaburzenia dwubiegunowe albo schizofrenię, nie żebym teraz mogła cokolwiek na to poradzić. – Varya kończy swój kieliszek i nalewa sobie następny. Rzadko pije, więc alkohol uderza jej już do głowy, otępia, otwiera. – A Daniel wplątał się w coś, czym nie należało się interesować. Został zastrzelony.

Luke wpatruje się w nią w milczeniu. Przez jedną idiotyczną chwilę Varya obawia się, że chłopak weźmie ją za rękę. Ale on nie rusza się z miejsca – niby dlaczego miałby zrobić coś takiego? – więc Varya wypuszcza powietrze z płuc.

– Bardzo mi przykro. To dlatego poświęciła się pani tej pracy? – pyta Luke. Varya nie odpowiada, a on zaczyna naciskać; najpierw ostrożnie, ale szybko nabiera pewności siebie. – Leki, które są dziś na rynku… Uratowałyby życie pani brata, gdyby miał do nich wtedy dostęp. A dzięki testom genetycznym można dziś ocenić ryzyko choroby psychicznej, a nawet zdiagnozować pacjenta. To mogłoby pomóc Klarze, prawda?

– O czym ma być ten twój artykuł? – ucina Varya. – O mojej pracy czy o mnie?

Stara się zachować lekki ton, chociaż nagle przebiega przez nią niepokój, ostry jak nitka prądu. Nawet nie wie, skąd wzięło się to uczucie.

– Trudno oddzielić jedno od drugiego, nie sądzi pani? – Kiedy Luke nachyla się nad stolikiem i patrzy Varyi głęboko w oczy, coś się w niej szarpie. Teraz dociera do niej, co ją tak przeraziło: przecież nie mówiła dziennikarzowi, jak nazywała się jej siostra.

– Muszę już iść – mamrocze, przyciskając dłonie do blatu.

Próbuje wstać. Podłoga natychmiast kołysze się w przód i w tył, ściany się kiwają, więc Varya znów siada – a raczej opada.

– Proszę zostać – nalega Luke, i teraz naprawdę kładzie rękę na jej dłoni.

Varya czuje, jak bańka przerażenia podchodzi jej do gardła i pęka gwałtownie.

– Proszę mnie nie dotykać – mówi ostro.

Luke natychmiast puszcza. Na jego twarzy maluje się smutek; uważa, że Varya jest żałosna, a ona nie może znieść tej myśli. Znów wstaje – tym razem utrzymuje się na nogach.

– Nie powinna pani prowadzić. – Luke też wstaje. Varya widzi w jego oczach panikę, taką samą jak jej własna, i czuje jeszcze większy strach. – Proszę… Przepraszam.

Ona tylko wyciąga portfel, drżącą ręką wyciąga cienki zwitek dwudziestek i kładzie pieniądze na stoliku.

– Nic mi nie jest.

– Odwiozę panią – naciska chłopak, kiedy Varya rusza ku wyjściu. – Gdzie pani mieszka?

– Gdzie mieszkam? – syczy, a Luke opada na krzesło. Nawet w półmroku widać, że cały poczerwieniał. – Czy ty jesteś normalny?

Chwyta za klamkę, wychodzi na dwór. Zerka za siebie, żeby upewnić się, czy Luke nie idzie za nią, po czym odnajduje wzrokiem swój samochód i biegnie przez parking.

33

W sobotę budzi ją miażdżący ból pośrodku pleców i huczące pulsowanie pod czaszką. Ubranie ma mokre i śmierdzące od potu. W nocy ściągnęła buty i sweter, ale bluzka klei się jej do brzucha, a skarpetki ma tak wilgotne, że kiedy zsuwa je ze stóp, opadają ciężko na podłogę auta. Varya podnosi się na tylnym siedzeniu. Na zewnątrz jest już rano, Grant Street tonie w strugach deszczu.

Varya przyciska dłonie do oczu. Pamięta bar, zbliżającą się twarz Luke'a, jego głos, cichy, ale natarczywy – „Trudno oddzielić jedno od drugiego, nie sądzi pani?" – i jego gorącą dłoń. Przypomina sobie, jak pobiegła do samochodu i zwinęła się w kłębek na tylnym siedzeniu, jak dziecko.

Skręca ją z głodu. Przełazi z tylnego siedzenia na przód i rozgląda się za resztkami wczorajszego jedzenia. Kawałki jabłek zrobiły się brązowe i gąbczaste, ale i tak je zjada, razem z ciepłymi, pomarszczonymi winogronami. Unika swojego odbicia, ale przypadkiem dostrzega swoją twarz w bocznym lusterku – włosy jak u Einsteina, wargi luźno rozchylone – i prędko odwraca wzrok, sięgając po kluczyki.

Po powrocie do mieszkania zdejmuje ubranie i natychmiast wkłada wszystko do pralki, po czym bierze tak długi prysznic, że woda w końcu robi się zimna. Następnie owija się różowym, idiotycznie puszystym

szlafrokiem – to prezent od Gertie, Varya w życiu nie kupiłaby sobie czegoś takiego – i łyka tyle proszków przeciwbólowych, ile jej zdaniem może znieść organizm. A potem wpełza do łóżka i znów zasypia.

* * *

Budzi się po południu. Teraz, kiedy opuściło ją już wszechogarniające wyczerpanie, Varya czuje szarpnięcie paniki i już wie, że nie może spędzić reszty dnia w domu. Prędko się ubiera. Twarz ma bladą, o ostrych ptasich rysach. Srebrne włosy sterczą na wszystkie strony. Moczy dłonie i przygładza rozczochrane kępki, i natychmiast zastanawia się, po co właściwie to robi: przecież w soboty w laboratorium są tylko zootechnicy, a poza tym zaraz po przyjściu włoży czepek. Zazwyczaj nie je lunchu, ale tym razem wyjmuje jeszcze jedną porcję z lodówki i zjada jajka na twardo w drodze do instytutu.

Kiedy tylko znajduje się w laboratorium, uspokaja się. Przebiera się w kombinezon i wchodzi do wiwarium.

Chce sprawdzić, jak się czują małpy. Nadal czuje się niepewnie w pobliżu zwierząt, ale czasami dręczy ją strach, że pod jej nieobecność coś im się stanie. Oczywiście wszystko w porządku. Josie obserwuje wejście w lusterku, a kiedy widzi Varyę, wypuszcza je z łap. Maluchy rozpierzchają się niespokojnie we wspólnej zagrodzie. Gus siedzi w głębi swojej klatki. Ale ostatnia klatka – należąca do Fridy – jest pusta.

– Frida? – woła Varya, zupełnie bez sensu. Nie ma żadnego dowodu, że małpy rozumieją swoje imiona, a mimo to powtarza je jeszcze raz.

Wychodzi z wiwarium na korytarz, dalej wołając Fridę, aż w końcu zootechniczka Johanna wygląda z kuchni.

– Jest w izolatce – wyjaśnia.

– Dlaczego?

– Skubała się – mówi prędko Johanna. – Pomyślałam, że jeśli ją odseparujemy od reszty, to może…

Nie kończy zdania; Varya już odchodzi.

* * *

Pierwsze piętro laboratorium ma plan kwadratu. Gabinet Varyi i Annie znajduje się po zachodniej stronie, wiwarium po północnej. Kuchnia zajmuje część południową, razem z salami zabiegowymi. Izolatka, portiernia i pralnia są od wschodu. Klatka w pomieszczeniu do izolacji ma metr osiemdziesiąt szerokości i dwa metry czterdzieści wysokości, więc jest przestronniejsza od zwykłych zagród. Nie ma tu jednak elementów wzbogacających otoczenie, bo nieposłuszne małpy wysyła się tu za karę. Oczywiście klatka w żaden sposób nie wywołuje poczucia zagrożenia, nie ma w niej nic bezpośrednio przerażającego. Po prostu nie ma w niej nic ciekawego: zwykła klatka ze stali nierdzewnej z małymi kwadratowymi drzwiczkami, zamykana od zewnątrz. Znajduje się w niej karmnik i poidło. Klatka stoi na dziesięciocentymetrowej podstawie i ma wywiercone w podłodze dziury, żeby odchody mogły spływać do wysuwanej kuwety pod spodem.

– Frida – mówi Varya.

Zagląda do pomieszczenia – to właśnie tu przyniosła Fridę w dzień jej przybycia do instytutu, kiedy jej podopieczna miała zaledwie kilka tygodni.

Frida siedzi zgarbiona w głębi klatki, tyłem do wejścia, i kołysze się w miejscu. Grzbiet ma poznaczony plackami wielkości pięści w miejscach, z których wyrwała sobie futro. Sześć miesięcy temu przestała czyścić resztki sierści. Inne zwierzęta trzymają się od niej z daleka, wyczuwając odpychającą słabość. Małpa siedzi w płytkiej kałuży rdzawego moczu, który nie zdążył jeszcze spłynąć do kuwety.

– Frida – powtarza Varya, tym razem głośniej, choć łagodnym tonem. – Frida, przestań. Proszę.

Kiedy małpa słyszy głos Varyi, odwraca głowę profilem do opiekunki. Błyszcząca powieka ma barwę lawendy, otwarty pysk przypomina kształtem półksiężyc. Potem Frida się krzywi. Odwraca się powoli, ale kiedy siedzi przodem do Varyi, nie zatrzymuje się. Przekręca się dalej, podpierając prawą łapą, lewą ciągnie za sobą. Dwa tygodnie temu tak mocno ugryzła się w lewe udo, że trzeba było założyć jej szwy.

Jak do tego doszło? Kiedy Frida była młodsza, miała najwięcej wigoru spośród wszystkich makaków. Z makiaweliczną przebiegłością planowała towarzyskie rozgrywki, nawiązywała strategiczne sojusze i podkradała jedzenie bardziej uległym małpom, a przy tym potrafiła być ujmująca i wyjątkowo ciekawska. Uwielbiała być noszona: wyciągała łapy przez pręty klatki ku talii Varyi, a ona od czasu do czasu wypuszczała Fridę, która uczepiała się jej biodra, i chodziły tak razem po wiwarium. Doświadczenie takiej bliskości napełniało Varyę jednocześnie przerażeniem i ekstatycznym szczęściem. Bała się zarazić czymś od Fridy, ale była też bliska euforii, bo mogła choć przez chwilę, przez warstwę odzieży ochronnej, poczuć, jakie to uczucie być blisko innego zwierzęcia, mogła być zwierzęciem.

Rozlega się pukanie do drzwi. Johanna, myśli Varya, albo Annie, choć Annie rzadko pojawia się w laboratorium w weekendy. Podobnie jak Varya, Annie nie ma męża ani dzieci. W wieku trzydziestu siedmiu lat nie jest jeszcze na to za późno, ale Annie po prostu nie chce. „Niczego mi w życiu nie brak”, powiedziała kiedyś, a Varya jej wierzy. Wieloosobowa koreoamerykańska rodzina mieszka rzut kamieniem od niej. Prawie zawsze z kimś się spotyka – raz z mężczyznami, raz z kobietami – i przeprowadza te romanse z taką samą pewnością siebie, z jaką podchodzi do pracy naukowej. Varya myśli o Annie z macierzyńską dumą, ale też

z macierzyńską zazdrością. Annie jest właśnie taką kobietą, jaką Varya miała nadzieję się stać: podejmującą niekonwencjonalne wybory i czerpiącą z nich satysfakcję.

Znów słychać pukanie.

– Johanna? – woła Varya i wstaje, żeby ją wpuścić.

Ale kiedy otwiera drzwi, widzi na progu Luke'a. Chłopak ma splątane, przetłuszczone włosy i popękane wargi. Jego twarz przybrała dziwny żółtawy odcień. Ma na sobie to samo ubranie co wczoraj. Pewnie też w nim spał. Cienka skorupka spokoju, którą Varya zdołała otoczyć się od rana, pęka wzdłuż i opada.

– Co ty tu robisz?

– Clyde mnie wpuścił. – Luke mruga kilka razy. Jedną dłoń nadal trzyma na klamce. Varya zauważa, że druga ręka mu drży. – Muszę z panią porozmawiać.

Frida w tym czasie odwróciła się do ściany i znów się buja. Varya nie cierpi kołysania Fridy i nie może znieść myśli, że Luke to widzi. Odchodzi od drzwi, żeby zamknąć pomieszczenie izolacyjne. Zajmuje jej to nie więcej niż dwie sekundy, ale już za późno – słyszy za plecami trzask migawki. Kiedy odwraca się do chłopaka, on już wpycha aparat z powrotem do plecaka.

– Daj mi to – żąda wściekle.

– Nie – protestuje Luke, ale jego głos jest cichy i niepewny, jak u małego chłopca chroniącego ukochaną zabawkę.

– Nie? To cię pozwę. Nie dostałeś autoryzacji na robienie tu zdjęć.

Varya spodziewała się zobaczyć na twarzy Luke'a zawodową satysfakcję, ale widzi tylko strach. Chłopak ściska mocniej plecak.

– Nie jesteś dziennikarzem. – Przerażenie Varyi jest tak intensywne, że aż dzwoni jej w uszach. Myśli o ostrzegawczych wrzaskach marmozet. –

Kim ty jesteś?

Ale Luke nie odpowiada. Stoi jak wmurowany w progu, tak nieruchomy, że gdyby nie rozdygotana lewa ręka, mogłaby wziąć go za manekina.

– Zadzwonię na policję – mówi Varya.

– Proszę, nie – jąka się chłopak. – Ja…

Ale nie kończy zdania, a w przeciągającej się ciszy Varya czuje, jak rozlewa się w niej niekontrolowana myśl. Niech to będzie niegroźne, myśli, niech to będzie niegroźne, jakby wpatrywała się w zdjęcie rentgenowskie nowotworu, a nie w twarz obcego człowieka.

– Nazwałaś mnie Solomon – mówi chłopak.

Coś ciągnie ją w ciemność. Z początku jest zdezorientowana: Jak to? Niemożliwe. Wiedziałabym. A potem następuje uderzenie. Tak silne, że aż ją rozpłaszcza. Obraz rozmywa jej się przed oczami.

Bo dwadzieścia sześć lat temu Varya zatrzymała się przed wejściem do Planned Parenthood przy Bleecker Street, wrosła w ziemię jak porażona piorunem. Był początek lutego, 15.30, na dworze panował już przejmująco zimny mrok, ale ciało Varyi płonęło. Czuła w sobie trzepotanie czegoś nieznajomego. Popatrzyła na trójkątny budynek, w którym znajdowała się klinika, i pomyślała, co mogłoby się stać, gdyby nie zdusiła tego trzepotu. Mogła podjąć tę decyzję, którą już sobie zaplanowała; jej życie potoczyłoby się dalej, jak przed pojawieniem się aberracji, i wszystko pozostałoby doskonale symetryczne. Zamiast tego rozpięła płaszcz, wpuszczając pod ubranie powiew zimnego powietrza. A potem się odwróciła.

34

Varya na miękkich nogach wypada z wiwarium i zbiega na parter. Przecina lobby, mija Clyde'a, który na jej widok wstaje i pyta, czy wszystko w porządku. Otwiera drzwi i ucieka po górskim zboczu. Nie obchodzi jej, że Luke został w środku bez nadzoru; chce tylko znaleźć się jak najdalej od niego. Deszcz zdążył już ustąpić miejsca słońcu. Na dworze jest tak jasno, że pieką ją oczy. Idzie przez parking najszybciej jak to możliwe bez ściągania na siebie uwagi. Nie chce marnować czasu na szukanie ciemnych okularów, bo już słyszy, że Luke ją goni.

– Varya! – woła za nią, ale ona się nie zatrzymuje. – Varya!

Podniósł głos, więc Varya się odwraca.

– Ciszej. Ja tu pracuję.

– Przepraszam – dyszy Luke.

– Jak śmiesz. Okłamać mnie w żywe oczy. I to w laboratorium, w moim własnym laboratorium!

– Inaczej nie chciałabyś ze mną rozmawiać. – Głos Luke'a staje się dziwnie piskliwy.

Varya widzi, że chłopak próbuje powstrzymać łzy. Śmieje się szczekliwie.

– Teraz na pewno nie będę z tobą rozmawiać.

– Będziesz. – Słońce znika za chmurą. W tym nowym, zimnym świetle Luke się uspokaja. – Albo sprzedam zdjęcia.

– Niby komu?

– PETA na pewno się zainteresuje.

Varya wpatruje się w chłopaka. Traci oddech, jak przy uderzeniu w brzuch – nie, jakby ktoś wyssał z niej powietrze.

– Ale Annie – zacina się. – Annie sprawdziła twoje referencje.

– Poprosiłem współlokatorkę, żeby podała się za redaktorkę z „Chronicle”. Wiedziała, jak bardzo mi zależy, żeby cię poznać.

– Przestrzegamy najściślejszych etycznych standardów – mówi Varya. Głos jej drży od bezużytecznej złości.

– Może i tak. Ale Frida nie wygląda najlepiej.

Stoją w połowie wysokości wzgórza. Za nimi pojawia się dwóch adiunktów. Idą w stronę głównego budynku, grzebiąc widelcami w jedzeniu na wynos.

– Szantażujesz mnie – syczy Varya, kiedy znów mogą rozmawiać.

– Nie chciałem tego robić. Ale dobrych kilka lat próbowałem cię znaleźć. Agencja na nic się nie przydała, wiedzieli, że nie chcesz ujawniać tożsamości, i wszystkie moje papiery były zapieczętowane. Wszystkie pieniądze wydałem na wyjazd do Nowego Jorku. Kilka tygodni przesiedziałem w sądzie okręgowym i przewalałem dokumenty. Znałem swoją datę urodzenia, ale nie wiedziałem, do którego szpitala poszłaś, a kiedy cię znalazłem, kiedy nareszcie cię znalazłem, nie mogłem… – Chłopak przerywa pośpieszny monolog i bierze głęboki wdech. Dopiero wtedy dostrzega jej twarz. Przerzuca sobie plecak pod ramię, sięga do środka i wyjmuje złożony kawałek białego materiału. – Chusteczka – wyjaśnia. – Płaczesz.

Varya nawet nie zauważyła.

– Nosisz przy sobie chusteczkę?

– Należała do mojego brata, a wcześniej do taty. Mają takie same inicjały. – Luke wskazuje na maleńki haft w rogu. Zauważa, że Varya się waha. – Jest czysta. Nie używałem jej od ostatniego prania, i zawsze wyparzam ją we wrzątku.

Mówi to poufnym tonem, i Varya już wie, że zobaczył ją taką, jaka jest naprawdę, odkrył jej sekret. Wzbiera w niej wstyd.

– Widzisz, ja też tak mam – wyjaśnia Luke. – Od razu to w tobie zauważyłem. Ale ja nie mam problemu z zarażeniem. Boję się, że zrobię komuś krzywdę – że przypadkiem kogoś zabiję.

Varya przyjmuje chusteczkę i wyciera twarz, a kiedy znów otwiera oczy, myśli o słowach Luke'a – „że przypadkiem kogoś zabiję" – i wybucha śmiechem, aż Luke się do niej przyłącza. Po chwili jej śmiech znów przechodzi w płacz – bo Varya doskonale rozumie, o co mu chodziło.

* * *

W ciszy jedzie do swojego mieszkania. Samochód Luke'a jest tuż za nią. Kiedy wchodzi po schodach, słyszy za sobą jego kroki, czuje ciężar jego ciała, i żołądek podchodzi jej do gardła. Rzadko przyprowadza kogokolwiek do domu. Gdyby wiedziała, przygotowałaby wszystko wcześniej. Ale teraz nie ma na to czasu, więc włącza światło i obserwuje reakcję Luke'a.

Mieszkanie jest niewielkie. Wystrój został oparty na starannie zaplanowanej strategii obliczonej na maksymalną redukcję czynników wywołujących w Varyi lęk. Każdy element przestrzeni ma za zadanie jednocześnie poprawiać i zakłócać widoczność. Na przykład skórzana kanapa jest dostatecznie ciemna, by nie dało się na niej dostrzec każdego pyłku i przybrudzenia, ale na tyle gładka, żeby – w przeciwieństwie do

szorstkich, wzorzystych materiałów – Varya mogła szybko wyeliminować jakieś ohydztwo, zanim usiądzie. Pościel jest matowoszara, z tego samego powodu: na białych hotelowych prześcieradłach wszystko widać tak wyraźnie, że Varya jest bliska ataku histerii za każdym razem, kiedy sprawdza łóżko. Na ścianach nie ma żadnych plakatów ani obrazów, stoły są bez obrusów, żeby łatwiej było je czyścić. Zasłony są zawsze zaciągnięte, nawet w ciągu dnia.

Dopiero kiedy Varya rozgląda się po mieszkaniu z perspektywy Luke'a, uświadamia sobie, jakie jest ciemne – i brzydkie. Meble nie są miłe dla oka, bo nie wybierała ich z myślą o estetyce. A gdyby spróbowała? Nawet nie wie, jaki ma gust, choć raz zdarzyło jej się przystanąć przed wystawą sklepu z meblami w stylu skandynawskim. Za szybą stała kanapa w odcieniu gołębiej szarości, na smukłych nóżkach z orzechowego drewna i z kwadratowymi poduszkami. Varya przyglądała jej się trzydzieści sekund, minutę, zanim przypomniała sobie, że taki materiał będzie strasznie trudno czyścić, że dostrzeże na niej każdy włos, każdą plamkę – a przede wszystkim, że jeśli kiedyś uzna, że mebel jest skażony, to wyrzucenie go bardzo ją zaboli.

– Napijesz się czegoś? – pyta. – Herbaty?

Luke zgadza się na herbatę i siada na kanapie. Kładzie plecak na podłodze, tuż przy nogach. Kiedy Varya wraca z dwoma kubkami i ceramicznym dzbankiem genmaichy, chłopak siedzi z dyktafonem na ściśniętych razem kolanach.

– Mógłbym nas nagrać? – pyta. – Żebym niczego nie zapomniał. Pewnie już cię więcej nie zobaczę.

Wie, jakiego dobił targu, więc musi to zaakceptować. Złapał ją w zasadzkę i zmusi do mówienia, ale teraz ona nie będzie chciała go znać.

Varya pamięta jednak, że na niej też ciąży obowiązek; postanowiła zostać matką Luke’a, więc teraz odpowie na jego pytania.

– Dobrze.

Policzki ma suche, a wściekłość, którą czuła w laboratorium, ustąpiła miejsca rezygnacji – przynajmniej na razie. Varya myśli o małpach, tych, które wrzeszczą do utraty głosu, aż w końcu poddają swoje ciała badaniom z nieobecną akceptacją.

– Dziękuję. – Wdzięczność w głosie Luke’a jest szczera. Varya czuje, jak promieniuje w jej stronę, i odwraca wzrok. – Gdzie i kiedy się urodziłem?

– Szpital Beth Izrael; jedenasty sierpnia osiemdziesiątego czwartego roku. Była jedenasta trzydzieści dwie rano. Nie wiedziałeś?

– Wiedziałem. Tylko sprawdzam twoją pamięć.

Varya unosi kubek do warg, ale herbata jest tak gorąca, że łzawią jej oczy.

– Koniec sztuczek – ucina. – Poprosiłeś mnie o szczerość. Zasługuję na to samo. Nie musisz mnie o nic podejrzewać ani próbować złapać mnie na kłamstwie. Nie mogłabym tego zapomnieć – żadnego szczegółu – nawet gdybym całe życie próbowała.

– W porządku. – Luke spuszcza wzrok. – Już nie będę. Wybacz mi.

Kiedy znów na nią patrzy, z jego oczu znika cała hardość. Zostaje tylko niepewność i nieśmiałość.

– Jaki był wtedy dzień?

– Kiedy się urodziłeś? Było wściekle gorąco. Okno w moim pokoju wychodziło na park Stuyvesant Square. Patrzyłam na kobiety w moim wieku, w poszarpanych dżinsach i krótkich bluzkach, spod których widać było brzuch, jakby dalej były lata siedemdziesiąte. Ja na brzuchu miałam

wysypkę, a pot zbierał mi się w każdej fałdzie skóry. Nogi tak mi spuchły, że do taksówki na lotnisko musiałam iść w kapciach.

– Miałaś kogoś przy sobie?

– Matkę. Tylko jej o tym powiedziałam.

Gertie u jej boku, jej kojący szept. Gertie ze szmatką i wiadrem lodowatej wody. Gertie, która ryczała na pielęgniarki za każdym razem, kiedy tylko klimatyzacja przestawała działać. Gertie, która zachowała jej sekret przez te wszystkie lata.

– Mamusiu – wychrypiała Varya z obłędem w oczach, kiedy oddała dziecko pielęgniarce. – Nie mogę o tym rozmawiać. Nigdy.

Od tamtego dnia Gertie ani razu nie poruszyła tematu. A jednak mówią o tym cały czas: przez lata każda ich rozmowa jest podszyta niedopowiedzeniem. To ciężar, który dźwigają wspólnie.

– A ojciec?

Varya zauważa, że powiedział „ojciec”, a nie „mój ojciec”, i czuje ulgę. Nie chciałaby, żeby myślał o profesorze jak o kimś ważnym.

– Nigdy się nie dowiedział – wyjaśnia, dmuchając na herbatę. – Był profesorem wizytującym na Uniwersytecie Nowojorskim. Ja właśnie zaczynałam pierwszy rok doktoratu i zapisałam się na jego wykład w semestrze zimowym. Przespaliśmy się ze sobą kilka razy, a potem on oznajmił, że nie powinniśmy tego robić. Kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży, był już styczeń, zaczęły się ferie, a on poleciał z powrotem do Anglii, chociaż wtedy o tym nie wiedziałam. Wydzwaniałam do niego w nieskończoność – najpierw na wydział, a potem dostałam numer do jego biura w Edynburgu. Z początku zostawiałam mu wiadomości, potem starałam się tego nie robić. Nie chodziło o to, że byłam w nim zakochana, bo już nie byłam. Chciałam dać mu szansę cię wychować, gdyby chciał. Aż

w końcu zrozumiałam, że na to nie zasługuje, i już więcej nie próbowałam się z nim skontaktować.

Twarz Luke'a jest ściągnięta, gardło poznaczone żyłami. Jak mogła go nie rozpoznać? Wyobrażała to sobie wiele razy – spotkanie z obcym, lecz znajomo wyglądającym młodym mężczyzną na lotnisku albo w sklepie – i myślała, że odezwie się w niej jakaś zwierzęca świadomość, że jej ciało przypomni sobie te dziewięć miesięcy wspólnego życia jako jeden organizm i rozdzierające, pełne udręki czterdzieści osiem godzin, które nastąpiły później. Nie byłaby zaskoczona na wieść, że miednica pękła jej podczas porodu, ale nic takiego się nie wydarzyło. Cały proces przebiegł zupełnie normalnie, tak rutynowo, że pielęgniarka uznała to za dobrą zapowiedź na drugą ciążę. Ale Varya wiedziała, że drugiej już nie będzie, więc chwyciła mocno maleńkiego człowieka, swojego biologicznego syna, i pożegnała się nie tylko z nim, ale też z częścią siebie. Z częścią mającą dość odwagi, by pokochać człowieka, dla którego tak niewiele znaczyła, i gotową urodzić dziecko, którego nie zamierzała zatrzymać.

Luke zsuwa buty i opiera stopy w skarpetkach na kanapie. Obejmuje kolana ramionami i opiera na nich brodę.

– Jaki byłem?

– Miałeś taki lśniący kosmyk czarnych włosów, jak wydra albo mały punk. Twoje oczy były niebieskie, chociaż pielęgniarki mówiły, że mogą zmienić kolor na brązowy – i oczywiście tak się stało.

Varya pamiętała o tym, kiedy rozglądała się po chodnikach, wagonach metra i ludziach w tle na zdjęciach. Szukała dziecka o niebieskich albo brązowych oczach, które kiedyś należało do niej.

– Byłeś wrażliwy. Kiedy miałeś za dużo bodźców, zaciskałeś mocno oczy i składałeś ręce. Uważałyśmy z matką, że wyglądasz jak mały zirytowany mnich, który bardzo się stara pomodlić.

– Czarne włosy. – Luke się uśmiecha. – I niebieskie oczy. Nic dziwnego, że mnie nie poznałaś.

Jest dobrze po osiemnastej, na dworze mży, niebo ma barwę spłowiałych bławatków.

– Twoja mama kazała ci mnie oddać?

– Boże, nie. Bardzo się o to kłóciłyśmy. Nasza rodzina wiele przeszła. Mój ojciec zmarł bardzo nagle, niedługo po tym jak zaczęłam studia. A dwa lata przed twoim urodzeniem Simon umarł na AIDS. Mama chciała, żebym cię zatrzymała.

Varya miała już wtedy własne mieszkanie, kawalerkę niedaleko uczelni, ale podczas ciąży często spała w domu przy Clinton. Czasami sprzeczki z Gertie przeciągały się aż do północy, aż Varya w końcu kładła się do swojego starego łóżka pod sufitem. Mijało dziesięć minut albo dwie godziny, aż w końcu Gertie przychodziła do pokoju i zajmowała dolne łóżko, kiedyś należące do Daniela, zamiast iść do własnej sypialni. Rano stawała na drabince, odgarniała Varyi włosy z twarzy i całowała ją głośno w czoło.

– Więc dlaczego się nie zgodziłaś? – pyta Luke.

Kiedyś Varya jechała w środku lata przez Wisconsin – była w drodze z konferencji w Chicago na konferencję w Madison. Zatrzymała się nad Diabelskim Jeziorem i weszła po kolana do wody. Była tak zgrzana, że za wszelką cenę chciała się ochłodzić, ale woda była ciepła. Po chwili dziesiątki maleńkich płotek zaczęły skubać jej kostki i stopy. Przez chwilę Varya nie mogła się ruszyć; stała na piasku tak przepełniona uczuciem, jakby za chwilę miała pęknąć. Jakim właściwie uczuciem? Niemożliwą do zniesienia ekstazą bliskości, symbiotycznej wymiany.

– Bałam się – mówi. – Bałam się, ile rzeczy może pójść nie tak, kiedy ludzie przywiązują się do siebie.

Luke chwilę milczy.

– Mogłaś iść na aborcję.

– Mogłam. Umówiłam się na zabieg. Ale nie byłam w stanie tego zrobić.

– Ze względów religijnych?

– Nie. Pomyślałam… – zaczyna, ale głos więźnie jej w gardle, załamuje się. Varya sięga po kubek i pije, aż znów czuje się na siłach, żeby mówić. – Wydawało mi się, że próbuję coś sobie zrekompensować. To, że jestem taka zamknięta w sobie. Że nie potrafię żyć, nie do końca. Więc pomyślałam – miałam nadzieję – że ty będziesz.

Co dało jej siłę, żeby przez to przejść? Myśl o nich: o Simonie i Saulu, o Klarze, Danielu, Gertie. Myślała o nich w drugim trymestrze, kiedy paraliżowały ją ataki paniki, i w trzecim, kiedy czuła się wielka jak mors i sikała więcej, niż spała. Myślała o nich z każdym parciem. Miała ich twarze przed oczami, żeby nie czuć niczego innego – kochała ich, kochała tak mocno, aż w końcu ją rozbroili, dodali jej sił, rozłupali ją, dali jej moc, jakiej nigdy wcześniej w sobie nie miała.

Ale Varya nie mogła utrzymać tego stanu w nieskończoność. Kiedy jechała do domu ze szpitala z rękami złożonymi na brzuchu, zastanawiała się, kim ona jest, że oddała własne dziecko tylko dlatego, że się bała. Odpowiedź pojawiła się natychmiast: jest kimś, kto nie zasługuje na dziecko. Jej ciało, pękające od nadmiaru życia, rozerwane nowym życiem, teraz było puste, tak jak wcześniej – jak zawsze. Na tę myśl czuła żal, ale też ulgę – a ulga przyprawiała ją o taką nienawiść do samej siebie, że Varya była przekonana o swojej racji. Nie zniosłaby takiego życia: przepełnionego cielesnością, niebezpieczeństwem i miłością tak bolesną, że aż odbierała jej dech.

– A co było potem? – pyta Luke.

– Co masz na myśli?

– Miałaś więcej dzieci? Wyszłaś za mąż?

Varya potrząsa głową. Luke jest skonsternowany; marszczy czoło.

– Jesteś lesbijką?

– Nie. Po prostu nigdy… Od tamtej pory, ja nigdy…

Przerywa i wciąga gwałtownie powietrze, jak w bezdźwięcznej czkawce. Kiedy do chłopaka wreszcie dociera, co Varya próbuje powiedzieć, patrzy na nią zdumiony.

– Nie byłaś w żadnym związku od tamtego romansu z profesorem? Nic nie miałaś?

– Nie, że nic. Ale związek? Nie.

Varya przygotowuje się na jego litość. Ale Luke jest oburzony, jakby Varya pozbawiła się czegoś niezbędnego do życia.

– Nie jesteś samotna?

– Czasami. Chyba jak każdy? – odpowiada Varya i się uśmiecha.

Nagle Luke wstaje. Varya spodziewa się, że pójdzie do toalety, ale on kieruje się do kuchni i staje przy zlewie. Przyciska dłonie do blatu; ramiona ma zgarbione jak Frida. Na parapecie nad umywalką leży zegarek Saula. Po śmierci Klary Raj zabrał Daniela do kampera, w którym mieszkali. Zebrał kilka przedmiotów, które rodzina Klary mogłaby chcieć zatrzymać: jedną z pierwszych wizytówek, złoty zegarek Saula, stary program burleski, przedstawiający Klarę seniorkę ciągnącą grupkę mężczyzn na smyczach. Niewiele, ale Daniel był wdzięczny szwagrowi za ten gest. Później zadzwonił do Varyi z lotniska.

– No i ten kamper. Nie był brudny – całkiem przyjemny, jak na przyczepę. Ale tu chodzi o sam fakt. – Daniel mówił ukradkiem, niemal jakby coś tłumiło jego głos. – Gulfstream z lat siedemdziesiątych, Klara ponad rok w nim mieszkała.

I sporo czasu spędziła na parkingu King’s Row w Vegas, tuż obok ludzi wyrzucających miliony w kasynach. Pod łóżkiem po stronie Klary Daniel znalazł małą kulkę szypułek truskawek. Z początku wydawało mu się, że to kępka trawy, którą ktoś przyniósł na podeszwie do środka. Były puszyste od pleśni; Daniel wyrzucił je do kosza. Dodał też, że wyśle Varyi zegarek, który Klara odziedziczyła po Simonie, a Simon po Saulu.

– To męski zegarek – zaprotestowała Varya. – Powinieneś go zatrzymać.

– Nie – powiedział Daniel tym samym nieprzystępnym tonem, a ona pojęła, że brat zobaczył coś, co wytrąciło go z równowagi, i że nie chce zabierać tego wspomnienia ze sobą do domu.

– Luke? – woła Varya.

Chłopak kaszle i chwyta za klamkę lodówki.

– Mogę…?

Stój, myśli Varya, ale on już tam jest, już otworzył drzwiczki i zajrzał do środka.

– Trzymasz tu jedzenie dla małp? – pyta, choć kiedy się odwraca, zdumienie na jego twarzy już ustępuje miejsca zrozumieniu.

Drzwi lodówki odchylają się szerzej. Varya nawet z salonu widzi półki pełne pakunków z porcjami jedzenia. Na górnej półce stoją śniadania: owoce w plastikowych torebkach z dodatkiem dwóch łyżek płatków o wysokiej zawartości błonnika. Środkową półkę zajmują lunche: orzechy z warzywami strączkowymi, a w weekendy do tego plaster tofu albo kawałek tuńczyka. Obiady są w zamrażarce: gotuje je raz w tygodniu, a potem dzieli na porcje i zawija w folię. Na bocznej ścianie lodówki, tej, którą widzi Luke, wisi wydruk tabelki z Excela z rozpiską wartości odżywczej każdego posiłku: kalorii, witamin i minerałów.

Podczas pierwszego roku ograniczonej podaży Varya straciła piętnaście procent masy ciała. Wszystkie ubrania zrobiły się luźne, a jej twarz

wyostrzyła się jak u charta. Varya obserwowała te zmiany ze zdystansowaną ciekawością. Była dumna, że potrafi oprzeć się pokusie słodyczy, węglowodanów, tłuszczu.

– Po co to robisz?

– A jak myślisz? – odgryza się Varya, ale traci rezon, kiedy widzi, że Luke się do niej zbliża. – Chyba mam prawo decydować o własnym życiu? Dlaczego się złościsz?

– Bo jest mi kurewsko przykro – mówi ochryple Luke. – Serce mi pęka na twój widok. Wszystko sobie wysprzątałaś z życia: nie miałaś męża, dzieci. Mogłaś zrobić wszystko. Ale ty żyjesz jak te twoje małpy, siedzisz niedożywiona w klatce. Chodzi o to, że dłuższe życie staje się uboższe. Nie widzisz tego? Chodzi o to, że jesteś gotowa na taką wymianę, ty już dobiłaś targu, ale po co? Jakim kosztem? Oczywiście twoje małpy nigdy nie miały takiego wyboru.

Nie da się wytłumaczyć przyjemności płynącej z rutyny komuś, kto nie uważa rutyny za coś satysfakcjonującego, więc Varya nawet nie próbuje. Ta przyjemność nie jest podobna do seksu czy miłości. Ona płynie z poczucia stabilizacji. Gdyby Varya była bardziej religijna – i gdyby była chrześcijanką – mogłaby zostać zakonnicą. Jakie to bezpieczeństwo wiedzieć, jaką modlitwę będzie odmawiać, jaką pracę będzie wykonywać za czterdzieści lat o czternastej we wtorek.

– Dzięki mnie są zdrowsze – protestuje. – Daję im dłuższe życie.

– Ale nie lepsze. – Luke staje nad nią, a Varya wciska plecy w kanapę. – One nie chcą klatek i suchej karmy. Chcą światła, zabawy, ciepła, bodźców – zagrożenia! Całe to pieprzenie o wybieraniu przetrwania zamiast życia, jakbyśmy mogli kontrolować jedno albo drugie. Nic dziwnego, że nic nie czujesz, kiedy je widzisz w klatkach. Do siebie też nic nie czujesz.

– A jak twoim zdaniem powinnam żyć? Tak jak Simon, którego nie interesował nikt poza nim samym? A może zamknąć się we własnych fantazjach, jak Klara?

Varya ostrożnie odrywa się od kanapy, uważając, żeby go nie dotknąć, i rusza do kuchni. Znów otwiera lodówkę i zaczyna przesuwać pudełka, które zmieniły miejsce, kiedy Luke zatrzasnął drzwiczki.

– Obwiniasz ich – mówi chłopak, idąc za nią.

Varya koncentruje na nim cały gniew na rodzeństwo, gniew, który tli się w niej bez przerwy. Gdyby tylko byli mądrzejsi, ostrożniejsi. Gdyby znaleźli w sobie choć odrobinę samoświadomości, pokory – trochę cierpliwości! Gdyby tylko zrozumieli, że życie to nie szalony wyścig do jakiegoś niezasłużonego spełnienia; gdyby tylko szli zamiast biec, do kurwy nędzy.

Powstali wszyscy razem: zanim którekolwiek z nich stało się człowiekiem, byli jajeczkami – czterema z milionów w ciele ich matki. Niesamowite, że ich temperamenty rozwinęły się w tak drastycznie różnych kierunkach. Każde miało inne słabe punkty – jak nieznajomi, którzy na kilka sekund trafili do jednej windy.

– Nie – mówi Varya. – Kocham ich. Moje badania to hołd ich pamięci.

– Nie uważasz, że to chociaż w jakimś stopniu samolubne?

– Co?

– Istnieją dwie główne teorie, jak zatrzymać proces starzenia. – Luke wygłasza formułkę jak papuga. – Pierwsza opiera się na eliminacji systemu reprodukcyjnego. A druga wymaga ograniczenia podaży kalorii.

– Trzeba było nic ci nie mówić. Jesteś za młody, żeby to zrozumieć. Jesteś jeszcze dzieckiem.

– Ja jestem dzieckiem? Ja? – Luke śmieje się ostro, a Varya aż się wzdryga. – To ty próbujesz sobie udowodnić, że świat jest racjonalny,

jakbyś mogła zrobić cokolwiek, żeby zyskać przewagę nad śmiercią. Mówisz sobie, że oni umarli, bo *x*, a ty żyjesz, bo *y*, i że te dwie rzeczy wykluczają się wzajemnie. A dzięki temu możesz uwierzyć, że jesteś mądrzejsza, że jesteś inna. Ale tak naprawdę jesteś tak samo nieracjonalna jak oni. Twierdzisz, że jesteś badaczką, używasz ładnych słów, takich jak „długowieczność” i „zdrowe starzenie”, ale znasz najbardziej podstawową zasadę istnienia – „wszystko, co żyje, musi umrzeć” – i chcesz ją przepisać po swojemu.

Luke nachyla się jeszcze bliżej, aż ich twarze dzieli tylko kilka centymetrów. Varya nie może na niego patrzeć. Jest za blisko, zbyt wiele od niej oczekuje. Varya czuje jego oddech: zlepek bakterii i palone ziarno genmaichy.

– Czego ty chcesz? – pyta Luke, a kiedy ona nie odpowiada, chwyta ją za nadgarstek i ściska. – Chcesz dalej tak żyć? W ten sposób?

– A ty czego chcesz? Chcesz mnie zbawić? Dobrze się czujesz w roli zbawiciela? Czujesz się mężczyzną?

Celnie uderzyła. Puszcza jej rękę, oczy mu błyszczą.

– Nie pouczaj mnie – mówi Varya. – Nie masz do tego prawa, a już na pewno nie masz doświadczenia.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Masz dwadzieścia sześć lat. Dorastałeś na pieprzonej farmie wiśni. Masz dwoje zdrowych rodziców i starszego brata, który tak cię kocha, że podarował ci swoją drogocenną chusteczkę.

Varya wyślizguje się zza drzwiczek lodówki i podchodzi do drzwi wejściowych. Później będzie próbowała zrozumieć, co się stało – będzie bez końca analizować całą rozmowę i zastanawiać się, jak mogła uratować sytuację, zanim wszystko się posypało – ale teraz chce tylko, żeby Luke sobie poszedł. Jeśli zostanie tu jeszcze chwilę, Varya zrobi coś strasznego.

Ale Luke nie wychodzi.

– Nie podarował mi jej. Umarł.

– Przykro mi – mówi Varya przez ściśnięte gardło.

– Nie chcesz wiedzieć, jak to się stało? A może obchodzą cię tylko twoje własne tragedie?

Prawda jest taka, że Varya nie chce wiedzieć. Prawda jest taka, że Varya nie ma w sobie miejsca na jakiekolwiek cierpienie poza własnym. Luke stoi jednak niewzruszony pod łukowatym przejściem z kuchni do salonu i zaczyna mówić.

– Widzisz, musisz wiedzieć, że mój brat zawsze się mną opiekował. Rodzice zawsze chcieli mieć drugie dziecko, ale mama nie mogła zajść w ciążę, więc zdecydowali się na mnie. Asher miał dziesięć lat, kiedy mnie adoptowali. Mógł być zazdrosny. Ale nie. Był dobry, szczodry i zawsze o mnie dbał. Mieszkaliśmy wtedy w Nowym Jorku, na północy stanu. Kiedy przeprowadziliśmy się do Wisconsin, mieliśmy więcej ziemi, ale mniejszy dom i Asher musiał dzielić ze mną pokój. Miał trzynaście lat, a ja trzy. Jaki nastolatek chciałby mieszkać w jednym pokoju z małym dzieckiem? On nigdy nie narzekał.

To ja byłem tym trudnym dzieckiem. Bachorem. Chciałem sprawdzić, jak daleko mogę się posunąć. Dalej się cieszycie, że mnie macie? A jeśli tak zrobię, będziecie chcieli odesłać mnie z powrotem? Kiedyś uciekłem z domu, wczołgałem się pod ganek i przesiedziałem tam dobrych kilka godzin, bo chciałem usłyszeć, jak mnie szukają. Innym razem poszedłem z Asherem do sadu i schowałem się dokładnie w momencie, kiedy trzeba było wracać z kombajnem. Zrobiliśmy sobie z tego zabawę. Ja się chowałem w najmniej odpowiedniej chwili, kiedy wiedziałem, że najbardziej go wkurzę, a Asher przerywał swoje zajęcie i szedł mnie szukać. A potem, kiedy już mnie znalazł, zabieraliśmy się do pracy.

Varya wyciąga rękę, jakby w ten sposób mogła go zatrzymać. Nie chce słyszeć, co będzie dalej, nie może tego znieść – całe ciało ma już zdrętwiałe z przerażenia – ale Luke ją ignoruje i ciągnie opowieść.

– Któregoś dnia poszliśmy do silosów. Mieliśmy wtedy krowy i kury, a w kwietniu trzeba było sprawdzić ziarno, czy nie zlepia się w grudy. Asher zszedł do silosa. Ja miałem stać na platformie na górze i go pilnować. Gdyby coś poszło nie tak, mógłbym wtedy sprowadzić pomoc. Kiedy zszedł na dół, podniósł głowę i się do mnie uśmiechnął. Przykucnął na skorupie z ziarna. Była żółta, wyglądała jak piasek. „Ani mi się waż”, powiedział. A ja też się uśmiechnąłem, zszedłem po drabinie i uciekłem.

Schowałem się między traktorami, bo wiedziałem, że przyjdzie mnie tam szukać. Ale on nie przyszedł. Po kilku minutach zorientowałem się, że coś jest nie tak, że zrobiłem coś złego, ale się bałem. Więc zostałem tam, gdzie byłem. Asher wziął ze sobą do silosa dwa kije do rozbijania grud ziarna. Kiedy uciekłem, próbował się na nich oprzeć, żeby wyjść. Ale porobiły za dużo dziur w ziarnie. Zapadł się w pięć minut. Ale dłużej trwało, zanim przygniotło go na dobre, a potem się udusił. Znaleźli u niego ziarno w płucach.

Przez kilka sekund Varya milczy. Wpatruje się w Luke’a, a on patrzy na nią. Powietrze wydaje się ciężkie i naelektryzowane, jakby siłą tego spojrzenia próbowali utrzymać coś nad ziemią. Po chwili Varya odwraca głowę.

– Proszę, wyjdź – mówi.

Jej dłoń na klamce jest śliska. Będzie musiała ją wytrzeć, kiedy on sobie pójdzie.

– Żartujesz? To wszystko, co masz mi do powiedzenia? – Głos Luke’a się załamuje. – Nie wierzę.

Podchodzi do kanapy i schyla się po buty, wciska do środka stopy w rozciągniętych szarych skarpetkach. Varya otwiera drzwi. Z całej siły się powstrzymuje, żeby na niego nie krzyknąć, żeby za nim nie wrzasnąć, kiedy Luke wypada na klatkę i zbiega na dół.

* * *

Varya patrzy przez okno, jak Luke wsiada do samochodu i z szarpnięciem wyjeżdża z parkingu. A potem ona też chwyta za kluczyki i robi to samo. Jedzie za nim przez dwa skrzyżowania, aż w końcu uchodzi z niej odwaga. Co mogłaby mu powiedzieć? Na następnych światłach zawraca i jedzie w przeciwnym kierunku, do laboratorium.

Annie nie ma w instytucie. Johanny i pozostałych zootechników też. Nawet Clyde już poszedł do domu. Varya rusza do wiwarium – przerażone jej nagłym wtargnięciem makaki podnoszą wściekłe, skrzekliwe larum – i idzie prosto do klatki Fridy.

Najpierw myśli, że Frida śpi, ale po chwili zauważa, że małpa ma otwarte oczy. Leży na boku z przedramieniem w pysku.

Frida już wcześniej miała skłonności do autoagresji – na przykład to ugryzienie w udo – ale zawsze ukrywała te zachowania. Teraz jednak grzebie bezwstydnie w otwartej ranie. Spod poszarpanych krwawych skrawków mięsa i strzępów sierści prześwituje kość.

– Chodź – woła szorstko Varya, otwierając klatkę. – Chodź tu.

Frida podnosi głowę, ale nie rusza się z miejsca, więc Varya idzie do przeciwległej ściany i zdejmuje z wieszaka smycz. Zakłada ją Fridzie na szyję i wyciąga małpę na podłogę wiwarium. Inne zwierzęta wrzeszczą. Frida odwraca się, żeby na nie spojrzeć. Nagle przytomnieje, w jej oczach Varya widzi przerażenie. Małpa siada i obejmuje łapami kolana, zaczyna się kiwać w przód i w tył, więc Varya nie ma innego wyjścia – zaczyna ciągnąć

Fridę po podłodze. Mdli ją na samą myśl, jak wątłe jest ciało zwierzęcia. Kiedyś Frida ważyła prawie pięć kilogramów. Teraz ma niewiele ponad trzy i ledwo siedzi. Przy następnym szarpnięciu przewraca się na plecy, smycz zaczyna ją dusić. Jazgot pozostałych małp przechodzi w przenikliwy pisk – wyczuwają słabość Fridy, to je pobudza. Varya w amoku nachyla się nad półprzytomnym stworzeniem i bierze je na ręce.

Głowa Fridy opada ciężko na ramię Varyi, łapa przylega do jej piersi. Varya wciąga gwałtownie powietrze. Nie ma na sobie odzieży ochronnej, a rana na ramieniu małpy, roztaczająca kwaśny odór rozkładu, klei się jej do swetra. Varya zaczyna biec, Frida obija się czołem o jej obojczyk, wpadają do kuchni. Karmniki z zagadkami stoją pod ścianą, ale Varya nie zwraca na nie uwagi. Podchodzi do wiader z karmą i ze smakołykami dla małp z grupy kontrolnej: w oddzielnych pojemnikach czekają jabłka, banany, pomarańcze, winogrona, rodzynki, fistaszki, brokuły, wiórki kokosa. Varya ściąga wiadra i pudełka na podłogę, z Fridą uczepioną jej pasa. Sadza małpę przed pojemnikami.

– Bierz – nakazuje ostro. – Jedz!

Ale Frida tylko patrzy na ucztę pustym wzrokiem. Varya nakłania ją coraz głośniej, wskazuje na jedzenie, aż wreszcie Frida rozwija prawą łapę. Nogi ma wyciągnięte przed siebie jak małe dziecko, zgięte w kolanach; podeszwy jej stóp są szare i miękkie. Varya przygląda się chciwie, gdy Frida sięga po rodzynki, ale zanim włoży dłoń do koszyka, już zmienia zdanie i przykłada łapę do warg. Otwiera pysk, znajduje ranę i zaczyna żuć.

Varya schyla się, żeby odciągnąć jej ramię i szlocha. Rana jest pociemniała od wilgotnego futra, ale widać, że bardzo głęboka. Możliwe, że Frida przegryzła sobie kość.

– Jedz – płacze Varya.

Kuca przy koszu z rodzynkami i podsuwa Fridzie pełną dłoń pod nos. Frida wącha. Powoli, powolutku, bierze do pyska pierwszą rodzynkę. Varya znów nabiera porcję jedzenia, tym razem obiema rękami. Już po chwili palce ma oblepione kawałkami owoców i umazane krwią, ale nie zwraca na to uwagi, sięga do pojemnika z kokosem, orzeszkami, winogronami.

– Dobrze, dobrze – wzdycha. – Och, moje maleństwo.

Od dekad nie użyła tych słów, wypowiedziała je tylko raz w życiu – podczas narodzin Luke'a, kiedy jej ciało pękało na dwoje, by uwolnić z siebie tę nagłą eksplozję życia.

Kiedy Frida odwraca się od dłoni Varyi, ona kusi ją nowymi owocami albo karmą o innym kształcie. Frida je, po czym wymiotuje: przezroczystym śluzem, żółcią, a potem fontanną rodzynek. Varya wyje z rozpaczy. Wyciera wargi Fridy, gładzi jej wyskubaną główkę i przejrzyste łososiowe uszy, bo zwierzę się poci. Spodnie Varyi nasiąkają gorącymi wymiocinami. Musi zadzwonić po weterynarza. Ale na samą myśl o tym, że miałaby to zrobić – o pytaniach, jakie zada jej doktor Mitchell, ile rzeczy będzie musiała wytłumaczyć – zanosi się jeszcze gwałtowniejszym płaczem.

Więc będzie tulić Fridę, dopóki nie przyjdzie doktor Mitchell. Zaopiekuje się Fridą, doda jej otuchy. Wciąga sobie zwierzę na kolana. Oczy Fridy są szkliste i nieobecne, ale mimo to się wierci, chce, żeby zostawić ją w spokoju. Varya zacieśnia uścisk.

– Ćśś – szepcze. – Ćśś, ćśś.

Frida dalej się wyrywa, Varya trzyma mocno. Jest skończona, już po niej. Jaką to zrobi różnicę? Varya chce coś przytulić, chce poczuć czyjąś bliskość. Puszcza dopiero, kiedy Frida przybliża się do jej twarzy, muska miękkimi wargami brodę Varyi i gryzie.

35

Varya nie zadzwoniła po weterynarza. Następnego dnia rano Annie znalazła ją śpiącą z Fridą w kuchni – Varya siedziała oparta o pojemniki z jedzeniem, Frida leżała zwinięta w kłębek na najwyższej półce – i wrzasnęła.

W szpitalu Varya myślała, że umrze: najpierw od czegoś, czym zaraziła się przy ugryzieniu, a potem – kiedy lekarz powiedział jej, że Frida nie ma ani gruźlicy, ani żółtaczki typu B – sądziła, że na pewno złapała coś w izolatce. Była szczerze zdumiona, że przeżyła. Ogarnięta paniką spodziewała się, że jedyną możliwą konsekwencją jej działań jest ta, której najbardziej się obawia. Ale kiedy tylko jej przerażenie okazało się nieuzasadnione, ustąpiło miejsca o wiele bardziej rzeczywistej zgrozie: Varya dopuściła się wykroczenia, którego skutków nie da się już odwrócić.

Z każdym dniem na szpitalnym jedzeniu Varya stawała się bardziej uważna. Od dzieciństwa nie czuła się tak obecna we własnym ciele. Świat oszałamiał różnorodnością bodźców. Każde czyszczenie rany paliło żywym ogniem. Była zbyt wycieńczona, żeby sprawdzić czystość szeleszczącej jak papier szpitalnej pościeli. Kiedy zbliżała się do niej pielęgniarka, Varya czuła zapach jej szamponu – mogłaby przysiąc, że to ten sam, którego używała kiedyś Klara. Czasami widziała Annie śpiącą na krześle przy jej łóżku i raz, w przebłysku świadomości, poprosiła ją, żeby nie mówiła

Gertie, co się stało. Annie popatrzyła na nią z ponurą dezaprobatą, ale skinęła głową na zgodę. Varya zamierzała pewnego dnia wyznać wszystko matce, ale informacja o ugryzieniu wymagałaby dalszych wyjaśnień, a ona nie była na to jeszcze gotowa.

Frida została zabrana do szpitala dla zwierząt w Davis. Obawy Varyi się potwierdziły – małpa rozłupała sobie kość. Chirurg musiał amputować jej łapę przy ramieniu. Ale jedynym sposobem na sprawdzenie, czy Frida nie ma wścieklizny, było odcięcie jej głowy i zbadanie mózgu. Varya ubłagała lekarzy, żeby tego nie robili: ona sama nie wykazywała żadnych symptomów, a Frida i tak umarłaby w ciągu kilku dni, jeśli rzeczywiście miała wściekliznę.

Dwa tygodnie później Varya spotyka się z Annie w kawiarni przy Redwood Boulevard. Wchodząc, Annie się uśmiecha – ma na sobie cywilne ubranie: dopasowane czarne spodnie, koszulka w paski, drewniaki, i rozpuszczone włosy – ale mimo to jej dyskomfort jest oczywisty. Varya zamawia wegetariańskiego wrapa. W innej sytuacji nic by nie zjadła, ale jej eksperyment został przerwany w szpitalu. Nie znalazła w sobie dość motywacji, żeby zacząć od nowa.

– Rozmawiałam z Bobem – oznajmia Annie, kiedy kelner odchodzi od stolika. – Pozwoli ci złożyć rezygnację.

Bob jest dyrektorem instytutu. Varya nie chce wiedzieć, jak zareagował na wieść, że postawiła pod znakiem zapytania dwudziestoletni eksperyment. Frida była w grupie ograniczonej podaży. Karmiąc ją, Varya unieważniła wszystkie dotychczasowe dane małpy i przekreśliła wiarygodność całej analizy: bez wyników Fridy nie będzie równowagi między grupą eksperymentalną i kontrolną. Nie wspominając o reakcji mediów i środowiska na wieść o tym, że wysokiej rangi badaczka instytutu przeżyła załamanie nerwowe i wystawiła na niebezpieczeństwo

pracowników i zwierzęta. Na samą myśl o tym, jak zawzięcie Annie musiała walczyć z Bobem, żeby zgodził się na jej dobrowolne odejście, Varya czuje falę wstydu.

– Tak będzie łatwiej – mówi Annie powściągliwie. – Będziesz mogła kontynuować karierę.

– Żartujesz? – Varya wydmuchuje nos w serwetkę. – Nie ma szans, żeby to się nie rozeszło.

Annie milczy, przyznając jej rację.

– Ale i tak lepiej odejść w ten sposób – mówi w końcu.

Annie powstrzymała się przed wyładowaniem na niej swojej złości – w przeciwieństwie do Boba poznała historię Varyi. Jeszcze w szpitalu Varya wyznała jej prawdę o Luke'u. W trakcie opowieści twarz Annie zmieniała wyraz, od wściekłości, przez niedowierzanie, aż po litość.

– Jasna cholera – westchnęła. – A ja chciałam cię znienawidzić.

– Dalej możesz to zrobić.

– Tak – zgodziła się Annie. – Ale teraz będzie mi trudniej.

Varya przełyka kawałek wrapa. Nie jest przyzwyczajona do takich porcji jedzenia – posiłki w restauracjach wydają jej się komicznie wielkie.

– A co będzie z Fridą?

– Wiesz tak samo dobrze jak ja.

Varya kiwa głową. Jeśli Frida będzie miała dużo szczęścia, zostanie przeniesiona do schroniska dla małp, gdzie zwierzęta wykorzystywane wcześniej do badań w laboratoriach mogą wieść możliwie normalne życie przy minimalnej ingerencji człowieka. Varya walczyła o takie rozwiązanie – codziennie dzwoniła do szpitala i do schroniska w Kentucky, gdzie uratowane z laboratoriów i nielegalnych hodowli małpy mieszkają w zagrodach na świeżym powietrzu. Ale liczba miejsc w schronisku jest

ograniczona. Prędzej można się spodziewać, że Frida zostanie wysłana do innego laboratorium i tam wykorzystana przy innym eksperymencie.

Tego wieczoru Varya zasypia o siódmej i budzi się chwilę po północy. Wypełza z łóżka i staje przy oknie, nie narzucając nic na koszulę nocną. Po raz pierwszy od miesięcy podnosi żaluzje. Księżyc świeci tak jasno, że Varya widzi resztę osiedla; naprzeciwko niej ktoś ma zapalone światło w kuchni. Varya czuje się dziwnie, jakby była w czyśćcu – a może tak wygląda życie po życiu. Straciła pracę, którą miała zmienić świat – spłacić swój dług. Wydarzyło się najgorsze. A teraz przez głuchą pustkę przebija się myśl, że Varyi zostało o wiele mniej rzeczy, których trzeba się bać.

Podnosi telefon z szafki nocnej i siada na łóżku. Sygnał po drugiej stronie brzęczy w nieskończoność. Zrezygnowana spodziewa się już, że odpowie jej automatyczna sekretarka, kiedy ktoś odbiera.

– Halo? – pyta niepewny głos.

– Luke. – Varyę ogarnia jednocześnie ulga, że odebrał, i strach, że nie da jej dość czasu, żeby mogła poprosić o przebaczenie. – Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro, że coś takiego przytrafiło się twojemu bratu, że musiałeś przejść przez coś takiego. Nigdy, przenigdy nie powinieneś był tego doświadczyć. Gdybym tylko mogła, zrobiłabym wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

Odpowiada jej cisza. Varya przyciska telefon do ucha, oddycha płytko.

– Skąd masz mój numer? – pyta wreszcie chłopak.

– Podałeś go w mailu do Annie, kiedy poprosiłeś o wywiad. – Luke znów milczy, więc Varya mówi dalej. –Słuchaj mnie, Luke. Nie możesz iść przez życie, ciągle myśląc, że to twoja wina. Musisz sobie wybaczyć. Inaczej nie będziesz w stanie żyć – to nie będzie życie. Nie takie, na jakie zasługujesz.

– Będę taki jak ty.

– Tak – mówi Varya i z całych sił stara się powstrzymać łzy.

Oczywiście te słowa odnoszą się też do niej. Ale nigdy dotąd nie pozwoliła sobie w to uwierzyć.

– Naprawdę zamierzasz teraz się bawić w nadopiekuńczą żydowską matkę? Bo coś mi się zdaje, że to się przedawniło dwadzieścia sześć lat temu.

– W porządku – zgadza się Varya i krztusi się śmiechem przez łzy. – Masz rację.

Varya całą sobą przesyła ku niemu jedną myśl: błaga go o dar empatii, nawet jeśli na niego nie zasłużyła. Znów wygląda przez okno, patrzy na samotną rozświetloną kuchnię w oddali.

– Muszę iść spać – mówi Luke. – Obudziłaś mnie, wiesz.

– Przepraszam – jąka się Varya. Broda jej drży, nadal ma szwy pod bandażem.

– Możesz zadzwonić jutro? O siedemnastej wychodzę z pracy.

– Tak. – Varya zamyka oczy. – Dziękuję. Gdzie pracujesz?

– W Sports Basement. To taki outlet z odzieżą turystyczną.

– Tak pomyślałam, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam – pomyślałam, że wyglądasz, jakbyś wybierał się na wspinaczkę.

– Zazwyczaj tak wyglądam. Pracownicy dostają wielkie zniżki.

Jak mało Varya o nim wie. W pierwszej chwili czuje ukłucie rozczarowania, że jej syn nie jest biologiem albo dziennikarzem, tylko sprzedawcą, ale natychmiast karci się za tę myśl. Luke jest z nią teraz szczery, więc cieszy się jego szczerością: właśnie dowiedziała się o nim kolejnej prawdziwej rzeczy.

* * *

Trzy miesiące później Varya siedzi we francuskiej ciastkarni na Hayes Valley. Kiedy mężczyzna, z którym jest umówiona, wchodzi do środka, natychmiast go poznaje. Nigdy wcześniej się nie spotkali, ale Varya widziała w internecie jego zdjęcia. Oczywiście pamięta go też ze starszych zdjęć Simona i Klary. To, które Varya lubi najbardziej, zostało zrobione w mieszkaniu przy Collingwood Street, w którym Klara mieszkała kiedyś razem z Simonem. Czarny mężczyzna siedzi na podłodze, plecami oparty o okno, jedną rękę ma wyciągniętą na niskim parapecie. Drugą dłoń trzyma na Simonie, który leży na podłodze z głową na jego kolanach.

– Robert – woła go Varya, podnosząc się z krzesła.

Robert się odwraca. Varya widzi w nim przystojnego, muskularnego mężczyznę, którym był dawniej – postawny, wysoki, uważny – choć teraz jest już po sześćdziesiątce, zeszczuplał, włosy ma poprzetykane siwizną.

Varya wiele lat o nim myślała, ale nigdy dotąd nie miała dość odwagi, żeby go poszukać. Tego lata natrafiła na artykuł o dwóch mężczyznach prowadzących w Chicago szkołę tańca współczesnego. Kiedy wysłała do niego maila, Robert odpisał, że w tym tygodniu będzie w San Francisco na festiwalu tańca w Stern Grove. Teraz rozmawiają o jej badaniach, jego choreografiach i mieszkaniu na South Side, które Robert zajmuje z mężem Billym i dwoma kotami rasy maine coon.

– Ewoki – mówi Robert.

Śmieje się, pokazując jej zdjęcia na komórce, i Varya też zaczyna się śmiać, aż nagle głos więźnie jej w gardle. Nagle jest bliska łez.

– Co się stało? – pyta Robert i chowa telefon do kieszeni.

Varya ociera oczy.

– Tak się cieszę, że cię poznałam. Moja siostra, Klara, często o tobie mówiła. Byłaby taka szczęśliwa… – Tryb warunkowy. Varya nadal go nie znosi. – Tak by się cieszyła, że…

– Że żyję? – Robert się uśmiecha. – Nie przejmuj się, możesz to powiedzieć. Nigdy nie miałem na to gwarancji. Nie żeby ktokolwiek miał – dodaje, poprawiając grawerowaną srebrną bransoletkę. On i Billy noszą je zamiast obrączek. – Jestem nosicielem wirusa. Nigdy nie sądziłem, że dożyję starości. Weź, spodziewałem się, że umrę przed trzydziestymi piątymi urodzinami. Ale jakoś dotrwałem do koktajlu. A Billy ma dość energii za nas dwóch. Jest młody – za młody, żeby mógł przejść przez to, co my. Kiedy Simon zmarł, Billy miał dziesięć lat.

Robert patrzy Varyi w oczy. Po raz pierwszy w rozmowie padło imię jej brata.

– Nigdy sobie nie wybaczyłam, że nie pojechałam się z nim zobaczyć po tym, jak wyjechał – wyznaje Varya. – Mieszkał w San Francisco cztery lata, a ja ani razu go nie odwiedziłam. Byłam na niego taka zła. I myślałam, że… dorośnie.

Jej słowa unoszą się między nimi. Varya przełyka ślinę. Klara była przy Simonie, nawet Daniel z nim rozmawiał – po pogrzebie opisał krótki telefon od brata – ale Varya była niewzruszona jak skała, tak skuta lodem, tak odległa, że Simon nie mógłby się do niej zbliżyć, nawet gdyby chciał. A dlaczego miałby chcieć? Na pewno zdawał sobie sprawę, że Varya ma do niego większy żal niż do Klary. Klara przynajmniej poinformowała ich, że wyjeżdża. Przynajmniej miała dość przyzwoitości, żeby po przyjeździe do San Francisco odebrać telefon. Varya skreśliła Simona. Nic dziwnego, że on ją też.

Robert nakrywa jej dłoń swoją. Varya stara się nie wzdrygnąć. Jego dłoń jest szeroka i ciepła.

– Nie mogłaś wiedzieć.

– Nie. Ale trzeba było mu wybaczyć.

– Byłaś dzieckiem. Jak my wszyscy. Posłuchaj, przed śmiercią Simona byłem ostrożny. Może aż za bardzo. Ale kiedy zmarł, narobiłem trochę głupich, bezmyślnych rzeczy. Takich, że powinienem przez to nie żyć.

– Nie przerażało was to? – pyta Varya powściągliwie. – Że możecie umrzeć od seksu?

– Nie, wtedy nie. Bo nie widzieliśmy tego w ten sposób. Kiedy lekarze mówili, że powinniśmy trzymać się celibatu, to nie był dla nas wybór między seksem a śmiercią. Mieliśmy wrażenie, że każą nam wybierać między życiem a śmiercią. Nikt, kto tak wiele poświęcił, żeby żyć w zgodzie ze sobą, żeby uprawiać seks w zgodzie ze sobą, nie chciał z tego rezygnować.

Varya kiwa głową. Nagle rozlega się dzwoneczek nad drzwiami i do kawiarni wchodzi młoda rodzina. Kiedy przechodzą koło ich stolika, Varya zmusza się, żeby nie odchylić się w przeciwną stronę. Chodzi teraz do nowej terapeutki, która specjalizuje się w terapii poznawczo-behawioralnej i zachęca Varyę do wystawiania się na sytuacje, które są dla niej trudne do zniesienia.

– Zawsze się zastanawiałam, co cię pociągało w Simonie – mówi. – Klara mówiła, że byłeś taki dojrzały, miałeś tyle osiągnięć. A Simon był dzieciakiem, w dodatku bardzo dumnym. Nie zrozum mnie źle, uwielbiałam go. Ale nigdy nie mogłabym się z nim spotykać.

– Dobrze to podsumowałaś. – Robert uśmiecha się szeroko. – Co ja w nim kochałem? On był nieustraszony. Chciał się przeprowadzić do San Francisco, to się przeprowadził. Chciał zostać tancerzem, więc został. Na pewno nie zawsze się tak czuł, ale żył bez strachu. To od niego się tego nauczyłem. Kiedy zakładaliśmy z Billym szkołę, wzięliśmy kredyt, którego mogliśmy nigdy nie spłacić. Pierwsze trzy lata nie wychodziliśmy z pracy. Ale potem wystawiliśmy show w Nowym Jorku i załapaliśmy się na

recenzję w „Timesie”. A kiedy wróciliśmy do Chicago, zaczęliśmy na siebie zarabiać. Teraz stać nas na ubezpieczenie zdrowotne dla tancerzy. – Robert wgryza się w croissanta; kruche maślane płatki sypią mu się na skórzaną kurtkę. – Nigdy nie spodziewałem się, że dożyję emerytury. Nadal obawiam się patrzeć zbyt daleko w przyszłość. Ale to nie szkodzi; kocham swoją pracę. Nie chcę jej przerywać.

– Chciałabym mieć takie samo podejście. Ja odeszłam z pracy. Nigdy nie czułam się tak oderwana.

– Koniec z tym. – Robert podnosi croissanta i wskazuje na Varyę z przesadną przyganą. – Myśl jak Simon. Bądź nieustraszona!

Varya się stara, nawet jeśli jej definicja tego słowa jest śmiesznie wąska. Zaczęła opierać się o krzesła i chodzić po mieście. Dziesięć lat temu, kiedy przeprowadziła się do Kalifornii, odwiedziła Castro pierwszy raz od narodzin Ruby. Próbowała wyobrazić sobie tam Simona, ale myślała tylko o tym, jak uciekał jej w drodze na nabożeństwo do synagogi Tiferet Izrael. Teraz znów go sobie wyobraża, ale tym razem nie ogranicza Simona do wspomnienia osoby, którą kiedyś znała. Kiedy Varya idzie od Cliff House do starego szpitala wojskowego przy parku Mountain Lake, widzi Simona przy ruinach Sutro Baths, gdzie kiedyś mogło pływać dziesięć tysięcy ludzi naraz. Varya nie ma pojęcia, czy Simon kiedykolwiek chodził po tych zaroślach; Richmond znajduje się co najmniej czterdzieści pięć minut autobusem od Castro. Ale to nieważne. Simon jest tutaj wśród bzów i mchów, wiatr od wody odgarnia mu włosy z twarzy. Idzie przed nią, wyznaczając jej drogę.

* * *

Kiedy wraca do mieszkania, czeka na nią mail od Miry.

Najdroższa V:

Czy pasowałby Ci 11 grudnia? Okazuje się, że Eli musi tu być czwartego, a ten wariat Jonathan nadal zamierza ciągnąć wszystkich zimą na Florydę. (Nie zrozum mnie źle, na pewno będzie miło. Po prostu muszę jakoś się przełamać i powiedzieć wszystkim, że naprawdę wychodzę za mąż w Miami). Daj znać.

Buziaki,

M.

Jonathan, podobnie jak Mira, jest wykładowcą na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork w New Paltz. Cztery lata przed śmiercią Daniela jego żona zmarła na raka trzustki. Mira nigdy nie była nim zainteresowana, ale po pogrzebie Daniela Jonathan przynosił jej jedzenie („Pieczeń wołowa. Ze sklepu, to żona zawsze gotowała" – wyjaśnił za pierwszym razem) i wspierał ją podczas napadów paniki, które zaczęły ją dręczyć przed wykładami. Minęły dwa lata, zanim się w nim zakochała.

– To brzmi spontanicznie, ale w rzeczywistości wszystko rozegrało się w lodowcowym tempie – wyznała Varyi Mira podczas jednej z ich niedzielnych sesji na Skypie. – Musiałam zrezygnować.

Mira odstawiła talerz na stolik kawowy i podciągnęła nogi pod siebie. Nadal była drobna, ale zrobiła się bardziej umięśniona: po śmierci Daniela zaczęła jeździć na rowerze. Pokonywała trasę z New Paltz do rezerwatu Bear Mountain, a świat wokół niej rozmywał się w świszczącym pędzie, równie chaotycznie jak kotłujące się w niej uczucia.

– Zrezygnować z czego? – spytała Varya.

– Cóż, sama długo zadawałam sobie to pytanie, aż w końcu dotarło do mnie, że nie chodzi o moje cierpienie czy zaufanie. Musiałam zrezygnować z Daniela.

Sześć miesięcy temu Jonathan się oświadczył. Ma jedenastoletniego syna, Eliego – Mira uczy się opieki nad nim. Varya ma być jej świadkową.

„Czego ty chcesz?”, chciał wiedzieć Luke. Gdyby Varya była z nim szczera, powiedziałaby: wrócić do początku. Wtedy powiedziałaby trzynastoletniej dziewczynce, którą kiedyś była, żeby nie szła z rodzeństwem do kobiety. Dwudziestopięcioletniej kobiecie: znajdź Simona, wybacz mu. Powiedziałaby sobie, żeby zajęła się Klarą, poszukała chłopaka na JDate, nie oddawała dziecka pielęgniarce. Że umrze – ona umrze, wszyscy umrą. Żeby zwracała uwagę na zapach włosów Klary, na ramiona Daniela, kiedy schylał się, żeby ją objąć, na krótkie kciuki Simona – Boże, na ich ręce. Na dłonie Klary, zwinne jak kolibry, na szczupłe, niespokojne palce Daniela. Powiedziałaby sobie, że tak naprawdę wcale nie chce żyć wiecznie, tylko przestać się zamartwiać.

„A jeśli się zmienię?”, spytała wróżkę, tyle lat temu – przekonana, że wiedza może ocalić ją od nieszczęścia i tragedii. „Większość ludzi się nie zmienia”, odparła kobieta.

Jest już dziewiętnasta, niebo ma kolor neonowej poświaty. Varya odchyla się na krześle. Może wybrała naukę, wierząc, że badanie rzeczy racjonalnych odgrodzi ją od kobiety z Hester Street i jej przepowiedni. Ale jej wiara w naukę okazała się też przejawem buntu. Varya obawiała się, że przyszłość jest już ustalona, ale miała nadzieję – Boże, jaką ona miała nadzieję – że jeszcze nie jest za późno, że życie jeszcze może ją zaskoczyć. Varya miała nadzieję, że nie jest jeszcze za późno na to, by ona sama siebie zaskoczyła.

Teraz Varya przypomina sobie, co Mira powiedziała jej po pogrzebie Daniela. Stały zgarbione pod drzewem, śnieg prószył przez gałęzie, a żałobnicy szli z cmentarza na parking.

– Nigdy nie poznałam Klary – zaczęła Mira. – Ale teraz mam wrażenie, że prawie ją rozumiem, bo samobójstwo wcale nie wydaje mi się

irracjonalną decyzją. Wiesz, co jest bez sensu? Żyć dalej, dzień po dniu, jakby ten ruch do przodu był naturalny.

Ale Mira sobie poradziła. Miażdżące poczucie straty zderzyło się ze świadomością, że prawdopodobnie w końcu z niego wyjdzie. To absurdalny, pozornie cudowny mechanizm, jak każdy akt przetrwania. Varya myśli o współpracownikach z laboratorium, zgarbionych nad probówkami i mikroskopami. Wszyscy próbują powielić procesy, które już istnieją w naturze. *Turritopsis dohrnii*, meduza rozmiarów cekina, w obliczu zagrożenia młodnieje. Żaba leśna zimą zmienia się w kawałek lodu: jej serce przestaje bić, krew zamarza, ale kiedy nadchodzi wiosna, płaz wraca do życia jak gdyby nigdy nic.

Larwy cykady wieloletniej hibernują pod ziemią i żywią się sokami z korzeni drzew. Łatwo można by uznać je za martwe; może w pewnym sensie rzeczywiście umierają – latami trwają nieruchomo, w zupełnej ciszy, pół metra pod ziemią. Aż wreszcie jednej nocy, po siedemnastu latach hibernacji, miliony larw jednocześnie wygrzebują się na powierzchnię. Wspinają się na najbliższy pionowy obiekt i zrzucają z siebie puste powłoki, które z szelestem opadają na ziemię. Ciała mają jeszcze blade i miękkie. I zaczynają śpiewać w ciemności.

36

Na początku lipca Varya pokonuje drogę przez miasto na cotygodniową wizytę u matki. Gertie jest nieważka ze szczęścia: Ruby przyjeżdża. Varya nigdy nie pojmie, dlaczego studentka miałaby z własnej woli spędzać dwa tygodnie każdego lata w domu opieki, ale Ruby zaproponowała to rozwiązanie, kiedy zaczęła pierwszy rok studiów, i ani razu nie próbowała się wykręcać. Ośrodek znajduje się osiem godzin samochodem od Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, na którym Ruby wkrótce zacznie trzeci rok nauki. Co roku pojawia się w chmurze okularów przeciwsłonecznych, brzęczących bransoletek i sandałów na platformie i parkuje przed wejściem monstrualnego białego land rovera. Gra z wdowami w mahjonga i czyta Gertie książki ze swoich wykładów z literatury. Ostatniego wieczoru zawsze organizuje przedstawienie w jadalni, które cieszy się taką popularnością, że trzeba przynosić dodatkowe krzesła z biblioteki. Mieszkańcy domu opieki są podekscytowani jak dzieci. Po występie ustawiają się w długich kolejkach do Ruby, żeby jej opowiedzieć, jak kiedyś spotkali brata Houdiniego albo jak widzieli kobietę szybującą nad Times Square na linie trzymanej w zębach.

– I co ty teraz zrobisz? – pyta Varyę matka. – Skoro nie wracasz do pracy?

Gertie siedzi w fotelu, na kolanach trzyma miskę z ogórkami w occie. Ruby leży na łóżku babci. Gra w Bloody Mary na telefonie. Kiedy dochodzi do piątego poziomu, przekazuje telefon Varyi, która ze szczególną satysfakcją rozgniata podskakującego żwawo pomidora, który strzeże pęczka łodyg selera.

– To nie tak, że nie wracam do pracy – poprawia ją Varya. – Po prostu nie wracam do Drake'a.

Wyznała matce, że popełniła nieodwracalny błąd, którym przekreśliła spójność całego eksperymentu. Niedługo – może po wyjeździe Ruby – powie Gertie o Fridzie, a przede wszystkim o Luke'u. Ich relacja była dotąd zbyt krucha, żeby o niej mówić. Teraz jest już stabilniejsza, ale Varya nadal boi się, że syn zniknie z jej życia tak nagle, jak się w nim pojawił. Zaczęli wysyłać sobie listy, pocztówki i inne drobiazgi. W maju dostała od Luke'a zdjęcie z jego nową dziewczyną. Yuko jest od niego prawie pół metra niższa, ma asymetrycznie ścięte włosy o różowych końcówkach. Na zdjęciu udaje, że podnosi Luke'a, który zarzuca jej nogę na ramię. Oboje się śmieją, mrużąc oczy. Minął miesiąc, zanim Luke przyznał, że Yuko jest jego współlokatorką – tą, która udawała redaktorkę z „Chronicle" – ale wtedy nie łączyło ich nic więcej, dodał pośpiesznie. Trzymał to w sekrecie, bo nie chciał zniechęcić Varyi do Yuko.

Varya nie posiadała się z zadowolenia. Ucieszyła się szczęściem Luke'a i odkryciem, że syn przejmuje się jej opinią. W tym samym tygodniu mijała przydrożne stoisko z domowymi przetworami. Zaparkowała na poboczu i nachyliła się nad szklanymi słoikami. Owoce lśniły w popołudniowym słońcu jak klejnoty. Kiedy znalazła wiśnie, kupiła dwa słoiki. Jeden zostawiła dla siebie, a drugi wysłała Luke'owi. Dziesięć dni później przyszła odpowiedź:

Bez fajerwerków, ale solidne w smaku. Trzymają poziom. Ekstrakt migdałowy dobrze współgra. Wydobywa z wiśni piżmową nutę i nadaje im głębię.

Varya uśmiechnęła się szeroko i przeczytała pocztówkę jeszcze dwa razy. Bez fajerwerków, ale solidne i na poziomie – to nie najgorsze cechy, uznała. Następnie poszła po własny słoik – czekała z otwarciem na werdykt Luke'a.

– To gdzie pójdziesz? – pyta Gertie, patrząc na miskę. – Przecież nie możesz całymi dniami siedzieć w domu, tak jak ja. I jeść ogórki.

Varya natychmiast słyszy w głowie rodzeństwo. Jakbyś naprawdę musiała się o to martwić, prychnęłaby Klara. Potem Daniel: Varya miałaby siedzieć bezczynnie i zajadać ogórki? Wątpię, żeby była do tego zdolna.

Ostatnimi czasy Varya widzi ich wszędzie. Nastolatek, który biega po zmroku pod jej oknami, przypomina jej Simona, trenującego w chłodne letnie noce do półmaratonu. Widzi rozmigotany, wyrazisty uśmiech Klary na twarzy jakiejś kobiety w barze. Wyobraża sobie, że prosi Daniela o radę. On zawsze był tuż za nią: niewiele młodszy, tak samo ambitny, równie oddany rodzinie. Wiedziała, że Daniel pomoże jej w opiece nad matką, że spróbuje sprowadzić Simona do domu.

Przez tyle lat tłumiła te wspomnienia. Ale teraz, kiedy przywołuje je z całym zmysłowym bogactwem, rodzeństwo z duchów zmienia się w prawdziwych ludzi, i staje się coś niespodziewanego. Światła, które pogasły w niej dawno temu, znów się zapalają, jedno po drugim.

– Może zaczęłabym uczyć – mówi matce.

Na studiach doktoranckich prowadziła zajęcia dla studentów pierwszych lat w zamian za czesne. Nie sądziła, że będzie w stanie się tego podjąć – przed pierwszymi ćwiczeniami zwymiotowała do umywalki w damskiej toalecie, bo nie dobiegła na czas do sedesu – ale prędko odkryła, że to

bardzo satysfakcjonujące. Dziesiątki twarzy obserwowały ją z zaciekawieniem i czekały, co Varya ma dziś dla nich w zanadrzu. Oczywiście niektórzy studenci byli zaspani i znudzeni, ale Varya po cichu właśnie tych lubiła najbardziej. Stawiała sobie za cel, żeby ich obudzić.

* * *

Ostatniego wieczoru wizyty Ruby Varya przyjeżdża na pokaz magii. Ruby przygotowuje scenę w jadalni, a Varya z matką jedzą w tym czasie kolację w pokoju Gertie. Varya zastanawia się, co Saul i jej rodzeństwo pomyśleliby o występie Ruby. I nagle, w liliowym wieczornym półmroku, zwierza się Gertie z czegoś, o czym nigdy nie zamierzała jej opowiadać: o kobiecie z Hester Street. Opisuje lepki lipcowy upał, niepokój, z jakim wspinała się po schodach, i jak każde z rodzeństwa musiało samo wejść do mieszkania. Mówi też o ich rozmowie ostatniego dnia Sziwy Saula – i uświadamia sobie, że właśnie wtedy po raz ostatni byli razem, we czworo.

Podczas opowieści Varyi Gertie nie podnosi wzroku. Wpatruje się w swój jogurt i podnosi łyżeczkę do ust z tak nieobecną koncentracją, że Varya zaczyna się zastanawiać, czy nie trafiła na zły dzień. Kiedy kończy mówić, Gertie wyciera łyżeczkę serwetką i odkłada ją na tacę. Starannie przysłania kubeczek aluminiowym wieczkiem.

– Jak mogliście uwierzyć w takie farmazony? – pyta cicho.

Varya otwiera usta. Gertie stawia opakowanie po jogurcie obok łyżeczki i składa dłonie na podołku. Przygląda się Varyi z oburzeniem, nastroszona jak sowa.

– Byliśmy dziećmi – protestuje Varya. – Przestraszyła nas. Ale chodzi mi o to, że to nie są…

– Farmazony! – przerywa jej Gertie, tym razem stanowczo, i odchyla się w fotelu. – No i co, poszliście do cyganki. Nikt nie jest aż taki głupi, żeby im uwierzyć.

– Ale ty wierzysz w takie rzeczy. Plujesz, kiedy przejeżdża karawan. A po śmierci taty uparłaś się, żeby odprawić tę hecę z kurczakiem, kręciłaś nim nad głową i recytowałaś…

– To jest rytuał religijny.

– A plucie za pogrzebem?

– Ale że co?

– Czym to usprawiedliwisz?

– Ignorancją. A ty? Nie masz żadnej wymówki – stwierdza Gertie, kiedy Varya nie odpowiada. – Tyle wam dałam: wykształcenie, możliwości – nowoczesność! Jak mogliście stać się tacy jak ja?

Gertie miała dziewięć lat, kiedy niemieckie wojsko weszło do Węgier. Rodziców i trójkę rodzeństwa jej matki wywieziono z Hajdú do Auschwitz. Jeśli Szoa utwierdziło Saula w wierze, to Gertie ją odebrało. Zanim skończyła sześć lat, nawet jej rodzice już nie żyli. Bóg musiał się jej wydawać mniej prawdopodobny niż przypadek, a dobro trudniejsze do znalezienia niż zło – więc Gertie pukała w niemalowane drewno, pluła za siebie, wrzucała monety do fontann i sypała ryżem przez ramię. A kiedy się modliła, robiła interesy.

Varya widzi, co Gertie podarowała swoim dzieciom: wolność niepewności. Swobodę, jaką daje niepewny los. Saul pewnie by się z tym zgodził. Jako jedyny syn pary imigrantów, ojciec Varyi miał ograniczone perspektywy. Wybiegać myślami naprzód albo wstecz musiało wydawać mu się niewdzięcznością, jakby kusił los – jakby wolność była jedynie mglistą wizją, która zniknie, jeśli tylko Saul na chwilę oderwie od niej wzrok. Ale Varya i jej rodzeństwo otrzymali wolny wybór i przywilej

autorefleksji. Chcieli mierzyć czas, wyznaczać mu granice i kontrolować jego bieg. Ale w pogoni za przyszłością tylko zbliżali się do przepowiedni wróżki.

– Przepraszam. – Łzy wzbierają Varyi pod powiekami.

– Nie przepraszaj – mówi matka i wychyla się, żeby pacnąć ją w ramię. – Bądź inna.

Gertie nie zabiera dłoni. Chwyta Varyę za łokieć, tak jak Bruna Costello w 1969 roku. Ale tym razem Varya się nie odsuwa. Siedzą w milczeniu, aż w końcu Gertie zaczyna się wiercić.

– No, to co ona ci powiedziała? – pyta. – Ile lat będziesz żyć?

– Osiemdziesiąt osiem. – Ten wiek wydaje się teraz Varyi bardzo odległy, jest niemal zawstydzona takim luksusem.

– No to czym się tak zamartwiasz?

Varya gryzie się w policzek, żeby powstrzymać uśmiech.

– Myślałam, że w to nie wierzysz.

– Bo nie wierzę. – Gertie pociąga nosem. – Ale jakbym wierzyła, tobym nie narzekała. Jakbym wierzyła, tobym powiedziała, że osiemdziesiąt osiem lat to bardzo dobry wiek.

* * *

O 19.30 idą do jadalni na przedstawienie. Funkcję sceny pełni niewielka platforma. Dwie lampy, po jednej z każdej strony, to reflektory. Jedna z pielęgniarek rozwiesiła na wieszakach czerwoną zasłonę, która służy za kurtynę. Gertie i jej koleżanki są odświętnie ubrane. Widownia jest pełna. Powietrze aż iskrzy od niecierpliwej ekscytacji. Oczekiwanie łączy wszystkich w jedno i ciągnie, niczym czarna materia, ku scenie.

Ruby wyłania się zza kurtyny.

Kiedy tylko staje na scenie, dokonuje się transformacja. Zasłona zmienia się w prawdziwą kurtynę, lampy w reflektory. Klara potrafiła trajkotać jak katarynka, ale Ruby zaskakuje Varyę naturalnym talentem do komedii ciała. I jeszcze coś odróżnia ją od matki. Uśmiecha się z łatwością, głos nigdy jej nie drży. Kiedy upuszcza piłeczkę, którą miała złapać, przez chwilę odgrywa kpiącą pantomimę, po czym odzyskuje rytm. Varya widzi tę swobodę. Ruby wygląda na bardziej pewną siebie – swoich umiejętności, swojego ciała – niż Klara była kiedykolwiek.

Och, Klaro, myśli Varya. Gdybyś tylko mogła zobaczyć swoje dziecko.

Gertie przez cały wieczór wpatruje się w Ruby jak w film, który chciałaby oglądać w nieskończoność. Kiedy ostatni mieszkańcy opuszczają jadalnię, dochodzi jedenasta. Gertie zgodziła się wrócić do pokoju na znienawidzonym wózku, ale mimo to siedzi napuszona jak indyk. Varya rozumie, że powstrzymanie starzenia jest równie nieprawdopodobne jak pomysł, że kompulsywne rytuały mogą zapobiec nieszczęściu. Ale mimo to ma ochotę krzyknąć: Nie odchodź.

* * *

Ruby prowadzi Gertie do jej pokoju. Wkrótce przeniesie swoją uwagę na inne cuda: jak zaszyć ranę, wykonać punkcję kręgosłupa, odebrać poród. Ale dziś ze wszystkimi na widowni połączyła ją niewidzialna więź, pajęcza sieć emocji, której Ruby nie chce jeszcze opuszczać. Kiedy stała na scenie i patrzyła na publiczność, wezbrało w niej to uczucie, które czasami ogarnia ją, kiedy widzi przedszkolaki maszerujące pod jej mieszkaniem w Los Angeles. Dzieci idą ze sznurkiem w dłoniach, żeby żadne się nie zgubiło. Właśnie tak było dziś wieczorem, myśli Ruby. Jedno po drugim, wszyscy podchodzili do jej liny. Chwytali się mocno.

– Dlaczego chcesz być lekarką, skoro mogłabyś dalej to robić? – pyta dalej ojciec. – Dajesz ludziom tyle radości.

Ale Ruby wie, że magia to tylko jeden z wielu sposobów na utrzymanie siebie i innych przy życiu. Kiedy była mała, Raj powiedział jej, że Klara przed każdym występem wypowiadała trzy słowa. Od tamtej pory Ruby też zawsze je powtarza. Dziś wieczorem stała za kurtyną ze splecionymi dłońmi. Słyszała publiczność zgromadzoną po drugiej stronie, ich podekscytowane szepty, szuranie, szelest programów wydrukowanych na tanim papierze.

– Kocham was wszystkich – wyszeptała. – Kocham was wszystkich, kocham was wszystkich, kocham was wszystkich.

I przeszła na drugą stronę.

Podziękowania

Jestem głęboko wdzięczna wszystkim, którzy przyczynili się do powstania *Immortalistów*.

Ta książka nie ujrzałaby światła dziennego bez wiary, pracy i wsparcia dwóch wspaniałych kobiet. Mojej gwieździe rocka i bratniej duszy, agentce Margaret Riley King, dziękuję za zaufanie, lojalność i sesje terapeutyczne dwa razy w miesiącu. To zawsze zaczyna się od Ciebie. Podziękowania należą się też mojej redaktorce, Sally Kim: Twój intelekt, zaangażowanie i konsekwencja oświetlają mi drogę. Praca z Tobą to jeden z największych zaszczytów – i przyjemności – jakie mnie spotkały.

Nie mogłabym wymarzyć sobie wspanialszych zespołów niż te z WME i Putnama. Współpraca z Wami to prawdziwy przywilej: dziękuję Tracy Fisher, Erin Conroy, Erice Niven, Haley Heidemann i Chelsea Drake z WME, a także Ivanowi Heldowi, Danielle Dieterich, Christine Ball, Alexis Welby, Ashley McClay, Emily Ollis i Katie McKee z Putnama, a także wszystkim z grupy Penguin. Jestem też wdzięczna Gail Berman, Dani Gorin, Joemu Earleyowi i Rory'emu Koslowowi ze studia Jackal za ich pracę nad ekranizacją.

Zbierając materiały do tej książki, czerpałam z wiedzy i twórczości wielu pisarzy, reżyserów, naukowców i specjalistów z wielu innych dziedzin. Do najcenniejszych źródeł należą: rozprawa *A subtle craft in*

several worlds: Performance and participation in Romani fortune-telling (*Subtelna sztuka kilku światów: Performatywność i uczestnictwo w romskim rytuale przepowiadania przyszłości*) autorstwa Ruth Elaine Andersen; film dokumentalny Davida Weissmana *We Were Here* (*Tutaj byliśmy*); książka Jima Steinmeyera *Hiding the Elephant: How Magicians Invented the Impossible and Learned to Disappear* (*Ukryć słonia: Jak iluzjoniści osiągnęli niemożliwe i nauczyli się znikania*); a także życie Tiny Kline, artystki cyrkowej, która wyprzedzała swoje czasy – to ona wymyśliła Szczęki Życia i zainspirowała mnie do stworzenia postaci Klary seniorki (jej życie i czasy opisała Janet M. David w książce *Circus Queen and Tinker Bell: The Memoir of Tiny Kline – Królowa cyrku i Blaszany Dzwoneczek: wspomnienia Tiny Kline*). Por. Scott Gregory był moim kluczowym doradcą w kwestiach dotyczących kariery wojskowej Daniela. Erika Fleury, Deborah Robbins i Bob Ingersoll zgodzili się podzielić ze mną swoimi doświadczeniami z pracy z naczelnymi. Instytut Drake'a jest kopią o Buck Institute for Research on Aging w Novato w stanie Kalifornia, choć moja wersja – z wyjątkiem opisów niektórych budynków i ogólnej misji instytutu – jest w stu procentach dziełem fikcji. Część o Varyi nie powstałaby, gdyby nie dokonania wielu naukowców, których badania nad długowiecznością stały się moją inspiracją i którzy szczodrze dzielili się ze mną swoim czasem i wiedzą – szczególnie dr Ricki Colman, dr Stefano Piraino i dr Daniel Martinez, a także pracownicy centrum badań nad naczelnymi Wisconsin National Primate Research Center. Choć inspirowałam się ich pracą, badania Varyi – podobnie jak Instytut Drake'a – są wytworem mojej wyobraźni i nie stanowią komentarza do żadnych rzeczywistych badań w tym zakresie.

Z całego serca dziękuję rodzinie i wspaniałym przyjaciołom, którzy podjęli się wczesnej lektury i służyli radą oraz pomocą. Moi rodzice są

najwierniejszymi i najbardziej zapalonymi wielbicielami mojej pracy; jestem nieopisanie wdzięczna, że urodziłam się Waszym dzieckiem. Moja ukochana babcia i przewodniczka, Lee Krug, była pierwszą osobą, która przeczytała tę powieść. Mam wielu niezrównanych przyjaciół, ale przede wszystkim chciałabym podziękować Alexandrze Goldstein za jej geniusz redaktorski i wieloletnie oddanie; Rebecce Dunham za towarzystwo intelektualne; Brittany Cavallaro za płomienną solidarność; Piyali Bhattachary za jej mądre, ciepłe serce. Dziękuję Alexandrze Demet za siostrzane oddanie, a Andrew Kay za braterską troskę. Marge Warren i Bob Benjamin obdarowali mnie wspomnieniami i wiedzą na temat doświadczenia imigracji i życia w Nowym Jorku w połowie dwudziestego wieku. Judy Mitchell nieprzerwanie trwa u mojego boku jako mentorka i droga przyjaciółka.

Jordan i Gabriel – jesteście moim rodzeństwem. Ta książka jest też dla Was.

No i Nathan – Boże, co ja mogę o Tobie powiedzieć? Niełatwo jest być partnerem pisarki, ale byłabym pewna, że wywiązujesz się z tej roli zupełnie bez wysiłku, gdybym nie wiedziała, jak wiele pracy redaktorskiej, wykańczających dyskusji i emocjonalnego wsparcia ona wymaga. Masz najwierniejsze serce, najbystrzejszy umysł i cudownie szerokie spojrzenie, które kotwiczy nawet tak roztrzepotane ptaki jak ja. Dziękuję – bez końca.